

KRYMINAL PRZYSZŁOŚCI O PRZESZŁOŚCI

# PAUL LEVINSON

## KOD JEDWABIU



NAGRODA LOCUSA DLA NAJLEPSZEJ POWIEŚCI ROKU

SOLARIS

KRYMINAL PRZYSZŁOŚCI O PRZESZŁOŚCI

**PAUL LEVINSON**

**KOD JEDWABIU**



NAGRODA LOCUSA DLA NAJLEPSZEJ POWIEŚCI ROKU

SOLARIS

**PAUL LEVINSON**

**KOD JEDWABIU**

Przełożył

Jarosław Cieśla

# **SOLARIS**

**Olsztyn 2003**

„Kod jedwabiu” tytuł oryg. „The Silk Code”

Copyright© 1999 by Paul Levinson

All Rights Reserved

Copyright © 2003 for Polish translation by

Jarosław Cieśla

ISBN 83-88431-71-4

Projekt graficzny serii Tomasz Wencek

Projekt i opracowanie graficzne okładki

Jacek Najdora

Redaktor serii Wojtek Sedeńko

Korekta Bożena Moldoch Skład Tadeusz Meszko

Wydanie 1

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

tel/fax. (0-89)541-31-17

e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

Mendlowska lampa

# JEDEN

Większość ludzi z terenami rolniczymi kojarzy Kalifornię lub Środkowy Wschód. Według mnie tego typu obszarem jest Pensylwania, pełna soczy-stej zieleni na czerwonej glebie. Niewielkie poletka pomidorów, kukury-dzy, ubrania powiewające na sznurze i dom stojący zawsze w rogu działki.

Wszystko ma bardzo ludzkie wymiary...

Jenna przebywała w Anglii na konferencji, nie miałem nic zaplanowa-nego na weekend, więc zaproponowałem Mo wycieczkę do Lancaster. Pokasłując silnikiem, pojechaliśmy przez most Waszyngtona; szosą Pennsylvania Turnpike; przez kolejny most; następną autostradą, pełną łat i dziur; w końcu boczną drogą, gdzie można było opuścić szyby i napawać się świe-

żym powietrzem.

Mo, jego żona i dwie córki byli dobrymi ludźmi. Wśród osób zajmują-

cych się medycyną sądową on stanowił rzadki okaz. Może wynikało to z małej liczby przestępstw w tej części kraju - mieszkało tu mnóstwo Amiszy, a oni odrzucają przemoc - a może to ciągły kontakt z soczystą zielenią napawał jego duszę spokojem. Lecz w ogóle nie miał w sobie nic z tej twardo-

ści, tego cynizmu tak częstego u ludzi zajmujących się martwymi i okale-czonymi. Nie, w Mo dominowała niewinność, radość z nauki, ludzi i rozta-czających się przed nimi możliwości.

- Phil - klepnął mnie w ramię, drugą ręką łapiąc mój bagaż.

- Jak się masz, Phil! - krzyknęła z wnętrza jego żona, Corinne.

- Cześć, Phil! - zawołała z okna jego starsza córka Laurie, prawdopodobnie już szesnastoletnia - truskawkowoblond plama w srebrnej ramie.

- Cześć... - zacząłem, ale Mo postawił moją torbę na werandzie i po-ciągnął mnie w stronę swojego samochodu.

- Przyjechałeś wcześniej, to dobrze - powiedział tym konspiracyjnym szeptem uczeniaka.

Zawsze używał takiego głosu, kiedy trafiał na coś nowego w nauce. Po-strzeżenie pozazmysłowe, UFO, ruiny Majów w nieoczekiwanym miejscu -

wszystko to stanowiło dla Mo nieodpartą przynętę. Lecz jego specjalnością była moc zwykłej natury i ukryta mądrość farmerów.

- Mały prezent, który chcę odebrać dla Laurie - wyszeptał jeszcze ciszej, choć dziewczyna znajdowała się daleko poza zasięgiem słuchu. - Zamierzam też coś ci pokazać. Nie jesteś zbyt zmęczony na krótką przejażdż-

kę?

- Och, nie, skądże.

- Świetnie, to jedziemy - ucieszył się. - Trafiłem na pewne metody Amiszów... No cóż, sam zobaczysz. Spodoba ci się.

Strasburg leży w odległości piętnastu minut od Lancaster, drogą 30. Po drodze są tylko cukiernie „Dairy Queens” i sklepiki sieci „7-Elevens”, lecz jeśli zjechać w bok, na jakieś pół mili w dowolną stronę, człowiek cofnie się w czasie o dobre sto lat. Samo powietrze o tym informuje - wyraźna mieszanina woni pyłków i końskich odchodów, zaskakująco miła, tak rze-czywista, że oczy zachodzą łzami z przyjemności. Człowiek nawet przestaje zwracać uwagę na krążące w pobliżu muchy.

Skręciliśmy w Northstar Road.

- Kawałek stąd, po prawej stronie, jest farma Josepha Stoltzfusa - poinformował Mo.

Skinąłem głową.

- Cudownie.

Słońce miało zająć za jakieś pięć minut. Niebo koloru brzuszka gila na-chylało się nad brązami i zielenią farm.

- Nie będzie miał nam za złe, że przybywamy tam, tym, no...

- Samochodem? Nie, oczywiście, że nie - uspokoił mnie Mo. - Amisze nie mają nic przeciwko używaniu samochodów przez nie-Amiszy. A Joseph, jak sam zobaczysz, ma umysł bardziej otwarty niż większość z nich.

Pomyślałem, że chyba właśnie go widzę, po prawej stronie, na końcu szosy, która przeszła w drogę gruntową, szpakowato-siwa głowa i broda pochylone nad sękatą korą drzewa owocowego. Miał na sobie prosty, czarny kombinezon i ciemnoczerwoną koszulę.

- To jest Joseph? - spytałem.

- Tak sędzę - odparł Mo. - Nie jestem pewien.

Zatrzymaliśmy samochód w pobliżu drzewa i wysiedliśmy.

Znienacka zaczął padać delikatny, jesienny deszcz.

- Macie tu jakiś interes? - mężczyzna stojący przy pniu odwrócił się w naszą stronę. Ton jego słów był mało przyjazny.

- Ehm, tak - powiedział Mo, najwyraźniej zaskoczony. - Przepraszam, że przeszkadzamy. Joseph Stoltzfus powiedział, że możemy przyjechać...

- Mieliście interes do Josepha? - ostro spytał mężczyzna.

Oczy miał zaczerwienione i mokre - choć to mogło być skutkiem deszczu.

- Cóż, tak - potwierdził Mo. - Ale jeśli przyjechaliśmy nie w porę...

- Mój brat nie żyje - oznajmił mężczyzna. - Ja nazywam się Isaac. To zły czas dla naszej rodziny.

- Nie żyje? - Mo prawie krzyknął. - To znaczy... co się stało? Widziałem się z pańskim bratem wczoraj.

- Nie jesteśmy pewni - rzekł Isaac. - Może atak serca. Uważam, że powinniście odjechać. Wkrótce pojawi się tu rodzina.

- Tak, tak, oczywiście - zgodził się Mo.

Popatrzył na znajdującą się za Isaacem stodołę, którą spostrzegłem dopiero w tym momencie. Jej wrota były lekko uchylone, wewnątrz migotało słabe światło.

Mo zrobił krok w stronę budynku. Isaac powstrzymał go wyciągniętą ręką.

- Proszę - rzekł. - Lepiej będzie, jeśli odjedziecie.

- Tak, oczywiście - ponownie zgodził się Mo, a ja odprowadziłem go do samochodu.

- Nic ci nie jest? - spytałem, kiedy obaj już siedzieliśmy w środku i Mo włączył silnik.

Potrząsnął głową.

- To nie mógł być atak serca. Nie teraz.

- Zawały zazwyczaj nie umawiają się na spotkanie - zauważyłem.

Mo wciąż potrząsał głową, kiedy skręcaliśmy z powrotem na Northstar Road.

- Uważam, że ktoś go zabił.

W dzisiejszych czasach lekarze sądowi mają tendencję do dostrzegania morderstwa w przypadku dziewięćdziesięcioletniej staruszki umierającej spokojnie we śnie, ale Mo takiego skrzywienia nie miał.

- Opowiedz mi coś więcej - poprosiłem niechętnie.

Tylko tego było mi trzeba - nagłej śmierci zmieniającej moje odwiedziny w weekend pracoholika.

- Nieważne - mruknął. - Już się zanadto wygadałem.

- Wygadałeś? Nie powiedziałaś mi nic.

Mo prowadził w milczeniu, zamyślony. Wyglądał jak ktoś zupełnie in-ny, noszący jego twarz jako maskę.

- Próbujesz mnie przed czymś chronić, prawda? - zaryzykowałem. -

Powinieneś lepiej mnie znać.

Mo milczał.

- W czym rzecz? - drażyłem. - Za pięć minut będziemy z Corinne i dziewczynkami. Wystarczy, że rzucą na ciebie okiem i będą wiedziały, że coś się stało. Co im powiesz?

Mo skręcił nagle w boczną drogę, wskutek czego moja nerka weszła w gwałtowny kontakt z klamką.

- Cóż, tu chyba masz rację - powiedział.

Wystukał numer na telefonie zamontowanym w samochodzie - dopiero teraz go zauważyłem.

- Halo? - odezwała się Corinne.

- Złe wiadomości, kochanie - powiedział rzeczowo Mo, choć mnie ton wydawał się bardzo wymuszony. Bez wątplenia jego żona też to wyczuła. -

Coś wypadło w projekcie i musimy jeszcze dziś pojechać do Filadelfii.

- Ty i Phil? Wszystko OK?

- Tak, obaj - potwierdził Mo. - Nie ma się czym przejmować. Zadzwońię do ciebie, kiedy dojedziemy na miejsce.

- Kocham cię - powiedziała Corinne.

- Ja ciebie też - wyznał Mo. - Ucałuj ode mnie dziewczynki na dobra-noc.

Rozłączył się i odwrócił do mnie.

- Filadelfia? - zdziwiłem się.

- Lepiej żebym nie podawał im zbyt wielu szczegółów - wyjaśnił. -

Nigdy tego nie robię w moich sprawach. To by je tylko zaniepokoiło.

- Ona i tak się niepokoi - powiedziałem. - Dowodzi tego, że nawet nie nakrzyczała na ciebie za nieobecność na obiedzie. Teraz i ja jestem nieco zaniepokojony. Co się dzieje?

Mo nic nie powiedział. Potem znów skręcił - litościwie zrobił to łagodniej - w drogę, przy której stał znak informujący, że przed nami znajduje się autostrada Pennsylvania Turnpike.



Kiedy przyspieszył, przymknąłem okno. Noc nagle zrobiła się wilgotna i zimna.

- Powiesz mi choć słówko, dokąd jedziemy, czy też po prostu porywasz mnie do Filadelfii? - zapytałem.

- Wysadzę cię koło stacji na 30-tej Ulicy - powiedział. - Będiesz mógł przekąsić coś w pociągu, w Nowym Jorku będziesz za godzinę.

- Zostawiłeś moją torbę na werandzie, pamiętasz? - zauważyłem. - Nie wspominając już o moim samochodzie.

- W porządku, odwiozę cię do nas do domu, możemy zawrócić na następnym zjeździe.

- Możemy wybrać się na przejażdżkę, a potem we dwóch wrócić do ciebie. W porządku?

Mo tylko skrzywił się i jechał dalej.

- Zastanawiam się, czy Amos wie? - mruknął kilka minut później, bardziej do siebie niż do mnie.

- Amos to jeden z przyjaciół Josepha? - spytałem.

- Jego syn - wyjaśnił Mo.

- Cóż, chyba raczej nie możesz do niego zadzwonić z komórki - zauważyłem.

Mo potrząsnął głową, skrzywił się.

- Większość ludzi ma błędne wyobrażenie o Amiszach. Uważają ich za jakichś Luddystów, przeciwnych wszelkiej technologii. Ale to niepełna prawda. Walczą z technologią, zadreczają się co przyjąć, a co odrzucić, a jeśli zaakceptować - to w jaki sposób, żeby nie zakłóciło to ich niezależno-

ści i samowystarczalności. Nie sprzeciwiają się telefonom w ogóle, nie chcą ich tylko we własnych domach, bo przeszkadzają we wszystkim, co się robi.

Prychnąłem.

- Uhum, wielokrotnie telefon od kapitana oderwał mnie od błogich za-jęć. Telefonus interruprus.

Mo uśmiechnął się na moment, po raz pierwszy od opuszczenia farmy Josepha Stoltzfusa. Miło było to zobaczyć.

- To gdzie Amisze trzymają swoje telefony?

Mogłem wykorzystać sytuację w nadziei, że Mo w końcu zacznie mó-

wić.

- Cóż, to kolejne błędne wyobrażenie - wyjaśnił. - Nie istnieje coś takiego, jak sposób widzenia

wszystkich Amiszy. Istnieje wiele ich odłamów, w różny sposób radzących sobie z technologią. Niektórzy tolerują budki telefoniczne ustawione na skraju ich posiadłości, tak że mogą gdzieś zadzwonić jeśli chcą, jednocześnie unikając niepokożenia w uświęconym wnętrzu domu.

- Czy Amos ma budkę telefoniczną? - zainteresowałem się.

- Nie wiem - rzucił Mo, sprawiając wrażenie, że zaczął myśleć o czym innym.

- Lecz powiedziałaś, że jego rodzina jest wyjątkowo wolna od uprzedzeń - naciskałem.

Mo odwrócił głowę i popatrzył na mnie przez chwilę, potem wrócił wzrokiem do drogi.

- Wolni od uprzedzeń, tak. Ale nie w dziedzinie komunikacji.

- No to w jakiej?

- Medycynie - odparł Mo.

- Medycynie? - upewniłem się.

- Co wiesz na temat alergii?

Nos mnie swędział - może to resztki słodkich pyłków z okolic Strasburga.

- Mam katar sienny - odparłem. - Czasem melon wywołuje u mnie pieczenie w ustach. W swoim życiu widziałem kilka przedziwnych zejść wywołanych uczuleniami. Sądzisz, że Joseph Stoltzfus umarł z takiego powodu?

- Nie - zaprzeczył Mo. - Uważam, że został zamordowany, bo próbował zapobiec zgonom mającym takie przyczyny.

- OK - rzekłem. - Kiedy cię ostatnio o to spytałem, powiedziałaś

„nieważne”. Czy mam spytać jeszcze raz, czy dać sobie spokój?

Mo westchnął.

- Wiesz, inżynieria genetyczna jest o wiele starsza od podwójnej heli-sy.

- Możesz powtórzyć?

- Krzyżowanie roślin w celu otrzymania nowych odmian prawdopodobnie sięga początków istnienia naszego gatunku - powiedział Mo. - Darwin to rozumiał - nazwał ten proces sztucznym doborem. Mendel sformu-

łował pierwsze prawa genetyki krzyżując groszek. Luther Burbank wyhodował o wiele więcej

nowych odmian owoców i warzyw, niż wyszło z naszych laboratoriów manipulujących genami.

- A jaki to ma związek z Amiszami - wyprowadzają teraz nowe odmiany warzyw? - spytałem.

- To coś więcej - odparł Mo. - Całe wnętrza ich domów oświetlone są specjalnymi odmianami świetlików, mają altruistyczny obornik pełen śli-maków szukających korzeni roślin i ginących przy nich dla zapewnienia im związków odżywczych - wszystko to starannie wyhodowane do właśnie tych, konkretnych celów - a nasze społeczeństwo nie wie o tym nic. To najwyższych lotów biotechnologia bez technologii.

- I twój przyjaciel Joseph nad tym pracował?

Mo skinął głową.

- Techno-alergolodzy - nasi konwencjonalni badacze - badali ostatnio pewne artykuły żywnościowe, sądząc, że mogą działać jak katalizatory uczuleń. W czasie kwitnienia traw melony mają dla ciebie piekący smak, prawda? Bo rzeczywiście zaostrza go katar sienny. Arbuz ma takie samo działanie, również pyłek chryzantem. Joseph i jego ludzie wiedzą o tym od dobrych pięćdziesięciu lat i poszli o wiele dalej. Próbuje wyhodować nowy rodzaj żywności, jakąś odmianę pomidora, który będzie działał jak antyka-talizator alergii wygaszając szok histaminowy.

- Coś jak organiczna Claritina? - spytałem.

- Lepsze od tego - zaprzeczył Mo. - Przebije wszelkie farmaceutyki.

- Dobrze się czujesz? - zauważyłem duże krople potu na twarzy Mo.

- Jasne - powiedział i odchrząknął. Wyciągnął chusteczkę i otarł czoło.

- Nie wiem. Joseph...

Zaczęły nim wstrząsać napady ostrego kaszlu.

Wyciągnąłem rękę, żeby go podtrzymać i wyprostować kierownicę. Koszulę miał przepoconą na wylot, oddychał chrapliwie, spazmatycznie.

- Mo, trzymaj się - powiedziałem, trzymając go i kierownicę jedną ręką,

drugą grzebiąc w wewnętrznej kieszeni płaszcza. W końcu namacałem pióro z adrenaliną, które zawsze mam przy sobie, wyciągnąłem je. Mo siedział za kierownicą bezwładnie, spocony i półprzytomny. Odepchnąłem go jak najdelikatniej i spróbowałem odnaleźć stopą hamulec. Samochody mija-

ły nas w pędzie, wrzeszcząc na mnie światłami we wstecznym lusterku. Na szczęście Mo jechał prawym pasem, więc oślepiała mnie tylko jedna kolumna świateł. W końcu odnalazłem podszwam hamulec i nacisnąłem go jak najdelikatniej. Istny cud, że samochód zatrzymał się dość łagodnie na pobo-czu. Obaj byliśmy cali.

Popatrzyłem na Mo. Zadarłem mu koszulę i przycisnąłem pióro do ramienia. Nie wiedziałem, od jak dawna nie oddycha, ale nie wyglądało to dobrze.

Wystukałem 911 na telefonie.

- Niech ktoś tu szybko przyjedzie! - krzyknąłem. - Jestem na Turnpike, kierunek wschodni, tuż przed skrętem na Filadelfię. Jestem doktor Phil D'Amato, lekarz sądowy z NYPD. Potrzebna natychmiastowa pomoc medyczna.

Nie miałem pewności, czy doznał szoku anafilaktyczny, ale pióro adre-nalinowe nie mogło mu wiele zaszkodzić. Pochyliłem się nad jego klatką piersiową. Jezu, proszę.

Zrobiłem mu sztuczne oddychanie i masaż serca, błagając o życie.

- Trzymaj się, niech cię diabli!

Ale właściwie to już wiedziałem. To było widać. Po pewnym czasie nabiera się do tego przekłętego szóstego zmysłu. Jakaś piekielna reakcja alergiczna, która zabiła mojego przyjaciela. W moich ramionach. Ot tak, po prostu.

Pogotowie przyjechało w osiem minut. Lepszy czas niż ostatnio widywane przeze mnie w Nowym Jorku. Ale to nie miało żadnego znaczenia.

Mo był martwy.

Kiedy się nad nim męczyli, przeklinając i usiłując przywrócić go do życia, popatrzyłem na telefon samochodowy. Będę musiał zaraz zadzwonić do Corinne i powiedzieć jej. Ale na wyświetlaczu telefonu widziałem tylko truskawkowoblond włosy Laurie.

- Z panem wszystko w porządku, doktorze D'Amato? - spytał jeden z sanitariuszy.

- Tak - potwierdziłem. Chyba miałem dreszcze.

- Te reakcje alergiczne mogą być zabójcze - oznajmił, patrząc na Mo.

Właśnie: jakbym nie wiedział.

- Powiadomi pan rodzinę? - zapytał sanitariusz.

Zabiorą Mo do lokalnego szpitala, z adnotacją „martwy w chwili przy-bycia”.

- Tak - potwierdziłem, ocierając łzę.

Czułem się, jakbym się dusił. Musiałem zwolnić, zachować kontrolę, oddzielić reakcje fizyczne od psychicznych, żeby w końcu zacząć rozumieć, co się tu dzieje. Zrobiłem kilka głębokich oddechów. I jeszcze raz. OK.

Wszystko było w porządku, nie dusiłem się naprawdę.

Ambulans odjechał, zabierając Mo. On się naprawdę dusił i to go zabiło.

Co właśnie zaczynał mi mówić?

Znów popatrzyłem na telefon. Powinienem pojechać z powrotem do domu Mo, być tam z Corinne, kiedy jej powiem - powiadomienie o czymś takim przez telefon to potworność. Ale musiałem dowiedzieć się, co się stało z moim przyjacielem - a tego raczej nie znajdę u Corinne. Mo nie chciał jej denerwować, nie zwierzał się jej. Nie, największe szanse na do-wiedzenie się o co mu chodziło, miałem w Filadelfii, w miejscu, do którego jechał. Ale co to za miejsce?

Skupiłem się na wyświetlaczu telefonu - wcisnąłem kilka klawiszy, wywołałem katalog. Jedyny numer z kodem strefy 215 należał do Sarah Fischer, z adresu dowiedziałem się, że mieszka w pobliżu Temple University.

Wystukałem kod znajdujący się obok numeru i wcisnąłem klawisz

„dzwoń”.

Trzaski, trzaski, potem odległe dzwonięcie komórki.

- Halo? - odezwał się żeński głos, brzmiąc dużo bliżej, niż się spodziewałem.

- Cześć. Czy Sarah Fischer?

- Tak - potwierdziła. - Czy ja pana znam?

- Cóż, jestem przyjacielem Mo Buhlera i jak sądzę, właśnie dziś wieczór jechaliśmy do pani...

- Kim pan jest? Czy z Mo wszystko w porządku?

- Cóż... - zacząłem.

- Zaraz, kim pan u diabła jest? Odwieszę słuchawkę, jeśli nie otrzymam jednoznacznej odpowiedzi - zagroziła.

- Jestem doktor Phil D'Amato, lekarz sądowy w Departamencie Policji Nowego Jorku.

Milczała przez chwilę.

- Z jakichś powodów pańskie nazwisko brzmi znajomo - powiedziała.

- No, napisałem kilka artykułów...

- Chwileczkę - usłyszałem odkładanie słuchawki i odgłosy grzebania w papierach.

- Pański artykuł o bakteriach opornych na antybiotyki ukazał się w magazynie Discover, tak? -

zapytała jakąś minutę później.

O rany.

- Ehm, pod koniec zeszłego roku - potwierdziłem.

- Widzę tu pana portret narysowany piórkiem. Jak pan wygląda?

- Proste, ciemne włosy, choć stanowczo ich za mało - powiedziałem.

Kto mógłby pamiętać, jak wygląda jakiś nędzny szkic?

- Proszę dalej - popędziła mnie.

- Wąsy, dość obfite, okulary w metalowej oprawce.

Zapuściłem wąsy na stanowcze żądanie Jenny, do tego portretu pozowa-

łem w okularach.

Kilka chwil ciszy, potem westchnienie.

- OK - powiedziała. - Niech mi pan teraz powie, dlaczego dzwoni... i co się stało z Mo.

Mieszkanie Sarah leżało o niecałe pół godziny drogi. Opowiedziałem jej wszystko przez telefon. Zdawała się o wiele bardziej smutna niż zaskoczona i poprosiła mnie, żebym przyjechał.

Porozmawiałem z Corinne, powiadomiłem ją najlepiej jak potrafiłem.

Zanim Mo został lekarzem sądowym, był policjantem, a jak sędzę żony policjantów muszą być przygotowane na takie wydarzenia, ale jak naprawdę można być na coś takiego gotowym po dwudziestu latach szczęśliwego małżeństwa? Płakała, ja płakałem, w tle płakały dzieci. Powiedziałem, że przyjadę - wiedziałem, że powinienem, ale miałem nadzieję, że powie: -

Nie, nic mi nie jest, Phil, naprawdę. A ty chcesz dowiedzieć się, co się stało Mo... I właśnie to powiedziała. Już nie ma wielu ludzi takich jak Corinne Rodriguez Buhler.

Naprzeciwko budynku, w którym mieszkała Sarah, znajdował się parking - w Nowym Jorku byłaby to gwiazdka z nieba. Poprawiłem koszulę, pasek i naciskając dzwonek, starałem się wyglądać jak najlepiej.

Otworzyła mi elektryczny zamek wyjściowy i kiedy zdyszany wbiegłem na drugie piętro, stała w otwartych drzwiach, by mnie przywitać. Miała płowe blond włosy, nieobecne spojrzenie, ale otwarty uśmiech, którego nie spodziewałem się po takim wymaglowaniu mnie przez telefon. Wyglądała na około trzydziestkę.

Mieszkanie było oświetlone miękkim blaskiem, przypominającym mi widzianą kiedyś wystawę

„Paryż w świetle gazowych latarni” i lekko pachniała lawendą. Zmarszczyłem nos.

- Pomaga mi zasnąć - wyjaśniła Sarah i wskazała mi stary, wielgachny fotel. - Kiedy pan zadzwonił, szycowałam się do snu.

- Przykro mi...

- Nie, to mnie jest przykro - zaproponowała. - Z powodu takiego męczenia pana na temat Mo - głos jej się lekko załamał na jego imieniu. - Czy mogę panu coś zaproponować? Musi pan być głodny.

Odwróciła się i przeszła do drugiego pomieszczenia, założyłem, że to kuchnia.

Miała na sobie białe spodnie, kiedy oddalała się, światło uwydatniało kontury jej ciała.

- Proszę, to na początek.

Wróciła z miską winogron. Odmiana Concord. Moja ulubiona. Włożyć jedno do ust, przebić fioletową skórkę, poobracać miąższ na języku - to smak jesieni. Ale nie poruszyłem się.

- Wiem - powiedziała. - Po tym, co się stało z Mo, jest pan nieufny wobec wszelkiej żywności niewiadomego pochodzenia. Ale te są w porządku. Proszę, pokażę - wyciągnęła rękę i włożyła winogrono do ust.

- Mmmm - zamruczała, dotknęła warg i zdjęła z nich nasiona. - Dlaczego pan nie weźmie jednego winogrona i nie poda mi. OK?

W brzuchu mi burczało i już miałem lekkie zawroty głowy, zdałem sobie sprawę, że muszę podjąć decyzję. Albo wyjdę natychmiast, jeśli nie ufam tej kobiecie i pójdę gdzieś coś zjeść - albo zjem, co mi zaoferowała.

Byłem zbyt głodny, żeby rozmawiać tu z nią nie tykając oferowanego jedzenia.

- W porządku, jak pan chce - powiedziała. - Mam trochę szynki Black Forest i mogę przyrządzić panu kanapkę, jeśli pan chce albo tylko kawę czy herbatę.

- Wszystkie trzy - poprosiłem. - To znaczy bardzo będę wdzięczny za kanapkę i trochę herbaty, spróbuję też winogron.

Włożyłem jedno do ust. Dawno już nauczyłem się, że paranoja jest równie niszczycielska, jak niebezpieczeństwa, które podejrzewa.

Sarah wróciła po kilku minutach z kanapką i herbatą. Rozgryzłem ostatnie trzy winogrona i poczułem się całkiem w porządku.

- Toczy się wojna - powiedziała i postawiła tacę na stoliku koło mnie.

Kanapkę sporządziła z jakiegoś ciemnego chleba, pachniała cudownie.

- Wojna? - spytałem i wgrzyłem się w przekąskę. - Uważa pani, że to, co się przytrafiło Mo, jest wynikiem ataku jakiegoś terrorysty?

- Niezupełnie - Sarah usiadła koło mnie z filiżanką herbaty w dłoni. -

Ta wojna toczy się od bardzo dawna. To wojna biologiczna i ma o wiele głębsze korzenie, dosłownie, niż cokolwiek, co dziś uważamy za terroryzm.

- Nie rozumiem - przyznałem się i połknąłem kęs kanapki. Dobrze było wrzucić coś do żołądka.

- Tak sądziłam - zgodziła się Sarah. - Niewielu ludzi to pojmuje. Myśli pan, że epidemie, szeroko występujące reakcje alergiczne, choroby niszczą-

ce nasze zbiory i zwierzęta hodowlane, zdarzają się przypadkowo. Czasami jest to prawda. Czasami tkwi w tym coś więcej.

Pociągnęła łyżeczek herbaty. Coś w świetle, w jej włosach, twarzy, może smak jedzenia, wywołało we mnie uczucie, że jestem znów dzieciakiem w pięknych latach sześćdziesiątych. Prawie zacząłem się spodziewać zapachu kadzidła.

- Kim pani jest? - zapytałem. - To znaczy, co panią wiąże z Mo?

- Robię doktorat w Temple - odparła. - Z etnobotanicznej farmakologii. Mo stanowił jedno z moich źródeł informacji. Był bardzo miłym człowiekiem.

Wydało mi się, że zobaczyłem błysk łzy w kąciku jej oka.

- Tak, był - zgodziłem się. - I pomagał pani w pracy czym - informacjami o wojnie zarazków, o której właśnie mi pani powiedziała?

- Nie całkiem - sprostowała. - Zna pan świat akademicki. Nikt nie pozwoliłby mi napisać pracy na tak oburzający temat - nigdy bym nie przeszła na radzie naukowej. Trzeba więc działać subtelnie, zaproponować coś nie-szkodliwego i przemycić cenne informacje pod przykrywką, rozumie pan.

Tak, owszem, podtekstem mojej pracy było to, co my - ja - nazywam wojną biologiczną, a która jest czymś więcej niż rozsiewaniem zarazy. I tak, Mo był jednym z ludzi pomagających mi badać temat.

To pasowało do Mo.

- A Amisze mają z tym coś wspólnego?

- I tak, i nie - powiedziała Sarah. - Amisze to nie jest jedna, zunifikowana grupa, bardzo się między sobą różnią stylem życia i wyznawanymi wartościami.

- Wiem - przyznałem. - I niektórzy z nich - może jeden z odłamów -



jest zamieszany w tę wojnę biologiczną?

- Główna grupa zaangażowana w tę wojnę to nie są prawdziwi Amisze

- choć jedno z ich zgromadzeń w pobliżu Lancaster mieszka tam już od 150

lat. Ale oni nie są Amiszami. Udają ich - to bardzo dobra przykrywka - lecz ich grupa jest o wiele starsza. Jednak ludzie uważają ich za Amiszy, bo żyją w ścisłym związku z naturą, unikając technologii. Ale nie są nimi. Prawdziwy Amisz sprzeciwia się przemocy. Jednak część z tych prawdziwych wie, co się dzieje.

- Dużo pani o nich wie - zauważyłem.

Zarumieniła się lekko.

- Sama byłam Amiszką. Rozwijałam swoje zainteresowania na ile tylko kobieta należąca do mojego Kościoła może to zrobić. Błagałam swojego biskupa, żeby pozwolił mi pójść do college'u - wiedział, jaka jest stawka, jak ważne jest to, co studiowałam - ale odmówił. Powiedział, że miejsce kobiety jest w domu. Chyba chciał mnie chronić, ale nie jestem pewna.

- Zna pani Josepha Stoltzfusa? - zapytałem.

Sarah skinęła głową, z zaciśniętymi ustami.

- To mój wuj - wyjawiała w końcu. - Brat mojej matki.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem. Widać było, że wie już o jego śmierci.

- Kto pani powiedział? - spytałem miękko.

- Amos - mój kuzyn - syn Josepha. Ma budkę telefoniczną - poinformowała.

- Rozumiem - mruknąłem. Co za wieczór. - Sądzę, że Mo uważał, iż ci ludzie - ci inni, podobni do Amiszy, ale nie będący nimi - w jakiś sposób zabili Josepha.

Twarz Sarah zadrżała, wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

- Zrobili to - potwierdziła. - Mo miał rację. Jego też zabili.

Odłożyłem talerzyk i wyciągnąłem pocieszająco dłoń. To nie wystarczy-

ło. Wstałem, podszedłem do niej i objąłem ją. Drżąc, podniosła się z krzesła i oparła się o mnie z płaczem. Przez sztywną bluzkę czułem jej ciało, bicie serca.

- W porządku - powiedziałem. - Nie przejmuj się. W moim zawodzie bez przerwy stykam się z takim draniem. Dostaniemy tych ludzi, przyrzekam ci.

Potrząsnęła głową, nie odrywając jej od mojej piersi.

- Nie z takimi - zaprzeczyła.

- Dopadniemy ich - powtórzyłem.

Przytuliła się jeszcze raz, potem odsunęła się.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam się aż tak rozkleić.

Popatrzyła na moją pustą filiżankę.

- Co powiesz na kieliszek wina?

Popatrzyłem na zegarek. Była już 21:45, czułem się zmęczony. Ale musiałem dowiedzieć się więcej.

- OK - zgodziłem się. - Jasne. Ale tylko jeden.

Posłała mi drżący uśmiech i poszła do kuchni. Wróciła z dwoma kieliszkami ciemnoczerwonego wina.

Usiadłem i pociągnąłem łyczek. Smakowało znakomicie - lekko przypominało może portugalskie, ze śladem owoców i miłym posmakiem drewnianej beczki, w której leżakowało.

- Miejscowe - powiedziała. - Smakuje ci?

- Tak.

Pociągnęła łyczek, zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Spod półprzymkniętych powiek jej błękitne oczy połyskiwały jak cenne klejnoty.

Musiałem się skupić na jednej sprawie.

- Jak dokładnie zabijają ci ludzie od wojny biologicznej? Co zrobili Josephowi i Mo? - spytałem.

Nie otwierała oczu trochę dłużej, niż się spodziewałem - jakby zapadła w marzenia albo zaczęła zasypiać. W końcu otwarła je, popatrzyła na mnie i potrząsnęła powoli głową.

- Mają mnóstwo sposobów. Najnowszy to rodzaj katalizatora w jedzeniu - sądzę, że to specyficzna odmiana melona, który potężnie wzmacnia skutki wielu alergii - podniosła kieliszek drżącą dłonią, opróżniła go i wsta-

ła. - Należę sobie jeszcze. Jesteś pewien, że nie chcesz więcej?

- Jestem pewien, dziękuję - odmówiłem i kiedy poszła do kuchni, przyjrzałem się swojemu napojowi. Wszystko mówiło mi, że katalizator z tego przeklętego melona znajdował się właśnie w tym kieliszku...

Usłyszałem, jak coś rozbiło się w kuchni.

Popędziłem tam.

Sara stała nad czymś, co wyglądało jak rozbita na kawałki mała latarenka sztormowa, świecąca na biało, ale bez ognia wewnątrz. Kilka jakichś owadów rozwinęło skrzydła i odleciało.

- Przepraszam - wyszeptała. Znow płakała. - Straciłam ją. Naprawdę dziś nie jestem sobą.

Znow przytuliła się do mnie, naprawdę blisko. Instynktownie pocałowa-

łem ją w policzek, leciutko - w geście, co do którego miałem nadzieję, że jest tylko braterską troską.

- Zostań ze mną na noc - wyszeptała. - To znaczy, ta kanapa się rozkłada, możesz się na niej wyciągnąć, będziesz miał dość prywatności. Ja pójdę do sypialni. Boję się...

Też się bałem, bo część mnie pragnęła złapać ją na ręce, zanieść do sypialni albo na kanapę, gdziekolwiek, położyć ją delikatnie, łagodnie rozebrać, przeczesać palcami jej jedwabiste włosy i...

Jednak zależało mi na Jennie. I chociaż nie związaliśmy się formalnie na całe życie...

- Kiepsko się czuję - powiedziała Sarah i odsunęła się lekko. - Napi-

łam się trochę wina przed twoim przyjściem i...

Nagle głowa opadła jej bezwładnie, ciało zwiotczało, a oczy uciekły w głąb czaszki.

- Sarah!

Najpierw próbowałem ją prowadzić, potem wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni. Położyłem ją na łóżku, na delikatnej, jedwabnej pościeli, najłagodniej jak umiałem, sprawdziłem jej puls w przegubie. Był chyba trochę przyspieszony, ale generalnie wydawał się normalny. Podniosłem jej powiekę - była półprzytomna, ale źrenic nie miała rozszerzonych do końca. Prawdopodobnie była pijana, nie pod wpływem narkotyków. Przyłożyłem ucho do jej piersi.

Serce biło miarowo - to nie taka reakcja alergiczna jak u Mo.

- Nic ci nie będzie - powiedziałem. - To tylko lekki szok i wyczerpanie.

Jęknęła cicho, potem wzięła mnie za rękę. Trzymałem ją bardzo długo, aż jej chwyt osłabł i nie miałem wątpliwości, że mocno zasnęła - wyszedłem wtedy cicho do drugiego pokoju.

Byłem zbyt zmęczony, żeby jechać dokądkolwiek, zbyt zmęczony nawet, żeby wykombinować, jak rozłożyć kanapę, zdołałem więc tylko zzuć buty i wyciągnąć się na niej, w chwilę później spałem jak zabity. Ostatnią myślą przed zaśnięciem było, że trzeba jeszcze raz przyjrzeć się farmie Josepha Stoltzfusa, a ta lampa na podłodze była piękna, podobnie jak Sarah w pościeli. Miałem nadzieję, że nie dostałem jakichś narkotyków lub czegoś w tym rodzaju, ale jeśli tak, to już było za późno, żeby

coś z tym zrobić....

Obudziłem się rano gwałtownie, oparłem głowę na drżącą rękę i pochyliłem się dokładnie w porę, żeby zobaczyć szczupły, mokry tyłeczek Sarah znikający w sypialni. Prawdopodobnie wyszła spod prysznica. Potrafiłem sobie wyobrazić dużo gorsze przebudzenia.

- Chyba wrócę na farmę Josepha - powiedziałem jej przy śniadaniu z grzanek z pełnego ziarna pszenicy, sadzonych jajek i herbaty Darjeeling, smakującej jak najwspanialszy nektar.

- Dlaczego?

- Miejsce najbliższe scenie zbrodni - odparłem.

- Pojadę z tobą - zaproponowała Sarah.

- Wczoraj wieczorem byłaś mocno rozstrojona... - zacząłem oponować.

- Prawda, ty też, ale teraz już czuję się dobrze - oświadczyła. - Poza tym, będziesz mnie potrzebował, żeby rozszyfrować Amiszów, żebyś wiedział, czego szukać.

Miała sporo racji.

- W porządku - zgodziłem się.

- Dobrze - powiedziała. - Tak na marginesie, czego chcesz szukać?

- Tak naprawdę to nie wiem - przyznałem. - Mo bardzo chciał pokazać mi coś u Josepha.

Sarah zastanowiła się, potem skrzywiła.

- Joseph pracował nad organicznym antidotum na katalizator alergenów, ale wszystko to działało bardzo powoli - osiągnięcie niebezpiecznego stężenia katalizatora w organizmie człowieka trwa całe lata - nie wiem więc, co takiego Joseph mógłby ci pokazać w trakcie króciutkiej wizyty.

Gdyby powiedziała to wczoraj wieczorem, winogrona i kanapka sma-kowałyby mi jeszcze bardziej.

- Cóż, w tej chwili nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia -

powiedziałem i dokończyłem ostatnie jajko.

Ale jakie to miało znaczenie dla odkrycia, co zabiło Mo? Jemu też ktoś podawał powoli działającą truciznę, która nagromadzała się w ciałach jego i Josepha przez długie lata, tak że w końcu umarli tego samego dnia.

Bardzo mało prawdopodobne. Najwyraźniej chodziło tu o więcej niż jeden katalizator. Zastanawiałem się, czy Mo powiedział Josephowi cokolwiek na temat mojej wizyty. Miałem nadzieję, że nie - ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, to dopadnięcie mnie przez ostateczny

katalizator.

Godzinę później byliśmy już na Turnpike, jadąc na zachód. Słońce przygrzewało mocno, wiał świeży wiaterek - piękny dzień na przejażdżkę, tyle tylko, że udawaliśmy się na śledztwo w sprawie śmierci jednego z najmilszych ludzi, jakich znałem. Zadzwoiłem do Corinne, żeby upewnić się, że z nimi wszystko w porządku. Powiedziałem, że wpadnę po południu.

Przede wszystkim powinienem był pojechać do nich - przytulić Corinne i dziewczynki, tak jak tego potrzebowały, poza tym oddać samochód... Ale musiałem znaleźć się na farmie Stoltzfusa najszybciej jak się da. Czasami kilka minut może oznaczać różnicę pomiędzy obecnością, a zniknięciem ze sceny przestępstwa ważnego dowodu.

- Powiedz mi coś więcej o swoim doktoracie - poprosiłem Sarah. - To znaczy tym prawdziwym, nie przykrywcę dla recenzentów.

- Wiesz, zbyt wielu ludzi zrównuje naukę z jej pułapkami technologicznymi - jeśli czegoś nie znajduje się w komputerze. Bóg wie jakich mikroskopach czy najnowszych barwnikach do DNA, to musi być magia, przesąd, bajki starych ciotek. Ale istotą nauki jest metoda, rozumowy sposób badania świata, wszystkie gadżety są wtórne. Oczywiście - dobre wyposażenie to wspinała rzecz - otwiera kolejne obszary świata naszemu pojmowaniu, umożliwia nam ich analizę - ale co, jeśli różne elementy świata już są dostępne analizie i doświadczeniom dokonywanym wyłącznie przy pomocy gołego oka i rąk, jeśli sprzęt tak naprawdę w ogóle nie jest potrzebny?

- Postulujesz więc, że agrokultura, hodowla roślin i zwierząt, ten rodzaj manipulacji naturą był praktykowany przez ludzkość w ciągu całych tysiącleci bez żadnych wyszukanych urządzeń - powiedziałem.

- Tak - potwierdziła. - Ale to wcale nie jest kontrowersyjne ani nie może być powodem morderstwa. Twierdzę, że niektórzy ludzie dokonywali tych prac w celach innych niż wyhodowanie lepszej żywności - robili to pod nosem wszystkich przez bardzo długi czas - i wykorzystują wyniki do zarabiania pieniędzy, utrzymywania się przy władzy i eliminowania wszystkich, którzy staną im na drodze.

- Coś w rodzaju zorganizowanej przestępczości biologicznej - mrukną-  
łem w zamyśleniu.

W głowie odezwał mi się motyw z Ojca Chrzestnego. Lecz zamiast Marlona Brando, za biurkiem siedział stary farmer w kombinezonie. Naciągane, delikatnie mówiąc...

- Tak, można tak powiedzieć - zgodziła się Sarah.

- Czy masz jakieś przykłady - jakiegokolwiek dowody - inne niż twoja teoria alergenów? - spytałem.

- To fakt, nie teoria, zapewniam cię - odparła. - Ale mam przykład: zastanawiałeś się kiedykolwiek,

dlaczego po drugiej wojnie światowej ludzie w USA stali się tak nieuprzejmi dla siebie nawzajem?

- Nie bardzo chwytam, o co ci chodzi - przyznałem.

- Cóż, dużo na ten temat napisano w literaturze socjologicznej - cią-

gnęła. - W relacjach międzyludzkich istniały kiedyś uprzejmość i kurtuazja

- sposób, w jaki ludzie odnosili się do siebie w sytuacjach publicznych, w interesach, w przyjaźni - przynajmniej przez pierwszą połowę dwudziestego wieku w USA. A potem wszystko to zaczęło się rozpadać. Wszyscy to widzą. Niektórzy winią za to napięcia wieku atomu, zastąpienie klasy szkolnej ekranem telewizora, przed którym można zasnąć albo odejść od niego, jako głównego źródła edukacji dzieci. Przyczyn może być bardzo dużo. Ale ja mam swoje zdanie.

- Czyli?

- Po drugiej wojnie światowej wszyscy znaleźli się w wieku atomu -

powiedziała. - Anglia i kraje zachodnie miały telewizję, samochody, takie same bodźce. Amerykę różniły od reszty świata jej ogromne obszary rolnicze - miejsce do ukradkowej uprawy czegoś, na co większość ludzi łatwo się uczuła. Uważam, że przyczyną powszechnego rozdrażnienia, utraty uprzejmości, było coś, co dość dosłownie wlaźło wszystkim pod paznokcie

- alergen zaprojektowany właśnie w tym celu.

Jezu, teraz wiedziałem, dlaczego ta kobieta może mieć kłopoty z radą naukową. Ale mogłem się z nią zgadzać - życie nauczyło mnie brutalnie, że wyśmiewanie takich szalonych pomysłów odbywało się zawsze czyimś kosztem.

- Cóż, Japończycy pod koniec wojny mieli plany wykorzystania balo-nów przenoszących do nas broń biologiczną - śmiertelne choroby.

Sarah skinęła głową.

- Japończycy są jednym z najbardziej zaawansowanych rolniczo narodów na Ziemi. Nie wiem, czy w nasz problem byli zaangażowani, ale...

Zadzwonił telefon.

McLuhan zauważył kiedyś, że samochód jest jedynym miejscem w naszym technologicznym świecie, gdzie człowiek może się uwolnić od natarczywości dzwonka telefonu. Oczywiście było to przed pojawieniem się telefonów samochodowych.

- Halo - odezwałem się.

- Halo? - odpowiedział głos. Brzmiał jak męski, o dziwnym akcencie, młody, ale głęboki.

- Tak? - spytałem.

- Panie Buhler, to pan? - upewniał się głos.

- Ehm, niestety nie, czy mogę mu coś przekazać?

Cisza. Po chwili:

- Nie rozumiem. Czy to numer telefonu w samochodzie pana Buhlera?

- Tak jest - potwierdziłem - ale...

- Gdzie jest Mo Buhler?

- Cóż, jest... - zacząłem.

Usłyszałem dziwne kliknięcie, potem sygnał.

- Czy ten telefon ma usługę oddzwaniań? - spytałem Sarah i siebie.

Wcisnąłem \*69, jak w zwykłych telefonach, potem „połącz”.

- Witamy w Bezprzewodowej Telefonii AT&T - odezwał się inny, głęboki głos. - Abonent telefonii komórkowej, do którego chce się pan dodzwonić, jest czasowo niedostępny albo wyjechał poza zasięg...

- To był Amos - odezwała się Sarah.

- Ten dzieciak w telefonie? - spytałem głupio.

Skinęła głową.

- Musi wciąż być w szoku z powodu śmierci swojego ojca - powiedziałem.

- Sądzę, że to on zabił swojego ojca - oznajmiła Sarah.

Wjechaliśmy głęboko w stan Pensylwania, czerń, szarość i nieprawdziwe kolory tablic reklamowych powoli zostały zastąpione przez zieleń, brą-

zy, barwy ziemi, z którymi obcowałem nie dalej jak wczoraj. Lecz teraz kolory natury nie przynosiły mi radości. Zdałem sobie sprawę, że tak wła-

śnie jest z całą naturą - mamy romantyczne wyobrażenie ojej pięknie, cał-

kowicie prawdziwym, ale jest ona także źródłem powodzi, głodu, trzęsień ziemi i śmierci ukrywającej się pod wieloma postaciami... Pytanie, czy teoria Sarah o ludziach pomagających tej ciemnej stronie natury może być prawdziwa?

Opowiedziała mi o Amosie. Miał szesnaście lat, otrzymał tylko obowiązkową podstawową edukację w jednoizbowej szkółce, jak każdy Amisz

- lecz, tak jak w wielu nieznanym ludziom z zewnątrz odłamach tej spo-

łeczności, był samoukiem dysponującym dużą wiedzą w sztuce biologicznej alchemii. Terminował u swojego ojca.

- No to dlaczego go zabił? - zdziwiłem się.

Zawahała się.

- Część tego, to rozgrywki personalne pomiędzy Amosem i jego ojcem

- wyjaśniła. - Nie jestem pewna, czy Joseph zgodziłby się, żebym mówiła o tym... obcemu...

- Rozumiem - powiedziałem. - Lecz umarły już dwie osoby, a ty mó-

wisz mi, że to z powodu zabójstwa. Całkowicie zgadzam się z konieczno-

ścią zachowania prywatności, ale nie kiedy kosztuje to czyjeś życie.

- Amos nie tylko zapowiada się na świetnego naukowca w stylu Amiszy. Jest także typowym, nieposłusznym dzieciakiem - odezwała się w końcu. - Bardzo typowym, buntowniczym nastolatkiem. Upijał się, prowadził samochody w gangach Amiszy.

- To wszystko?

- To bardzo wiele, jeśli jesteś Amiszem.

- Oni mają gangi?

- O, tak - potwierdziła Sarah. - Groffies, Ammies i Trailers to trzy główne. Hostetler opisuje je w swoich książkach. Ale są i inne, mniejsze.

Josephowi nie podobał się związek syna z jednym z nich. Ciągłe się o to kłócili.

- I uważasz, że to doprowadziło do śmierci ojca Amosa? - wciąż nie dowierzałem.

- Cóż, Joseph nie żyje, prawda? Jestem też zupełnie pewna, że jeden z gangów, do którego należy Amos, ma powiązania z mafią wojny biologicznej, o której ci opowiadałam - tą, która zabiła też Mo.

Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu. Nie byłem pewien, co myśleć o tej kobiecie i jej pomysłach.

W końcu dotarliśmy do Northstar Road i drogi prowadzącej do farmy Stoltzfusa.

- Lepiej będzie, jeśli zaparkujemy tutaj i sam tam podejdziesz - odezwała się Sarah. - Samochód i



obca kobieta o wiele łatwiej zwróca uwagę Amiszy niż samotny mężczyzna poruszający się pieszo - nawet jeśli jest Anglikiem. To znaczy, oni tak nazywają...

- Wiem - przerwałem jej. - Widziałem Świadka Weira. Lecz Mo powiedział mi, że Joseph nie miał nic przeciwko samochodom...

- Joseph nie żyje - wtrąciła się Sarah. - Jego upodobania i upodobania jego rodziny mogą być zupełnie odmienne.

Przypomniałem sobie wczorajszą wrogość brata Josepha, kolejnego wu-ja Sarah.

- W porządku - zgodziłem się. - Chyba wiesz, co mówisz. Wrócę za jakieś trzydzieści-czterdzieści minut.

- OK - Sarah ścisnęła mnie za rękę i uśmiechnęła się.

Wlokłem się gruntową drogą, nie bardzo wiedząc, co spodziewałem się znaleźć na jej końcu.

Na pewno nie to, co znalazłem.

Poczułem dym, zapach spalenizny, zanim jeszcze dotarłem do domu i stodoły. Obydwa budynki doszczętnie spłonęły. Boże, miałem nadzieję, że nikt nie znajdował się wewnątrz, kiedy zaczął się pożar.

- Jest tam kto? - krzyknąłem.

Mój głos odbił się echem na pustym polu. Rozejrzałem się dookoła i na-słuchiwałem. Żadnych zwierząt, bydła. Miło byłoby usłyszeć choćby po-szczekiwanie złego psa.

Podszedłem do resztek stodoły i pogrzebałem stopą w węglu drzewnym.

Tu i ówdzie na moment pokazał się żar. Zbliżało się południe. Według mojej oceny pożar był szybki i wydarzył się jakieś sześć godzin wcześniej.

Ale nie byłem ekspertem od podpaleń.

Pomachałem ręką, żeby odpędzić cuchnący dym. Wyciągnąłem latarkę, podarowany mi przez Jennę potężny, halogenowy reflektor dający prawie dzienne światło i rozejrzałem się po stodole. Cokolwiek tu się znajdowało, niewiele z tego zostało.

Coś zielonego przyciągnęło mój wzrok - bardziej zielonego niż trawa. By-

ła to frontowa okładka starej książki, częściowo spalona. Nic więcej nie zosta-

ło - pozostałe strony i tylna okładka zniknęły całkowicie. Zobaczyłem kilka liter, wytłaczanych i złożonych w starym stylu. Dotknąłem ich czubkiem palca. Okładka była ciepła, ale nie za bardzo. Podniosłem ją i obejrzałem.

„r Nat” widniało w jednej linii, w następnej widniało „bank”.

Bank, pomyślałem, Nat Bank. Co to takiego, Amiszowska książeczka bankowa jakiegoś lokalnego First Yokel's National Bank?

Nie, to nie wyglądało jak okładka książki finansowej. Poza tym „b” w

„bank” zaczynało się małą literą, nie dużą. Bank, bank, hmmm... zaraz, czy Mo wczoraj nie mówił mi czegoś o jakimś banku? Bank... Tak, Burbank.

Darwin i Burbank! Luther Burbank!

Partner Natury Luthera Burbanka - to szczątki tej książki trzymałem w dłoni. Wiele lat temu wypożyczyłem ją z Biblioteki Alton i zachwyciła mnie.

No cóż, Mo i Sarah mieli rację co do jednego: wielu Amiszy czytało książki na o wiele wyższym poziomie niż szkoła podstawowa...

- To znów pan!

Niemal wyskoczyłem ze skóry. Odwróciłem się.

- Och, pan... - to był mężczyzna, którego widziałem tu wczoraj, brat Josepha.

- Isaac Stoltzfus - przedstawił się. - Co pan tu robi?

Jego ton był napastliwy, a oczy tak pełne złości, że przez chwilę myśla-

łem, że uważa mnie za winnego pożaru.

- Isaac. Panie Stoltzfus - zacząłem. - Właśnie tu dotarłem. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty. Co się stało?

- Rodzina mojego brata, Bogu niech będą dzięki, bardzo wcześnie rano, dobrze przed świtem, wyjechała do kuzynów w Ohio. Nikomu więc nie stała się krzywda. Odprowadziłem ich na stację kolejową w Lancaster.

Kiedy wróciłem, kilka godzin później, znalazłem to - bezradnym gestem, z dziwną rezygnacją, wskazał na zrujnowany dom i stodołę.

- Mogę zapytać, czy wiedział pan, co pański brat tutaj robił? - zaryzykowałem pytanie.

Isaac albo nie usłyszał, albo udawał. Kontynuował po prostu dotychczasową wypowiedź.

- Rzeczy materialne, nawet zwierzęta i rośliny, zawsze możemy stracić. Ludzie są jedyną prawdziwą wartością na tym świecie.

- Tak - potwierdziłem - ale wracając do tego, co...

- Powinien pan sprawdzić swoją rodzinę, upewnić się, że nic im nie grozi.

- Moją rodzinę?

Isaac skinął głową.

- Mam tu robotę - wskazał na pole. - Mój brat miał cztery dobre konie, a nie widzę nawet śladu po nich. Najlepiej będzie, jeśli pan już stąd pójdzie.

Odwrócił się i odszedł.

- Proszę poczekać... - zacząłem, ale było to bezcelowe.

Popatrzyłem na okładkę książki Burbanka. Ta farma, dziwaczne teorie Sarah, książka - wciąż miałem za mało informacji, żeby wyłowić z niej jakiś sens.

Ale co, do cholery, miał na myśli Isaac mówiąc o mojej rodzinie?

Jenna znajdowała się za oceanem i tak naprawdę nie była moją rodziną -

jeszcze. Moi bliscy mieszkali w Teaneck, siostra wyszła w Brooklynie za męża za Izraelczyka... co oni mieli wspólnego z tym wszystkim?

Nic! Isaac w ogóle nie miał ich na myśli. Słabo dziś kojarzyłem. Najprawdopodobniej pomylił mnie z Mo - wczoraj widział nas obu po raz pierwszy w życiu.

Mówił o rodzinie Mo - Corinne i dzieciach!

Popędziłem do samochodu, pełne dymu powietrze przy każdym kroku drażniło mi gardło.

- Co się dzieje? - spytała Sarah.

Machnąłem do niej ręką, wskoczyłem do samochodu i zadzwoniłem do Corinne. Biiip.....biiip....biiip. Nikogo.

- Co się dzieje? - spytała ponownie Sarah.

Szybko jej wytłumaczyłem.

- Jedziemy tam - oświadczyłem i zawróciłem z piskiem opon z powrotem na Northstar.

- Zaraz, nie panikuj - powiedziała. - Dziś jest sobota. Corinne może po prostu być z dziećmi na zakupach.

- Zgadza się, następnego dnia po śmierci ich ojca w moich ramionach

- skontrolowałem.

- Dobrze - znów się odezwała - ale wciąż lepiej byłoby, żebyś sam nie miał wypadku. Będziemy tam za dziesięć minut.

Skinąłem głową, znów spróbowałem numeru Corinne, ten sam sygnał...

- Prawdopodobnie świetliki wywołały pożar - oznajmiła.

- Co?

- Świetliki. Niektórzy Amisze używają ich do oświetlania wnętrz.

- Uhm, Mo wspominał o tym - przyznałem. - Ale one dają zimne światło, to bioluminescencja a nie żar.

- Nie te, które widywałam tutaj - zaprzeczyła Sarah. - Zarażone są specyficzną bakterią produkującą ciepło - właściwie to symbioza, a nie infekcja -

w rezultacie otrzymuje się światło i ciepło. Przynajmniej takiego gatunku używają niektórzy farmerzy w tej okolicy, kiedy nadejdzie zima. Sama mia-

łam niewielką mendlowską lampkę - tak są nazywane - wiesz, tę stłuczoną.

- Czyli sądzisz, że jedna z tych... lamp wymknęła się spod kontroli i podpaliła dom? - zapytałem.

Nagle stanął mi przed oczami obraz mnie, palącego się na jej kanapie.

Sarah zagryzła wargę.

- Może gorzej - ktoś ustawił ją tak, żeby wymknęła się spod kontroli?

Albo wyhodował świetliki, jako bioluminescencyjną, biotermiczną bombę czasową.

- Ta twoja biomafia ma szerokie zainteresowania - powiedziałem. -

Alergeny powodujące rozdrażnienie u milionów ludzi, katalizatory wzmacniające skutki innych związków uczulających, sporządzone dla zabicia co najmniej dwóch osób, antykatalityczny sos pomidorowy, a teraz pirotechniczne świetliki.

- To wszystko jest bardzo bliskie sobie, jeśli pomyśleć o koewolucji i symbiozie - zauważyła Sarah.

- Do diabła, mamy w jelitach acidofilne bakterie, pomagające nam trawić pokarmy. Różnica pomiędzy nami i nimi jest dużo większa, niż pomiędzy termalnymi bakteriami a świetlikami.

Wcisnąłem pedał gazu i modliłem się, żeby nie zatrzymał nas jakiś nad-gorliwy pensylwański gliniarz.

- W tym tkwi problem - ciągnęła Sarah. - Koewolucja, krzyżówki, do-pasowania to błogosławieństwo i przekleństwo. Kiedy wszystko jest orga-niczne i prowadzi się krzyżówki, można otrzymać wspaniałe rzeczy. Ale również owady, które palą budynki.

W końcu dotarliśmy do domu Mo.

- Cholera.

Przynajmniej ciągle jeszcze stał, ale na podjeździe nie było samochodu.

Drzwi były lekko uchylone. Nie podobało mi się to.

- Poczekaj w samochodzie - rzuciłem do Sarah.

Zaczęła protestować.

- Słuchaj - zwróciłem się do niej - możemy mieć tu do czynienia z za-bójcami, sama to mówiłaś. Tylko mi utrudnisz, jeśli pójdziesz za mną i zmusisz mnie, żebym martwił się o twoje bezpieczeństwo.

- OK - skinęła głową.

Wysiadłem.

Na nieszczęście nie miałem ze sobą pistoletu - chociaż i tak nigdy go nie używałem. Nie lubię broni. Departament wydał mi pistolet przy zatrudnie-niu, a ja szybko zamknąłem go w szafie. Nie za bystre posunięcie, biorąc pod uwagę, co się tutaj działo.

Wszedłem do domu, najciszej jak potrafiłem. Pomyślałem, że może lepiej nie zdradzać swojej obecności - jeśli Corinne i dzieci znajdowały się w domu, a ja je obrażę albo przestraszę, włączając tak bez pytania, będzie dużo czasu na przeprosiny.

Wszedłem do holu, potem do pokoju dziennego, do którego wczoraj nie udało mi się trafić, by rozkoszować się znakomitą kuchnią Corinne. Potem kuchnia, korytarzyk, i...

Zobaczyłem truskawkowoblond głowę na podłodze, wystającą z sypialni.

Ktoś się nad nią pochylał.

- Laurie! - wrzasnąłem i runąłem do pokoju, zmiatając z niej chłopca.

- Co... - zaczął, a ja podniosłem go brutalnie i cisnąłem nim przez po-kój.

Nie wiedziałem kim się zająć, nim czy Laurie - ale pomyślałem, że nic nie zdołam zrobić dla niej, mając tego chłopaka na karku. Złapałem prze-

ścieradło z łóżka, zwinąłem je i ruszyłem w jego kierunku, żeby go zwią-

zać.

- Proszę pana, ja... - był chyba trochę oszołomiony. Pewnie od uderzenia o ścianę.

- Zamknij się - warknąłem - i ciesz się, że cię nie zastrzeliłem.

- Ale ja...

- Powiedziałem, zamknij się!

Związałem go najmocniej, jak potrafiłem. Potem przeciągnąłem go na tę samą stronę pokoju, gdzie leżała Laurie, żeby mieć na niego oko, kiedy będę się nią zajmować.

- Laurie - powiedziałem cicho i dotknąłem jej twarzy. Nie zareagowa-

ła. Z jakiegoś powodu straciła przytomność - odsunąłem jej powiekę i zobaczyłem błękitne oko błędzące bezcelowo, z rozszerzoną źrenicą. Nafaszerowano ją, diabli wiedzą czym.

- Co jej u diabła zrobiłeś? Gdzie jej matka i siostra? - wrzasnąłem.

- Nie wiem... To znaczy, nie wiem gdzie one są - powiedział chłopak.

- Ja jej nic nie zrobiłem, ale mogę jej pomóc.

- Jasne - warknąłem. - Wybacz, ale wezwę pogotowie.

- Nie, proszę, niech pan tego nie robi! - zawołał chłopak. Jego głos brzmiał znajomo. Amos Stoltzfus!

- Ona umrze, zanim dojedzie do szpitala!

Ale mam coś, co może ją uratować.

- Tak jak uratowałeś swojego ojca?

W oczach chłopaka zabłyśły łzy.

- Przyjechałem za późno, żeby pomóc ojcu. Skąd pan wie, że mój...

ach, rozumiem, pan jest tym przyjacielem Mo Buhlera, z którym rozmawiałem dziś rano.

Zignorowałem go i ruszyłem, żeby wyjść z pokoju.

- Proszę. Mnie też bardzo zależy na Laurie. My... my się widywaliśmy.

Odwróciłem się i podniosłem go z podłogi.

- Taak? Doprawdy? A skąd mam wiedzieć, że to nie ty zrobiłeś jej coś złego?

- W kieszeni mam lekarstwo. To sok z pewnej odmiany pomidora.

Proszę - ja wypiję połowę, żeby pokazać panu, że jest w porządku, potem poda pan resztę Laurie. Mamy mało czasu.

Zastanawiałem się przez chwilę. Popatrzyłem na dziewczynę. Chyba nic nie miałem do stracenia, jeśli ten chłopak wypije połowę.

- Dobrze - zgodziłem się. - W której kieszeni?

Gestem wskazał lewą przednią w dżinsach.

Wyjąłem stamtąd niewielką buteleczkę - zawierającą jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście mililitrów.

- Na pewno chcesz to zrobić? - upewniłem się.

Nagle poczułem niepewność - nie miałem ochoty stać się pomocnikiem w samobójstwie stukniętego małolata ojcobójcy.

- Nie obchodzi mnie, czy pan mi to da, czy nie - powiedział Amos. -

Proszę tylko podać trochę Laurie. Proszę!

W mojej pracy muszę nieraz podejmować instynktowne decyzje. Tyle tylko, że raczej nie dotyczyły rodzin, z którymi czułem się związany. My-

ślałem jeszcze przez jakąś sekundę i podjąłem decyzję.

Pominałem chłopaka i podszedłem do Laurie. Bardzo nie chciałem podawać jej jakiegoś płynu, kiedy była nieprzytomna.

- Jest wchłaniany przez tylną część języka - odezwał się Amos. - Dzia-

ła bardzo szybko.

Boże, miałem nadzieję, że ten chłopak ma rację - gdyby nie Laurie, za-tłukłbym go gołymi rękami. Wlałem jej na język kilkadziesiąt mililitrów.

Minęło kilka sekund. I jeszcze... Może trzydzieści czy czterdzieści...

- Na miłość boską, ile czasu zajmuje temu...

Jęknęła, jakby mnie usłyszała.

- Laurie? - poklepałem ją po twarzy.

- Mmmm... - otworzyła oczy i uśmiechnęła się. - Phil?

- Tak, dziecinko, wszystko w porządku - powiedziałem.

- Laurie! - zawołał Amos.

Dziewczyna wstała.

- Amos? Co ty tu robisz? Dlaczego ktoś cię związał?

Popatrzyła na mnie, jakbyśmy obaj zwariowali.

- To długa historia, nieważne - mruknąłem i poszedłem go rozwiązać.

Ku swemu zdumieniu uśmiechałem się do niego. - Masz szczęście, dziecka-ku, miałeś rację.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Gdzie mama i Emma? - zapytałem Laurie.

- Och... - nagle dziewczyna posmutniała bardziej, niż kiedykolwiek ją widziałem. - Dziś rano pojechały do domu pogrzebowego, gdzie leży Tata.

Wzięły twój samochód, mama znalazła kluczyki w twojej torbie.

Zaczęła płakać.

Amos pocieszająco otoczył ją ramieniem.

- Czy wiesz, co ci się przydarzyło? To znaczy, po odjeździe twojej matki i siostry? - zapytałem łagodnie.

- Cóż - zaczęła - przyszła jakaś miła kobieta sprzedająca różne środki -

wiesz, kosmetyki, perfumy, rzeczy do domu, coś jak Avon, tylko inna firma, o której nigdy nie słyszałam. Zapytała mnie, czy chciałabym powąchać jakieś nowe perfumy - pachniały cudownie, jak kombinacja bzu i oceanu, a potem... Nie wiem, chyba ty mnie wołałeś, zobaczyłam związanego Amosa i... co się stało? Czy zemdląłam?

- No więc. - zacząłem.

- Uhm, proszę pana, Phil - przerwał mi Amos.

- Jestem doktor D'Amato, ale przyjaciele mówią do mnie Phil, zasłu-

żyłeś sobie na to.



- Ok, dzięki, doktorze D'Amato - przepraszam, chciałem powiedzieć Phil - ale sądzę, że nie powinniśmy tu siedzieć. Ci ludzie...

- O co ci chodzi? - spytałem.

- Mówię, że nie podoba mi się światło w tym domu. Zabili mojego ojca, usiłowali otruć Laurie, kto wie co mogli tu podłożyć...

- OK, wiem, do czego zmierzasz - powiedziałem i znów zobaczyłem farmę Stoltzfusa, farmę Amosa - popioły i pył.

Popatrzyłem na Laurie.

- Ze mną wszystko w porządku - oznajmiła - ale dlaczego musimy wyjść?

- Chodźmy - zdecydowałem i razem z Amosem wypchnęliśmy ją z domu.

Pierwsze co zobaczyłem, to zniknięcie Sarah i mojego samochodu - wo-zu Mo.

Po drugie, poczułem żar na karku. Pociągnąłem Amosa i Laurie na drugą stronę ulicy i odwróciłem się, by popatrzeć na dom.

Potężne, białobłękitne języki płomieni buchały z każdego okna, liżąc dach, ściany i nawet ogród kolorami, jakich nigdy wcześniej nie widziałem.

Laurie krzyknęła przerażona. Amos przytulał ją mocno.

- Świetliki - mruknął.

Dom spłonął doszczętnie w kilka minut.

Staliśmy w milczeniu, zszokowani, przez, jak nam się zdawało, długi, długi czas.

W końcu zdałem sobie sprawę, że ciężko oddycham. Pomyślałem o reakcjach alergicznych. Pomyślałem o Sarah.

- Musieli zabrać Sarah - powiedziałem.

- Sarah? - zdziwił się Amos, trzymając Laurie w pełnych miłości objęciach. Dziewczyna łkała.

- Sarah Fischer - wyjaśniłem.

Laurie i Amos oboje skinęli głowami.

- Przyjaźniła się z moim ojcem - powiedziała Laurie.

- Jest moją siostrą - dodał Amos.

- Co? - odwróciłem się do niego.

Laurie odsunęła się i też popatrzyła na chłopca.

Jego twarz miała dziwny, niemal udręczony wyraz, mieszaninę nienawi-  
ści i złamanego serca.

- Opuściła nasz dom ponad dziesięć lat temu - wyjaśnił. - Byłem wtedy małym chłopcem. Powiedziała, że już nie chce być związana naszym Ordningiem. Oświadczyła, że to jak pozostanie niedorozwiniętym do końca życia. Wyjechała więc do jakiejś szkoły. A ja sędzę, że pracowała dla tych ludzi - tych, którzy zabili mojego ojca i spalili dom Laurie.

Nagle poczułem smak winogron z wczorajszego wieczoru, słodki smak razem z duszącym dymem, poczułem mdłości. Przełknąłem, wziąłem spokojny, głęboki wdech.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Wciąż nie bardzo rozumiem, co tu się naprawdę dzieje. Znalazłem nieprzytomną Laurie i ciebie, który - wedle mojej wiedzy - mógł jej dodać narkotyków do soku pomarańczowego. Dom dopiero co spłonął - to mogło być podpalenie przy użyciu szmat i benzyny do zapalniczek, tak jak to się dzieje w Nowym Jorku. Choć wiem, że nigdy nie widziałem takiego ognia. Laurie patrzyła na mnie, jakbym zwariował. -

To były świetliki, panie D'A... Phil - powiedział Amos. - To świetliki wznieciły pożar.

- Jak mogły zrobić to tak szybko?

- Można je tak wyhodować - wyjaśnił Amos - że w godzinę, dzień czy tydzień po wypuszczeniu nagle rozgrzewają się tak, że wywołują pożar. To coś, co wasi naukowcy - to ostatnie słowo wymówił z kiepsko ukrywaną drwiną - nazywają ustawieniem przełącznika genetycznego. Mendlowskie lampy ustawione tak, żeby zadziałać jak mechanizm zegarowy i zapalić się w odpowiednim czasie - mendlowskie bomby.

- Mendlowskie bomby?

- Czyż nie był genetykiem? Nie pracował nad groszkiem? Owady są równie proste - łatwe do hodowli.

- Tak, Gregor Mendel - mruknąłem. - Mówisz, że Sarah - twoja siostra

- była w to zamieszana?

Amos skinął głową.

Ponownie pomyślałam o lampie na podłodze w mieszkaniu Sarah.

- Słuchaj, Amos. Przykro mi z powodu tego, co wydarzyło się wcze-

śniej - nie sądzę, żebyś zrobił cokolwiek Laurie. Tylko - czy możesz pokazać mi jakikolwiek dowód na twoje słowa? To znaczy, na przykład świetliki, zanim podpalą dom?

Amos zastanowił się.

- Tak, mogę zabrać was do stodoły - to jakieś pięć mil stąd.

Popatrzyłem na Laurie.

- Farma Lappów? - spytała.

Amos skinął głową.

- W porządku - zwróciła się do mnie. - To bezpieczne. Już tam bywa-

łam.

- No dobrze - zgodziłem się, ale samochód Mo i mój zniknęły.

- Jak się tam dostaniemy.

- Zostawiłem bryczkę u przyjaciela, jakieś ćwierć mili stąd - powiedział Amos.

Klik, klak, klik, klak, patrzyłem na zad konia, czując się jak jeden z nich

- bo dotychczasowa moja wiedza w tej sprawie zawierała w sobie nader niewiele sensu. Konie, płomienie, tajemnicze zgony - wszystkie elementy powieści Jacka Finneya rozgrywającej się w dziewiętnastym wieku. Tyle tylko, że teraz był świt dwudziestego pierwszego. A ja dotychczas byłem wiedziony jedynie przez ciąg bardzo paskudnych wydarzeń. Cóż, przynajmniej zdołałem ocalić Laurie - a raczej pozwolić Amosowi, by ją uratował. Musiałem jednak zrobić więcej - przestać być tylko reagującym na wydarzenia świadkiem i zacząć nad nimi panować. Na miłość boską, przecież reprezentowałem bardzo zaawansowaną dziedzinę nauki. OK, nie by-

łem perfekcyjny, nikt nie jest wszechmocny. Lecz na pewno nauczyłem się dość, bym może potrafił zrobić coś dla neutralizacji tych owadzych bomb i alergenów, tych... mendlowskich bomb.

Zdołałem też dodzwonić się z publicznego automatu do Corinne, do domu pogrzebowego, zanim jeszcze dotarliśmy do bryczki Amosa. Najwyż-

szy czas załatwić sobie telefon komórkowy. Na wpół spodziewałem się, że w bryczce Amosa będzie telefon samochodowy - bryczkowy? - tak ogłupia-

łem od tego całego „genetycznego” zamieszania. Z drugiej strony Amisz mógłby wyposażyć bryczkę w telefon komórkowy zasilany z baterii... Cóż, przynajmniej czegoś się nauczyłem...

- Powinniśmy być na miejscu za kilka minut - Amos odchylił się na koźle, skąd lejcami prowadził konia, który - Amos powiedział mi, że to ogier - był pięknym, brązowym zwierzęciem, przynajmniej dla moich miejskich oczu ignoranta. Cała ta scena, jazda konną bryczką w jasny, rześki, jesienny dzień, wręcz zadziwiała - a to dlatego, że nie była to turystyczna przejażdżka za pięć dolców, tylko prawdziwe życie.

- Wiesz, zjadłem coś u twojej siostry - wyjawilem swój niepokój, kiedy sobie o tym przypominałem.  
- Sądzisz, to znaczy, może tam był jakiś wolno działający alergen...

- Damy ci łyk antidotum - jest dość uniwersalne - kiedy dotrzemy do Johna Lappa, nie obawiaj się - Amos odwrócił się do tyłu i uspokoił mnie.

- Sarah mówiła mi coś o niezbyt zjadliwym alergenie rozszanym w populacji po drugiej wojnie światowej. Nie zabił nikogo, tylko u większości ludzi spowodował zwiększoną drażliwość. Jeśli się nad tym zastanowić, mógł się stać przyczyną ogromnej liczby zgonów - biorąc pod uwagę zabójstwa wywołane skrajnym zdenerwowaniem, kłótniami, które wymknęły się spod kontroli.

- Mówisz jak tatko - odezwała się Laurie.

- Twój tata rozmawiał o alergenach? - zapytałem.

- Nie - zaprzeczyła dziewczyna. - Miałam na myśli, że zawsze mówił

„zabójstwo” i jak wyraźnie rozgraniczał je od morderstwa i spowodowania śmierci.

- Tak, to podobne do Mo - przyznałem.

Życie było dla niego pełne precyzji i gry słów. Tak jak może dla niektó-

rych Amiszów życie było rearanżacją jego kodów...

- Przed nami farma Lappów - powiedział Amos.

Łąka była zielona, wciąż jeszcze bujna, mimo jesieni. Otoczono ją ogrodzeniem, starym, ale w niewiarygodnie znakomitym stanie. Zupełnie jakby-

śmy się cofnęli w czasie.

Stodoła, wielki budynek, z zewnątrz nie różniła się od innych stoją-

cych w całej Pensylwanii i Ohio.

Ale w ilu z nich znajdowało się to samo co w tej?

Różne wariacje na temat słów Sarah brzmiały mi w uszach. Dlaczego zawsze spodziewamy się spotkania nauki tylko w pakietach wysokiej technologii? Darwin był wielkim uczonym nieprawdaż? - a jego laboratorium był po prostu otaczający go świat. Mendel opracował prawa genetyki, hodując

w ogródku fioletowy i biały groszek pachnący. Czy ogródek różnił się od stodoły? Jeśli nawet, to zawierał jeszcze mniej technologii.

Miękkie, wszechobecne światło» otoczyło nas zaraz po wejściu - żyw-sze niż fluorescencja, bardziej rozproszone niż lśniące, o barwie pomiędzy sepią a blaskiem gwiazd, niemożliwe do precyzyjnego opisanie, trzeba było je zobaczyć na własne oczy. Miało się wrażenie, że jego fotony przenikają przez źrenice jak podmuchy delikatnej bryzy.

- Świetliki - szepnął Amos, choć już zdałem sobie z tego sprawę.

Widziałem je już wcześniej, uwielbiałem je, będąc jeszcze chłopcem, grzebałem w przewodnikach Audubona do oznaczania owadów, gdzie były obrazy ich światłek, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego jak tu.

- Mamy wiele zastosowań dla owadów, nie tylko takie - powiedział

Amos.

Podprowadził mnie, z Laurie uczepioną jego ramienia, do kilku drewnianych konstrukcji owiniętych siatką. Przyjrzałem się i zobaczyłem roje owadów - pszczoł, motyli, ciem, larw - każdy we własnym pomieszczeniu z gazy. Kilka poświęcono również pająkom.

- To nasze sieci, Phil - wyjaśnił Amos. - Te sieci, pajęczyny, to nasza in-fostrada. Nasze owady są oczywiście dużo powolniejsze i jest ich o wiele mniej niż waszych elektronów, za to dysponują nieskończenie wyższą inteligencją i motywacją, których całkowicie brak waszym martwym nośnikom informacji. Prawda, nasz system łączności najprawdopodobniej nie jest w stanie dorównać tempu przekazu i zasięgowi wież transmisyjnych, linii telefonicznych, komputerów na całym waszym świecie. Ale nie chcemy tego.

Nam niepotrzebna jest szybkość, wysokie ciśnienie krwi, naruszenie prywatności, które są dziećmi waszych elektronów. Nie chcemy numerów, powtó-

rzeń, wszystkich tych śmieci. Nasze nośniki dostarczają właściwej informacji od pierwszego podejścia, o ile uważamy ją za istotną dla jakiejś pracy.

- Cóż, niewątpliwie mogą być tak samo niebezpieczne jak elektrony -

odparłem. Przynajmniej w przypadku podpaień domów.

Natura powraca.

Zastanawiałem się nad mądrością tego chłopaka i jego ludu - zawierała w sobie, choć nie bardzo zgadzałem się z przewagą insektotechnologii nad elektrycznością, taką znajomością teorii informacji, z jakiej byłby dumny każdy specjalista od telekomunikacji...

- Natura tak naprawdę nigdy nie odeszła w niebyt, doktorze D'Amato -

odezwał się głęboki, jakby znajomy głos.

Odwrociłem się.

- Isaac...

- Proszę o wybaczenie za to oszustwo, ale nazywam się John Lapp. Na farmie Josepha udawałem jego brata, bo nie byłem pewien, czy nie filmuje-cie mnie jakąś ukrytą kamerą. Joseph i ja byliśmy z grubsza podobnego wzrostu i wagi, więc zaryzykowałem. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, ale zdecydowanie nie ufamy waszym urządzeniom.

Jego twarz i głos należały do „Isaaca Stoltzfusa”, lecz sposób wyrażania się był bardziej władczy i dużo grzeczniejszy. Kątem oka spostrzegłem, że szeroko otwarte oczy Laurie są przepełnione szacunkiem.

- Panie Lapp - wyjąkała. - Spotkanie pana jest dla mnie wielkim za-szczytem. To znaczy, bywałam tutaj z Amosem - uścisnęła rękę chłopaka -

ale nigdy nie spodziewałam się tu pana zastać.

- Jestem równie zaszczycony, młoda damo - odparł Lapp - i bardzo, bardzo mi przykro z powodu twojego ojca. Spotkałem go tylko raz, ale Joseph opisywał mi go jako bardzo dobrego człowieka.

- Dziękuję panu - powiedziała Laurie miękko.

- Mam coś dla ciebie, Laurie Buhler.

Lapp sięgnął gdzieś w czeluście długiego, ciemnego płaszcza i wydobyl

coś wyglądającego jak damska torebka, uszyta z bardzo atrakcyjnej tkaniny w kolorze mchu.

- Joseph Stoltzfus ją zaprojektował. Nazywamy ją torbą lampową. Jest spleciona ze specjalnych włókien roślinnych i jedwabiu, nasyconych barw-nikiem zawierającym ekstrakt ze świetlików, niektóre związki ze świecą-

cych grzybów, tak skomponowane, żeby utrzymać działanie jak najdłużej.

Ona świeci w ciemności. Powinna wytrzymać kilka miesięcy, dopóki pogoda nie zrobi się niesprzyjająca. Wtedy możesz dostać następną. Od tej chwili, jeśli pójdziesz na zakupy po zmroku, gdziekolwiek będziesz, zawsze zobaczysz, co masz w torebce, ile zostało ci pieniędzy. Na ile się znam na torebkach młodych dam - mam trzy nastoletnie córki - taka cecha może bardzo pomóc. Niektóre z was noszą przy sobie chyba z pół świata!

Laurie wzięła torebkę i uśmiechnęła się.

- Bardzo panu dziękuję - popatrzyła na mnie. - Właśnie to tatko chciał

wczoraj wieczorem wziąć dla mnie. Myślał, że nie wiedziałam - chciał

odebrać torebkę z farmy Josepha Stoltzfisa i zaskoczyć mnie w jutrzejsze urodziny. Ale ja wiedziałam.

Głos jej się załamał, w oczach pojawiły się łzy. Amos otoczył ją ramieniem, pogładził po włosach.

- Mo chciałby dotrzeć do samego sedna tej sprawy - zwróciłem się do Lappa. - Kto zabił jego i ojca Amosa, co może mi pan powiedzieć na ten temat?

Farmer przyjrzał mi się beznamiętnie.

- Świat zmienia się na pańskich oczach, doktorze D'Amato. Ponad półtonowy łoś wędrował główną ulicą w Battleboro, stan Vermont. Na przedmieściach New Hampshire ludzie ustrzelili prawie dwustukilowego niedźwiedzia...

- New Hampshire trudno nazwać przedmieściem, a Mo nie został zabity przez niedźwiedzia, umarł tuż obok mnie w samochodzie - zaoponowa-

łem.

- Ta sama różnica, doktorze. Zwierzęta robią się bezczelne, bakterie dostają szału, szerzą się alergie - to części tego samego obrazu. To nie wypadek.

- Pańscy ludzie robią to specjalnie?

- Moi ludzie?.. Nie, zapewniam pana, my nie akceptujemy agresji. To co tu pan widzi - pomachał ręką w stronę wnętrza stodoły, pełnej rozmaitych roślin, małych zwierząt i owadów, którym chętnie bym się bliżej przyjrzał - służy tylko poprawieniu warunków naszego życia. W bardzo łagodny sposób. Tak jak torebka Laurie.

- Jak świetliki podpalające budynki?

- Ach, zatoczyliśmy pełny krąg. Tu jest moje miejsce. Niestety, nie jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi rozumiejącymi siły natury lepiej niż wasz technologiczny świat. Wy macie plastiki, których używacie w dobrych celach. Ale są też plastiki wykorzystywane w celach złych - na przykład semteks, który rozsadził samolot nad Szkocją. Wyhodowaliśmy odpowiednie świetliki w dobrym celu, dla światła i ogrzewania, jakie pan widzi tutaj -

wskazał na kąt stodoły znajdujący się w pobliżu miejsca, w którym staliśmy.

Tryskała w nim fontanna sepiowogwiezdnego światła. Przyjrzałem się bliżej i zobaczyłem, że tworzą ją miriady drobnych świetlików - wielka lampa mendłowska.

- W roju mieszamy nieco odmienne gatunki - kontynuował Lapp - starannie dobrane, by ich błyski ząbebiały się w sposób dający jednostajne, trwałe źródło światła. Siatka jest tak drobna, że nie widzi się owadów, tylko światło, chyba, że przyjrzy jej się z bardzo bliska. Ale są tacy, którzy po-

przewodzą tę hodowlę dalej, do złych celów, co już pan widział w domach Stoltzfusa i Buhlerów.

- Jeśli pan wie, kim są ci ludzie, proszę mi powiedzieć, a ja zadbam o usunięcie ich z tego interesu - oznajmiłem.

Po raz pierwszy zobaczyłem na twarzy Johna Lappa ślad pogardy.

- Wasza policja usunie ich z interesu? Jak? Tak samo, jak usuwacie swoich kryminalistów? W taki sam sposób, w jaki powstrzymaliście napływ narkotyków z Ameryki Południowej? W taki sam sposób, w jaki wasze ONZ, wasze NATO, wszystkie te wasze cudowne organizacje polityczne zakończyły wojny na Bliskim Wschodzie, w Europie, w Azji? Nie, dziękuję, doktorze. Ci ludzie, którzy niewłaściwie posługują się siłami natury, są naszym problemem - już nie należą do nas, nie należą do nikogo, choć kiedyś należeli do wszystkich - mamy jednak bardzo długą wspólną historię i poradzimy sobie z nimi na swój sposób.

- Ale dwie osoby nie żyją... - zacząłem.

- Pan najprawdopodobniej także zginie - powiedział Amos. Wyciągnął

buteleczkę z czerwonym płynem przypominającym sok pomidorowy. -

Proszę to wypić, na wypadek gdyby moja siostra podała panu jakąś powolną truciznę.

- Brat i siostra - rzekłem w zamyśleniu. - Każde z nich mówi mi, że to drugie należy do złych. Klasyczny dylemat - z tego, co wiem, to też jest trucizna.

Lapp potrząsnął głową.

- Sarah Stoltzfus Fischer kiedyś była dobra - oznajmił uroczyście. -

Kiedyś sądziłem, że jest w niej coś, co może się w niej rozpaść na nowo, ale teraz... Joseph powiedział Mo o niej...

- Jej nazwisko widniało w spisie telefonów Mo - powiedziałem.

- Tak, jako osoby, którą Mo najprawdopodobniej rozpracowywał -

wyjaśnił Lapp. - Powiedziałem Josephowi, że mylił się, mówiąc Mo tak wiele. Lecz Joseph był upartym optymistą. Niebezpieczna kombinacja -

popatrzył Laurie w oczy. - Jest mi bardzo przykro to mówić, ale Mo Buhler mógł sprowadzić zagładę na siebie i Josepha właśnie przez kontakt z Sarah.

- Jeśli tatko w nią wierzył, to dlatego, że wciąż dostrzegał w niej coś dobrego - zaproponowała Laurie.

John Lapp pokręcił smutno głową.



- A ja chyba jeszcze pogorszyłem sprawę, kontaktując się z nią, spędzając z nią noc... - zacząłem.

Wszyscy troje popatrzyli na mnie ostro.

- ...samotnie, na kanapie - dokończyłem.

- Tak, przypuszczalnie pogorszył pan sprawę - potwierdził Lapp. - Pań-

ski styl prowadzenia dochodzenia, styl Mo Buhlera, tutaj nie ma szans powodzenia. Ci ludzie wmanewrują pana w pogoń za własnym ogonem. Będą drwić z pana delikatnymi sugestiami, jakie mogą być ich cele i co zrobią.

Dadzą panu dość prawdy, żeby utrzymać pańskie zainteresowanie. Ale kiedy zacznie pan szukać dowodów, okaże się, że nie ma pan pojęcia, o co chodzi.

Było to znakomite, zwięzłe podsumowanie mojego samopoczucia.

Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin spędzonych przeze mnie w Pensylwanii, wydarzenia następowały po sobie tak szybko, że nie miałem szans rozpocząć jakiegokolwiek porządnego śledztwa. Mój styl, styl Mo czy co innego...

- Wiele lat temu do naszej krwi, do biosfery, wprowadzili powolny alergen - ciągnął Lapp. - Wszyscy w tej okolicy go mają. A jeśli się go ma, jest się załatwionym. Kiedy chcą kogoś zabić, podają drugi katalizator, szybki, jeden z wielu łatwo dostępnych, naturalnych związków i w kilka godzin później człowiek umiera na potężny wstrząs anafilaktyczny wywo-

łany jakimś całkiem niewinnym związkiem ze swojego otoczenia. Tak więc obydwie katalizatory współpracują w zabijaniu. Oczywiście żaden z nich sam nie jest groźny, nie wygląda podejrzanie w analizach krwi, dlatego im się to udaje. Nikt nigdy też nie zauważa ostatniego, kończącego reakcję czynnika - nikt właściwie nie jest uczulony na dotyk jesiennego liścia z konkretnego gatunku drzewa albo kontakt z konkretnym owadem lądują-

cym na palcu. Dlatego opracowaliśmy antidotum na pierwszy z katalizatorów, to jedyny sposób na przerwanie alergicznej kaskady.

- Proszę, Phil, wypij to - Amos ponownie podał mi butelkę.

- Czy są jakieś skutki uboczne, o których powinienem wiedzieć? Na przykład, że za kilka godzin załatwi mnie uczulenie?

- Prawdopodobnie przez następny tydzień będzie pan nieco bardziej drażliwy - powiedział Lapp.

Westchnąłem.

- Nic nowego...

Decyzje... Nawet jeśli miałem w organizmie pierwszy katalizator, mogę przeżyć resztę życia, nigdy nie natykając się na drugi. Ale nie, nie mogłem żyć w takim narażeniu. Lubiłem jesienne liście. Lecz skąd mogłem mieć pewność, że podawany mi przez Amosa środek to antidotum, a nie drugi katalizator? Nie wiedziałem - nie z całkowitą pewnością - ale czy Amos nie próbowałby zostawić mnie w domu Mo na pastwę płomieni, gdyby zależało mu na mojej śmierci? Decyzje....

Wypiłem wszystko i rozejrzałem się po stodole. Niesamowite wnętrze, obraz wiktoriańskiej nauki, zupełnie jak z dziewiętnastowiecznej karty kolekcjonerskiej, na której widziałem kiedyś wizerunek starej apteki. Trzepoczące motyle i świetliki, błyskające w świetle... Wystarczyło, żeby wywołać u mnie zawroty głowy. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę mi się kręci w głowie - czyżby jakaś reakcja na antidotum? Rany, a może jednak to była trucizna? Nie, to nie tyle pomieszczenie się poruszało, ile światło, kolumna świetlików zaczęła migotać... w dziwnie znajomy sposób...

Lapp zaczął nagle szybko mówić do Amosa:

- ...sprawdź, czy zdołasz to zatrzymać...

Migotanie zrobiło się silniejsze. Miałem wrażenie, jakby kolejne fale światła uderzały mnie w brzuch...

Pojawił się krzepki mężczyzna z kobietą, którą na wpół włókł za sobą.

- Przylapaliśmy ją na myszkowaniu na zewnątrz... - zaczął.

Sarah!

- Tu jest mendłowska bomba! - krzyknęła. - Proszę. Musicie wszyscy wyjść!

Lapp rozejrzał się rozpaczliwie, potem popatrzył na nią, w końcu skinął głową.

- Ona ma rację, nie mamy dużo czasu - oznajmił, przechwytyjąc moje spojrzenie. - Musimy natychmiast wyjść.

Opiekuńczym gestem objął Laurie i skinął, bym szedł za nim. Osilek też ruszył w stronę drzwi, wlokąc za sobą Sarah. Wszyscy się spieszyli, łapiąc po drodze różne siatkowe klatki.

- Nie, czekajcie - powiedziałem. Właśnie coś zaczęło mi świtać w głowie.

- Doktorze, proszę - rzekł Lapp. - Musimy opuścić to miejsce. Natychmiast.

- Nie, nie musicie - zaprzeczyłem - Wiem, jak wyłączyć tę bombę.

Lapp energicznie potrząsnął głową.

- Zapewniam pana, że w tym stadium nie dysponujemy już żadnym przeciwdziałaniem. Zostało nam

siedem, najwyżej osiem minut. Stodołę da się odtworzyć, ludzkiego życia nie.

- Nie - nalegałem. - Nie możecie tak uciekać przed swoimi wrogami, pozwalając im puszczać się z dymem. Tutaj są prowadzone niesamowite doświadczenia. Potrafię wyłączyć bombę.

Lapp wpatrywał się we mnie w milczeniu.

- Dobrze, a może zrobimy tak - zaproponowałem. - Pan wyjdzie stąd razem z przyjaciółmi. Nie ma sprawy. Zajmę się problemem wykorzystując naszą naukę, a potem pogadamy, w porządku? Ale pozwólcie mi zacząć natychmiast.

Lapp gestem wyprosił resztę swoich ludzi. Przymrużonymi oczami zerknął na migoczące świetliki. Były teraz bardziej widoczne, jakby ich przemiana w materiał zapalający spowodowała powiększenie oczek siatki.

Odwrócił się do mnie.

- Zostanę tu z panem. Dam panu dwie minuty, a potem wyrzucę stąd.

Co wasza nauka ma do zaoferowania?

- Nic szczególnie wyszukanego - odparłem i wyciągnąłem z kieszeni halogenową latarkę. - To są świetliki, prawda? Jeśli zachowały jeszcze jakieś znane mi cechy rodziny Lampyridae, to powinny produkować światło wyłącznie w nieobecności oświetlenia dziennego, po zmroku - są przecież owadami nocnymi. Skapane w dziennym świetle niczym się nie różnią od wszystkich innych chrząszczy. To powinno wystarczyć do korekty.

Włączyłem latarkę, nastawiając ją tak, by jak najbardziej przypominała światło dzienne i skierowałem ją wprost na środek kłębiącej się fontanny iskieł, rozsiewającej teraz dużo ostrzejszy blask, przypominający te paskudne lampy wiszące nad stołami sekcyjnymi. Oświetlałem rozszalałe świetliki przez ponad minutę i nic. Kotłowanina trwała. Ich blask stawał się coraz ostrzejszy.

- Doktorze, nie możemy tu zostać ani chwili dłużej - powiedział Lapp.

Westchnąłem, zamknąłem na chwilę oczy. Lampa halogenowa powinna zadziałać - powinna zmusić przynajmniej niektóre świetliki do zgaśnięcia, a potem więcej, rozbić ich zgrany wzorzec błysków. Wpatrywałem się z natę-

żeniem w fontannę. Miałem zmęczone oczy, widziałem owady mniej ostro niż kilka chwil wcześniej...

Nie... oczywiście!

Widziałem je mniej wyraźnie, bo przygaszały!

Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości. Całe wnętrze stodoły to ja-

śniało, to przygasało, oświetlenie przestało być ciągle, a za każdym razem, kiedy powracało, było nieco słabsze... Wciąż trzymałem latarkę skierowaną na owady. Wkrótce pozostała jedynym źródłem światła w pomieszczeniu.

Lapp położył mi rękę na ramieniu.

- Jesteśmy pańskimi dłużnikami, doktorze. Nieomal zrobiłem z siebie idiotę, zamykając umysł przed źródłem wiedzy, której nie rozumiem - błąd głupca, jak ja to nazywam, bo skoro czegoś nie znam, to skąd mogę wiedzieć, czy nie jest wartościowe?

- Platoński paradoks Meno - powiedziałem.

- Co?

- Żeby dostrzec wiedzę, trzeba dysponować już pewną wiedzą, skąd więc ta pierwotna się bierze? - uśmiechnąłem się. - Mądrość starożytnego filozofa kultury zachodniej - często się z nim konsultuję - choć prawdopodobnie miał więcej wspólnego z wami.

Lapp skinął głową.

- Dziękuję za uświadomienie nam wiedzy o świetlikach, informacji posiadanej przez nas od dawna, ale zupełnie niedostrzeganej. Od tej chwili bomby mendlowskie będą dla nas dużo mniejszym zagrożeniem - kiedy tylko spostrze-

żemy to migotanie, wystarczy wypełnić dane miejsce dziennym światłem.

Najzwyczajnym. Czasami być może nawet wasze latarki nie będą potrzebne, w końcu dzieńne światło jest przez większość czasu naturalnie dostępne.

- A wieczorami możecie stosować latarki - są zasilane z baterii, nie są konieczne żadne powiązania z elektrowniami - zauważyłem. - Widzi pan, w końcu udało mi się chwycić co nieco na temat waszej kultury.

Lapp uśmiechnął się.

- Najwyraźniej tak, doktorze.

Ja jednak świetnie wiedziałem, że jeszcze bardzo wiele muszę się dowiedzieć - o Johnie Lappie i Amosie Stoltzfusie, o ich wrogach, którzy niewątpliwie wyhodują jakieś nowe diaboliczne rodzaje broni. W tego typu walce nikt nigdy nie osiąga całkowitego zwycięstwa. Przynajmniej jednak zmniejszy się plaga bomb mendlowskich. Dałem Lappowi rodzaj laserowe-go systemu obrony przeciwko tym pire-owadom - na pewno nie doskonałe-go, ale niewątpliwie lepszego niż nic.

Sarah Fischer, cóż można powiedzieć? Oświadczyła, że wróciła, żeby nas ostrzec. Nie zniosłaby kolejnych zgonów. Powiedziała, że nie była bezpośrednio wplątana w śmierć Mo ani Josepha - jej ojca i nie potrafi pozostać związana z grupą, która robi takie rzeczy. Zaczęła mi opowiadać o alergenach - tych wywołujących rozdrażnienie - bo chciała, żeby świat się dowiedział. Ale według

mnie sama umieściła bombę mendlowską w stodole Lappa i wykazała się szybką orientacją, kiedy ją przyłapano.

Pomyślałem o zawiadomieniu policji stanowej, żeby ją aresztowano, ale właściwie na jakiej podstawie? Nie miałem praktycznie żadnych dowodów.

Nawet jeśli umieściła mendlowską bombę w stodole Lappa, cóż mogłem z tym zrobić? Kazać ją zamknąć za podłożenie sporządzonej z zapalających światełek bomby, którą rozbroiłem, świecąc latarką - bomby, której istnienia ludzie Lappa w ogóle by nie potwierdzili, nie mówiąc już o zeznawaniu w sądzie? Nie, dziękuję - już dość razy wyśmiewano się ze mnie na sali sądowej.

Poza tym Lapp i jego ludzie dysponowali jakąś metodą humanitarnego postępowania z ludźmi takimi jak Sarah - pomocy w odnalezieniu swoich korzeni. Teraz była kobietą nie należącą do żadnej społeczności. Unikana przez wszystkich. Najgorsze, co mogło się przytrafić komuś z jej wychowaniem. Dobrze, że John Lapp i Amos Stoltzfus chcieli dać jej drugą szansę -

ofiarować jej płomyk nadziei, może to jest prawdziwe znaczenie lampy mendlowskiej, jak to trafnie ujął Lapp.

Opuściłem szybę, żeby zapłacić myto za przejazd przez George Washington Bridge. Musiałem przyznać, że miło było znów siedzieć we własnym, starym samochodzie. Corinne wyjechała z córkami zorganizować przeprowadzkę do Kalifornii. Na pogrzebie Mo powiedziałem parę słów, a teraz jego niewielka rodzina bezpiecznie leciała na zachód. Nie mogłem powiedzieć, że oddałem jego morderców w ręce sprawiedliwości, przynajmniej jednak zakłóciłem im nieco rytm działań. Laurie ucałowała Amosa na pożegnanie i obiecała przyjechać w odwiedziny, na pewno na Boże Narodzenie...

- Dzięki, Chief - odebrałem bilet i resztę.

Tak wielką odczuwałem przyjemność z powrotu, że nieomal zaproponowałem mu, żeby zatrzymał sobie resztę. Zostawiłem opuszczoną szybę.

Powietrze jak zwykle trąciło piżmem - woń mieszanki wyziewów przemysłowych, spalin z samochodów, nawet te spełniające wymagania EPA<sup>1</sup>

pozostawiały swój zapaszek. Cholera, czyż to nie wspaniała aromat. Lepszy od słodkich woni Pensylwanii, wszystkich tych mogących im towarzyszyć ukrytych alergenów i katalizatorów, które zabiły Josepha i Mo. Obydwaj otrzymali wolno działający katalizator wiele lat temu. Potem podano im drugi i zziuuut... coś zupełnie niewinnego w ich otoczeniu doprowadziło do końcowego zwarcia. Wszystko było możliwe. Mógł im, na przykład, usiąść na kostce albo na ramieniu jakiś zbłąkany światełek. Stodoła Josepha była nimi oświetlona. Bardzo prawdopodobne, że Mo chciał mi właśnie pokazać lampę mendlowską. Możliwe, że jeden czy dwa światełki przedostały się do samochodu na farmie i niezauważone latały nam koło nóg w drodze do Filadelfii... dla mnie zwykle chrząszcze, dla Mo zabójcy...

<sup>1</sup> EPA - Environmental Protection Agency - Agencja Ochrony Środowiska, (przyp. tłum.)

Zabiłem na przedniej szybie niewielką, brązową ćmę.

Zaletą Nowego Jorku, jak pewnego razu powiedział jakiś mędek z policji, jest to, że zazwyczaj widzi się zbliżających się zabójców. Smog, zanieczyszczenia, zbyt wielu ludzi w samochodach spieszących się jednocześnie, nawet uliczni bandyci - takie ryzyko mogę podjąć.

Nieświadomie wsunąłem portfel do kieszeni. Te myśli o rabusiach musiały wzbudzić we mnie niepokój o posiadaną gotówkę. Miałem bardzo wyszukany portfel - uszyty z tego samego specjalnego materiału, utkanego z mieszaniny włókien roślinnych i jedwabiu, co torebka Laurie. John Lapp podarował mi go w prezencie - na pamiątkę prac Josepha. Przynajmniej przez kilka miesięcy będę lepiej widział ile pieniędzy wydaję.

Cóż, to miłe mieć w tym świecie nieco więcej światła - nawet jeśli, tak samo jak iluminowana zawartość, jest dość ulotne...

## CZEŚĆ DRUGA

Tochariański rydwan

## Kotlina Tarymska na Jedwabnym Szlaku

około A.D. 750

Dwaj mężczyźni, czterdziestoletni i czternastoletni, siedzieli na wzgórzu i patrzyli na rzekę przez niektórych zwaną Tarim. Znajdowali się w pobliżu osady, która kiedyś zostanie nazwana Aksu, w prowincji znanej jako Xinjiang.

- Czyli Tangowie utracili swój sekret - powiedział czternastolatek. -

Wkrótce cały świat dowie się, jak wyrabiać ich bezcenny jedwab.

Starszy mężczyzna, ojciec młodszego, skrzywił się.

- Tajemnice są tworzone i ujawniane. Liczy się tylko zawarta w nich rzeczywistość.

- Nie cieszy cię, że w końcu złamaliśmy przewagę Wschodu?

- Nigdy jej nie mieli. Są pewne rzeczy związane z jedwabiem...

Podbiegł do nich trzeci mężczyzna, szesnastoletni.

- Ojczy, Gwellyn, w dole rzeki leży martwy śpiewak.

Wszyscy trzej poszli tam spieszenie, bez jednego słowa. Wiedzieli, że nie ma co gadać na temat śpiewaka, dopóki nie zobaczy się ciała.

Starszy mężczyzna zachłysnął się na jego widok. Sama skóra, zeschnięta ze starości, opinająca grubokościsty szkielet. Zielone jak mech oczy, pod wydatnymi łukami brwiowymi, pomarszczone resztki półprzymkniętych powiek...

- Tak. Był śpiewakiem.

- Od jak dawna nie żyje? - zapytał czternastoletni Gwellyn.

- Od bardzo dawna - odparł ojciec.

- Czy był również twórcą? - zaciekał się szesnastoletni Al-

- Tego nie da się powiedzieć, patrząc tylko na jego zwłoki.

- Co z nim zrobimy? - spytał Gwellyn.

- Spalimy go. Potem skruszymy jego kości i rozrzucimy prochy na wiatr, jak nakazuje prawo - wyjaśnił ojciec.

- Może powinniśmy o tym komuś powiedzieć albo... - nalegał Allyn.

- Nie. Zrobimy, jak powiedziałem.

- Wydaje się niewłaściwe, tak po prostu zniszczyć wszelki ślad po nim, nawet nikogo o tym nie informując, jakby w ogóle nie istniał - rzekł

Gwellyn z goryczą.

- Właśnie dlatego musimy to zrobić - odparł ojciec.

Gwellyn popatrzył na swoje odbicie w rzece, błotnistorude początki za-rostu odbijały się od powierzchni mułu podobnej barwy. Jego niebieskie, głęboko osadzone oczy, były jaśniejsze od wody, ale teraz pociemniały od niesionego brzemienia. Wciąż widział śpiewaka, najpierw rozciągniętego przy rzece, tak jak go znaleźli, potem spalonego, zwęglonego, startego na pył, jak nakazał ojciec chłopca.

- Legendy mówią, że śpiewacy przed śmiercią wyglądają tak samo jak my - Allen dołączył do brata nad rzeką i zgadł, co mu chodziło po głowie.

Prawdopodobnie dzięki temu, że sam myślał o tym samym.

- A czarnoksiężnik śmierci nadaje im ten brutalny wygląd? - zapytał

Gwellyn.

- Ojciec mówi, że czarnoksiężnicy są dla małych dzieci - odparł Allyn.

- Twierdzi, że rozumny człowiek szuka wyjaśnień w świecie natury. Myślę, że przyswoił sobie tę ideę od Filozofa.

- Od Arystotelesa? Z nauk Bizancjum?

- Tak - potwierdził Allyn. - Znasz te teksty, ojciec trzyma je razem z ulubionymi przyprawami.

Brat skinął potakująco głową.

- Chce, żebym kontynuował lekcje, abym mógł sam je czytać - Gwellyn westchnął. - Los syna szamana. Ty już je czytałeś. Czy jest w nich o śpiewakach i zmianach, którym podlegają po śmierci?

- Nie - zaprzeczył Allyn. - Pisma Bizancjum mówią o konieczności poszukiwania wyjaśnień w naturze, w otaczającym świecie.

- Ach, rozumiem - rzekł Gwellyn. - Co w takim razie ojciec uważa za naturalne przyczyny w sprawie śpiewaków i ich wyglądu po śmierci?

- Ojciec mówi, że to tylko choroba - wyjaśnił Allyn. - Tyle tylko, że jest głębsza niż zwykłe choroby,



bardzo stara i wciąż pozostanie żywa, kiedy nas już dawno nie będzie.

Gwellyn zmarszczył brwi.

- Nigdy nie myślałem o chorobach jako żywych istotach.

- Cóż, są w specyficzny sposób powiązane z życiem - rzekł Allyn. -

Nasze bydło choruje, drzewa owocowe chorują, my sami chorujemy, ale skały i namioty nie.

- Czy jesteśmy teraz chorzy na tę... tę chorobę?

- Nikt nie wie - oznajmił Allyn. - Może tak. Istnieje pewna teoria - ojciec mówi, że ogromnie starożytna - twierdząca, że wszyscy są chorzy.

Różnica pomiędzy tymi, u których się to ujawnia, a tymi, u których nie, polega na tym, że ci zdrowi z wyglądu mają dodatkowe schorzenie atakują-

ce tę powszechną chorobę i niszczące ją, nie pozwalające się jej rozwijać i czynić im krzywdy.

- Ta druga choroba jest naszym przyjacielem - w zamyśleniu rzekł

Gwellyn - jak pies powstrzymujący dzikie zwierzęta przed zaatakowaniem nas w środku nocy.

- Tak.

- Lecz skąd możemy wiedzieć, która jest która? - zastanawiał się Gwellyn. - Jak możemy powstrzymać jedną chorobę i pozwalać działać drugiej? Gdzie odnajdziemy chorobę, jeśli nie ma jej jeszcze w nas?

- Legendy mówią że wszędzie. W żywności, którą spożywamy, w powietrzu, którym oddychamy, w kobietach, które kochamy.

- Kobietach?

Po raz pierwszy Gwellyn uśmiechnął się, bo kochanie się wciąż napawa-

ło go dreszczem rozkoszy dalece przewyższającym jakąkolwiek myśl o chorobie, nawet takiej mogącej sprowadzić śmierć. Jego uśmiech pogłębił

się, gdy przywołał w pamięci konkretną twarz i ciało, jakie widział tydzień temu i połączył je z ogólną myślą o uprawianiu miłości.

- Tak - powtórzył Allyn, też się leciutko uśmiechając. - A one w nas.

Legendy twierdzą, że wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami w chorobie.

Gwellyn skinął głową, ale o wiele więcej myślał o twarzy i ciele Daralyn niż tychże u własnej

siostry...

- Niektóre podania - ciągnął Allyn - twierdzą, że nasze nasienie może zrobić więcej niż jedną rzecz, że czasami może pozostawić w duszach spotkanych kobiet inskrypcje pełne zła.

Daralyn była kobietą, której poznanie sprawiło Gwellynowi ogromną przyjemność, którą nadal przeżywał prawie tak samo jak za pierwszym razem.

Pomimo imienia, Daralyn nie całkiem należała do ludu Gwellyna. Choć jej włosy były brunatnorude jak glina, to oczy miała migdałowego kształtu, z tęczęwkami połyskującymi bardziej brązem niż błękitem. Jej dziadek ze strony matki pochodził z Kraju Jedwabiu, może również inni jej przodkowie wywodzili się stamtąd. Była bardzo inteligentna, szlachetnej postawy -

wszystko w niej idealnie pasowało, jak uznał ojciec Gwellyna, by nauczyć młodszego od niej o pięć lat chłopaka niektórych rzeczy.

Leżeli teraz w swoich ramionach, wciąż obejmowała go w tali nogami, teraz zrelaksowanymi. Właśnie skończyli się kochać po raz trzeci.

- Na tym świecie są tylko trzy typy ludzi - powiedziała Daralyn, podejmując wątek rozpoczęty w czasie poprzedniego, krótkiego odpoczynku. -

Nasi ludzie, ci z Dalekiego Wschodu, do których częściowo i ja należę oraz ludzie z wilgotnego, południowego lądu.

- Śpiewacy nie przypominają nikogo z wymienionych - rzekł Gwellyn.

- Może dlatego, że są martwi.

Daralyn żartowała i chłopak roześmiał się, ale i tak potraktował tę wypowiedź poważnie.

- Czy ktokolwiek widział choćby jednego z nich za życia?

- Nie sędzę - odparła dziewczyna.

- To dlaczego nazywamy ich śpiewakami? - zapytał Gwellyn. - Niewątpliwie nie śpiewają po śmierci?

Znów przypomniał sobie, jak pomagał zniszczyć znalezione zwłoki, jak oddali płomieniom te dymnozielone oczy, tę szyję masywną jak pień drzewa... Czy czułby się jeszcze gorzej z powodu tego aktu destrukcji, gdyby istniała jakaś szansa, żeby to gardło zaśpiewało? A może istniał jakiś sposób na śpiew bez słów, bez wywoływania drgań powietrza przy pomocy strun głosowych, jakieś oddziaływanie nieboszczyka na świat bez śpiewu?

- Nie jestem pewna - odezwała się Daralyn. - Kiedykolwiek słyszałam ich nazwę, zawsze brzmiała ona „śpiewacy”. Chyba ktoś kiedyś powiedział

mi, że oni rozmawiają śpiewem, że nie mówią normalnymi słowami, tylko wyśpiewują melodie, nieraz na wiele głosów.

- Ale to brzmi, jakby ktoś widział ich kiedyś żywych - skomentował

Gwellyn.

- Melodie brzmią jak życie, to prawda - uśmiechnęła się Daralyn. -

Podoba mi się to. Ale miałaś rację - nikt nigdy nie widział ich żywych.

- Ale jak to możliwe? - zdumiał się Gwellyn.

- Nie wiem - odparła dziewczyna. - Może żyli bardzo dawno temu, wcześniej niż ktokolwiek z nas, ale inni ludzie ich widzieli i przekazali nam wiedzę o tym, jak śpiewacy wyglądają za życia.

- Ale oni nie sprawiają wrażenia, jakby byli martwi aż tak długo...

Gwellyn nie bardzo chciał, ale wygadał się do Daralyn i opowiedział jej, co razem z bratem uczynili ze zwłokami. Po tej spowiedzi w ramionach kochanki, poczuł się dużo lepiej.

- To prawda, wcale nie wyglądają na martwych od bardzo dawna -

powiedziała uspokajająco, wyciągając nogi i kładąc je na nogach chłopca. -

Ale jeśli nikt spośród żyjących nie widział ich żywych, jakie może być inne wyjaśnienie?

Gwellyn zastanowił się.

- Jak długo mogą przetrwać zwłoki?

- Niezbyt długo - odparła Daralyn. - Zazwyczaj znikają szybko. Jednak słyszałam opowieści o ludziach znalezionych w lodzie w stanie niemal zachęcającym do pocałunku, pomimo że nie żyli już od ponad pięćdziesię-

ciu lat.

- Zastanawiam się - wymruczał Gwellyn w zamyśleniu - czy istnieje jakaś choroba, która działa tak samo jak lód, tylko od środka.

Znów uderzyła go myśl, że może razem z bratem zmełli na pył coś - ko-goś - wciąż w jakiś sposób żywego.

Chłonał głęboką czerwień zachodu słońca.

- Wygląda tak pięknie, że chciałoby się to wypić - powiedział Jakob i dołączył do kontemplacji.

- Tak - potwierdził Gwellyn - jak wasze paschalne wino. Lecz wkrótce w naszych umysłach

pozostanie tylko nikły ślad tego nieba.

- Wiele pięknych rzeczy ma taki właśnie charakter. Być może właśnie dlatego są piękne - skomentował Jakob, kupiec z Antiochii.

W swym długim życiu wielokrotnie przemierzył Jedwabny Szlak, za-równo bardziej niebezpieczną trasą północną, jak i łatwiejszą południową.

Wędrował też Wielką Drogą Indii, szukał kupieckiego szczęścia na Trakcie Przyprawowym, z Bizantyjczykami, Persami i mahometanami.

Gwellyn uważał Jakoba za wyrocznie w sprawach piękna. Lecz...

- Mógłbym jednak go opisać - powiedział. - Mógłbym spróbować uchwycić jego barwę w słowach tak, by inni mogli ją poznać.

Starszy mężczyzna prychnął, rozbawiony.

- Niemożliwe. Twoje słowa same zmieniłyby kolor, który usiłowałyby opisać - zupełnie tak, jakbyś spróbował zgłębić teksturę płatka śniegu, ściskając go pomiędzy palcami.

Gwellyn powrócił wzrokiem ku niebu.

- Pismo to cudowna rzecz - ciągnął Jakob - ale nie do wszystkiego się nadaje. Mentor mentora Filozofa - Sokrates - w ogóle go nie używał.

Twierdził, że poleganie na nim powodowałoby rozmywanie się wspomnień.

Gwellyn uśmiechnął się, bo wiedział, że ma haka na Jakoba, przynajmniej w tej krótkiej rundzie.

- A skąd o tym wiemy? - zapytał.

W odpowiedzi też zobaczył uśmiech.

- Tak, na szczęście - albo nieszczęście Sokratesa - Platon zapisał

obiekcje swego mistrza wobec pisma. W innym wypadku w ogóle byśmy o nich nie wiedzieli. Muszę ci to przyznać. Tak samo Juliusz Cezar gdzieś napisał, że podziwia druidów, bo powstrzymują się od używania pisma. A my nie mielibyśmy pojęcia o szacunku, jaki Juliusz Cezar żywił dla braku pisma, gdyby on sam nie zadał sobie trudu, żeby to zapisać. Lecz nadal nie oznacza to, że pismo jest dobre we wszystkich okolicznościach.

- A kiedy nie jest?

- Pismo to rydwan pędzący w przyszłość - rzekł Jakob. - Zazwyczaj przemawia głosem kogoś już nieobecnego. Jeśli ja teraz powiem coś niezbyt dla ciebie zrozumiałego, możesz mnie spytać o dodatkowe wyjaśnienia. Jeśli napiszę coś niezbyt dla ciebie zrozumiałego, a ty przeczytasz to po

mojej śmierci, kogo zapytasz o wyjaśnienia? W rydwanie nie ma mnie, tylko moje słowa.

- Lecz czy twoje słowa - napisane - nie są czymś lepszym, niż całkowity brak słów?

Jakob pogładził swoją szpakowatą brodę.

- Tak. Lecz nie na tym polega wybór. Słowa będziemy mieli zawsze.

Rzecz w tym, czy będziemy woleli je powiedziane czy napisane. Do zapisów handlowych, zgadzam się, pismo jest najlepsze. Do przekazywania zagmatwanych informacji - takich jak filozofia - wolę używać słów wypo-wiadanych, żeby słuchacz mógł mi zadawać pytania, zrozumieć mnie do-kładnie, a potem użyć własnych słów wobec kolejnej osoby, która będzie z kolei mogła pytać jego.

- Nadal sądzę, że pismo jest bardziej niezawodne - oznajmił Gwellyn.

- Co będzie, jeśli ktoś pomyli słowa w trakcie przekazywania ich pomiędzy dwoma kolejnymi mówcami?

Jakob wzruszył ramionami.

- To może się zdarzyć, prawda. Lecz napisane słowa także bywają zawodne. Biblioteka Aleksandryjska płonęła wielokrotnie przez wieki swojego istnienia! - Jakob zniżył głos do konspiracyjnego szeptu, głośniejszego nawet niż jego normalny sposób mówienia. - Winą za to obarczani są mu-żulmanie. Lecz moi przyjaciele mówią mi, że chrześcijańscy biskupi także boją się nauki!

Gwellyn nie obraził się, sam nie będąc wyznawcą ani Allacha, ani Chrystusa. Wierzył w słońce i gwiazdy, księżyc i drzewa - zgodnie z naukami druidów, wciąż obecnymi wśród jego zróżnicowanego ludu. Lecz odmien-nie od dawnych nauczycieli, on wierzył także w pismo.

Dlatego też pożary w Aleksandrii przerażały go. Tak samo jak przerazi-

ło go spalenie zwłok nad rzeką.

- W zeszłym miesiącu natrafiliśmy nad rzeką na śpiewaka - wyjąwił.

Jakob szybko położył kościsty palec na ustach.

- Lepiej nie rozmawiać o takich rzeczach!

Gwellyn zaśmiał się, rozdrażniony.

- Rozumiem. Śpiewak nie tylko jest kimś, o kim nie mogę napisać, ale nawet nie wolno mi o nim mówić!

Jakob uniósł uspokajającym gestem dłoni.

- Chcesz - wyszeptał, nawet głośniej niż o pożarach Biblioteki Alek-sandryjskiej - dowiedzieć się więcej o śpiewakach?

Gwellyn potaknął.

Jakob przyjrzał się uważnie młodemu przyjacielowi tak głodnemu mądrości.

- Dobrze - powiedział. - Powiem ci, gdzie znajdziesz więcej informacji o nich. Będzie to wymagało długiej, morskiej podróży.

Przypuszczalnie pochłonie też wiele lat twojego życia.

Gwellyn dołączył do ojca i Allyn koło wejścia do podziemnego kanału.

Opadł na czworaki, przesiewał ziemię między palcami, oceniając jej wilgotność.

Ojciec był niezadowolony.

- Mało wody spływa z górskich źródeł tego roku - powiedział.

- Melony wzdłuż całej drogi są zagrożone.

- Czy możemy poszerzyć kanały? - zapytał Allyn. - To by doprowadziło więcej wody.

Szaman pokręcił przecząco głową.

- Brak nam wiedzy - Sogdianie zbudowali te kanały ponad sto lat temu, lecz potem poddali się islamowi.

- Ale ich Prorok ceni sobie wiedzę - rzekł Allyn. - Powiedział: szukajcie nauki, nawet jeśli jest daleko. Szaman uśmiechnął się.

- Tak, chyba powiedział coś w tym stylu - jak widzę twoje wykształ-

cenie nie poszło na marne. Lecz kiedy jeden lud przejmuje władzę nad innym, kiedy jedna wiara zastępuje drugą, zawsze coś zostaje utracone. A Sogdianie, niezależnie jak bardzo cenią wiedzę pośród swoich nowych wierzeń, są teraz innymi ludźmi niż ci, którzy zbudowali kanały...

Szaman wstał, jego synowie również. Popatrzył w stronę długiego, suchego horyzontu na zachodzie.

- ...tak samo jak my zmieniamy się w ludzi innych, niż byliśmy kiedyś

- ciągnął. - Cały świat się zmienia. Nasi przodkowie rozumieli rzeczy, które my z trudem dostrzegamy albo w ogóle przegapiamy. Straty są nieuniknione, życie się z nich składa.

- Dlaczego nie zdobycze? - zaprotestował Gwellyn. - Dlaczego zmiana nie może być na lepsze?

- Zyjiesz, starzejesz się, umierasz - odparł szaman. - Jeśli masz szczę-

ście - jak ja - w którymś momencie przed tym ostatnim wydarzeniem zasie-jesz nowe życie.

Popatrzył na swoich synów i pocałował kolorową, jedwabną chustę, któ-

wą miał na szyi - na szczęście, w podzięce dla losu.

- Próbujesz przekazać dalej wszystko, czego się nauczyłeś - ale jak możesz to zrobić? Coś zawsze zostanie zagubione. Z każdym pokoleniem pojawiają się kolejne straty. To miałem na myśli.

- Lecz czy tego procesu nie da się zmienić? - nalegał Gwellyn.

- Jak? - zapytał Allyn.

- Nie wiem - przyznał Gwellyn. - Może tworząc bardziej inteligentne nasienie? Nasienie, którego owoc nie jest tak zapominalski?

- Mamy kontrolę nad precyzją naszych idei - zaprotestował Allyn - nie naszego nasienia.

- Dlaczego nie? - zaprzeczył Gwellyn. - Melony, o których mówił ojciec, zostały ulepszone w wyniku hodowli. Tak samo winorośl, a jak słysza-

łem nawet wierzby. Tak samo konie, wielbłądy i jaki - nasiona wszystkich zostały ulepszone w ciągu wieków, nieprawdaż?

- My to nie jaki - odparł Allyn.

- To zbyt niebezpieczne - włączył się szaman. - Nasze tradycje ostrzegają przed takimi próbami ulepszenia naszego nasienia. Jeśli coś nam się nie uda z wielbłądem - jeśli będzie miał zbyt wiele garbów albo w ogóle żadnego - gdzie tu katastrofa? Lecz jeśli urodzi się człowiek z dwoma fiu-tami, cóż, jak sądzę niektóre kobiety - a nawet mężczyźni - mogliby się z tego cieszyć, ale...

Allyn dołączył do serdecznego śmiechu ojca. Gwellyn tylko uśmiechnął

się, potem spytał:

- Czy śpiewacy są wynikiem takiego majstrowania przy naszym na-sieniu?

Szaman przestał się śmiać.

- Lepsze byłoby pytanie: czy my jesteśmy wynikiem ich majstrowania przy naszym?...

- Cieszę się, że jedziesz ze mną do Hotanu - nieco później Gwellyn powiedział do Daralyn.

- Twój ojciec chce, żebyśmy miała na ciebie oko - odparła. - Być może pojedę z tobą jeszcze dalej.

- Mmmm... - mruknął Gwellyn, przesuwając palcami po delikatnych włosach na jej podbrzuszu. -

Mój ojciec myśli dosłownie o wszystkim.

Jestem zaskoczony, że nie sprzeciwił się mojej wyprawie.

- Jesteś młodszym synem - rzekła Daralyn. - Kiedy zaczniesz dorastać, a Allyn będzie zgarniał wszystko co najlepsze, mogą pojawić się napięcia pomiędzy wami. Poza tym jesteś bystry - zbyt bystry. Zadajesz pytania.

Zbyt wiele zapisujesz. Według mnie twój ojciec czuje, że wszyscy tylko skorzystają na twojej odkrywczej podróży na Zachód.

- Wciąż chcę zapisywać różne rzeczy - powiedział Gwellyn. - Chcę zapisywać, czego się nauczyłem, co już, jak sądzę, wiem o śpiewakach. Ale jak mam to robić?

Daralyn skinęła głową.

- Twój ojciec odszuka i zniszczy wszelkie zapiski o śpiewakach, jakie po sobie zostawisz. Więc nie ma sensu tego robić.

- Ależ to niewłaściwe! - Gwellyna znów zaczęła ogarniać złość. - Jaka wartość tkwi w ignorancji, skoro możemy mieć wiedzę?

- Może znajdziesz na to odpowiedź w trakcie swojej podróży? - pod-sunęła Daralyn.

- Może - zgodził się Gwellyn. - A pewnego dnia powrócę do domu i opowiem ojcu i bratu, i każdemu kto zechce słuchać, czego się dowiedzia-

łem i zapiszę to wszystko, i schowam, jeśli okaże się to konieczne, tak żeby inni, w przyszłości, nasi potomkowie, mogli też się dowiedzieć i zrozumieć.



# TRZY

Barbaricon, w pobliżu rzeki Indus

około A.D. 751

Gwellyn stał nad brzegiem ogromnego morza, w pobliżu pełnego wysepki ujścia mulistej rzeki.

- Teraz nazywają je Morzem Arabskim - powiedział Jakob, wciąż silny, wciąż pełen encyklopedycznej wiedzy; kupiec, który od ponad pół wieku przemierzał wydmy, fale i przełęcz.

Gwellyn odwrócił się od morza ku człowiekowi, który towarzyszył mu przez ostatnie pół roku.

- Kolor twojej szarfy pasuje do barwy dalekich wód - powiedział.

- To? - Jakob ujął w palce jedwabną materię i prychnął deprecjonująco.

- Niektórzy nazywają ten kolor „fenicką purpurą królewską”, bo kiedyś tylko królowie mogli sobie na niego pozwolić zaś ktokolwiek noszący go, a nie należący do rodziny królewskiej, mógł zostać ukarany śmiercią. Teraz -

wzruszył ramionami - jedwabniki są w Hotanie i Konstantynopolu, przepis na fenicką purpurę znany jest wszędzie i biedny kupiec, taki jak ja, może ubierać się jak imperator!

- A jaki jest przepis na fenicką purpurę?

- Małże! - Jakob uśmiechnął się, kontemplując zakazaną przyjemność.

- Świeżo zabite małże, tak Fenicjanie wyrabiali barwnik. Moi ludzie nie powinni jeść małży - są z morza i nie mają kręgosłupa. Ale ja jadłem je nieraz, są przepyszne. Reguły są po to, żeby je łamać - po cóż innego żyć?

- Nigdy nie jadłem małży - przyznał Gwellyn.

- Spędź więcej czasu nad morzem, a na pewno zjesz rzekł Jakob. -

Spędź wystarczająco dużo czasu żywy - żyj dość długo - i na pewno ci się to przytrafi!

Zniżył głos do swego konspiracyjnego szeptu, który był dość głośny, żeby usłyszał go każdy znajdujący się w zasięgu głosu.

- Dają ci, rozumiesz, więcej ekscytacji, kiedy się kochasz. To ważna rzecz dla kogoś w moim wieku - Jakob mrugnął do Gwellyna.

Chłopak uśmiechnął się.

- Czyli Fenicjanie byli ekspertami w uprawianiu miłości w kolorach tęczy.

- W większej liczbie dziedzin - rzekł Jakob. - Byli wspaniałymi żeglarzami. Wydobywali cynę na północnych krawędziach świata; na kontynencie nubijskim znaleźli drogie kamienie. Dla zapisywania wszystkich transakcji, żeby móc szybko notować w trakcie dojenia kolejnych portów do sucha, wynaleźli system pisma, który tak lubisz - alfabet grecki.

- To dlaczego jest on nazywany alfabetem greckim?

- Ach, Grecy dużo od nich zaadaptowali, trochę wymyślili, przechrzcieli wszystko - wyjaśnił Jakob. - Wzięli fenickie pismo, dodali samogłoski i ten system stał się powszechnie znany pod nazwą pochodzącą od greckich słów, określających dwie pierwsze litery - alfa i beta - alfabet.

Gwellyn skinął głową.

- Grecy podróżowali daleko, Aleksander dotarł do brzegów tej rzeki. I mieli ze sobą wiele rzeczy... a my jesteśmy osadem tego wszystkiego, Greków i Hindusów!

- Tu wchodzi w grę osady o wiele starsze, niż twój i mój lud razem wzięte - zaprzeczył Jakob. - Chodź, flet czeka na nas.

- Barbaricon nie jest już takim miastem jak kiedyś - powiedział wysoki nestorianin do dwóch ludzi, którym służył za przewodnika. Jeden z nich był wyższy nawet od niego, drugi wyraźnie niższy, za to głos miał grzmiący-

cy, nawet gdy mówił szeptem. - Kiedy Parsja - Persja - pobierała wysokie myto za drogi prowadzące na Zachód, Rzymianie cenili to miasto za jedwab, który dostarczano im drogą morską. Tak samo Bizantyjczycy, z tego samego powodu.

- A teraz islam podbija świat i drogi przez Persję znów się zamykają -

skomentował człowiek mówiący donośnym szeptem. - Być może to miasto nad Indusem znów nabierze znaczenia!

- Tak, zwolennicy Mahometa zmieniają wiele rzeczy - zgodził się nestorianin. - Nawet kiedy tu rozmawiamy, w pobliżu rzeki Talas ich armie potykają się z oddziałami z Kraju Jedwabiu.

Jakob wzdrygnął się.

- Gdyby Kraj Jedwabiu upadł, byłoby bardzo źle.

Nestorianin skinął głową.

- Ich cesarze byli bardzo mili dla mojego ludu. Lecz wszystko się zmienia w dzisiejszych czasach i to niekoniecznie na lepsze.

Jakby te słowa były sygnałem, otworzył się przed nimi wąski zaułek.

Gwellyn, wciąż przyzwyczajony do otwartych przestrzeni i świstu wiatru na jego ojczystej ziemi w

okolicach Kotliny Tarymskiej, skulił się bezwiednie, uderzony i widokiem, i wonią.

- W tej szopie grają słodką muzykę - Nestorianin wskazał coś wyglą-

dającego w świetle księżyca jak kupa kamieni na końcu zaułka - więc przynajmniej jeden z waszych zmysłów dozna dziś przyjemności.

Atmosfera wewnątrz szopy była jeszcze gorsza, więc Gwellyn oddychał

płytko, starając się jak najmniej zanieczyścić sobie płuca. Lecz w tym wnę-

trzu naprawdę rozbrzmiewała smutna, czysta, słodka muzyka, z początku prawie niedostrzegalna, która zdawała się ocierać o jego palce u stóp, peł-

nać po nogach w górę, na pierś, pod ramiona, gdzie, wstydliva i kusiciel-ska, łaskotała go przed dotarciem do uszu...

Oczy Gwellyna powoli przyzwyczyły się do tutejszego oświetlenia, gorszego niż na zewnątrz, ciepłego, migotliwego, prawie jak blask gwiazd.

W końcu dostrzegł, skąd pochodziło - z małej, niedymiącej lampy, lśniącej biało w kącie - a potem źródło diatonicznych fraz, narastających i opadają-

cych jak odwrotny deszcz, z ziemi ku niebu. Był to mężczyzna, nieco tylko od niego starszy, o ziemistej skórze, zapadniętych policzkach i trudnych do zobaczenia oczach.

- Urzekające - zaszeptał Jakob, choć Gwellyn z trudem dosłyszał go przez muzykę.

- Możemy z nim porozmawiać? - Jakob spytał nestorianina.

- W tych stronach za odpowiednią opłatą można wszystko - odparł

przewodnik.

Jacob wyciągnął pięć monet z wewnętrznej kieszeni. Dał je nestorianinowi, który cztery z nich przycisnął do bosych podeszew flecisty, a jedną zatrzymał sobie. Muzyka umilkła.

- Oczywiście on nie zna tochariańskiego - powiedział nestorianin. -

Postaram się tłumaczyć jak najlepiej.

Jakob skinął głową i zapytał, skąd pochodził instrument.

- Mówi, że otrzymał go od swego ojca, który dostał go od swojego ojca, ale na samym początku sporządzili go z kości niedźwiedzia bardzo starożytni ludzie.

Oczy Gwellyna rozbłysły podnieceniem.

- Zapytaj go, czy mogę dokładnie obejrzeć jego wspianiały instrument.

- Jestem pewien, że się zgodzi - rzekł nestorianin - za odpowiednią cenę.

Jakob stęknął i wyciągnął kolejne pięć monet, z których cztery znów trafiły pod stopę flecisty.

Nestorianin ostrożnie podał flet Gwellynowi.

- Jest dużo twardszy niż kość - powiedział chłopak. - Ciekaw jestem, czy to właśnie zapewnia mu tę głębię brzmienia.

Jakob przesunął palcami po instrumencie.

- Najwyraźniej jest to jakaś kompozycja kości i kamienia. Może ci starożytni znali sekret mieszania tych dwóch substancji - to nie pierwszy raz, kiedy spotykam tego rodzaju miksturę, czasami widywałem ją nawet w ludzkich szczątkach.

Gwellyn przypomniał sobie szczątki śpiewaka, które zmełli z bratem na proch. Były w nich tylko kości, bez śladu kamienia.

- Może to jakaś metoda balsamowania? - zasugerował nestorianin.

- Może - zgodził się Jakob. - A może, Boże chroń, jakaś choroba, która

częściowo obraca kości w kamień. Zdrowie - jeśli je masz, bogatyś!

- Zapytaj go, czy wie, gdzie są teraz ci ludzie - poprosił Gwellyn. - Ci starożytni, którzy sporządzili ten kościano-kamienny flet.

Nestorianin przekazał pytanie w języku pełnym młaśnieć i chrząknięć, którym zwracał się do flecisty. Posłuchał odpowiedzi.

- On mówi, że niemal wszyscy teraz są już tylko kośćmi, ale niewielu jeszcze żyje.

- Tak, ale gdzie? - zniecierpliwił się Gwellyn.

- On mówi „Wszędzie, w nas wszystkich”.

- To żadna odpowiedź - rzekł Gwellyn. - Zapytaj go, gdzie na Ziemi?

Na którym lądzie?

- On mówi „Oni żyją głównie na lądzie za lądem”.

- Zagadki - prychnął Gwellyn. - Nie chcę zagadek. Zapytaj go o nazwę najbliższego im lądu.

- On mówi „Kraj Jedwabiu. Kraj T'angów” - przełożył nestorianin.

- A gdzie jest ten następny ląd w stosunku do Kraju Jedwabiu? - zapytał Gwellyn. - W chmurach? Za pustynią?

- Powie ci, że za wielkim morzem - wtrącił Jakob.

- Wiem - rzekł Gwellyn. - Ale chcę to usłyszeć od niego.

- On mówi „Następny ląd jest za wielkim morzem” - oznajmił nestorianin.

- Widzisz? Mówiłem ci! - Jakob podkreślił swoją wypowiedź kości-stym palcem.

Gwellyn skinął głową.

- Ci grajcy z kościano-kamiennymi fletami zawsze dają taką samą odpowiedź - oznajmił Jakob.

- Właśnie tak brzmiał twój sokratyczny argument przeciwko słowu pi-sanemu - zauważył Gwellyn. - Daje tylko jedną, niezmienną odpowiedź, jak wyrytą w kamieniu...

Wdali się w kolejną wersję ich odwiecznej debaty na temat pisma, jego zalet i wad, potem przeszli do omawiania mór, sposobów dostania się do nich i dokąd mogą zaprowadzić...

Nestorianin stał spokojnie, słuchając wszystkiego uważnie. W końcu oddał flet właścicielowi, który podjął grę.

Jeszcze później cała trójka opuściła szopę.

Gwellynowi muzyka wciąż brzmiała w uszach, kiedy wychodzili z zauł-

ka, a nawet jeszcze kiedy wyszli poza obręb Barbariconu, do małego obozu, który razem z Jakobem i resztą grupy założyli pod miastem.

Słyszał muzykę przez całą noc, również przez następny ranek i wieczór, żywe wcielenie paradoksu Xeno o połówce połówki nigdy nie osiągającej zera, asymptotycznie cieniejąca nitka miodu łącząca go z człowiekiem o ziemistej skórze, wygrywającym na flecie smutne, jasne, słodkie melodie...

Zaczął zdawać sobie sprawę, że już nigdy się jej nie pozbędzie.

- Aleksander w moim wieku już podbił połowę świata! Czego się tak obawiasz?

- Niezupełnie - sprostowała Daralyn. - Aleksander obejmując koronę po ojcu, miał dwadzieścia lat, a kampanię na wschód rozpoczął w wieku dwudziestu dwóch. Był też uczniem Arystotelesa. Poza tym działo się to tysiąc lat temu - czasy się zmieniły.

Gwellyn dał jej klapsa w pośladek i zatrzymał tam dłoń.

- Tak, to prawda. A my teraz wiemy o wiele więcej niż ludzie w czasach Aleksandra - o wiele więcej na temat dalekich podróży tak lądem, jak morzem.

- Doprawdy? - Daralyn odsunęła jego rękę, ściskając ją jednak czule.

- Oczywiście! Kupcy, tacy jak Jakob, podróżują teraz niemal wszę-

dzie: od Rzymu przez Antiochię do Kraju Jedwabiu. Aleksander dotarł

zaledwie do Indusu, ale w jego czasach uważano to za cud.

- Tak, ale nawet to niewiele ma wspólnego z wyruszeniem na statku nie wiadomo dokąd. Aleksander przynajmniej stapał po ziemi. Wszyscy napotkani ludzie mogli mu coś powiedzieć o mieszkających nieco dalej na wschód. W wielu przypadkach nawet bywali tam osobiście. Ty będziesz żeglował, opierając się jedynie na plotkach - powiedziała Daralyn.

Gwellyn milczał.

- Twój ojciec jest temu przeciwny - przypomniała mu łagodnie.

- Ach, jakoś byłem pewien, że do tego dojdzie - odparł Gwellyn.

- On cię kocha.

- Wiedział, kiedy wyruszałem, że powędruję tak daleko, jak będzie trzeba, żeby znaleźć śpiewaków. Moja kontynuacja poszukiwań nie powinna go zaskoczyć.

- Jak sądzę, miał chyba nadzieję, że przejdzie ci to w Barbariconie -

powiedziała.

- Przejdzie mi, kiedy odnajdę śpiewaków.

- Nie wiem, jak daleko będę mogła się z tobą udać.

- Więc będę tęsknił za tobą - odparł.

- Daralyn ma rację, mówiąc o żeglowaniu za plotkami - zauważył

Gwellyn.

- Gdybyśmy więcej wiedzieli o śpiewakach, to podejrzewam, że poszukiwania ich nie wydawałyby ci się tak zwodnicze - odparł Jakob. -

Wciąż jednak została jeszcze nam śpiewająca ceramika...

Gwellyn westchnął.

- Nestorianin puści nas z torbami, zanim jeszcze rozpocznie się nasza podróż - skrzywił się. - Dobra, zerknę na to, a raczej posłucham...

Znaleźli garncarza za rzędem szop bez jednej ściany, w pobliżu rzeki.

- On nie mówi po tochariańsku - przypomniał nestorianin.

- Nie, oczywiście że nie - westchnął Gwellyn.

- Czy rozumiesz, co usłyszysz, na czym to polega?

Gwellyn skinął głową.

- Pozwól mi upewnić się, że ja rozumiem - wtrącił się Jakob. To spotkanie kosztowało ich dwadzieścia monet i chciał dostać za nie towar o odpowiedniej wartości. - Istnieje rodzaj ceramiki przechwytyjącej dźwięki, które rozlegają się wokół niej w trakcie jej tworzenia. Coś jak malowanie dźwiękiem.

- Tak - potwierdził nestorianin.

- Te dźwięki powodują powstawanie na ceramice linii, po których można przeciągnąć odpowiednim stylusem czy grzebieniem, co przywraca te dźwięki do życia.

- Tak - rzekł nestorianin. - Ten garncarz ma całą ich kolekcję, tysiące z całego świata i z wielu wieków.

Garncarz popatrzył na nich i uśmiechnął się.

- Może jednak on rozumie tochariański - zauważył Gwellyn.

- Jest po prostu szczęśliwym człowiekiem - sprostował nestorianin i kontynuował wyjaśnianie garncarzowi - posługując się tym samym językiem młaśnieć i chrząknięć, co wobec flecisty - które dźwięki ze zbioru goście będą chcieli usłyszeć.

Gwellyn i Jakob wysłuchali tego dnia bardzo wielu. Odbywało się to w bardzo osobisty sposób - tylko jedna osoba naraz mogła to robić, bo tylko jedno ucho mieściło się w miejscu, gdzie ceramika produkowała dźwięk. Z

początku był on odległy i słaby, ale przy trzecim czy czwartym zapisie słuch Gwellyna przystosował się i za każdym razem, gdy garncarz przesuwiał grzebieniem po kolejnym kawałku ceramiki, przenosił się w inny świat.

Słyszał kobiety przeżywające orgazmy, przy których okrzyki Daralyn brzmiałyby zaledwie jak kwilenie... starych ludzi jęczących i umierają-

cych... śmiejące się dzieci... śpiewające ptaki, syczące węże... szumiący wiatr, coś trzepoczącego się pomiędzy drzewami... i muzykę, wszelkie rodzaje muzyki...

- Ci garncarze wiedzieli jak żyć - skomentował Jakob.

Słuchali dalej, zmieniając się.

- Nadzwyczajne - powiedział w końcu Gwellyn. - Chyba jesteśmy już gotowi usłyszeć to, po co przyszliśmy.

Nestorianin przekazał tę informację garncarzowi młaśnięciami i chrząk-nięciami.

- Powiedział, żebyście najpierw przesunęli dłońmi po tym, na szczęście.

Przewodnik wziął kawałek jedwabiu od rzemieślnika, który wyjął go z dużego, owalnego dzbana przyniesionego z szopy prawie ukrytej pomiędzy innymi. Ceramika dźwiękowa była cielisto-ochrowej barwy, pokryta żłobieniami, tak głębokimi w niektórych miejscach, iż Gwellyn dziwił się, że jeszcze nie pękła.

Kiedy garncarz delikatnie przesunął po niej grzebieniem, chłopak skupił się na dźwiękach.

Znów usłyszał jasną, słodką, smutną muzykę, tę, która nigdy go nie opu-

ściła, choć teraz brzmiała jednocześnie na zewnątrz i wewnątrz jego uszu, koło głowy i w pamięci.

Dobiegło go mamrotanie, szczekanie psa, a potem najbardziej przykuwający głos, jaki kiedykolwiek spotkał. Było to coś pomiędzy błaganiem a modlitwą, pieśń nieprawdopodobnie łagodna, złożona z mniej niż słów ale więcej niż tylko dźwięków, sama lekkość, westchnienie wibrujące mocniej niż krzyk...

Natychmiast i na zawsze zrozumiał, dlaczego ci brutalni ludzie z poranka ludzkości zostali nazwani śpiewakami.

- Słyszałeś głosy, więc wiesz, że istnieli - powiedziała Daralyn. - Tyle i tak już wiedziałeś.

- Tak, wiedziałem od chwili, gdy razem z bratem spaliliśmy ciało śpiewaka i skruszyliśmy jego kości na pył.

- Lecz nadal nie wiesz, czy żyją dzisiaj - a jeśli tak, to gdzie.

- To prawda - przyznał Gwellyn.

- Ale pomimo to jesteś zdecydowany pożegłować przez morze w ich poszukiwaniu.

- To prawda.

Daralyn odwróciła się, rozdrażniona.



- Łódź będzie niewielka - powiedział Gwellyn. - Z nieliczną załogą.

Mam prawo ryzykować własnym życiem w imię czegoś, w co wierzę. Inni także.

- Mała? Zamierzasz wypuścić się na ogromne morze w małej łodzi?

- Jakob zna kogoś, kto przybył tu z odległej wyspy, na której robią niewielkie łodzie, bardzo sprawne w morzu, nazywane curragh. Sama ta nazwa przemawia do mnie - brzmi, jakby miała związek z moim ludem. W

tej chwili jedna łódź się buduje.

Daralyn chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej szelest przed namiotem.

- Proszę wejść - rzekł Gwellyn.

Był to Li-Hsien, buddysta, który pracował jako łącznik pomiędzy ojcem Gwellyna a ludem Jadeitowej Bramy w Yumen.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam... - zaczął.

Gwellyn machnięciem dłoni zbył jego przeprosiny i zaoferował gościowi czarę sfermentowanego kobyłego mleka. Została przyjęta i szybko opróżniona.

- Jeszcze? - zapytał Gwellyn.

Li zawahał się, potem potwierdził skinieniem głowy.

- Czyli przynosisz wieści od mojego ojca - powiedział chłopiec, gdy Li wychylił drugą czarę. - Niech zgadnę - przesyła mi polecenie, bym nie kontynuował swojej wyprawy odkrywczej.

Odwrócił się do Daralyn.

- Co zrobiłaś? Posłałaś mu ostrzeżenie na blasku księżyca? Nawet ptak nie zdołałby dolecieć stąd tak prędko!

Li zaczął coś mówić, zaciął się, odchrząknął i zamilkł.

- Dobrze - powiedział Gwellyn. - Możesz mi przekazać wiadomość od ojca. Ja nie wierzę w mordowanie posłańców.

- Wiadomość nie jest od twojego ojca - wyjął w końcu Li.

Gwellyn był zaskoczony.

- Wiadomość jest o twoim ojcu - ciągnął gość. - Jego duch przeniósł

się do innego wymiaru. A Allyna nigdzie nie można znaleźć.

- Co?

- Twój ojciec opuścił ten świat - uściślił Li.

- Kto to zrobił? - zapytał Gwellyn. - Wyznawcy Mahometa?

- Nie, to była choroba. Niektórzy mówią, że powinni spalić ciało twojego ojca i sproszkować jego kości.

Daralyn ujęła go za rękę. Jej ciepłe palce tak przyjemnie ogrzewały zlodowaciałe nagle wnętrze jego dłoni. Wciąż jednak dygotał.

Popatrzyła mu w oczy z miną mówiącą: na pewno teraz powrócisz, żeby zostać szamanem swego ludu. Będę ci towarzyszyć. Będę cię wspierać.

Lecz jeśli Gwellyn miał choćby najmniejsze wątpliwości, czy podejmować swą szaloną wyprawę, to teraz znikły, szybciej niż lód w pełnym słoń-

cu.

# CZTERY

## Wyspa Madagaskar

około A.D. 752

Zawodne wiatry sprowadziły ich małą łódź daleko z kursu. Wylądowali na wielkiej wyspie, która według ich przewodnika znajdowała się o 250 mil od głównego lądu, południowego kontynentu, który nazywał Ifriką. Tym przewodnikiem był mahometanin, Ibrim al-Hibris. Gwellyn z początku nie był pewien, czy można mu ufać. Lecz Ibrim był gotów pracować wyłącznie za udział w ewentualnie odkrytych skarbach. A także, jak powiedział Jakob:

„na morzu wszyscy jesteśmy żebrakami, więc nie możemy być wybredni”.

Gwellyn także miał wrażenie, że wzięwszy pod uwagę czekające ich wielkie nieznanne, różnice wynikające z ich przeszłości nie mają żadnego znaczenia...

- Niektórzy ludzie nazywają ją Wyspą Małą - zauważył Ibrim, kiedy usiadł przy pierwszym ognisku na plaży, obok Gwellyna i Jakoba.

Paschos - arystotelewski zoolog z Konstantynopola, z wiszącym mu nad głową wyrokiem za pewne niewłaściwe zachowania wobec zwierząt, czwarty członek ich wyprawy - spał. Jakob poręczył za niego.

- Sądząc po wielkości, można by ją wziąć za kontynent - rzekł Gwellyn.

- Uwierzcie mi na słowo - upierał się Ibrim. - Gdyby wiatry zepchnęły nasz statek bardziej na zachód, znaleźlibyśmy się pomiędzy Ifriką, prawdziwym kontynentem, a tym małym rajem małą, który niektórzy mieszkań-

cy uważają za statek krążący po oceanach.

- Słyszałem, że tę wyspę nazywa się także Madagaskarem - powiedział Jakob - zakładając, że chodzi o to samo miejsce. Podobno żyje tu mnóstwo rozmaitych małą - twierdzi się, że co najmniej tyle, ile jest rodzajów ludzi na ziemi. Powinno cię to uszczęśliwić - spojrzał w stronę Gwellyna.

- A to dlaczego? - zdziwił się chłopak. - Dlaczego mały miałyby mnie w ogóle obchodzić?

- Bo mały są spokrewnione z ludźmi - odparł Jakob. - Są do nas podobne o wiele bardziej niż tylko z wyglądu. Nie zauważyłeś?

- Któż mógłby temu zaprzeczyć? - rzekł Ibrim.

- I być może pomogą dowiedzieć się czegoś o śpiewakach.

- Tego nie mogę powiedzieć - nie zgodził się Ibrim.

- Dość o małpach - przerwał Gwellyn. - Jacy ludzie tu żyją?

Grzał sobie dłonie nad ogniskiem. Może to ciepło, a może fakt znalezienia się po wielu miesiącach wreszcie na lądzie spowodował, że dziś szczególnie brakowało mu Daralyn. Co noc żałował, że zostawił ją w Barbariconie - a minął już prawie rok. Jednak wzięcie na tego typu wyprawę takiej kobiety jak ona - jakiegokolwiek kobiety - było niemożliwe. Gdyby nie od-mówiła kategorycznie udziału w podróży i tak miałby obowiązek ją zostawić.

- Islam jeszcze tu nie dotarł - mówił Ibrim - ale nadejdzie. Tymczasem, z tego co słyszałem od znajomych podróżników, którzy dotarli aż tak daleko, na tej wyspie najwyraźniej żyją dwa typy ludzi - czarni Ifrikanie zza kanału oraz ludzie z oceanicznych krain, leżących bardzo daleko na Wschodzie.

- Oceanicznych krain? - zapytał Gwellyn.

- O, tak - potwierdził Ibrim. - Na południe i wschód od Kraju Jedwabiu jest wiele wysp. Niektóre leżą jeszcze dalej.

- Tam mieliśmy się udać - wtrącił Jakob smutno - na ogromny ląd, od-dzielony od Kraju Jedwabiu wielką wodą, na bardzo dalekim wschodzie.

- Wiem - zgodził się Ibrim współczująco - ale nie mamy władzy nad wiatrami, a w takiej łodzi jak nasza, jesteśmy całkowicie zdani na ich łaskę.

To dlatego wędrowcy wolą Jedwabny Szlak niż Trakt Przyprawowy, chyba że droga jest zamknięta.

- Spróbujmy porozmawiać z tymi ludźmi oceanu - zaproponował

Gwellyn. - Może na tych dalekich wyspach wiedzą coś o śpiewakach.

Ibrim uśmiechnął się.

- Najpierw musimy ich znaleźć. A potem mieć nadzieję, że zrozumie-my ich mowę. Ale Paschos to człowiek o rozlicznych talentach.

Kiedy w końcu, prawie pięć tygodni później, nawiązali kontakt, okazało się, że wszyscy rozumieli trochę ten język, oprócz Gwellyna, choć nawet i on coś łapał, ponieważ mowa ludzi oceanu wydawała się spokrewniona z kilkoma dialektami używanymi w Barbariconie.

- Mają coś wspólnego z ludem zamieszkującym archipelagi w północno-wschodniej części Traktu Przyprawowego, dość niedaleko od początku naszej podróży - powiedział Gwellynowi Paschos, kiedy przyglądali się małej grupce ludzi oceanu pogrążonych w rozmowie z Jakobem i Ibrimem.

Dyskusja toczyła się na temat, jak zdobyć świeżą żywność i komu za nią zapłacić - była to najpilniejsza ich potrzeba. Oczywiście po zapewnieniu sobie bezpieczeństwa, co udało się nad podziw łatwo. Ci wyspiarze najwyraźniej nic nie wiedzieli o broni.

- Nigdy nie byłem na tamtych wyspach, więc nie wiem, jak wyglądają ludzie stamtąd - powiedział

Gwellyn. - Lecz podobnych do tych widziałem w Barbariconie. Ubranych inaczej - te włókna roślinne są szczególnie po-ciągające.

Miał na myśli zwłaszcza dwie kobiety, obie mniej więcej w jego wieku jak sądził, obie ubrane w spódniczki w kolorze suchej trawy, sięgające od pasa do kostek. Jedna z nich zarzuciła też na górną część ciała prostokątny kawałek materii, przypominający rzymską togę. Druga nad spódniczką nie miała nic. Gwellyn nie mógł oderwać oczu od jej piersi, pięknych, przypominających słońca wynurzające się zza horyzontu.

- Nie noszą zwierzęcych skór jako ubrań - wyjaśnił Paschos.

- Mówią, że skóra powinna być związana z bijącym sercem.

- Można w tym dostrzec pewną logikę - zgodził się Gwellyn, nie odrywając oczu od kobiety, a właściwie od miejsca, pod którym wyobrażał

sobie jej bijące serce.

- A kiedy serce stanie, skórze powinno się okazać szacunek, na jaki zasługiwał mieszkający w niej duch, a nie zamieniać w ubranie - ciągnął

Paschos.

Gwellyn przyglądał się skórze podnoszącej się i opadającej w rytm od-dechu.

- Mam nadzieję, że jej serce będzie biło bardzo długo - powiedział cicho.

Jakob i Ibrim nadal prowadzili interesy.

- Mówią, że chętnie podzielą się z nami swoją żywnością - Jakob wyjaśnił Gwellynowi i Paschosowi po grecku, w jedynym języku, który rozumieli wszyscy czterej morscy podróżnicy.

Jeden z wyspiarzy, mężczyzna koło dwudziestki, ubrany w przepaskę biodrową i rodzaj togi, przypuszczalnie nie rozumiejący greki, stał koło Jakoba. Ibrim odchodził z pozostałymi tubylcami.

- Idzie z nimi nakopać trochę korzeni dla nas - wyjaśnił Jakob. - Oni mówią, że te korzenie są słodkie, pożywne i długo można je przechowywać po wykopaniu.

Gwellyn skinął głową, wciąż skupiony na kobiecie w samej spódniczce.

- Obiecali też zaprowadzić nas do każdego miejsca na wyspie, dokądkolwiek zechcemy pójść - dodał Jakob.

- A za jaką cenę? - zaciekawił się Paschos.

- Za zabranie jednego z nich na statek, kiedy będziemy opuszczać tę wyspę. Mówią, że ich dziedzictwo ludzi oceanu tego wymaga.

- Czy na łodzi mamy dość miejsca? - zapytał Gwellyn, z nagłym zain-teresowaniem.

- Tylko jeśli jeden z nas tu zostanie - rzekł Paschos.

Jakob skinął głową.

- To jest w porządku.

- A jaką odpowiedź im daliście? - zapytał Gwellyn.

- Standardową w takich okolicznościach - odparł Jakob. - Powiedzia-

łem im, że nie możemy tego zagwarantować. Powiedziałem, że jeden z nas może tu zostać tylko i wyłącznie z nieprzymuszonej, własnej woli.

- A ich odpowiedź?

Jakob uśmiechnął się.

- Powiedzieli, że tak będzie dobrze, że na pewno nie zabraknie chętnych do dobrowolnego pozostania na tej wyspie.

Gwellyn popatrzył na wyspiarza, który teraz też się uśmiechał.

- Jest coś jeszcze - Jakob przeszedł na swój donośny szept, mimo że mówił po grecku. - On jest gotów zaprowadzić nas do znajdujących się w lesie stosów kości, które według niego mogą mieć coś wspólnego ze śpiewakami.

- Powiedziałeś im o śpiewakach?

- Tak - przyznał Jakob. - Zapytali, dlaczego tu przyplłynęliśmy i powiedziałem im. Opisałem im śpiewaków i ich kości.

Gwellyn obejrzał się w stronę Ibrima i oddalających się wyspiarzy.

- Czy Ibrim wie, dokąd idziemy?

- Uczestniczył w rozmowie, więc wie - rzekł Jakob.

- Ile zajmie nam dotarcie do tych kości? - spytał Gwellyn.

- Cała wędrówka tam i z powrotem nie powinna zająć więcej niż tydzień - odparł Jakob. - Ibrim do tego czasu powinien zebrać dość zapasów.

Gwellyn ledwie rozróżniał poszczególne osoby w oddalającej się grupie.

Przez moment miał wrażenie, że kobieta w samej spódniczce odwróciła się i nagrodziła go najśłodszym, przelotnym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział. A może to tylko jego wyobraźnia...

- No to ruszajmy do lasu - powiedział.

Zana, ich przewodnik, zalecił ciszę i pokazał na prześwit za paprociami.

Gwellyn opadł na czworaka najciszej jak potrafił i wyciągnął głowę we wskazanym kierunku. Wstęga jaskrawych, jasnofioletowych ciem wyleciała pospiesznie z krzaka i wzleciała w mroczniejsze niebo - jak szarfa z fenickiego jedwabiu, pomyślał Gwellyn. Z krzaka wylazło, węsząc, małe zwierzę z puszystym ogonem.

- Aye-aye - powiedział Zana, cichym, miękkim głosem.

Paschos zachichotał.

- To znaczy „zawsze” po grecku, jestem pewien, że to czysty przypadek. To miejscowa nazwa tej małej małpy.

- Małpy? Bardziej przypomina kota - szepnął Gwellyn.

- Przyjrzyj się dokładniej - polecił Paschos. - Popatrz na jej twarz.

Gwellyn przyjrzał się i zaparło mu dech. W tych oczach czaiła się prawdziwa inteligencja, bliższa ludzkiej niż kociej.

- Nadal więc uważasz, że małpy nie są spokrewnione z ludźmi? -

szepnął Jakob, jeszcze głośniejsze niż zazwyczaj.

Zana skrzywił się.

- Lecz jak stworzenie tak małe jak kot, może mieć więcej wspólnego z człowiekiem niż kotem? - zapytał Gwellyn.

Zatrzymali się na noc w prześwicie.

Było dość ciepło, żeby nie potrzebowali ognia do ogrzania się.

Dzięki pełni było też dość jasno, by nie potrzebowali ognia do oświetlenia.

Gdy ludzie pojawili się w prześwicie, aye-aye najpierw uciekła, lecz kilka minut później powróciła z towarzyszem i entuzjastycznie przyjęła kawałki bambusa z nadzianymi larwami, które podawali jej najpierw Zana, potem wszyscy. Ludzie pożywiali się tymczasem soczystymi korzeniami, które po południu Zana wykopał w pobliżu rzeki. W końcu księżyc schował

się za drzewami i światło gwiazd, odbijające się w czworogu wielkich oczu aye-aye, pozostało najjaśniejszymi punktami w prześwicie.

- Rozumiecie - powiedział Paschos - patrzymy na życie w tym świecie i przez większość czasu

zastanawiamy się nad różnicami.

Arystoteles naucza, że dobry przyrodnik musi także zwracać uwagę na podobieństwa - na przyczyny formalne, jak je nazywa.

- A, tak - zgodził się Jakob, przypominając sobie filozofię, którą kiedyś, za młodu, intensywnie studiował. - Filozof mówi, że świat napędzają cztery przyczyny. Przyczyny sprawcze to rzeczy chwilowe, które wywołują inne wydarzenia - tak jak ugryzienie przeze mnie tego korzenia daje mi słodki smak albo woda mnie moczy. Przyczyny materialne są składnikami innych rzeczy - to one powodują, że rzeczy się różnią - piasek od wody, woda od korzeni. Przyczyny celowe to dążenia rzeczy - cel jaki ma każde istnienie, ożywione czy nieożywione. Korzeń wyrasta w drzewo. A przyczyny formalne są tym, co nadaje rzeczom ich formę. Niektórzy mówią, że jakiś korzeń przypomina penis, a melon pierś. Coś jak platońskie formy idealne, tylko u Arystotelesa formy są w pewien sposób w nas, w istotach ludzkich. Mam rację?

Paschos skinął głową z uznaniem.

- Jeśli kiedykolwiek oczyszczę swoje imię i powrócę do Konstantynopola, zaproszę cię do Akademii!

Jakob roześmiał się.

- Kupiec wędrując po świecie, podłapuje tu i ówdzie okruchy wiedzy.

- Czyli mówisz, że te małe małpki i my mamy podobne przyczyny -

podobne formy, wewnątrz - nawet jeśli nie wyglądamy podobnie na ze-wnątrz? - zapytał Gwellyn. Wziął ostatni korzeń od Zany i podziękował

uśmiechem. - Lecz potrafimy rozpoznać wewnętrzne formy, kiedy patrzymy w ich twarze?

- Tak, a nawet więcej - rzekł Paschos. - Jeśli podążymy za logicznym rozumowaniem Arystotelesa do wniosków, których sam Filozof być może nie wyciągnął, choć jest to przedmiotem gorących sporów - wtedy zobaczymy głębokie pokrewieństwo we wszystkich żywych istotach, wewnętrzne podobieństwo form łączące ludzi nie tylko z małpami, ale również z tymi larwami, którymi Zana karmi małpy. W gruncie rzeczy z bambusem też.

- Chyba nie bardzo pojmuję twoje słowa - poskarżył się Gwellyn.

- Mówię, że na poziomie form - kształtów wewnątrz tego, co określa nas na zewnątrz, co powoduje, że tworząca nas materia nie tyle wygląda, co działa w określony sposób - mówię, że jeśli potrafilibyśmy znaleźć te formy w nas, w małpach, w larwach i w bambusie, to mogłyby mieć więcej podobieństw niż różnic. Na najgłębszym poziomie, te formy mogą być wzajemnie wymienne.

- Lecz Arystoteles wiedział, że różne gatunki zwierząt nie mogą się krzyżować ze sobą - zauważył Jakob.



- Tak - odparł Paschos - ale to dlatego, że nasze różnice materialne stoją na przeszkodzie.

Zniżył głos, uśmiechnął się do Zany i spytał go, czy przeszkadza mu, że reszta towarzystwa rozmawia w języku, którego on nie rozumie. Zana od-rzekł, że nie ma nic przeciwko temu, ale byłby wdzięczny za przekazanie mu od czasu do czasu krótkiego streszczenia. Paschos najlepiej jak potrafił

opowiedział mu w skrócie, o co chodzi, używając języka wyspiarzy, którym jednak nie władał za dobrze.

Odwrócił się potem do Gwellyna i Jakoba, przechodząc na grekę.

- Rozważcie coś takiego - powiedział. - Nie mogę uprawiać miłości z samicą tej małpy ponieważ, cóż, jest za mała, żebyśmy zdołali się dopaso-wać. To materialna przyczyna stojąca na przeszkodzie. Lecz powiedzmy, że jakoś zdołałbym umieścić w niej moje nasienie - powiedzmy, że tylko nasze formy mogłyby się spotkać. Czy widzicie, ku czemu prowadzi takie hipotetyczne rozumowanie?

Gwellyn pomyślał, że widzi - a także, że być może to rozumowanie nie zawsze było czysto hipotetyczne i przypuszczalnie właśnie to spowodowało kłopoty Paschosa, związane z niewłaściwym traktowaniem zwierząt, jakie miał w Konstantynopolu.

Do niecki z kośćmi dotarli pod koniec następnego dnia. Znajdowała się na skraju jałowego płaskowyżu wznoszącego się ponad lasem.

Patrząc w górę, ku południowemu wschodowi, widzieli wznoszący się tam postrzępiony szczyt górski.

- Tsi-afa-javona - powiedział Zana.

- To, na co mgła nie może się wspiąć - przełożył Paschos.

Patrząc w dół, zobaczyli obniżenie płaskowyżu, równie głębokie jak rozległe, jakby wypłukane tysiącami lat ulewnych deszczy. Kości wszelkiej wielkości i rodzaju połyskiwały w słońcu.

Zajmowali się nimi przez całe dwa dni. Paschos robił staranne notatki trzcinką na kilku przyniesionych zwojach papirusu. Pozostali krzykiem obwieszczali odkrycia, czasem przynosząc znalezione kości czy ich odłam-ki. Oprócz Zany, który zdawał się o wiele bardziej zainteresowany samym procesem pisania niż jego treścią.

Wieczorem siedli wokół ogniska i dyskutowali o odkryciach.

- Większość kości wygląda, jakby pochodziły od tych małych małpek

- powiedział Paschos - choć we wszystkich obecny jest kamień. Największe są chyba resztki po gigantycznym żółwiu - szkielet jest prawie kompletny.

- A co z kośćmi nieprawdopodobnie wielkiego ptaka? - spytał Jakob.

- Tak - przyznał Paschos. - Być może ten ptak był nawet większy od żółwia.

- Lecz jemu chyba chodzi o to - Gwellyn zwrócił się do Jakoba - że niezależnie od tego, jak ogromne są te kości, żadne nie przypominają ludzkich.

Wiedział, że na pewno nie znaleźli w niecce nic przypominającego szczątki śpiewaka - znał te kości z osobistego doświadczenia. Wciąż czuł

we wspomnieniach zapach tego spalonego pyłu.

Wszyscy trzej popatrzyli na Zanę.

- No to ja go spytam - rzekł Jakob. - I zobaczymy, dlaczego uważa, że ten cmentarz arki Noego ma coś wspólnego ze śpiewakami.

Zana wysłuchał pytania, potem zanucił melodię.

- Trudno odróżnić jego mowę od muzyki - mruknął Gwellyn.

- To była tylko muzyka - wyjaśnił Paschos.

Gwellyn westchnął.

Następnego dnia wznowili grzebanie w szczątkach, a Paschos katalogowanie.

- Ibrim będzie się niepokoił, że nie wracamy - zauważył Jakob, kiedy wyciągali wielką żuchwę.

- Zrozumie - zapewnił go Gwellyn, potem pomógł oczyścić potężną szczękę. - Paschos mówi, że powinniśmy starać się nie połamać żadnej z tych wydobywanych kości, bo im mniej połamane, tym łatwiej je zidentyfikować.

- To ma sens - Jakob cofnął się i przyjrzał się żuchwie. - Wygląda na krokodylą - cieszę się, że nie było mnie tu, kiedy jeszcze należała do żywego zwierzęcia!

- Krokodyl by tu teraz nie przeżył - jest za sucho.

Widział krokodyle w Barbariconie i podzielał zadowolenie Jakoba, że nie łążą tu na wolności. Paschos dołączył do nich.

- W pewnym momencie musiała tu płynąć rzeka - powiedział. - Znajdując kość, otrzymuje się przesłankę pozwalającą wnioskować o rodzaju środowiska, w którym żył jej właściciel.

Gwellyn skinął głową.

- Chodźcie - rzekł Paschos. - Chcę wam coś pokazać.

Przeszli jakieś sześćdziesiąt metrów do miejsca, gdzie pracował - ko-piąc, czyszcząc i opisując.

- Co o tym myślicie?

Wskazał na kość, niemal równie grubą jak ludzka udowa i przypuszczalnie dwukrotnie krótszą. Lecz na pewno nie ludzką - nawet Gwellyn to spostrzegł.

- Jakiś bawół? - zastanawiał się Jakob. - Może to fragment szczuplej-szej części jego nogi?

- Tak, wydaje mi się to dobrą interpretacją - zgodził się Paschos. - Ale jak sądzicie, co to są za otwory?

Gwellyn przyjrzał się kości dokładniej i przesunął po niej ręką. Rzeczywiście był w niej rząd otworów, maskowanych z początku przez jasny kolor osadów znajdujących się pod spodem, ale teraz bardzo widocznych...

Nie, widocznych jak gwizdek, to pasowałoby dużo lepiej - pomyślał -

jeśli w ogóle takie wyrażenie istnieje.

Zana uśmiechał się, znów nucąc swoją melodię.

A Gwellyn zorientował się, na co patrzy.

- To kawałek fletu - oznajmił. - Takiego, na jakim grał ten człowiek w Barbariconie!

Do głównego obozu na północno-wschodnim wybrzeżu powrócili pięć dni potem. Cały tydzień później niż z początku przewidywali. W tym czasie Ibrim udał się dwa dni wybrzeżem na południe „by uczyć ludzi pisania”, jak powiedział im jeden z przyjaciół Zany.

- Dobrze stwierdzić, że Ibrim tak się o nas obawiał - zauważył kwaśno Jakob.

Paschos przetłumaczył te słowa Zanie i jego przyjacielowi.

- Nie trzeba wcale... - zaczął Jakob.

Paschos przerwał mu, wskazując na znajomego Zany, który na wpół

mową, na wpół gestami rozpoczął jakąś opowieść.

- Co on mówi? - zaciekał się Gwellyn.

- Mówi, że Ibrim nie martwił się naszą nieobecnością - przełożył

Paschos - bo Zana przekazał informacje o naszej sytuacji stadku ptaków, które przyniosły tę wiadomość tutaj, do jego przyjaciela.

Gwellyn popatrzył na Zanę.

- Nie przypominam sobie, żeby to robił. Czy ptaki można wytresować do takich zadań?

- Tak naprawdę wyraz, którego użył, oznacza „ćmy”, nie „ptaki” -

przyznał się Paschos, - ale nawet ja uznałem, że to zbyt niedorzeczna wersja.

Jakob przewrócił oczami.

- Chodźmy coś zjeść, umieram z głodu.

Kilku wyspiarzy dołączyło do ich posiłku, siadając razem z nimi wokół

ogniska. Gwellyn czuł się zawiedziony, że wśród nich nie było kobiety o najśłodszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek w życiu widział, lecz opanował

się, nie zapytał o nią i zadowolili się skupieniem uwagi na odłamku fletu.

- Jakże miło byłoby posłuchać granej na nim muzyki - powiedział w końcu.

- Mając pół fletu, nie możesz grać - rzekł Jakob.

- To zależy jaką połówkę, nieprawdaż? - zauważył Paschos i ugryzł

kęs bardzo kolorowego i aromatycznego owocu. - Flet przecięty poziomo, pośrodku, wciąż jest zdolny do wydawania dźwięków. Ale to prawda, flet pęknięty wzdłuż osi, jak ten, nadaje się tylko do oglądania.

- Widzę, że znasz nie tylko Arystotelesa, ale i Pitagorasa oraz Euklide-sa - powiedział Jakob.

Paschos uśmiechnął się.

- Bizancjum ma bardzo bogatą kulturę, pożeniło się tam ze sobą wiele starożytnych idei.

- Wy dwaj, z waszą gadaniną o fletach i ożenkach, przypomnieliście mi powiedzonko Jakoba: „Wyżej tego co z tyłu, nie podskoczysz” - wtrącił

Gwellyn.

- Czyżbyś sugerował, że wszyscy jesteśmy dupkami? - odciął się Jakob i cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Zana poprosił o tłumaczenie.

- Jego nucenie przypomina muzykę fletu, którą słyszeliśmy w Barbariconie, nie sądzisz? - Gwellyn spytał Jakoba.

- Trudno powiedzieć - z zastanowieniem powiedział Jakob. - Słyszę pewne podobieństwa, to prawda. Ale dla mnie każda niecywilizowana muzyka brzmi jednakowo.

- Może ta muzyka jest bardziej cywilizowana - zauważył Gwellyn.

- A na jakiej podstawie tak przypuszczasz? - zapytał Jakob.

- Nie wiem - przyznał Gwellyn. - Jest kojąca jak żadna inna.

Pytali Zanę i zaraz po odkryciu fragmentu fletu, a potem jeszcze wielokrotnie w czasie powrotu, dlaczego zaproponował im wizytę w tej niecce kości. Czy wiedział, że znajduje się tam flet? Czy wie o jakimś związku pomiędzy nim a śpiewakami? Wyglądało to na coś więcej niż przypadek, ale Gwellyn nie potrafił wydobyć od Zany jasnej odpowiedzi. Pytany o flet, wyspiarz zawsze ograniczał się do nucenia swojej prymitywnej, zapadającej w pamięć melodii.

Gwellyn poprosił Paschosa, by zapytał Zanę jeszcze raz.

Otrzymali dokładnie tę samą odpowiedź.

- Przypuszczalnie nie tyle nie chce, ile nie jest w stanie nam odpowiedzieć - zasugerował Jakob. - Może jest tylko przewodnikiem - i lubi nucić -

a ktoś inny wśród wyspiarzy może podać konkretne wyjaśnienia...

Gwellyn właśnie zwrócił uwagę na innego wyspiarza, ale wcale nie w poszukiwaniu wyjaśnień, o których mówił Jakob...

Kobieta o tych najśłodszych atrybutach weszła właśnie do obozu. Usiadła po drugiej stronie ogniska i na mgnienie oka nawiązała z nim kontakt wzrokowy.

Teraz była całkowicie ubrana, ale dla oczu Gwellyna materiał nie był żadną przeszkodą.

Tej nocy chłopak nie będzie już dyskutował o fletach i śpiewakach, Jakob wyraźnie to dostrzegł - i uśmiechnął się z satysfakcją zastępczego ojca.

Ibrim wrócił po dwóch dniach.

- Powiedziano mi, gdzie znaleźć drugą połówkę fletu - oznajmił.

Paschos podniósł wzrok znad zapisków.

- Zawiadommy pozostałych.

Jakob został oderwany od swojej roboty przy statku, Gwellyn od kąpieli z Lilee w pobliskiej lagunie.

- Wciąż nie potrafię pojąć, jak stadko ciem mogło dostarczyć ci tak złożoną informację - oznajmił Gwellyn. Słońce przyjemnie grzało jego mokrą skórę.

- Ja także nie potrafię tego wyjaśnić - przyznał Ibrim - ale najwyraź-

niej ją otrzymałem.

- Chyba wiem, jak to możliwe - rzekł Paschos. - Smaruję na pergami-nie zawijasy, które przekazują głosy, opisują wydarzenia sprzed kilku dni albo te mogące się wydarzyć jutro. Myśl, że grupka ciem także może przenosić takie informacje, wcale nie jest dziwna - dwie, pięć czy dwanaście, ustawionych w konkretny sposób może nieść ze sobą znaczenie jak litery w naszym alfabetcie. Potrzeba tylko motyli w dwóch kolorach. Cma w jednym kolorze to alfa, drugim beta, dwie alfy to gamma, dwie bety to delta, alfa i beta to epsilon, trzy alfy - zeta, trzy bety - eta...

- Jak abak z Kraju Jedwabiu, o dwukolorowych koralikach - skojarzył

Jakob.

Paschos skinął głową.

- Fascynujące - rzekł Gwellyn. Zwrócił się do Ibrima. - Powiedz nam więcej o drugiej połówce fletu. Ile to dni stąd?

Ibrim uśmiechnął się, potrząsnął głową.

- Nie dni. Miesiące. A może lat.

Jakob uniósł brwi.

- Pokażę wam - Ibrim wetknął patyk w piasek. - Narysowali mi mapę, a ja mam dobrą pamięć do takich rzeczy.

Nakreślił niewielki owal.

- To wyspa, na której się znajdujemy.

Po lewej nakreślił o wiele większą masę lądu, szerszą na górze niż na dole.

- To kontynent za kanałem - Ifrika.

Pozostali trzej mężczyźni skinęli głowami.

- My - ciągnął Ibrim - jesteśmy tutaj.

Pokazał na prawą, górną część owalu.

- Żeby znaleźć drugą połówkę fletu musimy wsiąść na statek i popły-nąć tak.

Narysował linię w dół prawej strony owalu, potem do prawej strony Ifriki, wokół jej końca, wzdłuż lewego wybrzeża, na samą górę...

- To stamtąd przybył flet - Ibrim dźgnął patykiem obszar powyżej kontynentu. - Tubyłcy twierdzą, że

jego twórcy odwiedzili raz ich wyspę, u zarania ich dziejów...

- Jak dawno temu to było? - zaciekał się Gwellyn.

- Nie wiem - odparł Ibrim. - Wciąż jeszcze nie rozumiem ich sposobu liczenia czasu.

Gwellyn popatrzył na znak w piasku, powyżej kontynentu.

- Gdzie to dokładnie jest? Czy to miejsce ma nazwę?

- W pobliżu Galii Rzymskiej? - zapytał Jakob.

Ibrim skinął głową.

- Tak, na to wygląda. Islam dotarł już dalej na zachód, po północnej krawędzi Ifriki, przez wąskie cieśniny, do lądu nad oceanem, gdzie Rzymianie kiedyś byli, ale teraz już ich nie ma. Dam wam list - informujący moich braci o waszych dobrych intencjach. Więc kiedy tam dojdziecie, będziecie dobrze traktowani.

Gwellyn zaśmiał się, myśląc, że Ibrim żartuje.

- Składasz przysięgę milczenia?

- Nie - zaprzeczył Ibrim. - Nie chcę kontynuować naszej wyprawy. Ja zostanę tutaj.

- Niemożliwe! Jesteś nawigatorem! - Teraz Gwellyn się nie śmiał.

- Można wyszkolić Zanę - rzekł Ibrim. - Niemal każdego z tych ludzi.

Wiedzą o morzu i postępowaniu z nim o wiele więcej, niż się nam wydaje.

Żyją tu z wyboru - nie z konieczności - i nie mogę ich za to winić.

- Sam myślałem o pozostaniu - wyznał Paschos. - Żeby sporządzić bardziej kompletny katalog tych kości. Tylko pobieżnie zbadaliśmy to cmentarzysko.

- Jestem już stary - wtrącił Jakob. - Tutejsze zimy będą lekkie. A kobiety...

Tak, kobiety, zgodził się w myśli Gwellyn. Zwłaszcza jedna z nich...

- Myślisz o Lilee - powiedział Jakob.

- Jest kobietą, jakiej nigdy jeszcze nie spotkałem - przyznał Gwellyn.

- Wybacz - poprosił Jakob - ale do tej pory spotkałeś, jak się zdaje, tylko jedną kobietę, Daralyn, o ile się nie mylę?

Policzki Gwellyna zapłonęły z zakłopotania i gniewu.

Paschos wymamrotał pospiesznie prośbę o wybaczenie i dołączył do Ibrima, który odszedł, by porozmawiać na plaży z kilkoma wyspiarzami.

Paschos wolał nie wtrącać się, a nawet nie być świadkiem dyskusji, jaką właśnie rozpoczynali Gwellyn z Jakobem.

- Ja tylko mówię, że ponieważ jesteś młody, znajdziesz jeszcze inne kobiety, a spośród nas wszystkich, to ty najbardziej musisz kontynuować podróż - rzekł Jakob.

- Nie powiedziałem, że zrezygnuję z wyprawy - odparł Gwellyn. - To ty, Ibrim i Paschos to zaproponowaliście.

- Zgoda - przyznał Jakob. - Ale myślałeś o tym. Tak jak my wszyscy.

To zrozumiałe. Ale musisz jechać - bez ciebie nie będzie wyprawy. Nigdy nie dowiemy się nic o śpiewakach.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś aż tak zainteresowany tym te-matem - zdziwił się Gwellyn.

- A jak sądzisz, dlaczego wlokłem się z tobą aż tak daleko? Mój lud jest starożytny, nasz ciągły kalendarz liczy sobie ponad cztery tysiące lat.

Prześladowali nas Egipcjanie, Babilończycy, Grecy, Rzymianie, ale przetrwaliśmy. Wędrowałem po świecie, spędziłem życie na zdobywaniu pieniędzy, to prawda, ale nie znaczy to, że nie interesuje mnie również wiedza.

Te dwie rzeczy nie wykluczają się wzajemnie.

- Mówisz jak Paschos - prychnął Gwellyn.

- To bardzo mądry człowiek. Ibrim również. Tak jak i ty. A jeśli ma-my dowiedzieć się, co się stało ze śpiewakami - czy prześladowano ich tak jak mój lud, tyle tylko, że oni nie przetrwali albo im też się udało - musimy kontynuować wyprawę.

- Tylko, że ja... ją kocham - wyznał Gwellyn. - Czuję się tak, jakbym pragnął pozostać z nią na zawsze... jakbym nie chciał nigdy stąd odjeżdżać.

- Od jak dawna się tak czujesz? - zapytał Jakob.

- Nie wiem - rzekł Gwellyn. - Może od tej chwili.

W końcu wszyscy czterej udali się na statek i dołączył do nich Zana. Na oryginalnej łodzi nie było dość miejsca dla pięciu ludzi, ale wyspiarze skon-struowali większą, wystarczającą dla sześciu osób.

- Mój lud wędrował po otwartych oceanach na większe odległości, niż my zamierzamy - Ibrim przetłumaczył słowa Zany. - Tak dotarliśmy do tej wyspy z dalekiego wschodu.



- Nie akceptuj granic problemu - rzekł Paschos - tylko je przeddefiniuj.

Rozszerz je poprzez technę - technologię. Podoba mi się to.

Sporządził kopię zapisków na temat kości i pozostawił ją u wyspiarzy na przechowanie.

- Być może powrócę tu w przyszłości - powiedział. - Na razie zabiorę notatki ze sobą, wiedzę o kościach zaniosę reszcie cywilizacji.

Ibrim skinął głową.

- Nauczyłem ich podstaw pisma arabskiego. Uczą się szybko. Będą gotowi na przyjęcie islamu, gdy się tu pojawi. Zadbali starannie o twoje notatki - znają wartość pisma. Zana powiedział mi, że to jedyny sposób na zachowanie prawdy skąd pochodzą i kim są. Powiedział, że opowieści mó-

wione są jak mgła w pełnym słońcu.

Zana uśmiechnął się.

- Tsi-afa-javona.

Gwellyn poinformował ich, że zabiera Lilee na statek. Jakob wziął go na stronę.

- Zbudowali statek dla sześciu osób - powiedział Gwellyn. - Jest dość miejsca dla niej.

- Nie w tym rzecz - tłumaczył Jakob. - Nie możesz wziąć kobiety na tak małą łódź w towarzystwie pięciu mężczyzn na wyprawę mogącą potrwać pięć, dziesięć miesięcy - kto wie jak długo? Może ponad rok?

- Paschos najwyraźniej nie jest szczególnie zainteresowany kobietami

- powiedział Gwellyn. - A przynajmniej nie ludzkimi samicami.

- To prawda - odparł Jakob. - Ale nie możesz wziąć takiej kobiety, młodej i pięknej, na tak mały statek w towarzystwie czterech mężczyzn. W

przypadku Daralyn to rozumiałeś.

- Lilee to nie Daralyn.

- W tych okolicznościach są identyczne - rzekł Jakob. - Twoja miłość do Lilee niczego nie zmienia.

- Zabieram ją - upierał się Gwellyn.

Lecz tej nocy kochał się z nią, przelewając swoją duszę w jej, nasiąkając jej duszą i zastanawiał się, czy ta miłość, choć tak silna, może przeciwstawić się logice Jakoba. Kiedy patrzył na Lilee, tak gorącą w jego ramionach i pomyślał o Zanie, Ibrimie, jakimkolwiek innym mężczyźnie z nią, widział,

że zabranie jej na statek, razem z nimi, byłoby prostą drogą do szaleństwa.

Próbował wyrzucić to ze swych myśli, ale powracało z rosnącą gwałtownością. Zabiłby ich wszystkich gołymi rękami, gdyby jej dotknęli...

- Przybyłem tu morzem - powiedział jej - więc mogę tą samą drogą powrócić. I zrobię to. Przysięgam ci, moja miłości.

I choć nie rozumiała z tochariańskiego ani słowa oprócz „miłość” i „ja”, aż za dobrze pojmowała łyzy w jego oczach, brzmienie głosu...

Tuliła go do siebie, łkała cicho i obiecywała jemu i sobie, że zaczeka, jak długo będzie trzeba...

Toteż kiedy statek w końcu odbił od brzegu, w sercu Gwellyna nie było radości. Na statku jest miejsce dla sześciu osób, mógł jedynie myśleć, ale zabieramy tylko pięć...

A jednak już po miesiącu podróży, kiedy zbliżali się do południowego krańca kontynentu, Gwellyn miał powody, żeby cieszyć się z pozostawienia Lilee na lądzie.

Każdy z czterech mężczyzn zmówił modlitwę w swoim języku, kiedy składali w morzu ciało Zany.

Ibrim smutno potrząsnął głową.

- Jego lud pokonywał morzem wielkie odległości - powiedział. - Ich opowieści pełne są takich wydarzeń. Bardzo dziwna rzecz, że zmarł na morzu na jakąś chorobę po tak krótkiej podróży.

- Nie wiemy, czy ta choroba przyszła z morza - rzekł Paschos. - Z tego co wiemy, nabawił się jej od jednego z nas albo w jakimś miejscu, które odwiedziliśmy, może w kotlinie kości.

- Ale żaden z nas nie jest chory - zaprotestował Gwellyn.

- Czasami ktoś może mieć w sobie chorobę i wyglądać jak zdrowy, ale przekazywać ją innym ludziom - wyjaśnił Jakob

Gwellyn westchnął.

- Zastanawiam się, czy to taka sama choroba, jaka złożyła mego ojca. Zastanawiam się, czy ma coś wspólnego ze śpiewakami i ich kośćmi.

Zastanawiam się, czy my - cały świat - nie jesteśmy nią przeklęci!

A w myślach dodał: Nie zniósłbym śmierci Lilee. Z tego właśnie powodu jestem szczęśliwy, że nie znalazła się na tym statku.

Później zadał Jakobowi pytanie.

- Czy nie sądzisz, że nasze przypadkowe trafienie na wyspę jest dziwne, że poszukiwaliśmy śpiewaków w zupełnie innym kierunku, a jednak właśnie na tej wyspie odnaleźliśmy ich flet?

- Masz na myśli, że może Ibrim celowo skierował nas na tę wyspę? -

zapytał Jakob. - Dlaczego? Żeby położyć podwaliny pod kolejny podbój islamu? Lecz to nadal nie wyjaśniałoby sprawy fletu.

- Nie, nie wyjaśniałoby - zgodził się Gwellyn. - Tylko Ibrim - i może islam - mający powiązania ze śpiewakami, mogliby stanowić wyjaśnienie.

Jakob zastanowił się.

- Jest lepsze wyjaśnienie.

Gwellyn popatrzył na wodę.

- Jakie?

- Takie, że śpiewacy bywali w o wiele większej liczbie miejsc na świecie, niż nam się z początku wydawało.

PIĘĆ

Kartagina

około A.D. 753

Statek skonstruowany przez współplemieńców Zany nie miał takiej morskiej sprawności, jak twierdzili... albo morza po drugiej stronie Ifriki były bardziej wymagające, niż wyspiarze sądzili lub pamiętali... albo może Ibrim był gorszym nawigatorem dla takiej jednostki, niż byłby nim Zana...

W każdym razie statek ostatecznie zatonął u północnego wybrzeża kontynentu, zwiany daleko z kursu na wschód, wzdłuż wybrzeża, którego się trzymali, chroniąc się przed burzami. Ibrim nalegał, żeby powędrowali jeszcze dalej na wschód, aż znajdą miejsce dogodnie do naprawy łodzi i odnowienia energii. Teraz musieli wracać wybrzeżem Morza Śródziemnego kawał drogi na zachód, powtarzając ostatni przebyty odcinek tylko po to, żeby odzyskać pozycję wobec punktu wskazanego przez wyspiarzy.

Tyle tylko, że nie mieli już statku - okazał się nie do naprawienia.

- Czy możemy ich mapie zaufać bardziej niż ich łodzi? - spytał Gwellyn.

- Nie - odparł Jakob. - Ale nie ma sensu się poddawać, skoro dotarli-

śmy aż tak daleko.

Piętnaście miesięcy podróży, niezliczone przerwy i postoje w portach, przyjaznych i nie, dały mu się we znaki bardziej niż młodszym mężczyznom. W pewnym momencie niewiele mu brakowało do śmierci; tylko dziwaczna sztuka medyczna Paschosa „chorobę należy zwalczać żywymi stworzeniami” - uratowała mu życie. Lecz Gwellyn cieszył się, widząc w Jakobie wciąż silnego ducha - płonącego jak lampy jego ludu w trakcie świętowania zwycięstwa Judasza Machabeusza nad Grekami.

- Ci Grecy - często żartował stary Żyd - nie da się z nimi żyć, ale bez nich też.

Ich statek zatonął niedaleko Kartaginy, niegdyś siedziby wielkiego morskiego imperium stworzonego przez Fenicjan, sławnych z alfabetu i purpurowego barwnika. Miasto to dawno już zostało wchłonięte przez Rzym (Carthago delenda est, wymruczał Jakob), a później stało się stolicą Wandalii. Niedawno Belizariusz zajął Kartaginę w imieniu Drugiego Cesarstwa Rzymskiego Bizancjum, ale ostatnio islam zrównał sporą jego część z ziemią, a resztę mocno trzymał w garści.

- Dlatego właśnie mówiłem, że mieliśmy szczęście, lądując w tej okolicy - twierdził Jakob. - Ibrim znajdzie wielu przyjaciół, którzy pomogą nam w ostatnim etapie naszej wędrówki.

- Ta podróż już miała zbyt wiele etapów - narzekał Gwellyn. - Jesteśmy jak tasiemiec.

- Nie pozwólmy więc, by teraz zniechęcenie wzięło górę odparł Jakob.

Paschos znalazł ich na szczycie wzgórza zwanego przez tubylców Byr-sa.

- Ibrim umawia się z pobratymcami - powiedział i przyłączył się do oglądania ruin oraz portu. - Ci ludzie tutaj stali na krawędzi innego świata, prawda? Mieli morze w zasięgu dłoni.

- Co poszło nie tak? - zapytał Gwellyn.

- Coś. Jedno, drugie, trzecie. Zawsze coś idzie źle. Teraz to wiemy.

Tak toczą się losy cywilizacji. Zawsze coś je niszczy. Właściwie zupełnie nieważne, co to konkretnie jest. Aleksander umiera za młodo. Rzym się rozleniwia. Teraz Bizancjum i islam są w okresie rozwoju. Ale to też minie.

Przetrwa tylko ludzkość.

- A my? - zapytał Gwellyn.

- Cóż, jesteśmy tu i rozmawiamy o tym, nieprawdaż? - odparł Paschos.

- Ludzkość jest jedyną częścią wspólną dla Kartaginy, Aleksandra, Rzymu, Bizancjum i islamu - nie ma powodu przypuszczać, że jej zabraknie, kiedy powstaną nowsze wspaniałości.

- Zastanawiam się, czy śpiewacy też tak myśleli - rzekł Gwellyn.

- Być może będziesz miał okazję ich o to spytać - odpowiedział

Paschos. - Jeden z przyjaciół Ibrima mówi, że zna miejsce, gdzie ci brutalnie wciąż żyją.

- To dobra wiadomość - powiedział Ibrim do Gwellyna, Jakoba i Paschosa, kiedy we czwórkę popijali wino na cichym, kamiennym nabrzeżu częściowo zniszczonej sztucznej laguny, która kiedyś była potężnym portem Kartaginy. - Potwierdza to, co powiedzieli nam wyspiarze.

- Lepszą wiadomością byłoby, gdyby widziano tutaj śpiewaków -

Gwellyn wskazał ruiny świątyni Saturna Balcaranensisa, wieńczące łańcuch górski na horyzoncie. - Jestem zmęczony wędrówką.

- Kartagina może kiedyś powrócić do świetności - rzekł Paschos. - Już tak się zdarzało. Ale tak czy siak, znalezienie śpiewaków w pobliżu takiego miejsca jest mało prawdopodobne - relikty odległej przeszłości zazwyczaj zachowują się w dużo mniej uczęszczanych miejscach.

- Kartagina teraz nic nie znaczy - zgodził się Ibrim. - A kiedyś było inaczej, Rzymianie mieli rację, niszcząc ją, tak samo jak Hasan ibn el-Noman. Pokażę wam, czego dowiedziałem się od przyjaciół - wyciągnął

palmowy liść z wykreśloną na nim mapą. - Widzicie, gdzie teraz jesteśmy?

Gwellyn skinął głową.

Ibrim poprowadził szlak z powrotem na zachód, za Morze Śródziemne, potem na północ i w końcu na wschód.

- Tu - zrobił znaczek tuż przy już istniejącym na mapie. - Mój przyjaciel twierdzi, że posługują się językiem nieznanym komukolwiek innemu.

Wydobywają żelazo i utrzymują się z morza. Te góry oddzielały ich od reszty świata przez całe epoki.

Podkreślił obydwie znaczki długą, falistą linią i postukał w nie trzonkiem szczotki.

- Tu są wasi śpiewacy!

- Ach, Vasconi Strabona - powiedział Paschos.

- Rzymska Kantabria? - zapytał Jakob.

- Chyba trochę na zachód od niej - odparł Ibrim - choć właściwie mogą to być ci sami ludzie.

- Tak czy owak, wielka jest różnica pomiędzy posługiwaniem się nieznanym językiem, a byciem śpiewakiem - wtrącił Gwellyn. - Ci ostatni mają w ogóle nie używać mowy.

- Nadal jednak - upierał się Paschos - to miejsce pokrywa się całkiem dobrze z punktem naniesionym na mapę przez wyspiarzy - dziwne byłoby, gdyby okazało się to czystym zbiegiem okoliczności. A dostęp Kantabryjczyków do morza może wyjaśniać, jak połówka fletu znalazła się po przeciwnej stronie Ifriki.

- W takim razie powinno się okazać, że dużo łatwiej jest podróżować z północy na południe niż odwrotnie - rzekł Gwellyn - albo śpiewacy musieliby być o wiele lepszymi skutnikami od wyspiarzy.

Jakob pogładził brodę.

- Z tego co wiemy jedno albo drugie, może być prawdziwe. Tak samo śpiewacy posługujący się albo specyficznym językiem, albo tylko muzyką.

Rzecz w tym, że nie wiemy o nich dość, żeby wykluczyć którąkolwiek z tych możliwości.

Paschos skinął głową.

- Arystoteles napisał traktat o ludach i językach świata i, o ile pamię-

tam, wspomniał o ludziach żyjących za morzem na zachodzie, u stóp gór, pisał też, że mówili językiem nie dysponującym słowami na oznaczenie abstrakcji. Mogli to być Vasconi opisani później przez Strabona.

- Naprawdę? - zdziwił się Gwellyn. - Nigdy nie słyszałem o takim traktacie, a mój ojciec dobrze mnie wykształcił w pismach Filozofa.

Paschos westchnął.

- Nic dziwnego. Aleksandryjski katalog spisany 220 lat przed narodzinami Jezusa Chrystusa wyliczał 186 różnych traktatów pióra Arystotelesa -

dziś znamy mniej niż osiemdziesiąt.

- Ja słyszałem o mniej niż sześćdziesięciu - wtrącił Ibrim. - Ale cóż ja wiem?

Paschos uśmiechnął się.

- Bizancjum ma jeszcze swoje sekrety.

- A ja powiem coś, co żadnym sekretem nie jest - rzekł Jakob. - Koń-

czą się nam pieniądze. Ile będzie nas kosztować podróż do tego miejsca pomiędzy górami a morzem?

Ibrim podał sumę wynegocjowaną za statek i załogę, konieczne do przewiezienia ich na miejsce.

- Uwierzcie mi, to najlepsza osiągalna cena.

Gwellyn skrzywił się. Musnął palcami sakiewkę z klejnotami nabytymi przezeń w Barbariconie za większość pieniędzy podarowanych przez ojca, miszek trzymany przez niemal cały czas pod ubraniem.

- To uczyni z nas nędzarzy, nie mających szans na powrót.

Jakieś osiem tygodni później ponownie minęli Słupy Herkulesa. Tym razem niebo było krystalicznie lazurowe - dawno minęły burze, które utrudniały im wpłynięcie na Morze Śródziemne - i kiedy mijali potężny, kwadratowy zamek na Skale, widzieli go równie ostro i dokładnie jak roz-radowaną twarz Ibrima.

- Jebel Tarik - powiedział Arab z dumą, a Gwellynowi wydało się, że kątem oka zauważył zachnięcie się Paschosa. Jednak jego wzrok przykuwa-

ło co innego - grupka śpiewaków stojąca na krawędzi Skały... Widział ich kości, spalone i skruszone, wstające z prochu, odzyskujące pierwotną formę, potem ciało i spokój. A teraz głosami fletów ułatwili przepłynięcie ich statku...

- Europa - powiedział Jakob.

Dźwięk jego głosu spowodował uciszenie fletów...

Wynajęty przez Ibrima arabski statek liczył sobie sześciu ludzi załogi -

nie licząc płynącego z nimi jego przyjaciela Aziza, który najwyraźniej wiedział dużo o śpiewakach - i był dużo bardziej sprawny niż łódź podarowana im przez wyspiarzy. Krótki, lecz trudny rejs do Kantabrii odbył się bez kłopotów.

Statek zawrócił natychmiast, kiedy tylko ich czwórka i Aziz opuścili pokład. Klejnoty Gwellyna wystarczyły tylko na podróż w jedną stronę.

Aziz zapewniał ich, że w nadbrzeżnych osadach znajdą sposób na odbycie drogi powrotnej.

- Jeśli będziecie chcieli wracać - powiedział. - Spośród przybywających tutaj, większość postanawia zostać.

Gwellyn zastanawiał się, czy taką decyzję podejmowano z powodu uroków Kantabrii, czy też trudności w pokonaniu morza.

Zeszli na ląd po wewnętrznej, stronie skalistego półwyspu, wciśniętego pomiędzy dwa pasma gór, w pobliżu wioski, którą Aziz zwał Portus Victo-riae.

- To dla upamiętnienia zwycięstwa Marka Agrypy i Rzymu nad Kan-tabryjczykami - wyjaśnił. - Jeśli Allah pozwoli, może doczekamy zmiany nazwy tej wioski na arabską.

W osadzie żyli przedstawiciele najrozmaitszych ludów - islamscy osad-nicy, chrześcijanie

uciekający ze wschodu przed podbojami muzułman, Wizygoci, dzieci o twarzach Rzymian, nawet potomkowie pierwotnych mieszkańców Kantabrii, którzy, wedle wyjaśnień Aziza, dawno temu odparali Rzymian, przez dziesięć lat tocząc niezorganizowaną, lecz efektywną wojnę. Jednak nikt z nich nie mówił dziwnym językiem.

- Prawdę mówiąc, ich fortece są dalej na zachód - powiedział Aziz.

- To dlaczego wylądowaliśmy tutaj? - zapytał Gwellyn.

- Bo to jest najdalej na zachód wysunięte miejsce, które można uważać za bezpieczny port - wyjaśnił Aziz. - Ci Vasconi, jak ich nazywa Paschos, nie zawsze przyjaźnie odnoszą się do obcych, a zwłaszcza wyznawców islamu przyplływających statkiem.

- Czy zachowają się bardziej przyjaźnie wobec przybywających pieszo? - spytał Jakob.

- Mnie to też nurtuje - przyznał Aziz. - Znam miejsce, o mniej więcej dwa dni konnej jazdy wzdłuż wybrzeża, gdzie ludzie ci mieszkają w nie-wielkiej wiosce. Ibrim i ja możemy pożyczyć dwa konie od naszych przyjaciół i pod koniec tygodnia wrócić tu z wiadomościami od Vasconów.

- Całkiem dobry plan - zgodził się Gwellyn - tylko to nie Ibrim z tobą pojedzie, ale ja.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł... - zaczął Aziz.

- Nie obchodzi mnie twoje zdanie - uciął Gwellyn. - Moje klejnoty opłaciły tę podróż, więc moje zdanie jest najważniejsze.

- Oczywiście - odparł Aziz cierpliwie - ale pozwól mi najpierw wyja-

śnić. Cała ta okolica jest bardzo niespokojna - islam jeszcze jej nie kontroluje. Wszędzie tu toczą się potyczki. Powiedzmy, że coś mi się przydarzy po drodze. Możesz znaleźć się w bardzo niebezpiecznej sytuacji - wybaczone, ale Tocharianin nie mający żadnych powiązań z nikim w okolicy...

- Dlaczego niebezpiecznej? - zapytał Gwellyn. - Czy twierdzisz, że ja-cyś islamscy fanatycy uznają mnie za wroga?

Jakob położył mu rękę na ramieniu.

- On ma rację - powiedział spokojnie. - Łatwo można cię wziąć za ocalałego Wandala lub Wizygota. Ale i ty masz dużo słuszności. Obaj ją macie, na swój sposób. Dlatego też ja pojedę zamiast ciebie. Wiem, jak rozmawiać z muzułmanami.

Uśmiechnął się łagodnie.

Aziz prychnął drwiąco i pokręcił głową.

- Daj spokój, jesteś za stary na ostrą jazdę konną dwa dni w jedną stronę.



- Doprawdy? - Jakob poczerwieniał. - Mogę cię zajeździć, wybierz tylko dzień...

- Ja pojadę - przerwał mu Paschos. - Ja pojadę z Azizem. My Grecy mamy duże doświadczenie w nawiązywaniu kontaktów z fanatykami wszelkiego rodzaju. Czy to kompromis do przyjęcia?

Aziz popatrzył na Ibrima.

- Tak - rzekł w końcu.

- Tak - poddał się Jakob.

- Nie - zaprotestował Gwellyn.

Wszyscy patrzyli na niego nieruchomo. W końcu niechętnie wystękał zgodę.

- Popatrz na to z jaśniejszej strony - rzekł Jakob. - Podczas nieobecności Paschosa i Aziza będziemy mogli skorzystać z gościnności tej wioski.

Co też uczynili. Za kilka monet, których trochę jeszcze zostało Jakobowi, zakupili dobre owocowe wino, wspaniałe ryby i zioła. Urok Gwellyna, wyraźnie narastający w miarę zbliżania się jego siedemnastych urodzin, skusił kobiety o ognistych, ciemnych oczach i kruczoczarnych włosach.

Dała mu mnóstwo radości, ale ilekroć zamykał oczy, widział Lilee..

Paschos wrócił cztery dni później.

Nie musiał nic mówić. Pokazał im flet.

- Nazywają siebie samych Euskaldunak - powiedział Paschos Gwellynowi w czasie powolnej konnej jazdy wybrzeżem, razem z Ibrimem i Jakobem.

Ibrim jakoś załatwił cztery wierzchowce. Teraz było jasne dla Gwellyna

- sądził też, że również i dla Jakoba oraz Paschosa - iż islam zrobi wszystko, żeby wzmocnić swoje wpływy na tym obszarze, włączając w to zdobywanie wszelkiej wiedzy o różnych dziwacznych ludach zamieszkujących liczne doliny pomiędzy górami a morzem. Gwellyn wzruszył w duchu ramionami: jeśli to ma pomóc w jego poszukiwaniach śpiewaków, niech będzie, jak mawiał Jakob. Sukces czy porażka islamu w tych górach to nie jego zmar-twienie.

- Euskaldunak - powtórzył. - Brzmienie wcale nie tak odległe od Vasconów - Euska, Vasco - być może więc twój Strabon wspominał o tych samych ludziach.

Paschos uśmiechnął się.

- Masz zadatki nie tylko na niezłego zoologa, ale i na lingwistę.

Oczywiście prawdziwe pytanie to nie to, czy opisywał ich Strabon, ale czy są tym ludem, o którym mówił Arystoteles.

- W tym zaginionym manuskrypcie?

Uśmiech jeszcze się pogłębił.

- Tak. Wkrótce tam będziemy. Niestety, w wiosce akurat nie było nikogo naprawdę dobrze obeznanego z... z ich obrazami, kto mógłby odpowiedzieć na nasze pytania. Ale obiecali, że ktoś taki porozmawia z nami, kiedy wrócimy.

- Co, według ciebie, mieli na myśli, mówiąc o obrazach?

- Nie wiem - odparł Paschos, zamyślony. - Przypomnij sobie co mówił

o nich Arystoteles - jeśli to ci sami ludzie - że nie mają słów na określenie abstrakcji. Musiał mieć na myśli brak wyrazów nazywających rzeczy, które nie istnieją fizycznie...

- Czyli niczego dotyczącego przeszłości lub przyszłości?

- Tak. Ani słów opisujących takie ogólne pojęcia, jak prawda czy piękno - potwierdził Paschos. - Toteż, żeby je opisać, potrzebowaliby czegoś więcej niż słowa. Może to właśnie nazywali obrazami... coś głębszego niż nasze znaczenie tego wyrazu...

- Jak ci się udało zrozumieć co mówili, jeśli ich język jest tak unika-towy? - zapytał Gwellyn.

- Aziz trochę zna ich język...

Gwellyn skrzywił się.

- ...ale niektórzy z nich posługują się dziwną odmianą łaciny. Bardzo zaskakującą, ale większość rozumiałem. Prawdopodobnie tobie też to się uda.

- To dobrze.

Jechali teraz odrobinę dalej od siebie.

- Uważasz, że te obrazy to rodzaj jakiegoś kodeksu? - zapytał Gwellyn.

- Przypuszczalnie - zgodził się Paschos. - Wiem tylko, że są dla tych ludzi bardzo ważne, mają też jakiś związek z fletem.

Gwellyn wiedział, że Vasconi sami nie są śpiewakami. Paschos jasno to wyjaśnił, że są ludźmi nie różniącymi się bardzo od nich obu i porozumiewają się mową, nie śpiewem. Lecz Gwellyn wciąż żywił sekretną nadzieję, że Grek się myli i Vasconi będą w rzeczywistości wyglądać jak człowiek,

którego kości tak dawno temu spalił i skruszył razem z bratem, tam, nad rzeką, w rodzinnym kraju.

Kiedy w końcu, pięć dni później zobaczył ich na własne oczy, tylko westchnął. Oczywiście Paschos się nie mylił, więc musiał zadowolić się najlepszym możliwym przybliżeniem: prawdopodobnie ci dziwni ludzie dysponowali jakąś wiedzą o śpiewakach i ich losach, bezpośrednio nabytą, pochodzącą z osobistych doświadczeń.

Vasconi byli bardzo słowni: zaraz po obiedzie przewodnik zabrał ich do człowieka, który wiedział wystarczająco dużo o obrazach. Tyle tylko, że człowiek ów miał na imię Mixteleta i była, wyglądającą na czterdziestkę, kobietą o siwych włosach i łagodnych oczach tej samej barwy. Uśmiech Aziza, który nie zniknął z jego twarzy od czasu dołączenia do pozostałych, teraz zgasł.

- Myślałem, że mówiłeś o mężczyźnie - z rozdrażnieniem zwrócił się do przewodnika w łacińskim dialekcie, którym mówili niektórzy Vasconi.

Ten tylko wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej coś nam umknęło w przekładzie - rzekł Paschos, wyraźnie ciesząc się z zażenowania Aziza, wywołanego koniecznością poddania się przewodnictwu kobiety.

- Nie bądź taki zasadniczy - szepnął Ibrim po arabsku do Aziza. -

Różne miejsca wymagają różnych reguł.

- Nie - oburzył się Aziz w tym samym języku. - Nie kiedy my znajdujemy się w tych miejscach. W tym przypadku islam wymaga, by w innych miejscach postępowano według jego reguł, w przeciwnym razie nie znaczy-

łby nic!

Ibrim powoli pokręcił głową.

Pozostali towarzysze podróży sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie mieli pojęcia, o czym toczy się rozmowa - tylko Vasconi niczego nie udawali.

Paschos zaczął rozmowę z kobietą w używanej przez nią łacinie.

Aziz odchrząknął.

- Chyba na razie możemy ustąpić - przyznał po arabsku - choć źle czynimy. Nie spodziewam się nawrócenia świata w jednej chwili.

- ...flet i obrazy są jednym - mówiła Mixteleta.

- Czy możesz nam to wytłumaczyć? - zapytał Paschos.

- Mówią do nas - odparła.

- Jak? - naciskał Paschos.

- Nie słowami - wyjaśniła. - Flet mówi nam, czy historia ma być wesoła czy smutna. Obrazy ją opowiadają.

- Czy możemy zobaczyć obrazy? - spytał Paschos. - Może jutro rano?

A może lepiej je oglądać wieczorem?

- Nie ma znaczenia, kiedy się je ogląda. Przynosimy światło. Ważne jest, by ktoś wiedział, jak przygotować światło. Potrzebny jest też ktoś grający na flecie.

- Czy możesz przygotować światło?

- Tak.

- A możesz zagrać na flecie?

Twarz jej poczerwieniała.

- Nie wolno...

- Przepraszam - szybko powiedział Paschos. - Nie wiedziałem.

Mixteleta jednak dokończyła.

- Kobietom nie wolno grać na flecie.

- Reguły - odezwał się cicho Ibrim po arabsku. - Cały świat ma ręce związane regułami.

- Wybacz mi - Paschos jeszcze raz przeprosił Mixteletę. - Kto w takim razie może zagrać na flecie?

Mixteleta wskazała przewodnika.

- On. Jeśli grzecznie go poprosicie - uśmiechnęła się.

Przewodnik też się uśmiechnął i skinął pozostałym głową.

- Oczywiście - powiedział. - Będę zaszczycony, mogąc zagrać.

- Czy mogę zadać jedno pytanie? - wtrącił się Gwellyn.

- Oczywiście - rzekł Paschos.

Chłopak zwrócił się do Mixtelety.

- Czy możesz mi powiedzieć, jaki związek mają te obrazy z ludźmi nazywanymi przez nas

śpiewakami?

- My nazywamy ich inaczej, ale opierając się na waszych opisach jestem pewna, że chodzi o tych samych ludzi - odparła.

- Tak? - naciskał Gwellyn. - A jaki oni mają związek z obrazami? Czy to oni je sporządzili?

- Nie - zaprzeczyła Mixteleta. - Śpiewacy są obrazami, które są opowieścią o nich. A w pewien sposób i o nas.

- Nie jestem pewien, czy pojmuję... - zaczął Gwellyn.

- Kiedy możemy zobaczyć obrazy? - przerwał mu Paschos.

- Teraz - odparła Mixteleta. - Znajdują się o mniej niż godzinę drogi stąd. A światło mam już przygotowane.

Cała grupa wlokła się pod górę przy pełni księżyca. Mixteleta niosła trzy małe lampy, z których każda rozsiewała inaczej migoczący blask.

Przewodnik miał flet.

- Zastanawiam się, czemu nie poczekała z zapaleniem lamp do momentu, gdy już dotrzemy do obrazów - mruknął Gwellyn.

- Powiedziała, że lampy rozświetlają się same - wyjaśnił Paschos -

każdego wieczoru o zachodzie słońca. Zapalają je owady.

- A tak - włączył się Jakob. - O niejednym zachodzie widywałem je w locie, wyglądają jak małe iskierki światła.

- Jednak mówiła też, że przygotowała światło - upierał się Gwellyn. -

Jak owady mogą kontrolować lampy?

- Nie wiem - przyznał Paschos. - Słyszałem, że to migotanie musi mieć ściśle określony wzorzec, żeby obrazy się pokazały.

- Zdumiewające, że ci ludzie są skłonni do takich poświęceń dla nas, pomimo że prawie w ogóle nas nie znają - zamruczał Gwellyn.

- Może to dla nich żadne poświęcenie, tylko przyjemność - zasugerował Jakob.

- Wszystko załatwiłem przed waszym przyjazdem - powiedział z rozdrażnieniem Aziz. - Dostali godziwą rekompensatę.

Mixteleta dała znak do zatrzymania się koło niskich krzewów o dużych liściach. Odsunęła je na bok i zniknęła pomiędzy nimi.

Przewodnik pokazał pozostałym, żeby poszli w jej ślady, potem sam to zrobił.

Gwellyn był ostatni. Żeby przedostać się przez krzaki, musiał opaść na dłonie i kolana, ale kiedy dotarł na drugą stronę, prawie mógł się wyprostować.

Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że znaleźli się w paskudnej, poplamionej jaskini. Lampy zdawały się teraz migotać dużo łagodniej, a może taki efekt wynikał z faktu, że teraz rozjaśniały ciemność same, bez konkurencji ze strony księżyca.

- Chodźcie - Mixteleta wskazała kąt jaskini, który wyglądał jak przej-

ście do dalszych grot.

Jej szare oczy lśniły w świetle lamp.

Kiedy podeszli do przejścia, stadko ciem nagle poderwało się i wylecia-

ło przez główne wyjście.

- Może przesyłają komuś wiadomość - powiedział Paschos, tylko w połowie żartując.

Przejście wiodło do kolejnej jaskini, która bardzo przypominała pierwszą, tyle tylko, że tu Gwellyn zauważył wyschnięte odchody jakiegoś zwierzęcia.

Potem była trzecia komora i kolejne przejście.

W czwartej, do której musieli się prawie wczołgać, choć wewnątrz mogli stanąć całkowicie wyprostowani, znajdował się cel ich wędrówki.

- Mój Boże - zachłysnął się Jakob.

Ściany i sufit jaskini pokrywały pełne życia, trójwymiarowe, nakładają-

ce się na siebie malowidła przedstawiające bizona, renifery, konie i inne zwierzęta, których Gwellyn nie rozpoznawał. W migotliwym świetle lamp pojawiały się i zniknęły, pomarańczowe, żółte, czerwone, niebiesko-czarne...

- Jak koła życia Herona - zamruczał Paschos. - Widziałem je raz, a przynajmniej to, co się zachowało w Aleksandrii... Pojedyncze obrazy pojawiały się tak szybko, że oszukują oku i wydaje się, że się poruszają...

Gwellyn zdał sobie sprawę, że ktoś, Mixteleta, ciągnie go za rękaw.

- Siadaj tutaj - wskazała mu miejsce w głębi jaskini. - Stąd opowieść jest najbardziej wyrazista.

Wszyscy przenieśli się w to miejsce. Mixteleta ponownie poleciała im usiąść. Posłuchali. Gwellyn zauważył, że Aziz był przy tym bardzo zażenowany.

Mixteleta zrobiła coś z lampami.

Przewodnik siedział nieruchomo, z fletem w dłoni, koło wejścia do komory.

Migotanie chyba się zmieniało - jakby przyspieszyło i jednocześnie zwolniło. Jego intensywność także zdawała się zmieniać, pulsując bardziej biało, miękko, jaśniej, ciemniej, według wzorca, który w pewien sposób przeplatał się ze zmiennym tempem migotania...

- Teraz patrzcie - powiedziała Mixteleta. - Najpierw tam, potem tam, na koniec tu.

Mówiąc to wskazała po kolei najdalszą ścianę, sufit i bliższą ścianę.

Na odległej ścianie zwierzęta zdawały się poruszać powoli. Wyglądały jak bizona. Teraz przyspieszyły, wyprzedzając się wzajemnie, zaczęło się spadanie przez krawędź klifu...

Coś, jakieś kształty goniły za nimi...

Flet grał... nieznaną melodię, wolną, głęboką, potężną...

Gwellynowi zapało dech.

Kształt biegnący za bizonami to był śpiewak... pojedynczy śpiewak...

Gwellyn wszędzie poznałby oczy w tej czaszce...

Śpiewak miał w ręce flet. Wydawało się, że patrzy na nich. Przyłożył instrument do warg i pojawiła się kolejna, nieznaną melodia. Migotliwie przeniósł się na sufit...

Tu dołączył do innych osób swojej rasy, wyraźnie niektóre z nich były kobietami, niektóre dziećmi, siedziały nad niebiesko-czarną rzeką... Jadły mięso... Z tyłu pasły się konie... renifer wyglądał z lasu i chował się w nim... w błysku pulsującego światła uciekł przez rzekę... konie odbiegły...

nowy kształt wychynął z lasu...

Gwellyn z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że melodia fletu zmieniła się... Szybko zerknął na Jakoba, który zafascynowany wpatrywał się w sufit... Tę melodię słyszeli w Barbariconie...

Nowy kształt okazał się człowiekiem, mężczyzną takim jak Gwellyn, Paschos, Ibrim czy Vasconi, tylko inaczej ubranym. W ręku trzymał nóż...

Śpiewacy uśmiechnęli się do niego, a on odpłacił za ten uśmiech, wbijając nóż w jedno z ich dzieci... Pozostali śpiewacy zaczęli zawodzić - a może był

to flet. Jeden z nich - nie ten pierwszy - skoczył na człowieka z nożem.

Obaj umarli na suficie, brocząc pomarańczowo-czerwono. Pozostali śpiewacy przeszli powoli, ze smutkiem, na bliższą ścianę...

Teraz nagle pojawiły się obrazy motyli w żywych barwach - pomarań-

czowe, niebieskie - i poleciały na bliższą ścianę. Śpiewacy schwyтали kilka z nich gołymi, delikatnymi dłońmi...

Mixteleta wydała z siebie ostry dźwięk, który w uszach Gwellyna za-brzmiał jak święty i pełen gniewu...

Flet grał melodię z Barbariconu...

A teraz każdy renifer, każdy koń, każdy kształt na najbliższej ścianie -

oprócz kilku śpiewaków - zmienił się w człowieka z nożem. Zaczęli się zbliżać do śpiewaków, którzy wstali, każdy z fletem w jednej ręce i moty-lem w drugiej. Włożyli do ust i owady, i flety, podczas gdy ludzie rzucili się na nich, wymachując nożami...

Ściana rozplynęła się w pomarańczowo-czerwonej powodzi... obrazy zbladły... aż pozostał tylko jeden...

Pierwszy śpiewak, teraz znajdujący się na samej krawędzi najbliższej ściany, popatrzył na Gwellyna z intensywnością, jakiej chłopak nigdy nie doświadczył w niczyich oczach... nie potrafił powiedzieć, czy tą emocją była nienawiść czy miłość...

Flet zaskrzeczał.

Rozległ się kolejny ostry okrzyk - Ibrima albo Aziza.

Światło zgasło.

Przez chwilę w jaskini panowały ciemność i cisza.

Potem lampy znów zapłonęły, tym razem migocząc inaczej.

- Chcielibyście to zobaczyć jeszcze raz? - spytała Mixteleta.

Gwellyn już miał powiedzieć - tak, proszę - ale Jakob chwycił go za rękę i pokazał na Aziza.

Jego szyja i ramiona zalane były krwią.

Aziz podniósł się, upadł, trzymając się rękami za gardło, usiłując złapać oddech. Umarł, zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć choć słowo.



Jakob przyszedł do Paschosa bardzo wcześnie rano. Grek odłożył przybory do pisania.

- Powinniśmy porozmawiać o ostatniej nocy - powiedział Jakob.

- Tak - Paschos gestem zaprosił gościa, by usiadł. - Mogę cię czymś poczęstować? Jadłeś już?

- Tak, posiliłem się wspaniałym chlebem - potwierdził Jakob i odchrząknął. Pochylił się i zaczął mówić tym swoim głośnym, ostrym szeptem, pomimo że oprócz nich nikogo nie było w pomieszczeniu. - Znam twoją historię - wiem, dlaczego mógłbyś nienawidzić Aziza i Ibrima.

Paschos popatrzył na niego i milczał.

- Kartagina została całkowicie zniszczona przez Hasana w 698 roku -

ciągnął Jakob. - Wielu ludzi zginęło z rąk muzułmanów okrutną śmiercią.

To nie byli Kartagińczycy, Fenicjanie czy Rzymianie, ci którzy zginęli - to byli twoi ludzie, z Bizancjum. Patrycjusz Joannes bronił miasta oblężonego przez Hasana.

- Więc?

- Więc? Widziałem, jak się krzywisz za każdym razem, gdy Aziz lub Ibrim gadają o podbojach islamu. Znam historię. Czy ktoś z twojej rodziny zginął, gdy Hasan opanował miasto? Czy to o to chodzi? To dałoby ci poważny powód do zabicia ich.

Paschos potrząsnął głową.

- Posłuchaj - Jakob zaszepotał jeszcze bardziej natarczywie. - Nie winię cię. Jestem pewien, że na twoim miejscu czułbym to samo. Lecz tu gra idzie o coś większego niż twoje historyczne czy osobiste krzywdy... Vasconi już odmawiają nam pokazania czegokolwiek więcej. Mówią o braku pewności, czy już nikt nigdy nie uwolni w jaskini morderczych demonów...

- Naprawdę nic nie wiesz o mnie ani do czego jestem zdolny, starcze -

warknął Paschos, poblądły z gniewu.

Opanował się z trudem.

- Proszę o wybaczenie - powiedział po chwili szczerze. - Twój wiek nie ma nic wspólnego z popełnionym przez ciebie błędem.

- Zapomnij o przeprosinach - odparł Jakob. - Nie są mi potrzebne. Ale powiedz mi o błędzie, jaki wobec ciebie popełniłem - chcę się czegoś nauczyć.

- Tak, nienawidzę wielu rzeczy w islamie - nienawidzę wszelkich religii, które przesłaniają człowiekowi rozsądek. I uważałem tego nadętego Aziza za bezużytecznego. W czasie pierwszej podróży tutaj miałem wątpliwą przyjemność spędzenia dwóch całych dni w towarzystwie jego bezu-

stannego bredzenia...

- Właśnie o tym myślałem - wtrącił Jakob.

- Ale nie zabiłem go, rozumiesz? Jestem zoologiem, filozofem - studiuje życie, nawet to odrażające. Nie zabijam go! Niszczę tylko głupie idee.

Szukam w nich błędów i próbuję je zniszczyć - a nie ludzi, którzy je tworzą.

- No to kto? - zapytał Jakob. - Dlaczego Vasconi mieliby zabić jednego z nas? Jako część ceremonii? A potem co, pozwalają reszcie radośnie sobie pójść? Nie wierzę w to...

Gwellyn wpadł do pomieszczenia, szukając Paschosa, zaskoczony widokiem Jakoba.

- Chodźcie! - krzyknął. - W górach płonie ogień!

Dogonili Ibrima przed wejściem do jaskini. Wyglądała zupełnie inaczej w dziennym świetle, z gęstym, szarym dymem wydostającym się z otworu.

Pomiędzy Arabem i wejściem stał szereg mężczyzn Vasconów.

Gwellyn zauważył, że Ibrim ma załzawione oczy, prawdopodobnie od szczypiącego dymu.

- Niszczą wszystkie obrazy wewnątrz... - zaczął Arab.

- Widzę - powiedział Gwellyn.

Ruszył w stronę Vasconów. Paschos i Ibrim powstrzymali go.

- To bez sensu - powiedział Ibrim. - Oni działają już od wielu godzin, od świtu. W środku już nic nie ma.

- Dlaczego? - zapytał Gwellyn.

Ibrim potrząsnął głową.

- Z tego co wiem, ci ludzie - Vasconi - praktykują bardzo starożytną religię. Starszą niż Mahomet, niż Chrystus, nawet niż Mojżesz i Abraham.

Przeniósł wzrok z Paschosa na Jakoba.

- Moja religia także jest bardzo stara - powiedział Gwellyn.

- Wiem - rzekł Ibrim. - A ci ludzie bardzo dbają o swoją religię, jestem więc pewien, że twój lud także. Obecnie większość Vasconów to chrześcijanie. Część może wkrótce przejść na islam, jeśli moi współplemieńcy znajdą do nich drogę. Ale ci tutaj, w tej wiosce, boją się. We wszystkich wydarzeniach dostrzegają złe omeny. A to, co stało się z Azizem ostatniej nocy, uważają za

szczególnie zły omen - toteż próbują się przed nim bronić, niszcząc to, co im go przyniosło. Powiedzieli, że ich lampy o tym wiedziały i same eksplodowały, żeby zniszczyć źródło omenu - tę świętą jaskinię -

którą sprofanowała śmierć Aziza.

- Zniszczyć to, co ty próbowałeś ochronić, prawda? - powiedział

Paschos.

Ibrim popatrzył na niego, potem skinął głową.

- O co tu chodzi? - zapytał go Gwellyn. - Wiedziałeś, że Vasconi zamierzają złożyć Aziza w ofierze ich... ich bogom-śpiewakom; wiedziałeś, że będą chcieli zniszczyć miejsce tej ofiary, oczyścić scenę morderstwa i próbowałeś temu przeszkodzić? Jak mogłeś to wiedzieć?

Ibrim milczał.

- Nie - zaprzeczył Paschos. - Myślę, że to było zupełnie inaczej.

- Czyli jak? - Gwellyn odwrócił się do Paschosa, Jakob też.

Ibrim zwrócił się w przeciwną stronę. W końcu przemówił.

- Nie wszyscy wyznawcy Proroka są tacy sami - rzekł powoli. - Niektórzy najgłębsze nauki i najbardziej powierzchowne wskazówki postrzegają identycznie - że wszystkich trzeba przestrzegać z taką samą surowością, bez żadnego przyzwolenia na jakiegokolwiek zmiany.

- Aziz taki był - wtrącił Jakob.

- Aziz wierzył, jak wszyscy wyznawcy Proroka, że wizerunki Proroka to świętokradztwo. Aziz wierzył też, jak niektórzy z nas, że wszelkie wizerunki sięgające w głąb rzeczy są świętokradztwem. Te oglądane w nocy uznał za wyjątkowo głębokie...

- Islam niszczy to, co uważa za świętokradztwo - rzekł Paschos.

- Większość religii tak czyni - dodał Jakob.

- Powiedział mi w nocy - ciągnął Ibrim - kiedy oglądaliśmy śpiewaków zarzynanych na ścianach - powracających do życia, by stać się znów ofiarami mordy - powiedział mi, że nikt nigdy nie powinien czegoś takiego oglądać. Oglądając te obrazy na ścianach, patrząc na coś, czego nikt z mojego ludu prawdopodobnie nigdy nie oglądał, przyglądając się czemuś, dla poznania czego wędrowaliśmy całe lata - słyszałem w tle szept Aziza, sy-czącego mi do ucha, że to wszystko musi zostać starte z powierzchni ziemi, najszybciej jak się da. Jak ogniem wypali tę jaskinię i wszystkie inne, jakie uda mu się znaleźć w tych górach. A kiedy islam nawróci tę okolicę, pozwoli tutejszym ludziom zobaczyć światłość Allaha i on, Aziz, uczyni swą świętą misją zniszczenie najmniejszego śladu tej ruchomej nieprzyzwoito-

ści, tego światła udającego życie, tego skandalu...

Dym wypływający z jaskini zgęstniał. Przybyli kolejni ludzie. W niebo wzbilo się jeszcze więcej motyli...

- Więc zabiłem go - wyznał Ibrim. - Zabiłem go, by chronić to - poderżnąłem gardło tego głupca, gardło mego brata, niech Allah mi wybaczy, własnym nożem. Żeby chronić to - machnął ręką w stronę jaskini i dymu. -

A teraz patrzcie - zobaczcie, co zrobiłem...

Nikt się nie odezwał.

- Może są inne jaskinie podobne do tej, z innymi opowieściami o śpiewakach - powiedział w końcu Gwellyn.

- Może - odparł Ibrim. - Ale nigdy ich nie odnajdziemy - Dziś rano Vasconi zabili naszego przewodnika, mężczyznę z fletem. Powiedzieli, że jego instrument wezwał zabójców ze ścian do naszego świata...

- Wezwał morderców śpiewaków - rzekł Gwellyn.

Znów zobaczył pojedynczego śpiewaka ze ścian, jedynego który przeżył

i wyraz jego oczu...

- Jednak może znajdziemy jeszcze inną jaskinię z obrazami - odezwał się Jakob.

- Jak? Gdzie? - zapytał Gwellyn.

- Wiem, gdzie jest Mixteleta. Żyje.

SZEŚĆ

Kraj Basków

około A.D. 753

Góry długo śmierdziały dymem.

Oczy piekły Gwellyna od samego patrzenia na nie.

- Wypalają wszystkie jaskinie, w których są obrazy, prawda? - lamem-tował.

- Oni mówią: nasze lampy dokonują oczyszczenia tych jaskiń - zainto-nował Jakob.

Gwellyn zaśmiał się ponuro.

- Tak działa ludzkość - rzekł Jakob. - Spalić, oczyścić wszystko, czego się nie rozumie. Zawsze to samo. Lepiej coś zniszczyć niż zachować, zwłaszcza jeśli budzi niepokój. Bo pewnego dnia, Boże uchowaj, mogłoby posłużyć jako źródło wiedzy.

- Z wiekiem zrobiłeś się cyniczny - rzekł Ibrim.

- Oni palą ruchome obrazy śpiewaków tak samo, jak my paliliśmy ich kości - mój brat i ja - wyznał Gwellyn.

Paschos podszedł do trzech mężczyzn.

- Jest gotowa - poinformował. - Jednak upiera się, że tylko wy dwaj -

pokazał na Gwellyna i Jakoba - możecie z nią pójść. I ja, i Ibrim, musimy tu zostać.

Jakob skinął głową.

- Nie ufa Ibrimowi po tym, co przytrafiło się Azizowi - Vascon z fletem wszystko widział. Zanim umarł, opisał, czego był świadkiem. Obawia się też pozostawić Ibrima samego z jej ludźmi, dlatego Paschos musi zostać.

- Próbowałem ochronić te obrazy - powiedział Ibrim smutnym głosem.

- Wiem - rzekł Jakob.

- Może moi bracia mieli jednak rację twierdząc, że nigdy nie wynika nic dobrego z obrazów udających życie...

- Nic nam tu nie będzie - wtrącił Paschos. - Co prawda miło byłoby jeszcze raz popatrzeć na takie obrazy - Mixteleta mówi, że te, do których was zabiera, są ostatnimi w swoim rodzaju przedstawiającymi śpiewaków.

Cóż, może kiedyś później, kiedy te płomienie staną się bardziej wspomnie-niem niż smrodem wiszącym w powietrzu...

- Tak, jestem pewien, że kiedyś jeszcze zobaczysz te obrazy - skłamał

Jakob, Paschos wiedział, że to kłamstwo, ale uścisnęli się serdecznie.

Potem wszyscy się uściskali, za wyjątkiem Greka i Ibrima, którzy po-machali na pożegnanie Gwellynowi i Jakobowi, odchodzącym w stronę wzgórz po Mixteletę.

- Jest coś ważnego, co powinieneś wiedzieć, a czego ci nie powiedzia-

łem - rzekł Jakob, kiedy dwaj pozostający mężczyźni zniknęli na dobre. -

Obawiałem się, że jeśli by oni to wiedzieli, to nalegaliby na pójscie z nami.

- Tak? A o czymż takim? - zapytał Gwellyn.

- No cóż, oczywiście nie mogę być pewien...

- Tak?

- Mixteleta twierdzi, że zabiera nas do czegoś więcej niż tylko jaskinia z obrazami. A dlaczego ufa nam? Według niej ja jestem za stary, żeby stanowić zagrożenie, zaś u ciebie podoba się jej błysk w twoich oczach...

- Miło mi - rzekł Gwellyn. - Ale o co tu chodzi?

- Powiedziała, że w tej jaskini, inaczej niż w pozostałych, w szczyto-wej chwili ceremonii śpiewacy schodzą ze ścian i dołączają do świętują-

cych. Oczywiście zawsze są problemy z przekładami z innych języków, ale według mnie ona twierdzi, że w tej jaskini śpiewacy wciąż żyją...

Gwellyn, Jakob i Mixteleta jechali wierzchem - na karych, łagodnych i pewnie stąpających koniach - w góry, na północny wschód.

- Jakaż bujna roślinność i chłód tu panują! - wykrzyknął Jakob. - Powietrze jest tak słodkie, że można by je pić!

- Tak, inaczej niż nad Morzem Śródziemnym - zauważył Gwellyn. -

Wszędzie zielono, słońce, kończy się sierpień, a my jesteśmy tylko lekko spoceni.

Mixteleta uśmiechnęła się, choć nie rozumiała ani słowa z tochariańskiego, w którym rozmawiali.

Gwellyn sądził, że jej uśmiech wywołało piękno gór, lasu i słonecznego blasku.

- A gdzie lampy? - spytał ją nagle w odmianie łaciny, którą oboje niezdarnie się posługiwali. Wyjechali tak pośpiesznie, że nie zauważył ich braku aż do tej chwili.

- Kiedy dojedziemy, światło będzie na nas czekało.

- Ach, nowy flecista także?

- Tam, dokąd jedziemy, będzie wielu flecistów.

Gwellyn popatrzył na nią pytająco. Z jakichś powodów zakładał, że flety były równie rzadkie za życia śpiewaków, jak i po ich śmierci.

- Śpiewacy sporządzają dużo fletów?

Może Gwellyn nie nauczył się łacińskiego dialektu wystarczająco dobrze, żeby porozumiewać się tak precyzyjnie jakby chciał. A może Mixteleta należała do grupy ludzi - dość powszechnie spotykanych we wszystkich miejscach, w których Gwellynowi zdarzyło się prowadzić rozmowę, którzy odpowiadają na pytania z góry ułożonymi zdaniami, zupełnie jakby pytanie otwierało jakiś kodeks z informacjami, zawinięty gdzieś w głębi głowy.

- Legendy mówią, że wilki sporzodziły pierwsze flety - powiedziała.

- Wilki?

- Tak - kontynuowała. - Umierający z głodu wilk wbił zęby w kość.

Szpic już dawno z niej został wyssany, więc nie znalazł w niej pożywienia i zginął. Ale zęby głodnego, ginącego wilka pozostawiły w pustej kości otwory. Śpiewak podniósł ją, dmuchnął w nią, spróbował odmierzyć poło-

żenie otworów czubkami palców... I stwierdził, że flet zachował w sobie duszę wilka, mógł odtworzyć jego wycie...

- Czasami ta muzyka fletów przypomina mi wycie zdychającego wilka

- potwierdził Jakob.

- To prawda - zgodził się Gwellyn.

Może jednak Mixteleta bardzo dobrze zrozumiała jego pytanie.

Teraz zatrzymała się koło niewielkiego, spienionego, szybko płynącego strumienia, ledwie widocznego pomiędzy pokrytymi porostami głazami.

Pokazała na wodę i znów wspomniała o śpiewakach.

- Ich życie jest krótkie i szybkie, jak strumień. Większość z nich żyje około trzydziestu naszych lat.

- Wielu z nas też wcale nie żyje dłużej - rzekł Jakob. - Ja jestem wyjątkowym szczęściarzem.

- To dlatego, że nie dbamy o siebie, ignorujemy informacje od naszych ciał - powiedziała Mixteleta.

- Wśród śpiewaków jest o wiele mniej wyjątków. Cokolwiek robią, ich ciała i tak się poddają. To dlatego muzyka i pamięć są dla nich tak ważne. Żyją w muzyce i w pamięci.

- Czy oni nas nienawidzą? - zapytał Gwellyn. - Jeśli wierzyć tym obrazom, zabijaliśmy ich niezależnie od wieku. Na tej ścianie były dzieci.

- Nie zabiliśmy ich wszystkich - wyjawiała Mixteleta. - Nigdy nie zdo-

łamy zabić wszystkich. To niemożliwe.

- Dlaczego? - zdziwił się Gwellyn.

- Zobaczysz.

Pięć dni później od jaskini dzieliła ich już odległość możliwa do pokonania na piechotę.

- Dalej droga jest zbyt wąska dla tych wspaniałych zwierząt - powiedziała Mixteleta.

Gwellyn popatrzył na szlak i zgodził się z nią.

- Czy konie będą tu czekać, kiedy wrócimy?

- Jeśli nie te, to inne - odparła Mixteleta.

Gwellyn popatrzył na Jakoba, który wzruszył ramionami.

- Dotarliśmy tak daleko; Adonai zapewni wszystko - rzekł Jakob.

- Co? Czyżbyś nagle odnalazł religię?

Jakob uśmiechnął się.

- W tych okolicznościach wezmę wszystko, co się trafi.

Gwellyn potrząsnął głową.

- Czy on zdoła się tam wspiąć? - spytał Mixteletę o Jakoba.

- Adonai! - zawołała i roześmiała się.

- Wspaniale, masz tu świeżo nawróconą - Gwellyn zwrócił się do Jakoba. - W porządku, chyba więc pójdziemy powoli i będziemy się zatrzymywać na odpoczynek, kiedy będziesz tego potrzebował. Przynajmniej powrót będzie łatwiejszy.

- Właściwie w moim wieku podchodzenie jest często łatwiejsze niż schodzenie - rzekł Jakob.

Na obiad mieli koziorożca, którego Gwellyn upolował rano oraz bulwy wykopane po południu przez Mixteletę.

- Trochę łykowaty, ale dobry - Jakob skomentował jakość mięsa, które Mixteleta poćwiartowała, a on upiekł nad niewielkim ogniskiem. Wszyscy zgodzili się, że bulwy są znakomite.

Zaczęli wspinać się o świcie. Światło przenikające przez liście tworzyło jasne, zmienne plamy.

- Gdyby Paschos tu był, powiedziałby, że te filtry z liści są lepsze niż witraże Bizancjum i miałby rację - westchnął Jakob.



Szli w górę dwa dni. Mixteleta przedłużyła przydatność mięsa z koziorożca do spożycia, używając soli, którą dawno temu uzyskała z wody morskiej, a bulwy miały nawet słodszy smak niż pierwszego dnia po wykopaniu...

Trzeciego popołudnia Mixteleta zatrzymała się i przyjrzała się uważnie krzewom.

Zrobiła to jeszcze dwa razy.

Za czwartym razem nie tylko obejrzała krzewy, ale precyzyjnie się po-między nimi i skinęła na Gwellyna i Jakoba, żeby poszli za nią.

- Znow muszę się schylać - zamamrotał Jakob.

Po drugiej stronie krzewów znajdowała się mała polanka porośnięta trawą wysoką do kolan.

- Wygląda jak jakieś zboże - powiedział Gwellyn.

Lecz Jakob szturchnął go w ramię i wskazał na skały po przeciwnej stronie polanki, gdzie widniało coś jakby wejście do jaskini.

Przed nim pojawiły się dwie postacie.

Gwellyn przyjrzał im się zmrużonymi oczami, ale nadal widział ich niezbyt dokładnie.

Mixteleta też ich zobaczyła i gestem pokazała towarzyszącym jej męż-

czynom, żeby nie ruszali się z miejsca. Podeszła szybko do czekających, szeroko rozkładając ramiona. Wydała przy tym wysoki dźwięk, dziwnie kojący.

- Jak Chrystus na krzyżu - powiedział Jakob swoim głośnym szeptem.

Gwellyn usiłował dokładniej skupić wzrok na dwóch postaciach. Czy to byli śpiewacy? Migotliwe światło w jaskini z ruchomymi obrazami było dla niego niewystarczające, by dokładnie zobaczyć, jak wyglądali... W jakiś sposób to słońce i cień, przynajmniej w tej odległości, były jeszcze gorsze...

Przypatrywał się dwójce stojącej przed skałami. Mixteleta dotarła do nich. I jak się zdawało, zrzuciła ubranie...

Gwellyn ruszył przed siebie, ale Jakob go powstrzymał.

- Prawdopodobnie tylko pokazuje im, że nie ma broni - wychrypiał.

Gwellyn skinął głową i ustąpił nieco.

- Czy to śpiewacy?

- Nie wiem - odparł Jakob.

- Powiedziała, że śpiewacy zejda ze ścian jaskini... ci są na zewnątrz.

- Może więc myliła się co do szczegółów - zasugerował Jakob.

- W ogóle nie widzę teraz Mixtelety - powiedział Gwellyn. - Nie możemy tak tu stać.

Jakob zawahał się.

- OK, podejźmy powoli parę kroków... Nie, czekaj! Ach! Jest!

Mixteletę znów było widać, całkowicie ubraną. Ruszyła w ich stronę.

Gwellyn nie spuszczał oka z dwóch postaci, jakby bezustanne przyglądanie się im mogło zapobiec ich zniknięciu.

Mixteleta podeszła bliżej. Wydawała się napięta i jednocześnie spokojna.

- Widzieliście, co właśnie zrobiłam? Podejdziecie do nich w ten sam sposób, z szeroko rozłożonymi ramionami - ponownie wyciągnęła ręce w bok, równoległe do ziemi, dłońmi do góry.

- Czy musimy też wydać taki sam dźwięk? - zapytał Gwellyn.

Mixteleta rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Jeśli sobie żartujesz, to nie czas po temu. Jeśli pytanie było serio, nie przejmuj się; ja zadbam o powitanie.

- Pytałem bardzo serio - powiedział Gwellyn. - Po prostu nie znałem waszego słowa na określenie muzycznego powitania.

- Będziecie też musieli zdjąć ubrania.

- W porządku - zgodził się Gwellyn. - Czy założymy je z powrotem przed wejściem do jaskini?

- Nie będziemy do niej wchodzić - odpowiedziała Mixteleta. - Po tych zabójstwach i podpaleniach tam w dole, nie pozwolą nikomu z nas wejść do żadnej jaskini. Tych dwóch jej pilnuje.

- Wiedzą o Azizie?

- Tak. Wzgórza mają oczy i skrzydła - powiedziała Mixteleta. - Śpiewacy mają motyle. Moje imię znaczy „motyl”.

Śpiewacy mieli około metra siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, podobnie jak Jakob, od Gwellyna byli niżsi. Ich skóra była ciemnoochrowej barwy - przypominała Gwellynowi cerę widzianą przez niego u niektórych podróżników, którzy docierali do Kotliny Tarymskiej z Mongolii,

ale w nieco innym odcieniu. Mieli duże łuki brwiowe, ale nie wyglądali aż tak brutalnie, jak sugerowały to ich szkielety, zakładając, że kości pochodziły od osobników tej samej rasy. Coś w ich mimice, w sposobie poruszania się, w oczach wpatrzonych uważnie w Gwellyna, nadawało im wygląd spokojnej inteligencji - czegoś całkowicie odwrotnego niż brutalność czy niepełne człowieczeństwo.

Wyglądają jak dzieci, zdał sobie sprawę Gwellyn i wspomniał o tym Jakobowi.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli - powiedział Jakob. - Istnieje teoria - słyszałam jak Paschos o niej kiedyś mówił, że ludzie są bardziej inteligentni od zwierząt, bo dłużej zachowują dzieciństwo i w ten sposób wydłu-

żają czas na naukę.

- Oni tylko z twarzy przypominają dzieci - powiedział Gwellyn kiedy obaj z Jakobem zakładali ubrania.

Śpiewacy mieli penisy, które nawet w zwisie były o połowę krótsze i cieńsze niż u dwóch podróżników. Ubrani byli jedynie w zwierzęce skóry udrapowane niedbale na ramionach. Na pewno nie wystarczało to do ogrzania się, ale biorąc pod uwagę panujące tu temperatury, nie było to konieczne i Gwellyn doszedł do wniosku, że okrycia spełniały rolę ceremonialną, być może służyły wyróżnieniu ich jako strażników jaskini.

- Czy możemy z nimi porozmawiać? - zapytał Mixteletę Gwellyn. -

Czy możemy im zadawać pytania?

- Oni nie posługują się językiem - odparła. - Mają pieśń.

- To jak... - zaczął Gwellyn.

- Czy mogłabyś zaśpiewać im, że mamy przyjazne intencje? - przerwał mu Jakob.

- To już wiedzą - wyjaśniła Mixteleta. - Gdybyście byli ich wrogami, nie zbliżyłabym się do nich z pieśnią.

- Niebezpieczny sposób - rzekł Gwellyn. Co może powstrzymać ich wrogów od nauczenia się powitalnej pieśni, tak jak ty to zrobiłaś?

- Ich wrogowie nigdy tego nawet nie próbowali. Po prostu ich zabijali.

- Czy mogłabyś poprosić ich o zaśpiewanie pieśni, którą mają dla opisanie ludzi takich jak my - to znaczy, wyglądających jak my, ale nie będą-

cych ich wrogami?

Gwellyn uśmiechnął się do śpiewaków. Ich oczy zdawały się odpowiadać mu uśmiechem, wargi nie.

Oczy jednak uśmiechały się bez przerwy...

Mixteleta zaśpiewała melodię bez słów, zupełnie nieodróżnialną od powitania, przynajmniej dla Gwellyna. W jednej trzeciej brzmiała jak flet, w jednej trzeciej jak ptak, w jednej trzeciej jak ludzki głos. Wtedy zdał sobie sprawę, że w tej rozmowie nie będzie rozróżnień pomiędzy fletem i głosem

- jej głos był fletem.

Tak samo jak głosy śpiewaków. Oni byli orkiestrą złożoną z fletów. Odpowiedzieli głębokimi, płynnymi tonami, które zaczynały się unisono, ale potem rozdzielały się harmonicznymi, czasem tak szybko, że sprawiały na Gwellynie wrażenie pieśni na trzy głosy, tony nakładały się na siebie, trwały równocześnie, pomimo, że śpiewało ich tylko dwóch...

A może ta ulotna, trzecia linia melodyczna pochodziła od Mixtelety, która od czasu do czasu wydobywała z głębi gardła niski ton. A może od Jakoba, który, jak Gwellyn zdał sobie sprawę, nucił coś w harmonii z pozostałymi, przypominając chłopcu zbiorowe modlitwy Żydów, w których, razem z ojcem i bratem Allynem, brał udział w Kotlinie Tarymskiej, kilka lat temu, przy okazji jakiegoś żydowskiego święta. Wtedy przyłączył się do modłów... zdał sobie sprawę, że teraz też nuci razem ze śpiewakami...

A za każdym razem, gdy brali akord, przez chwilę albo i dłużej, miał on jakieś znaczenie, poruszał jakiś nerw zrozumienia, już obecnego gdzieś w głębi umysłu Gwellyna. Przypomniawszy sobie platoński paradoks Meno -

każdy rodzi się z jakąś wiedzą, bo jak moglibyśmy ją inaczej rozpoznać, natrafiając na nią? - lecz wkrótce wiedza budzona przez akordy pozostała jedyną rzeczą wypełniającą mu głowę...

Śpiew-wiedza trwał, po części stanowiąc muzyczny odpowiednik nie-spokojnych plam światła przesączonego przez liście, podobnych do migotliwego światła w jaskini... jednocześnie taki sam, momentami jak muzyka, którą słyszał z dzwiczącej ceramiki w Barbariconie. Lecz tu nie istniały żadne obrazy, żadne wyżłobienia w glinie, które grzebień w pewnej dłoni mógłby powołać do życia. To było samo życie...

Wydawało się, że melodia trwa całe godziny, nawet dni. Oczywiście złudzenie, bo kiedy umilkła, zmierzch jeszcze nie zapadł, a Gwellyn był pewien, że weszli na polankę o bardzo późnej porze.

A potem wszystko się skończyło.

I Gwellyn wiedział mnóstwo rzeczy.

Wiedział, że on i Jakob, nie tylko Mixteleta, byli jakoś związani z tymi śpiewakami, bo jak inaczej mogliby stanowić część tej samej pieśni, jak inaczej mogłaby ta pieśń przekazać im jakiegokolwiek znaczenia?

- Czasem nuciłem w harmonii z ptakami - powiedział Jakob, po raz pierwszy w życiu cicho szepcząc.

- Lecz nigdy nie nauczyłem się z tego tak wiele.

Gwellyn skinął głową - wyczerpany, zaspokojony... a jednak poruszony.

Bo wiedział teraz też inne rzeczy, pochodzące z pieśni.

Wiedział, że harmonia pomiędzy śpiewakami i ludźmi takimi, jak Jakob, Mixteleta i Gwellyn była zupełnie naturalna, bo ci pierwsi byli dla nich jak larwy wobec motyli. A może to Gwellyn był gąsienicą, a śpiewacy motylami - nie był pewien. Wiedział też - bardziej czuł, niż wiedział, bo istniała tylko sugestia tego w barwie dźwięków, w zarysach niepełnych akordów, że niektóre motyle, a może larwy, były trujące, skłonne do niszczenia. Wiedział też, że śpiewacy - i Gwellyn, i Jakob, i Mixteleta - tracili na tym...

- Czy mogłabyś poprosić ich, by zaśpiewali o konflikcie?

- Gwellyn zapytał Mixteletę.

- Nie, nie dzisiaj - odparła. - Nikt z nas nie przeżyłby takiej pieśni po tak długim dniu. Może jutro.

Gwellyn obudził się wcześniej i od razu spostrzegł, że mają kłopoty: Jakob chrapał kilka stóp od niego, a Mixteleta i śpiewacy zniknęli.

Gwellyn obudził Jakoba. Przedarli się przez krzewy, wychodząc z polanki i zajrzeli na ścieżkę powyżej miejsca, w którym zatrzymali się wczoraj. Nie znaleźli ani śladu stopy, ani złamanej gałązki, nic, co można by przypisać przemieszczaniu się ludzi.

- Jeśli udali się w tę stronę, to musieli polecieć górą - rzekł Gwellyn.

Poszedł w dół ścieżki, do części, którą podchodzili wczoraj po południu.

Położył się na brzuchu i dokładnie obejrzał ziemię. Był dobry w tropieniu, ale wstał, klnąc.

- Nic, oprócz śladów dwóch mężczyzn i kobiety - czyli ciebie, mnie i Mixtelety - z wczoraj. Mniej jestem tego pewien niż braku śladów w górze, ale mam bardzo głębokie przekonanie, że się nie mylę.

- No to muszą znajdować się w jaskini - orzekł Jakob.

- Tak samo sobie pomyślałem - przyznał Gwellyn.

- Mixteleta powiedziała, że nie życzą sobie, żebyśmy wchodzili do tej groty - przypomniał Jakob. - Załóżmy, że weszli do środka tylko po coś na śniadanie - nie ma sensu rozwścieczać ich, pchając się tam za nimi.

- Dobrze - rzekł Gwellyn. - Wracajmy pod jaskinię i zobaczmy, czy przynieśli nam śniadanie.

W końcu zjedli resztę koziorożca i kilka bulw z plecaka Jakoba, uzupeł-

niając posiłek słodkimi jagodami znalezionymi na kilku krzewach. Lecz ich położenie było raczej ponure.

- Przekonałeś się już, że nie mamy co liczyć na śniadanie od naszych gospodarzy? - zapytał ironicznie.

- Tak.

- Może powinniśmy teraz sprawdzić, czy są w jaskini? - kontynuował

Gwellyn.

- Tak sędzę - powiedział Jakob bez entuzjazmu.

Gwellyn wsadził głowę do jaskini.

- Mixteleta! - krzyknął. - Mixteleta! Powtórzył to kilkakrotnie, jeszcze głośniejsze. W odpowiedzi nie usłyszał nic, nawet echa.

Wszedł do środka i od razu stwierdził, że mają kłopot - nie widzieli dalej niż na kilkadziesiąt centymetrów.

- Czy zauważyłeś przy wejściu jakieś świetlikowe lampy? - wyszeptał

Jakob, cały czas cicho.

- Nie musisz szeptać - powiedział Gwellyn. - Najwyraźniej nie ma tu nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. I nie, nie widziałem żadnych lamp.

- Tak pomyślałem - mruknął Jakob.

Po omacku przeszli kawałek wzdłuż ściany - szukając przejścia do innej komory albo rysunku czy żłobień skały - ale nie zaszli daleko. Jakob krzyknął, rozdawszy sobie palec na czymś ostrym.

- Jesteś ranny? - zapytał Gwellyn.

- To tylko skaleczenie - odparł Jakob.

- Nie ma sensu pętać się tak w ciemnościach - uznał Gwellyn.

- Oczekajmy trochę, aż oczy przyzwyczają nam się do ciemności.

Powoli zaczęli dostrzegać ściany i rozmiary komory. W pobliżu nich nie było żadnych obrazów, a jaskinia zdawała się olbrzymia - tak wielka, że jej wnętrze pozostało kompletnie czarne nawet w godzinę od ich wejścia do środka i przy słabym świetle docierającym od wlotu.

- Wyjdźmy i zastanówmy się, jaki mamy wybór - zaproponował

Gwellyn.

Zamrugali w ostrym świetle słońca.

- Musiało padać, gdy byliśmy w środku - Gwellyn przyklęknął na ziemi i przeciągnął dłonią po wilgotnej trawie. - Jest za mokro, żeby sporządzić łuczywa. Myślałem, żeby zrobić pochodnię i dokładniej obejrzyć jaskinię.

Zdali sobie sprawę, że nie mają wyboru, jak tylko zejść ze wzgórz, odzyskać konie i wrócić do wioski Vasconów. Zaczęli odwrót.

- Dużo nauczyliśmy się od śpiewaków - oznajmił Jakob. - Powinniśmy przekazać tę informację innym.

- Ostatnia noc to było tylko preludium - rzekł Gwellyn. - Nie nauczyłem się za dużo - chcę więcej.

- Teraz jesteś po prostu rozdrażniony - powiedział Jakob. - Widziałem twoją twarz w nocy - widziałem, co czułeś. Ja czułem to samo. Już się bardzo wiele dowiedzieliśmy.

- Doprawdy? A czego właściwie?

- Że śpiewacy są prawdziwi, żyją i zostali właściwie nazwani - odparł

Jakob.

- Skąd możemy mieć pewność, że to byli śpiewacy? Skąd możemy mieć pewność, że nie śniliśmy? - nalegał Gwellyn.

- Nie zaczynaj znów tej szalonej greckiej gadki o solipsyzmie - prychnął Jakob. - Wałkowaliście ten temat z Paschosem. Skąd możemy wiedzieć, czy wszystko, cokolwiek, nie jest snem? Skąd wiemy, że ta rozmowa nie jest snem? Odpowiedź: nie możemy tego wiedzieć. Musimy zacząć w coś wierzyć - więc równie dobrze możemy ufać w realność tego świata. Nie da się jej udowodnić logicznym rozumowaniem - ponieważ sam dowód może być częścią snu; właśnie dlatego jest to wiara.

- Rzeczywistości nie da się udowodnić jako faktu absolutnego, lecz im więcej razy coś widzimy, tym większą możemy mieć pewność, że jest realne - powiedział Gwellyn. - Właśnie dlatego muszę porozmawiać - zaśpiewać - ponownie ze śpiewakami.

- Jeśli zobaczysz milion białych chmur, czy da ci to większą pewność, że następna zobaczona przez ciebie chmura będzie biała? Może tuż za czubkami drzew czai się szara albo czarna.

- Od tych twoich chmur boli mnie głowa - rzekł Gwellyn.

- Dobrze, już nie będziemy o nich rozmawiać - zgodził się Jakob.

Wlekli się dalej.

- Przyznaję, wiemy teraz, że śpiewacy są prawdziwi - odezwał się Gwellyn, w kilka minut później. - Wierzę, że wczorajsze wydarzenia nie były snem. Ale kto jeszcze nam uwierzy? Paschos i Ibrim?

Dlaczego mieliby to zrobić?

- A ty co byś zrobił? Zabrał śpiewaków ze sobą jako dowód? Może właśnie dlatego odeszli?

Gwellyn potrząsnął głową.

- Koniecznie trzeba zdobyć więcej informacji o tym konflikcie z przeszłości. Muszę wiedzieć, dlaczego mój ojciec kazał mi spalić ich kości! To przede wszystkim dlatego wyruszyłem na tę wyprawę!

- Wiadomo, dlaczego ojciec wydał ci takie polecenie - odparł Jakob. -

Musiało mieć to związek z chorobą pochodzącą od śpiewaków.

- Tyle wiedzieliśmy już wcześniej - zripostował Gwellyn. - Od lat po odrobinie przybywa nam informacji na ten temat.

- Nie - zaprzeczył Jakob. - Dowiedziałem się czegoś o tym z wczorajszego śpiewu - obudził się we mnie jakiś rodzaj pamięci.

Gwellyn popatrzył na niego.

- Wcale już nie jestem pewien, czego się nauczyłem. Myślałem, że wczoraj coś rozumiałem...

Jakob zamknął oczy.

- Być może ma to coś wspólnego z moim ludem - ludem Abrahama. W

całej serii wydarzeń, która doprowadziła do Paschy - kiedy moi pobratymcy byli niewolnikami w Egipcie - nasz Bóg Wszechmogący, Adonai, uderzył w naszych ciemiężców i wygubił ich pierworodnych synów. Lecz Jego aniołowie ominęli wszystkie rodziny żydowskie, w których byli pierworodni, bo drzwi naszych domów były oznakowane krwią Baranka Paschalnego. Taka historia dotarła do nas. Lecz mój ojciec zawsze uważał, a ja mu wierzyłem, że interpretacja tego wydarzenia jest inna. Sądził, że nasi przodkowie, walcząc o wyzwolenie spod jarzma faraonów, wywołali wśród wrogów straszliwą epidemię - chorobę, na którą mój lud, Hebrajczycy, byli odporni.

- Epidemia atakująca tylko pierworodnych chłopców? Co to za choróbko?

- Cóż, nie powiedziałem, że interpretacja mojego ojca jest doskonała -

przyznał Jakob. - Ale może był taki czas, kiedy choroby były bardziej specyficznie dostrojone niż dziś - kiedy zabijały nie po prostu wszystkich ludzi, ale bardzo ściśle określone osoby. Nawet dziś spotykamy schorzenia, które dotyczą wyłącznie dzieci. Tak czy siak, sądzę, że mój ojciec miał właściwe skojarzenia. A we wczorajszym śpiewie widziałem coś o epidemii, o chorobie.

- To dlaczego ja tego nie widziałem?



- Może dlatego, że dobór otrzymywanych ze śpiewu informacji opiera się na wiedzy istniejącej już w twojej głowie - odparł Jakob. - A może jednak widziałeś - przypuszczalnie akordy mimo wszystko obudziły te skojarzenia w twoim umyśle - tylko z jakichś powodów już ich nie pamiętasz.

Gwellyn spostrzegł, że Jakob miał rację, przewidując, iż będzie miał

większe trudności przy schodzeniu niż przy wspinaniu się na górę. Widział

wyraz cierpienia narastający na twarzy starego człowieka niemal z każdą godziną.

- Może powinniśmy byli poczekać trochę dłużej - zasugerował chłopak - na wypadek, gdyby śpiewacy powrócili.

- Na pewno nie z mojego powodu - odparł Jakob. - Wolę mieć tę wę-

drówkę z głowy - oczekiwanie przez kilka dni nie pomogłoby mi w żaden sposób, a poza tym nie mamy żadnych podstaw, by przypuszczać, że wrócą.

Mimo to Gwellyn nalegał na częste postoje dla odpoczynku. Na jednym z popasów wypłukali spod ziemi kilka tłustych norników, jako dodatek do bulw. Mięso koziorożca dawno się skończyło.

- Moja babka zwymiotowałaby, widząc co jem, ale święta księga mó-

wi, że powinniśmy dbać o zachowanie sił - powiedział Jakob.

- Stajesz się coraz bardziej religijny, Jakobie. Zazwyczaj nie dbałeś o przestrzeganie koszerności.

- To ten śpiew... - wyjaśnił Jakob. - Wciąż słyszę jego część.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie wędrując w górę, zsiadli z koni.

- Cóż, nie widzę ani śladu zwierząt - powiedział Gwellyn po krótkich poszukiwaniach. - Nic dziwnego.

Jakob przysiadł pod drzewem, opierając się o jego pień plecami i głową.

Na twarzy malowały mu się wyczerpanie i wdzięczność dla drzewa za oparcie.

- Jak zdołamy je tu wezwać bez Mixtelety? - zastanawiał się Gwellyn cicho.

Jakob tylko westchnął.

- Oczywiście wiedziała, że pozostawieni sami sobie możemy nie zdo-

łać odnaleźć koni. Wiedziała o tym, znikając ze śpiewakami - ciągnął Gwellyn.

- Może wiedziała też, że są ważniejsze sprawy, którymi musi się zająć; może uważała, że dostaniemy je innym sposobem - odparł Jakob.

- Nie zdołasz przejść takiej odległości pieszo - orzekł Gwellyn, ze łzami w głosie. - To za daleko na marsz dla ciebie.

- Wiem - potwierdził Jakob.

- Nie mogę cię tu zostawić - powiedział Gwellyn. - Bulwy skończą się za kilka dni, a powrót z końmi z wioski zajmie mi dużo dłużej.

- Mogę ich wykopać więcej.

Gwellyn popatrzył na swojego najlepszego przyjaciela, od pewnego czasu zastępującego mu ojca, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

-

Mamy tylko dwie możliwości - oznajmił Jakob, zbierając resztki sił.

- Jeśli zejdziesz z tobą z gór, nadal będziemy mieli ten sam problem braku żywności, a nie mamy pewności, kiedy spotkamy kogoś na szlaku - idąc w górę nie natrafiliśmy na nikogo. Jeśli zostanę tutaj, będę mógł odpocząć, nabrać nieco sił i rozejrzeć się po najbliższej okolicy za czymś do jedzenia.

Wokół jest pełno strumyczków, a rano osiada obfita rosa, więc wody mi nie zabraknie. Nie mówiąc o tym, że beze mnie będziesz mógł iść o wiele szybciej.

- Nic się nie stanie, jeśli poczekamy tu kilka dni - zdecydował Gwellyn. - Może Mixteleta przyjdzie tu po nas, może konie wyczują naszą obecność i się pojawią. I przynajmniej mogę tu zapolować i zapewnić ci żywność.

Z trzech życzeń Gwellyna spełniło się tylko ostatnie - miał szczęście na łowach i mieli dwa upieczone koziorożce. Jakob nalegał, żeby chłopak zabrał ze sobą przynajmniej czwartą część mięsa.

- Jeśli nie przeżyjesz drogi powrotnej, ja tu nie będę miał żadnych szans, więc zabranie przez ciebie części mięsa leży w moim własnym interesie, proszę - tłumaczył.

A potem żałował tych słów, bo Gwellyn uroczyście oznajmił, że nigdzie nie pójdzie.

Lecz po czterech dniach i kolejnym upolowanym koziorożcu wyruszył, bo logika Jakoba była nieodparta.

Szedł, przepełniony smutkiem aż do mdłości - niedobrze mu się robiło od logiki, od śpiewaków, od tego świata.

Szedł i szedł. Czasami przypominał sobie, żeby zatrzymać się, zjeść i zapolować; czasami nie. Powietrze było ciepłe i wilgotne, ale nocami panował chłód, zaczął mieć dreszcze nawet w dzień...

Stopy tak mu ciążyły, że z trudem je przestawiał. Ale sama ziemia zdawała się być po jego stronie,

potykając się, człapał w dół, w dół, wydawało mu się, że nogi pracują niezależnie od jego woli...

Gdzieś w trakcie długiej wędrówki zrobiło mu się gorąco, ale jednocześnie trzęsły nim jeszcze silniejsze dreszcze. Przepocił całkowicie ubranie.

Kiedy spał, śnił o chorobie, pladze. Paschos opowiadał o epidemii w Konstantynopolu. Na jawie też mu się zwidywała... Kaszłał...

Znów słyszał śpiew i zaczął więcej z niego rozumieć. Pojął, że śpiewacy mieli tylko jedną pieśń - że wszystkie ich pieśni były takie same, że każdy jej fragment zawierał wszystkie pozostałe, tak jak jajko ma w sobie wszystkie obecne kurczaki, a także wszystkie jajka i kurczaki, które się z nich wyklują w ciągu wieków...

Tamtej nocy usłyszał więc całą ich jedyną pieśń. Właśnie to próbowała mu powiedzieć Mixteleta. Może dlatego śpiewacy odeszli...

Zobaczył swojego uśmiechniętego ojca, a może to był Jakob. Zobaczył

Daralyn i Lilee, i tę kobietę o ognistych oczach, z którą spał w tym dziwnym kraju, tęsknił, pragnął być z nimi wszystkimi jednocześnie, jeszcze raz...

Znów pomyślał o kurczakach i jajkach, zaczął się zastanawiać, czy z którąkolwiek z kobiet, które kochał albo z którymi się kochał, spłodził

dziecko... Pomyślał, że chyba tak... Miał nadzieję, że tak... Bo pragnął, żeby coś po nim przetrwało...

Ponownie przyszła mu do głowy epidemia. To był klucz - to chcieli mu powiedzieć i śpiewacy, i Jakob, i ojciec, i wszyscy. W jakiś sposób zarażała nie żywe istoty, a samo życie i zmieniała je. Może teraz już była życiem -

czy to właśnie próbowali przekazać śpiewacy? Czyje życie? Śpiewaków?

Nie, teraz mieli go mało - kto wie, ilu z nich jeszcze żyło?

Kto wie, jak długo jeszcze ja pożyję? pomyślał Gwellyn, dręczony go-rączką, kaszlem i dreszczami...

A pewnego ranka, kiedy sądził, że albo umiera, albo już umarł, ocknął

się... śliniąc się na pachnący mech pod drzewem...

Zwidziało mu się, że jest Aleksandrem, umierającym w młodym wieku na tę samą chorobę... po podbiciu świata, ale zanim jeszcze miał szansę powiedzieć mu, czego naprawdę się nauczył.

- Nie bądź na mnie zły - błagał swego mentora Arystotelesa, student Platona, student Sokratesa, który nienawidził pisania... I Sokrates powiedział swojemu praprstudentowi, Aleksandrowi/Gwellynowi:

- Książki w wielkim mieście noszącym twoje imię, spłoną...

A Gwellyn odparł:

- Nie słyszę cię. Już nie żyjesz. Mógłbym przeczytać twoje słowa, tylko gdybyś je zapisał.

Zwidziało mu się, że Paschos podjechał do niego na pięknym, czarnym koniu. Że karmił go motylami, których skrzydła były słowami, że owinął

jego dygoczące ciało fenickim jedwabiem...

W końcu zdał sobie sprawę, że Paschos wcale mu się nie zwidował...

- Ognie się wypaliły - powiedział mu Paschos, kilka dni, a może tygodni później. - Nie uległy zniszczeniu żadne lasy, tylko jaskinie. Vasconi mówią „Lampy wiedziały, kiedy ich praca się skończyła. Nie mniej, nie więcej”. Ibrim też odszedł.

Gwellyn podparł się na łokciach, tego ranka po raz pierwszy od swego powrotu miał na to dość siły.

- Musimy wyruszyć po Jakoba - powiedział.

- O tym porozmawiamy później - odparł Paschos.

- Porozmawiamy teraz - Gwellyn zdołał usiąść, dygocząc cały.

Paschos odwrócił wzrok.

- Kiedy tylko wróciliśmy do wioski, wysłałem tam ludzi. Nie znaleźli nikogo.

- To pojedziemy i poszukamy jeszcze raz! Jak daleko poszli ścieżką?

- Do miejsca, od którego droga robi się za trudna dla koni - odparł

Paschos. - Potem na piechotę doszli do jaskini śpiewaków.

- Skąd możesz wiedzieć, gdzie to jest? - zapytał Gwellyn.

- Tylko Mixteleta...

A wtedy przypomniał sobie coś - coś o czym myślał w swych majakach, a może z czego zdał sobie sprawę w trakcie śpiewu.

- Euskaldunak, Vasconi - Euska, Vasco, Paschos - masz jakieś głębsze związki z tymi ludźmi, prawda?

Paschos powoli skinął głową.

- Vasconi stanowili część mojej rodziny od czasu Justyniana Pierwszego - jego armie na krótko

odzyskały dla Imperium południową część tego kontynentu, koło Słupów Herkulesa. Dużo ludów wtedy się wymiesza-

ło - trwa to nadal w Konstantynopolu.

- Ile z tego wiedziałeś, kiedy dołączyłeś do naszej grupy? - spytał

Gwellyn i znów pomyślał o Jakobie, ponownie przysiągł, że pójdzie go szukać.

- Niewiele, bardzo niewiele - odparł Paschos. - Interesowałem się śpiewakami - wielu filozofów to robi, po cichu, bo takie zainteresowania nie sprzyjają zawodowej reputacji. Jednak Jakob o tym wiedział i bardzo prawdopodobne, że dlatego zaprosił mnie na tę wyprawę. Nic nie wiedziałem o związkach z Vasconami - dowiedziałem się o tym dopiero tutaj. Pomogła mi wcześniejsza znajomość języka... Wiedziałem, że Mixteleta, znaczy

„motyl”. Rozmawiałem z ludźmi, którzy ją znali. W końcu zebrałem dość informacji, żeby wyruszyć we właściwym kierunku...

Na skutek intensywnych nalegań Gwellyna, pięć dni później pojechali na poszukiwanie Jakoba. Zabrali ze sobą kilku ludzi i konie. Gwellyn żałował, że nie ma z nimi Ibrima, który kilka tygodni temu wyruszył na południe.

Nie znaleźli nic. Tylko resztki małego ogniska w miejscu, skąd konie nie mogły iść dalej. Ostatni ogień Jakoba, pomyślał Gwellyn i zapłakał w duszy. Kompletnie nic nie było też przed jaskinią, do której doszli z Paschosem pieszo.

Weszli do środka i rozejrzeli się. Po zniknięciu Mixtelety, w wiosce nie został już nikt, kto potrafiłby - lub zechciałby, tego Paschos nie potrafił

powiedzieć - przygotować żywe lampy. Użyli więc paskudnych lampek łożowych, wydzielających gryzący smród. Nie miało to żadnego znaczenia.

Nigdzie w całej jaskini nie było żadnych obrazów na ścianach czy suficie.

- Ruchome obrazy, oglądane przez nas na dole, znajdowały się w jaskini, leżącej w jaskini, która była wewnątrz innej jaskini, znajdującej się w jeszcze jednej jaskini - powiedział Gwellyn.

Paschos skinął potakująco głową, ale w tej wielkiej przestrzeni nie potrafili znaleźć żadnego przejścia dalej. W jednym miejscu, w odległym kącie, mógł kiedyś znajdować się jakiś portal prowadzący dokądś, ale wyglądał, jakby już bardzo dawno zawałono go glazami, które nawet dziesięć-

ciu, nie mówiąc już o dwóch, ludzi z trudem by poruszyło.

- Potrafisz rozróżnić, czy te kamienie położono tu dawno temu, czy też są to omszałe, stare odłamki skał zgromadzone tu niedawno? - zapytał

Gwellyn.

- Nie można tego stwierdzić na pewno - odparł Paschos. - Ale te grzyby w szczelinach wyglądają, jak gdyby rosły tu od bardzo dawna.

- A skąd wiadomo, czy nie są to jakieś szczególnie szybko rosnące gatunki?

Paschos uśmiechnął się w migotliwym świetle lampek.

- Widzę, że zrobiłeś postępy na drodze do stania się kreatywnym, ary-stotelesowskim zoologiem. Masz rację - nie da się z absolutną pewnością określić, czy nie jest to bardzo szybko rosnący grzyb. Ale nawet jeśli tak jest, to wciąż mamy problem z poruszeniem tych potężnych głazów. Znajac przesadność mieszkańców wioski, wątpię, czy zdołalibyśmy zebrać niezbędną liczbę mężczyzn, którzy zechcieliby przyjść tutaj z nami.

Gwellyn musiał się zgodzić - nie przegapił faktu, że towarzyszący im wieśniacy odmówili pójścia poza miejsce, do którego mogły dojść konie.

- A poza tym najprawdopodobniej te głazy leżą tu już od wielu lat -

Paschos podał najmocniejszy argument. - W większości przypadków pierwsza, najbardziej oczywista interpretacja jest z grubsza prawdziwa - nie wszystko w życiu to podstęp.

Poszli w dół.

- Jeśli Jakob umarł gdzieś tutaj, powinniśmy znaleźć jego ciało - powiedział Gwellyn. - To nie w porządku, żeby go tak pozostawić leżącego gdzieś w lesie.

- Jeżeli nie żyje, jego dusza tu nie leży - odparł łagodnie Paschos. -

Ale może nie umarł - może jacyś ludzie z głębi gór przyszli tu z końmi, znaleźli go i poszedł z nimi w góry. Wiem, że dalej nie ma śladów stóp, ale jeśli pomyślisz o szybko rosnących grzybach, możesz też pomyśleć o szybko rosnącej trawie albo trawie i glebie w jakiś sposób zacierającej ślady stóp... Możliwości są nieskończone... Możemy dowolnie spekulować, żeby zachować nadzieję...

To miłe spekulacje; chciałbym w nie wierzyć, pomyślał Gwellyn.

Dołączyli do czekających na nich ludzi z końmi - Paschos miał rację, że można było na nich polegać...

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego Ibrim wyjechał? - zapytał Gwellyn, kiedy jechali już w stronę wioski.

Do tej pory za bardzo był skupiony na Jakobie, żeby pomyśleć o Ibrimie.

- Zakończył swoją pracę tutaj - wyjaśnił Paschos. - My wszyscy, któ-

rzy kochamy wiedzę, zawsze będziemy mieli dług wobec niego - w imię nauki odebrał życie swojego pobratymca, życie, które sprowadziłoby na tę krainę cierpienie, jak i obrabowałoby przyszłość z części najcenniejszej mądrości. Większość z nas nigdy by się na to nie odważyła - nie sądzę, żebym ja się na to zdobył. To prawda, zabicie Aziza spowodowało, że Vasconi spalili cudowne jaskinie w tej okolicy. Ale na pewno są inne. Ta wioska to tylko jedna z wielu osad Vasconów. Nie wierzę też, żeby takie jaskinie, jeśli pochodzą z czasów, gdy śpiewaków było wielu albo niewiele późniejszych, znajdowały się tylko w tej okolicy - musi być ich więcej, na północy, na południu...

- Ale skąd będziemy wiedzieli, gdzie ich szukać?

- My dwaj możemy nigdy się tego nie dowiedzieć - powiedział

Paschos. - Ale przynajmniej Ibrim uratował te jaskinie dla przyszłości, gdziekolwiek są - reprezentuje współczującą, mądrą stronę islamu. Czuł, że mądrze będzie teraz powrócić do swoich, przekonać ich, żeby nie posuwali się dalej wzdłuż tego wybrzeża. Ta noc w jaskini bardzo go poruszyła...

- Czy islam podbije teraz Bizancjum? - zapytał Gwellyn.

- Przypuszczalnie pewnego dnia tak - odparł Paschos. - Ale na dłuższą metę to bez znaczenia - obydwie tradycje będą kontynuowane. Sądzę, że świat wyrósł już z całkowitego niszczenia jednych kultur przez inne.

- Jednak w przypadku śpiewaków inaczej się to potoczyło...

- Zazdroszczę ci dnia spędzonego ze śpiewakami, Jakobem i Mixteleta

- wyznał Paschos. - Mam nadzieję, że opowiesz mi wszystko, co wiesz na ten temat.

- Zrobię to - zgodził się Gwellyn. - Spróbuję. Ale wiele z tego, czego się dowiedziałem, nie da się przełożyć na słowa - z mnóstwa zdaję sobie sprawę dopiero w miarę upływu czasu. Tkwią w tej wiedzy ważne lekcje -

rozstrzygające o życiu lub śmierci, dla wszystkich istot ludzkich. Kiedyś pomyślałem, że je spiszę i pozostawię swojemu ludowi. Teraz nie jestem pewien, czy wiem, jak to zrobić...

- Mimo wszystko opowiadaj - rzekł Paschos.

Pięć miesięcy później Gwellyn ruszył na południe, żeby wsiąść na statek i powrócić na południowy kontynent.

- Zawsze balansował na krawędzi stania się straconą duszą - powiedział Paschos do jednego z mieszkańców wioski, z którym się zaprzyjaźnił i któremu się zwierzał. - Ibrim pochodził z wielkiej nowej tradycji, ja z wielkiej starej, Jakob z wielkiej starożytnej, a Gwellyn z ludu prawie jej nie mającej, a przynajmniej nic o niej nie wiemy. Mam nadzieję, że znajdzie spokój.

- Dokąd się udaje? - spytał wieśniak.

- Próbuje powrócić na wyspę - wyjaśnił Paschos - gdzie mały są prawie ludźmi, wiatry delikatne, a noce niczym jedwab w świetle księżyca...

Wraca do swojej Lilee, pomyślał, i mam nadzieję, że mu się to uda.

Paschos nie wyjawiał Gwellynowi jedynej rzeczy, która mogłaby go zatrzymać w pobliżu kraju Vasconów. Nie chodziło tu o Jakoba, bo o jego losach - o ile żył - wiedział tyle samo, co chłopak.

Nie zdradził mu, że tej jednej nocy, którą spędził z kobietą wkrótce po przybyciu do Kantabrii, spłodził dziecko.

Zachował tę wiadomość dla siebie, bo rozumiał, że choć Gwellyn spał z nią, nie kochał jej. Widział twarz chłopaka, kiedy patrzył na Lilee i choć sam nie doświadczał tego typu miłości, umiał ją rozpoznać, gdy spoglądała na niego z twarzy innych ludzi. Gwellyn podróżował tak daleko, tak długo, zużywając swoje młodsze lata na poszukiwania śpiewaków, że zasługiwał na szansę otrzymania szczęścia. Epikurejczycy mieli rację - szczęście było dobre samo z siebie.

Paschos sam zadba o dziecko - zawsze tęsknił za ojcostwem, nawet jeśli nie gustował w sposobie, w jaki zazwyczaj staje się ojcem...

Zadba o dziecko Gwellyna. Długo rozmawiał z tą kobietą. Ożeni się z nią, może od czasu do czasu nawet spełni męzowskie obowiązki. Przeżyje swoje życie tutaj i pomoże wychować dziecko w hebrajskiej religii, którą wyznawała. W ten sposób również spłaci wobec Jakoba swój dług, za zaproszenie go na tę ekspedycję.

A jeśli chodzi o śpiewaków, cóż, mogą spoczywać w pokoju.

A przynajmniej taką nadzieję żywił Paschos z Konstantynopola, arysto-telesowski zoolog...

## CZEŚĆ TRZECIA

Symptom subatomowy



# SIEDEM

- Spójrz na to, Phil.

Dave Spencer, lekarz sądowy, z którym zazwyczaj pracowałem, ściągnął mnie do centrum, do swojego laboratorium.

- Co, mieli wyprzedaż w Muzeum Historii Naturalnej i kupiłeś sobie jednego do biura?

Nieboszczyk wyglądał jakby pochodził z jednej z dioram o neandertalczykach, które od dzieciństwa widywałem w muzeum. Dave zachichotał.

- Ten gość zmarł nie później niż czterdzieści osiem godzin temu, maksimum. Ale wyniki badań struktury kości, które właśnie przyszły, potwierdziły wygląd: definitywnie mają neandertalski charakter.

Przyjrzałem się szczątkom dokładniej. Wciąż miały na sobie zwęglone resztki jakiegoś niemożliwego do zidentyfikowania ubioru. Ostatni neandertalczyk, którego widziałem, był kilka miesięcy temu pokazywany na kanale edukacyjnym. Temu nie pozostało wiele z twarzy, ale z tego, co widziałem, mógłby być rodzonym bratem tamtego z telewizji.

- Jak na kogoś, kto żył jeszcze dwa dni temu, jest poważnie rozłożony.

Jesteś pewien, że nie zamarznął gdzieś przed ostatnim zlodowaceniem i nie został przedwczoraj rozmrożony, co cię zmyliło w ocenie czasu zgonu?

- Cóż, popatrz na to - rzekł Dave. - To nie szczyt mody, ale wątpię, czy pochodzi sprzed ostatniego zlodowacenia.

Wyciągnął tacę z szafki. Leżała na niej... niebieska, jedwabna chusteczka, mieniąca się barwami od turkusowego do fioletu. Przyjrzałem się jej najdokładniej, jak się dało bez dotykania.

- Wygląda jak prezent od mojej ciotki, który dostałem z okazji matury

- powiedziałem. - Z Searsa.

- Właśnie - potwierdził Dave.

- I co? Znalazłeś ją przy nim?

Dave skinął głową.

- Cóż - uznałem - ktoś musiał podrzucić ją tej skamielinie - jako żart.

- Uhum - rzekł Dave. - Tyle tylko, że on wcale nie jest skamieniały.

Zmumifikowany - jak ci ludzie z bagien, których ciągle wykopują - ale nie skamieniały. A to nie wyjaśnia, dlaczego jego ogólna charakterystyka -

wzrost, struktura kości - odpowiada sprzątacowi z Uniwersytetu Nowojorskiego, który zniknął w zeszłym tygodniu.

- Czy ten sprzątac był neandertalczykiem?

Dave wzruszył ramionami.

- Mówią, że tak wyglądał.

- Ile miał lat? - spytałem.

- Około sześćdziesiątki, choć nikt nie jest tego pewien - odparł Dave. -

To uciekinier, gdzieś z Centralnej Europy. Zazwyczaj sprzątał piwnicę w bibliotece, w wolnych chwilach czytając wszystko, co mu wpadło w ręce.

Według bibliotekarzy był niezwykle inteligentny. Kręcił się tam od lat.

Uważnie przyjrzałem się zwłokom.

- Czyli sądzisz, że ktoś z naszych współczesnych kromaniończyków zamordował tego bibliofila o neandertalskich genach?

Dave potrząsnął głową.

- Jeszcze nie dostaliśmy wyników badań DNA. Poza tym nie ma żadnej porządnej charakterystyki genetycznej neandertalczyków. Ale tak, morderstwo jest możliwe. Choć jak na razie wszystko wskazuje, że zmarł ze starości - z przyczyn naturalnych.

- Już kiedyś słyszałem ten refren.

- Nie musisz mi tego mówić - zgodził się Dave. - Poza tym jest problem z datowaniem węglem radioaktywnym.

Obejrzałem się na lekarza sądowego.

- Czyli?

- Czyli ten dżentelmen przed tobą ma jakieś trzydzieści tysięcy lat -

wyjaśnił Dave. - Plus minus parę procent błędu.

Gwizdnąłem.

- O rany. Ja też imprezowałem całą noc w bibliotece. Ale te wasze trzydzieści tysięcy lat przebija

wszystko.

Ruth Delany była bibliotekarką na Uniwersytecie Nowojorskim. Z nią miałem przeprowadzić wywiad. Obejrzała moje papiery, twarz, prawo jazdy ze zdjęciem, jeszcze raz twarz.

- Pan jest doktor D'Amato z Wydziału Medycyny Sądowej Policji Nowego Jorku?

Skinąłem głową.

- Mój wuj służył przez wiele lat - powiedziała. - Nigdy nie wyszedł

poza posterunkowego. Wtedy w policji było dużo uprzedzeń wobec afro-amerykanów.

- To prawda - westchnąłem. - Ale wie pani, posterunkowy wcale nie ma jeszcze najgorzej - przynajmniej wychodzi pomiędzy ludzi. To na pewno najlepsza część roboty, przynajmniej z mojego punktu widzenia.

Ponownie przyjrzała się mojej twarzy.

- Pojawiał się pan też w telewizji. Chyba widziałam pana w tym programie na kablówce?

- Uhum - potwierdziłem. - W każdą ostatnią niedzielę miesiąca, 10:30

do 11 na...

- Zgadza się - chyba się trochę rozluźniła. - Co mogę powiedzieć o Stefanie Antonescu?

- Cóż, może na początek wszystko, co pani wie - zaproponowałem.

- OK - uśmiechnęła się, potem zaczęła mówić powoli: - W listopadzie upłynie dwadzieścia lat mojej pracy w tej bibliotece, a Stefan - pan Antonescu - był już tutaj, gdy zaczynałam. Nieszkodliwy, pracował sumiennie, naprawdę lubił swoją pracę - a przynajmniej uwielbiał przebywać w bibliotece. Nigdy nie widziałam go w czasie przerwy w zajęciach bez książki lub czasopisma w ręce.

- Zanikający gatunek - wtrąciłem. - Większość ludzi odwiedzających obecnie biblioteki robi to przez internet.

- Nie Stefan - rzekła Delany. - Był absolutnym mołem książkowym.

Twierdził, że lubi dotyk papieru. Ja sama chyba czasami czuję to samo.

- Chyba wszystkim to się zdarza - potwierdziłem. - Czy pan Antonescu coś studiował - wie pani, pracując i jednocześnie co semestr biorąc jakiś kurs?

Dla starszego człowieka studiującego w niepełnym wymiarze godzin kilkanaście lat wystarczyłoby do uzyskania dyplomu. Z drugiej strony już mogłem powiedzieć, że w tej sprawie wszelkie ramy

czasowe będą dziwaczne - choć z trzeciej strony, nie było nawet jeszcze sprawy, tylko jedno-czesne pojawienie się nieboszczyka i zniknięcie podobnego faceta, obu o cechach neandertalskich, w dodatku ciało liczyło sobie trzydzieści tysięcy lat. Wszystko to wyglądało na głupi żart albo coś cholernie dziwnego, nawet jeśli nie była to sprawa kryminalna. Zatarłem ręce. Więcej niż dwie strony i dziwaczne zbiegi okoliczności to najwyraźniej moja specjalność...

- Cóż, Stefan właściwie nie był studentem - powiedziała Delany. -

Może kiedyś chodził na któryś z kursów, ale jego prawdziwą pasją była biblioteka. Sądzę, że uważał ją za swój dom. Przychodził tu czytać nawet w wolne dni.

- Naprawdę... Czy to często się zdarza?

- Zdziwiłby się pan - rzekła Delany. - Na tym świecie jest mnóstwo samotnych ludzi, doktorze. Jeśli niektórzy z nich znajdują pociechę w bu-dowaniu swojego życia na naszych książkach i czasopismach, cóż - wzruszyła ramionami - nam to nie przeszkadza. Myślę, że w każdej bibliotece są tacy ludzie. Czasami należą do personelu, czasem po prostu często przychodzą.

- Czy są tu jacyś sprzątacze tacy jak Antonescu? - zapytałem.

- Nie. Stefan jest jedynym pracownikiem tak kochającym czytanie.

Wszyscy są zawsze w pierwszej chwili zszokowani, dowiadując się o tym jego nałogu. Wie pan, chyba chodzi o jego rysy twarzy - są takie ciężkie.

Ludzie zawsze zakładają, że ktoś z takim wyglądem jest, no wie pan...

- Głupi?

- Cóż... tak - potwierdziła Delany. - To takie niesprawiedliwe, oceniać inteligencję ludzi po ich wyglądzie.

- Tak - zgodziłem się. - Zwłaszcza ludzi wyglądających jak neandertalczyki. Znałem kogoś takiego na studiach - wszyscy sądzili, że jest w drużynie zapaśniczej, tymczasem on kochał liczby. Był prawdziwym geniuszem matematycznym. Prawda jest taka, że nie mamy pojęcia, jak inteligentni byli neandertalczyki. Może nawet bardziej niż nasi przodkowie, w końcu mieli większą pojemność czaszki.

- Stefan był istotą ludzką - podkreśliła Delany - tak samo jak pan, czy ja. A poza tym sądziłam, że neandertalczyki byli naszymi przodkami.

- To nie takie proste. Ale wracając do Stefana - czy było coś, o czym szczególnie lubił czytać?

Skinęła głową.

- Jedwab. To interesowało go najbardziej.

- Doprawdy? Jako - co? Satynowe prześcieradła, drogie krawaty, chusteczki...

- Jako wszystko - odparła. - Po prostu wyszukiwał wszystkie informacje o jedwabiu. W zeszłym miesiącu zauważyłam, jak czytał tom z antropologii traktujący o pozycji jedwabiu w kulturze prehistorycznych Chin.

Szczerze powiem, że to temat daleki od moich zainteresowań.

- Nie wie pani, o jak dawnych czasach była ta książka? - zapytałam, bo z jakiegoś powodu przysłała mi do głowy liczba 30000.

Delany zastanowiła się chwilę.

- Nie, aż tak dokładnie się nie przyjrzałam, a książka pochodziła z ogólnodostępnych półek na górze, więc nie mam nigdzie zapisane, co to za pozycja.

Potrząsnęła głową, skrzywiła się.

- Jesteście pewni, że to on, że to ciało Stefana? Był tak miłym człowiekiem, takim... łagodnym.

- Nie mamy żadnych medycznych zapisków na temat pana Antonescu, więc nie możemy być pewni na sto procent. Ale nieoficjalnie, tak, jest to jedna z możliwości.

Tak naprawdę to o Stefanie Antonescu nie mieliśmy kompletnie nic - a zapiski kadr uniwersytetu też niewiele pomogły. Ten człowiek najwyraźniej istniał - to był fakt. Lecz oprócz wzrostu, wagi, koloru włosów i oczu -

zawartości identyfikatora z fotografią, który kadry trzymały w kartotece - w teczce nie było o nim nic więcej. Zadziwiające, jak często podobnie wyglą-

dają informacje związane z zatrudnieniem.

Oczywiście Delany nie miała pojęcia o datowaniu zwłok węglem radioaktywnym - gdybym powiedział jej, że liczą sobie tysiące lat i choćby tylko teoretycznie rozważam możliwość, iż mogły to być Antonescu, wyprowadziłaby mnie delikatnie z biura i wezwała łapiduchów z wariatkowa Belle-vue. Nieboszczyka znalazł w kącie męskiej toalety pracujący dorywczo Hassan Saleen, który znał tylko kilka angielskich słów, ale wiedział dość, żeby wybrać numer 911. Nasi ludzie zabrali ciało z biblioteki, zanim zobaczył je ktokolwiek więcej. A Hassanowi, jakkolwiek był zszokowany znalezieniem trupa jaskiniowca w kącie, po prostu brakowało możliwości językowych, żeby o tym rozpowiadać.

- Jeszcze jedno - pokazałam jej zdjęcie niebieskiej chusteczki. - Czy to wygląda znajomo?

- Tak - oczy się jej rozszerzyły. - Stefan zawsze nosił taką w kieszeni.

Zazwyczaj sobie z niego żartowałam: „Jesteś sprzątaczem, ale chusteczki masz lepsze niż większość profesorów”. A on uśmiechał się i odpowiadał:

„Dzisiejszy sprzątaczkę to jutrzejszy archeolog - oba zawody zarabiają na śmieciach”.

Uśmiechnąłem się.

- Miał głowę na karku. Czy może mi pani coś jeszcze o nim powiedzieć? Nazwiska profesorów czy studentów, którzy mogliby go znać?

Podawała mi kawałek papieru.

- Myślałam, że będzie pan się domagał czegoś takiego, więc przygotowałam listę. Jest na niej osiem nazwisk - pięciu studentów i trzech profesorów. Ale prawdopodobnie będą wiedzieć o Stefanie Antonescu mniej ode mnie - powiedziała.

Podziękowałem, podałem obowiązkową wizytówkę, przypomniałem, żeby zadzwoniła, jeśli tylko coś jeszcze wpadnie jej do głowy i wyszedłem.

Było po wpół do piątej i Jenna powinna już wrócić z Anglii, ze swojej odbywającej się co dwa lata konferencji w Londyńskiej Szkole Ekonomicznej, zadzwoniłem więc do biura przekazać, że udaję się prosto do domu. Jak dotychczas jedyną rzeczą mającą sens w tej sprawie był fakt, że zanim Antonescu zmarł - jeśli skutek jakiegoś szaleńczego zbiegu okoliczności te prehistoryczne zwłoki były jego ciałem - najwyraźniej prowadził niesłychanie skromne życie. Wydawał się człowiekiem znajdującym się nie tylko w niewłaściwym czasie, ale i miejscu.

W końcu najbardziej prawdopodobne było, że są to dwie różne osoby albo nie mające ze sobą żadnego związku, albo kto wie, może Antonescu był zamieszany w jakąś aferę przemytu starożytności, w której coś poszło nie tak i ktoś podrzucił jego chusteczkę na jedną z mumii. Dużo takich rzeczy działo się w postkomunistycznych krajach. A sproszkowanych mumii od tysięcy lat używano do produkcji afrodyzjaków, przypomniałem sobie. Lecz jak dotąd nie zgłoszono obrabowania żadnego z prehistorycznych grobów; żadne muzeum nie zgłosiło zaginięcia któregoś z eksponatów... A wstępne dane Dave'a mówiły, że ten człowiek żył jeszcze kilka dni temu... Cóż, wszyscy powinniśmy się temu przyjrzeć trochę uważniej...

Torby Jenny stały tuż za drzwiami.

- Kochanie? - zawołałem czule i wszedłem do sypialni.

Spała. Potrzebowała wypoczynku - według czasu brytyjskiego była je-denasta w nocy. Zacząłem się cichutko wycofywać...

- Mmmmm... - odezwała się. - Jak ci minął dzień?

- Dobrze - musnąłem palcem jej wargi. - Wczoraj pojawiła się wariac-ka sprawa; opowiem ci to przy kolacji - jeśli jesteś głodna.

- Pożarłabym konia z kopytami. Od rana chodzą za mną kalmary.

- San Marino?

- Idealnie - powiedziała Jenna i wysliznęła się z łóżka.

Miała na sobie tylko błękitne figi. Przyglądałem się jej wychodzącej z pokoju i zastanawiałem się, czy powinniśmy poddać się dyktatowi żołąd-ków czy raczej...

- Tylko wskoczę na chwilkę pod prysznic - powiedziała.

Zasześciła zasuwana zasłona i rozległ się szum płynącej wody.

Usiadłem w ulubionym fotelu i wziąłem gazetę - wczorajszy londyński Times.

Wzrok zatrzymał mi się na małym tytule na piątej stronie: „W Londyń-

skiej Szkole Ekonomicznej znaleziono mumię neandertlaczego”.

Dlaczego wcale nie zaskoczyło mnie, że mumia znaleziona pod stolikiem w kafeterii Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej wyglądała zupełnie tak samo jak moja? W tym interesie człowiek nabiera szóstego zmysłu -

mój „chory” zmysł.

Wcześniej rano następnego dnia dopadłem telefonicznie Mallory'ego ze Scotland Yardu.

- Hmmmm... - zamruczał, kiedy wyjaśniłem powody mojego telefonu.

Jego pełne nazwisko brzmiało Michael G.B. Mallory i zawsze mówił

głosem stanowiącym skrzyżowanie Michaela Caine - w jego roli Harry'ego Palmera - z Michaeliem Rennie z tego filmu fantastycznego z 1950 roku.

- No dobrze - naciskałem. - Możesz mi powiedzieć coś więcej o swoim neandertalczyku? Czy możliwe jest, że pochodzi z tego samego, hm, rocznika co mój?

Długie milczenie.

- Michael?

- Tak - Mallory odchrząknął i kaszlnął lekko. - Jak sądzę, najprawdopodobniej mógłby.

- Czy to brytyjski odpowiednik naszego „tak”?

- Phillip - Mallory ponownie odchrząknął. - Kazano mi trzymać wszystko pod kloszem. To cholerny zbieg okoliczności, że jakiś reporter z Timesa zrobił to zdjęcie i twoja przyjaciółka Jenna zabrała tę gazetę do domu.

- Czy twoi ludzie prowadzą dochodzenie w tej sprawie? I dlatego nie możesz o tym mówić?

- Tak - potwierdził Mallory.

- A ty uważasz, że taka odpowiedź mi wystarczy i zapomnę o tej naszej rozmowie? - zdziwiłem się. - Znamy się od ilu lat - dziesięciu? Czy kiedykolwiek widziałeś, żebym zaakceptował odpowiedź „nie”?

Mallory westchnął.

- Max Soros przez ostatnie dwadzieścia dziewięć lat pracował w LSE

jako portier. Przedtem w kuchni u Wrighta...

- W tej maleńkiej kawiarence tuż koło LSE?

- Tak - potwierdził Mallory. - To ani maleńka, ani kawiarenka, tylko solidna restauracja, ale Max tam pracował. Najwyraźniej przez wiele lat.

Sądzymy też, że wcześniej był instalatorem w British Museum. Mamy opis Maxa Sorosa, z 1907 roku, czytającego przy biurku używanym przez Karo-la Marksa...

- Chwileczkę. Ile dokładnie lat miał ten facet?

- Tak jak mówiłeś. Na podstawie datowania węglem radioaktywnym określiliśmy wiek zwłok na trzydzieści tysięcy lat.

- Nie o to chodzi - powiedziałem. - Tylko jak daleko udało się wam prześledzić historię Maxa Sorosa jako... żywego człowieka?

- W tej chwili do dziewiętnastego wieku - odparł Mallory.

- O rany - sapnąłem.

- Właśnie - dorzucił Mallory.

- Nie macie żadnych danych o kimś innym nazywającym się też Max Soros? Brzmi to jak dość pospolite europejskie nazwisko.

- Węgierskie - potwierdził Mallory. - To węgierskie nazwisko. Jedyne inne Max Soros, o którym brytyjski Urząd Skarbowy ma jakiegokolwiek dane, ma trzydzieści dwa lata i w tej chwili znajduje się w Budapeszcie, z wizytą u krewnych. Jest stanowczo za młody jak na naszego zaginionego, a zwłaszcza na mumię.

- O rany - powtórzyłem. - Dziewiętnasty wiek... No cóż, dobrze rozumiem, dlaczego chcecie trzymać to w tajemnicy - wasz gość jest jeszcze dziwniejszy niż mój.

- Cieszę się, że to rozumiesz - rzekł Mallory. - Jest jeszcze jedna rzecz.

- Tak?



- Max Soros nie jest jedyny. W zeszłym tygodniu w Toronto znaleziono jeszcze jednego faceta o grubych fałdach czołowych. Czyli ten u ciebie, w Nowym Jorku, to trzeci.

- Przekłęta lawina neandertalskich mumii - mruknąłem.

- Mniej więcej - zgodził się Mallory.

- I wszyscy wydają się naturalnie zmumifikowani - jak ludzie w torfie

- a nie potraktowani chemikaliami, jak starożytni Egipcjanie?

- Zgadza się - potwierdził Mallory.

- A ty zamierzałeś mi nic o tym nie mówić? Wiedząc, że miałem informacje o trzecim przypadku?

Głos Mallory'ego poweselał.

- Nigdy nie mówiłem, że ci nic nie powiem. Wyjaśniałem ci tylko, dlaczego ktoś na moim stanowisku musi z niechęcią odnosić się do wyjaśniania tej historii. Pospieszyłeś się z wnioskami. To główna różnica między nami, a wami, jankesami.

- Mniej więcej - zgodziłem się. - Skoro więc już usunęliśmy tę przeszkodę, zakładam, że powiesz mi o swoich zwłokach i facecie z Toronto wszystko, co wiesz, w zamian otrzymując moją pełną współpracę w sprawie Stefana Antonescu.

Włożyłem do ust kęs sushi 2 ebi i rozkoszowałem się smakiem. Słodsze niż cukierek, chłodny smak białka... Kiedyś byłem typowym neapolitańczykiem, sądziłem, że jeślibym miał ochotę na surową rybę i wodorosty, to mógłbym się wyciągnąć z otwartą gębą przy jakiejś plaży, ale teraz jadłem sushi sashimi - moje ulubione to chirashi - kiedy tylko miałem okazję.

2 Terminologia: sushi: ryż przyprawiony octem i cukrem, także nazwa dania -

zestawu wałeczków z tego ryżu, na każdym leżą inne morskie dodatki: ebi: surowa krewetka; sashimi: surowe filety rybne; chirashi: sposób podawania sushi, „wymieszane” - miseczka z ryżem i różnymi dodatkami leżącymi na wierzchu; akagai: jadalny małż z rodzaju Arca sp. (przyp. tłum.)

- Zakładając, że zwłoki i zaginionieni to nie zupełnie odmienni ludzie, potrafię wymyślić tylko dwa wyjaśnienia - powiedziałem do Jenny, która zajmowała się chrupiącym kawałkiem akagai: czerwony małż, surowy. -

Pierwsze: ci faceci jakoś przebyli czas od epoki sprzed trzydziestu tysięcy lat do momentu jakiegoś sto lat temu.

Drugie: w jakiś sposób zdołali przeżyć ostatnie trzydzieści tysięcy lat.

Jak sądzę, to jednocześnie w sposób oczywisty wyjaśnia, dlaczego umarli -

rany, to dopiero jest śmierć ze starości...

Zielone oczy Jenny uśmiechnęły się. Wciąż wydawały mi się czarujące.

Zwłaszcza lubiłem przyglądać się jej tak jak teraz, przy stoliku, naszym stoliku w Taste Of Tokyo w Village, gdzie ponad trzy lata temu po raz pierwszy w życiu spróbowaliśmy sushi i zaczęła się nasza znajomość.

- Czy to pewne, że są prawdziwi - rozumiesz, że to nie jakaś sprytna składanka ze starych i nowych kości, jak słynny człowiek z Piltdown? -

spytała Jenna.

- Nie. Dave coś takiego natychmiast by wyłapał - odparłem.

- Jest pewien, że całe zwłoki to jedna osoba, mająca trzydzieści tysię-

cy lat i zmarła w zeszłym tygodniu. Z Toronto to samo mówią o swoim.

- A ty jednak nie skłaniasz się ku wyjaśnieniu tego oszustwami - wolisz bardziej egzotyczną entropię - powiedziała Jenna, tym razem uśmiechając się również ustami.

Oddałem jej uśmiech.

- Szwindle zazwyczaj są najbardziej prawdopodobne. Ale to prawda, egzotyczne zło jest bardziej pociągające...

- Ale podróż w czasie też ci się nie podoba - zauważyła Jenna.

Zjadłem kolejną krewetkę, już nie tak słodką.

- Powiedzmy tylko, że nigdy nie widziałem przykładu takiej podróży, nawet nie jestem pewien, czy w ogóle jest możliwa.

- Oczywiście, podróż w czasie nie zgadzałyby się z trzydziestotysięcz-noletnim okresem połowicznego rozpadu - rzekła Jenna.

- To znaczy, zazwyczaj uważa się, że podróżnik w czasie wchodzi do maszyny albo portalu, a wyłaniając się po drugiej stronie, nie jest starszy nawet o minutę.

- Cóż, nie ma żadnych typowych oczekiwań wobec podróży w czasie, bo one nie istnieją - sprostowałem. - Z tego co wiemy, rozpad promieniotwórczy zachodzi u takiego podróżnika, tylko że w jednej chwili. Tak czy siak, dlatego właśnie nie chcę w tę sprawę włączać podróży w czasie - nie ma sensu rozwiązywanie zagadki, wprowadzając do niej kolejną, o wiele bardziej skomplikowaną.

- A kriogenika? Ona nie powstrzymałaby zegara izotopowego?

- Trudno powiedzieć - odparłem. - Zegar startuje, gdy organizm umiera i przestaje pobierać węgiel 14C - wtedy zaczyna się jego ubywanie. Moż-

liwe, że jakiś rodzaj błyskawicznego zamrożenia zatrzymałby ten zegar, a może nie.

Jenna skinęła głową.

- W porządku, to pozostawia przypadkowe zamrożenie jako jedną z możliwości - faceci zamarli żywcem trzydzieści tysięcy lat temu, potem odtajali, przypadkowo lub nie, i wrócili do życia jakieś sto lat temu, a teraz starość ich dopadła. Jest też proste wyjaśnienie ze starcem. Celem części prac alchemików była nieśmiertelność - chińskich, nie europejskich, którzy tylko usiłowali szybko się wzbogacić, przerabiając ołów na złoto.

- Ale z tego co wiemy, Chińczykom się nie udało - powiedziałem. -

Poza tym, taki rodzaj nieśmiertelności nie dawałby takiego datowania wę-

glen 14C, chyba że jednocześnie powodując ubywanie tego izotopu z organizmu. Nie wiem...

Nałożyłem sobie na język odrobinę chińskiej musztardy i rozprowadzi-

łem ją po podniebieniu. Miała za zadanie oczyścić nie tylko usta, ale i umysł.

- Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest, że ktoś spieprzył

badania.

Tesa Stewart była profesorem antropologii na Uniwersytecie Nowojorskim - sześćdziesięcioletnia dama, o umyśle ostrym jak brzytwa, wiedząca o neandertalczykach więcej, niż ktokolwiek inny spośród znanych mi osobi-

ście osób. Na mojej decyzji o włączeniu jej do śledztwa zaważył także fakt, że pracowała na tej uczelni już od dwudziestu lat i mogła znać Stefana Antonescu albo coś o nim wiedzieć - profesorscy i studenci z listy Ruth Delany okazali się beużyteczni. Lecz skojarzenie Tesy z Antonescu też okazało się ślepą uliczką. Nie miała pojęcia, kto to taki, nie przypominała go sobie nawet z Biblioteki Babsta.

- Nie ma pan nic przeciwko spacerom we mgle? - spytała.

W trakcie naszej przechadzki wokół parku Washington Square zaczął

padać lekki, kwietniowy deszczyk.

- Nic a nic - potwierdziłem. - Tak naprawdę to lubię deszcz, dla mnie jest on bardziej namacalny, bardziej rzeczywisty niż słońce.

- Tego o tobie nie wiedziałam, Phil - skomentowała i ujęła mnie pod rękę. - Lubię mężczyzn, którym podoba się deszcz.

Poklepałem ją po dłoni.

- Ciekaw jestem, czy neandertalczyki lubili deszcz.

Uśmiechnęła się.

- No cóż, biorąc pod uwagę, że DNA wszystkich trzech ciał mieszczą się w normie dla Homo sapiens sapiens - bardzo niewiele różnią się od twojego czy mojego - przypuszczam, że prawdopodobieństwo lubienia deszczu było wśród nich podobne jak u mnie, ciebie, czy jakiegokolwiek innej, współczesnej osoby.

- Uważasz, że pomimo swojego wyglądu, te zwłoki wcale nie były neandertalskie?

- Cóż, to jeden z rozsądnych wniosków, jakie można wysnuć z posiadanych danych - powiedziała. - Drugi, że to rzeczywiście martwi neandertalczyki, ale DNA tego gatunku jest identyczne z naszym - to byłoby naprawdę rewolucyjne odkrycie. Trzecia możliwość - frustrująca, lecz zawsze stanowiąca zagrożenie w takich sytuacjach - to, że obecny stan wiedzy o DNA nie wystarcza do wskazania, co w genach czyni neandertalczyka neandertalczykiem. Tak czy siak, według wstępnej oceny sekwencji nukleotydowej, w otrzymanym od ciebie materiale z trzech ciał, różnią się w określonym rejonie od przeciętnego DNA Homo sapiens sapiens w sześciu do dziewięciu pozycji. DNA neandertalczyków według Paabo różni się od naszego w dwudziestu siedmiu; zmienność populacji ludzkiej sięga zazwyczaj siedmiu.

Skrzywiłem się.

- A dane Paabo oczywiście nie są powszechnie akceptowane?

- Właśnie - potwierdziła Tesa. - Przedsięwziął wszelkie środki ostroż-

ności, żeby upewnić się, że jego neandertalski DNA nie był zakontaminowany naszym - zazwyczaj jest to źródłem zamieszania w danych - ale nawet w takim wypadku... Wyizolował mitochondrialny DNA ze znalezionej w Niemczech w 1856 roku kości, mającej przynajmniej trzydzieści tysięcy lat.

Dość czasu na wszelkie rodzaje kontaminacji - i przed, i po jej odkryciu.

- Ciekawe jednak, że te nasze zwłoki też mają trzydzieści tysięcy lat -

potrząsnąłem głową. - Dave Spencer powiedział mi dzisiaj, że datowanie węglem było jedyną rzeczą, która powstrzymała go przed zamknięciem sprawy - a zostało teraz potwierdzone przez powtórne badania w dwóch niezależnych laboratoriach. Bez tego odczytu mielibyśmy po prostu faceta wyglądającego jak zmumifikowany neandertalczyk, mającego geny takie same jak nasze, zmarłego najwyraźniej z naturalnych przyczyn. W tym mieście - na tej planecie - żyje mnóstwo dziwnie wyglądających ludzi.

Do diabła, jestem pewien, że niektórym ludziom ja wydaję się dziwny.

- Cóż, mógłbyś pozwolić swoim włosom rosnąć nieco dłużej - Tesa ścisnęła mnie za ramię. -

Świetna koszula. Jedwab?

- E nie, poliester, tylko prany tak często, że zrobił się jedwabisty w dotyku.

Tesa zachichotała.

- Sprawdzalam dziś dane z Kanady. W DNA ich zwłok, oprócz sekwencji typowych dla Homo sapiens sapiens, znaleźli kilka fragmentów genomu ciem.

- Ciem?

- Tak - potwierdziła Tesa. - Bombyx mori. Ich larwy są najpowszechniej hodowaną odmianą jedwabników na świecie. Łatwo się domyślić źródła

kontaminacji. Jakiś laborant kochał się ze swoją żoną w satynowej pi-

żamie i nie umył porządnie rąk; albo rano pomagał synowi zawiązać jedwabny krawat na spotkanie, kto wie? Jak mówiłam, w tym interesie kontaminacja jest głównym źródłem kłopotów. Ale zaraz, tobie nie muszę tego mówić - w medycynie sądowej spotykasz się z tym bez przerwy, prawda?

- Mój gość bardzo interesował się jedwabiem - powiedziałem.

- Stefan Antonescu?

- Tak.

- Mamo! Jak widzę, napawasz się wiosenną pogodą!

Dołączyła do nas kobieta o rudych lokach, zbliżająca się do trzydziestki.

Była wersją Tesy jeszcze bardziej energiczną, co wiele o niej mówiło.

- Debbie, o Boże, zapomniałam kompletnie o dzisiejszym lunchu! -

wykrzyknęła Tesa.

- W porządku - powiedziała Debbie i uśmiechnęła się do nas obojga. -

Pan wydaje mi się znajomy... - dodała.

- Och, o manierach też zapomniałam - jęknęła Tesa. - Doktor Phil D'Amato, medycyna sądowa, policja nowojorska, Debbie Tucker, moja córka. Mogła cię widzieć w twoim programie telewizyjnym, a ty mogłeś natknąć się na jej artykuły o nauce w New York Timesie.

- Tak, czytywałem - potwierdziłem i wyciągnąłem rękę. - Napisała pa-ni świetny kawałek o Amiszach...

Moja nowa komórka odezwała się w kieszeni.

- Przepraszam - odwróciłem się i wyciągnąłem aparat.

- Phil, staruszk, wybacz, że tak dzwonię do ciebie na komórkę. To cholernie drogo, wiem - odezwał się Michael Mallory.

- W porządku - odparłem. - O co chodzi?

Zabłąkana kropla deszczu odbiła się od telefonu i wpadła mi do ust.

- Cóż, właśnie dzwoniłem do asystenta Gerry'ego w Toronto. Obawiam się, że mam złe wieści - dziś po południu Gerry zmarł na atak serca.

Wiem, że nie lubisz zbiegów okoliczności...

- Nie, nie lubię - potwierdziłem.

Gerry Moses był moim odpowiednikiem w Toronto.

- Prowadził śledztwo mniej więcej na twojej wsi - ciągnął Mallory - w Chautauqua, na południe od Buffalo...

Debbie dotknęła mojego ramienia.

- A może kiedy pan skończy rozmawiać, pójdziemy we trójkę na lunch, OK? Mama powiedziała mi, że pracuje pan nad fascynującą sprawą!

Żeby nie przeszkadzać mi w rozmowie, wyszeptywała słowa z przesadnymi ruchami ust. Nie pojmowałem, jak ktoś mógł sądzić, że taka forma będzie kogoś mniej rozpraszać...

- Najważniejsze teraz to nie stracić tropu - mówił Mallory.

- Asystent Gerry'ego tam węszy - zobaczymy, co znajdzie. Wydaje się dobry: H.-T. Lum.

Debbie wciąż gestykulowała, ponownie uśmiechnęła się do mnie.

Z trudem zdołałem odpowiedzieć jej tym samym. Najwyraźniej w tej sprawie zgony stawały się coraz mniej prehistoryczne.

# OSIEM

Popatrzyłem na neandertalczyka, który oddał mi spojrzenie przez siedemdziesiąt pięć tysięcy lat. Działo się to w Muzeum Historii Naturalnej. O

czym mógł myśleć żywy mózg zajmujący niegdyś tę czaszkę? Czy w ogóle wyobrażał sobie, że kiedyś, w przyszłości, jakiś odległy kuzyn - może po-tomek, może jakiś krewny z dalekiej, równoległej linii - będzie się mu przyglądał, zastanawiając się, o czym myślał?

- Phil! Przepraszam za spóźnienie.

Uśmiechnąłem się do Debbie.

- Nie ma sprawy, miałem bardzo dobre towarzystwo.

Popatrzyła na tłum. Ani jednego Homo sapiens sapiens. Ani jednego po naszej stronie szkła.

Spojrzała na moje dwie torby, spakowane na podróż do Londynu.

- Mogę ci z nimi pomóc?

- Nie - zaprzeczyłem i podniosłem je. - Złapmy taksówkę. Udało się nam to na Central Park West.

- OK - powiedziała, kiedy usadowiliśmy się na sprężystym tylnym siedzeniu, a ja zamówiłem kurs na lotnisko Kennedy'ego. - Czy zgadzasz się, żeby cię nagrywała? - zapytała.

- Jasne - potwierdziłem.

- W takim razie, co możesz mi powiedzieć o tle tych wydarzeń? W ze-szłym tygodniu, w czasie lunchu z mamą zdradziłaś raczej niewiele.

- Cóż, obawiam się, że niewiele więcej niż już wiesz. Ciała znaleziono w Nowym Jorku, Toronto i Londynie. Nie ma żadnego zagrożenia społecznego - nie znaleźliśmy żadnych dowodów na obecność choroby czy przestępstwa. Lecz wciąż pozostaje tajemnicą, jak ci zmarli znaleźli się w danych miejscach... i kim byli.

- Lecz w przypadku starożytnych szczątków zawsze pojawia się to pytanie?

- Tak, ale zazwyczaj z otoczenia znaleziska można trochę wywnioskować, kim ci ludzie byli - jeśli znalazło się ich pochowanych w kopalni miedzi w Peru, bardzo prawdopodobne, że to Inkowie, na tym to polega -

odparłem.

- A nic wokół odnalezionych przez pana zwłok - nic przy nich - nie dało panu albo pańskim kolegom żadnej wskazówki, kim byli? I co z ich ubraniami?

- Ubiorami zająłem się w pierwszym rządzie - wyjaśniłem - i są zaskakująco neutralne - żadnych specyficznych pyłków, tylko strzępy materiału, możliwe, że jedwabiu oraz...

- Jakież stroje ceremonialne?

Wzruszyłem ramionami.

- W tej chwili można tylko spekulować. Może były częścią ceremonii pogrzebowej - neandertalczyki zakopywali swoich zmarłych w ziemi.

- To prawda - powiedziała Debbie w zamyśleniu. - Czy jedwab nie sugeruje jakichś starożytnych związków z Chinami?

- Możliwe - zgodziłem się. - neandertalczyków znajdowano w centralnej Azji, niedaleko Chin, w okolicy Jedwabnego Szlaku. Lecz oczywiście nie mamy żadnych dowodów, że umiejętność otrzymywania jedwabiu jest aż tak starożytna, pomimo że ma ogromnie długą historię.

- OK - zgodziła się Debbie. - Wróćmy do pytania, jak ciała trafiły do Londynu, Nowego Jorku i Toronto. Czy są jakieś dowody, że skradziono je z któregoś z muzeów?

- Na razie żadnych - odparłem. - Przeszmugłowanie mumii do któregoś z wielkich miast jest wcale niełatwym zadaniem. Starannie sprawdzili-

śmy we wszystkich muzeach i na uniwersytetach, które posiadają jakiegokolwiek neandertalskie szczątki - nic nigdzie nie zginęło.

- Może zostały odkryte niedawno, w jakimś starożytnym, świętym miejscu?

- To możliwe, ale co z tego? Jakiś ofiarodawca przetransportował je do trzech miast, nie mówiąc nikomu ani słowa?

- Czy masz jakąś teorię na ten temat, którą mogłabym zacytować?

- Szczerze mówiąc, żadnej - wyznałem. - Jest to jeden z powodów, dla których zgodziłem się z tobą porozmawiać. Może któryś z twoich czytelników zdoła popchnąć nas we właściwym kierunku.

- Dobrze. Porozmawiajmy o innym aspekcie tej sprawy. Czy dostrzeżesz jakiegokolwiek możliwe powiązania ze śmiercią Gerry Mosesa w Toronto a twoim śledztwem?

Popatrzyłem na Debbie.

- Nie. Na razie nie.

- Czy nie obawiasz się, że życie twoje i może twoich kolegów może być zagrożone?

- W moim zawodzie zawsze należy się tego obawiać.



Nasza taksówka wjechała do Tunelu Midtown...

Zamaszystym ruchem pilota Mallory wyłączył telewizor w swoim gabinecie.

- Cholerne BBC. Mówiłem, że będą sprawiać kłopoty.

Zakręcił w dłoni szklaneczką whisky i skrzywił się.

- Nic się nie stało - powiedziałem, pociągając ciepłego lagera z limonką. - Zgodziłeś się wcześniej, że musimy coś zrobić, żeby nieco poruszyć z miejsca tę sprawę. Ja pogadałem z New York Timesem, ty udzieliłeś wywiadu wiadomościom wieczornym.

Mallory westchnął.

- Wkurzające są te niejasności otaczające wszystkie ofiary - z tego co wiemy, mumie i brakujący pracownicy, to różne osoby.

- Śmierć jest mniej pewna niż podatki - obaj to wiemy, niezależnie co o tym mówią - skomentowałem.

Mallory obdarzył mnie krzywym uśmiechem.

- Według mnie największe szanse na dotarcie do sedna sprawy będą

dzięki H.-T. Lumowi, między innymi dlatego, że jest Chiń-

czykiem. Zakładając oczywiście, że twoja jedwabna chusteczka ma jakieś znaczenie.

- Datowanie węglem nie daje jej trzydziestu tysięcy lat; to już nam coś mówi. Ale sekret produkcji jedwabiu wykradziono z Chin już bardzo dawno temu, więc nie jestem pewien, na ile pomocny w tej sprawie okaże się H.-T. Łyknąłem lagera.

- Cholernie dziwna sprawa - rzekł Mallory. - Wszystko to prawdopodobnie przekłete oszustwo i tyle.

- Nie sądzę, żeby było to oszustwo - zaprzeczyłem. - Rozumiesz, ma-my chronocentryczny sposób myślenia, a przynajmniej w większości współczesnych cywilizacji. Uważamy, przyjmujemy niepoparty niczym aksjomat, że jesteśmy najwyższym rozwiniętym rodzajem ludzkim, jaki kiedykolwiek chodził po tej planecie.

- Zupełnie odwrotnie niż patrzono na to w średniowieczu i w starożytności, nieprawdaż? - skomentował Mallory. - Ludzie wówczas uważali się za zdegenerowaną pozostałość po złotych czasach.

- Uhum - potwierdziłem. - Nie twierdzę wcale, że oni byli bliżsi prawdy niż my teraz. Mówię tylko, że zawsze źle rozumiemy przeszłość. Tak samo w przyszłości będą źle rozumieć nas. Co wywnioskują przyszli arche-olodzy z naszych najbardziej zaawansowanych technologii, nie mając kontekstu pozwalającego im je pojąć?

- Cholera - Mallory dokończył swoją szkocką, skrzywił się lekko i ponownie napełnił szklaneczkę z butelki stojącej na jego biurku. - Prawdopodobnie pogapią się na ten tutaj telewizor i nie mając żadnego cholernego BBC czy czegoś w tym stylu, żadnych kaset czy innych zapisów tego, co może pokazywać, dojdą w końcu do wniosku, że te ekrany były jakimś rodzajem luster, w które wpatrywaliśmy się z próżności, nieprawdaż? A w dodatku w pewien sposób będą mieli rację, nie?

Skinałem głową. Mallory należał do osób, które w miarę upijania się, skłaniają się ku coraz większej alegoryczności.

- Bardzo prawdopodobne, że my tak samo nic nie pojmującymi oczkami wgapiamy się w otaczające nas relikty przeszłości. Geny stanowią niesamowicie skomplikowany system informacyjny, to oczywiste. Kto wie, może jakaś wyższa inteligencja czai się za nimi, może są znacznikami czyichś planów...

- Geny i napędzana przez nie organiczna technologia - powiedział

Mallory. Już opróżnił szklaneczkę whisky, nalał sobie następną, wypił ją duszkiem i popatrzył mi prosto w oczy. - Masz na myśli tych rolników Amiszy, z którymi miałeś do czynienia w zeszłym roku?

- Co?

- Kiedy umarł Gerry Moses, podjęliśmy natychmiastowe śledztwo dotyczące wszystkich głównych detektywów zamieszanych w tę sprawę. Jesteśmy w tym naprawdę dobrzy, rozumiesz. W ten sposób wygraliśmy drugą wojnę światową, pomimo że nasze własne agencje wywiadowcze były pełne zdrajców.

Już miałem zaprotestować i powiedzieć, że amerykańskie osiągnięcia technologiczne miały też coś wspólnego z wygraną, ale postanowiłem siedzieć cicho i przekonać się, co on wie o tych wydarzeniach, o których rozmawiałem wyłącznie z Jenną.

- W każdym razie twoje odkrycia w Pensylwanii nie były ściśle tajne -

ciągnął Mallory. - Strzępy tych informacji rozsiane są po literaturze naukowej.

- Nie widzę związku - skomentowałem.

- Biologia. Wskazówki na temat starożytnej wiedzy biologicznej - nie sądzisz, że neandertalczyki się z tym wiążą?

Co on robił? Sprawdzał mnie? Cóż, chyba raczej na to zasługiwałem -

jednak wciąż wolałem być w śledztwie kierowcą, niż przydeptywanym pedałem...

- Jak na razie nie dostrzegam powiązań. Działalność Amiszy dotyczy potężnych alergenów. W zwłokach neandertalczyków nie ma śladu czegoś takiego - Dave Spencer jest przekonany, że nasz gość z Nowego Jorku zmarł z całkowicie naturalnych przyczyn.

- Alergeny nie są naturalne?

- Nie, jeśli zostaną zastosowane w taki sposób jak w Pensylwanii - odparłem.

- Być może, ale Gerry Moses też zmarł z tak zwanych przyczyn naturalnych - zauważył Mallory.

- Nie tak zwanych - zaprotestowałem. - Od dawna miał nadciśnienie i nadwagę.

Przesunąłem dłonią po swoim brzuchu i skrzywiłem się. Mniej cielęcinki, więcej sushi, oto recepta.

Mallory skinął głową bawił się pustą szklaneczką

- OK, ale i tak powinienes mi opowiedzieć o Pensylwanii, draniu. Gli-niarze nie lubią niespodzianek - wiesz o tym - uśmiechnął się.

- Sądzę, że tweed Harrisa jest w sam raz dla pana, sir. Bardzo trwały -

i nigdy nie wychodzi z mody.

- Hmmmm....

Obejrzałem się w lustrze - postanowiłem uszyć sobie garnitur w firmie krawieckiej Savile Row przed odlotem z Heathrow do Nowego Jorku. Za każdym pobycem w Londynie przymierzałem się do tego, ale nigdy nie miałem dość czasu. Po czterech dniach ciągłych spotkań z ludźmi Mallory'ego, zwiedzania LSE, gdzie znaleziono zwłoki, badań w British Museum -

co nie zbliżyło mnie ani o włos do rozwiązania zagadki - uznałem, że zasłu-

żyłem sobie na to. Zapiąłem i odpiąłem marynarkę, przyjrzałem się sobie z przodu, tyłu, boków. Należę do tych ludzi, którzy lepiej wyglądają we własnej wyobraźni niż w lustrze.

- Nie sądzi pan, że zbyt trąci, hmmmm, profesorem? - zapytałem.

- Nie, nie sądzę, sir. Istnieje wiele odmian tweedu Harrisa, o bardzo subtelnych różnicach. Na przykład ten garnitur nie ma łat na łokciach - więc daleko mu do akademickiego wyglądu. A czy mogę spytać pana o zawód, sir?

- Naukowiec - odparłem.

- Oczywiście. Pozwolę sobie nadmienić, że marynarka, którą ma pan na sobie w tej chwili, pasuje do tej profesji wyjątkowo dobrze.

Nie zdołałem się powstrzymać od uśmiechu. Dlaczego miałem wrażenie, że ten facet, który wyglądał i mówił jak Hudson, kamerdyner z „Upstairs, downstairs” powiedziałby dokładnie to samo, gdybym poinformował

go, że zarabiam na życie, transportując nawozy...

- Czy mogę wziąć teraz miarę na spodnie, sir?

- Jasne - zgodziłem się.

Spodnie miały ten odcień szarości, który można znaleźć wyłącznie w Anglii.

- Czy to wszystko, sir?

- Tak, tak sędzę, dziękuję.

- Cóż, czy mogę w takim razie zasugerować panu zakupienie dwóch krawatów, a nie jednego? Drugi sprzedajemy z rabatem, za pół ceny; są jedwabne, więc nie wyjdą z mody.

- Ach, nie jestem pewien, czy mam dość miejsca w bagażu...

Ależ wspaniała wymówka, zdałem sobie sprawę, któż nie potrzebował-

by dodatkowej przestrzeni w bagażu na jeszcze jeden krawat?

- No cóż, w tej sytuacji dlaczego nie miałby pan zrobić tego samego, co ja czynię w podobnych okolicznościach, sir: po prostu proszę wrócić do domu w krawacie.

Włożył mi w dłoń krawat - o przepięknym, złamanym, szarym kolorze, przecięty delikatną, niebieską linią. Wskazał gestem lustro.

Zawiązałem krawat - podwójny węzeł windsorski, jedyny jaki umiem wykonać - i uśmiechnąłem się. Wyglądał znakomicie - może zapewni mi nieco lepszą obsługę stewardes w najtańszej klasie, bo tylko za taką w ogóle zgadzał się płacić oszczędny, nowojorski Departament Policji.

- OK. Namówił mnie pan.

- Bardzo dobrze, sir!

Łatwo mógłbym się przyzwyczaić do takiego uznania..

- Pański garnitur będzie gotowy za czterdzieści pięć minut, sir; powinno zostać panu jeszcze dość czasu na złapanie samolotu na Heathrow -

powiedział jak Hudson.

- Proszę o uwagę. Pasażer Joseph Beiler proszony jest do telefonu wewnętrznego... Pasażer Joseph Beiler proszony jest...

Kompletna anonimowość lotnisk... jedzenie, ludzie, sklepy wyglądające praktycznie tak samo na dowolnym terminalu... coś w tych miejscach było podsumowaniem życia i w związku z tym wcale go nie przypominało.

A ja czułem się na nich coraz bardziej jak w domu...

- Ta! - podziękowała mi kobieta za kontuarem, kiedy podałem jedno-funtową monetę i czekałem na resztę.

Herbata - jak zawsze w Anglii - pachniała smakowicie. Dotknąłem wargami płynu, wciąż za gorącego, żeby pociągnąć łyżeczek i ostrożnie zaniósłem filiżankę do rzędu telefonów, na których widniała informacja, że zaakceptują moją kartę kredytową. Okazało się to prawdą, więc zadzwoniłem do Jenny.

- Hello - odezwała się.

- Cóż, w końcu złamałem się i kupiłem ten garnitur, którym cię straszyłem - wyznałem. - Jeśli nie pogniecie się w bagażu, powinienem wygła-

dać znakomicie...

- W porządku - przerwała mi. - Dobrze, że dzwonisz.

- Wszystko OK? - zaniepokoiłem się, zdawszy sobie sprawę, że w jej głosie pobrzmiewa napięcie.

- Tak. Przed chwilą odłożyłam słuchawkę. Dzwonił Dave, usiłując wykombinować, jak się z tobą skontaktować.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- No, sądzę, że to dobre wieści. Dave skontaktował się ze mną, żeby sprawdzić, o której przylatujesz; z początku nie chciał powiedzieć nic wię-

cej.

- Ale znając ciebie, nie miałaś żadnych problemów z wyciągnięciem od niego zeznań - uśmiechnąłem się. - Powiedz mi więc, co to takiego.

- Mniej więcej trzy godziny temu Stefan Antonescu przyszedł do biblioteki.

- Co?

- To prawda - potwierdziła Jenna. - Bibliotekarka, z którą rozmawia-

łeś, próbowała cię złapać i skierowano ją do Dave'a. Antonescu twierdzi, że leżał z okropną gripą i powoli wracał do zdrowia u przyjaciela.

- O rany - powiedziałem.

- To prawda - zgodziła się Jenna. - A Dave, jak mogłeś się spodziewać, gadał coś o oddaniu sprawy Muzeum Historii Naturalnej - twierdzi, że i on, i ty, i cała policja macie do rozpracowania o wiele

poważniejsze przestępstwa niż jakieś tam mumie, które w dodatku nikomu nie zginęły.

- Cholera, typowy syndrom - jęknąłem. - Pojawia się coś dziwnego, a kiedy tylko człowiek weźmie się za to, rozplywa się jak lody w słońcu.

Dave jest pewien, że ten facet to Stefan Antonescu?

- Nie - zaprzeczyła Jenna. - W plikach dotyczących oryginalnego Stefana nie ma informacji o jego DNA, ani nawet odcisków palców.

- A oczywiście DNA nowego Stefana w najmniejszym stopniu nie bę-

dzie przypominać tego z mumii - powiedziałem. - No cóż, pojawienie się Antonescu nie tłumaczy śmierci Gerry'ego Mosesa. A co z pozostałymi mumiami?

- Dave mówił, że zamierza je sprawdzić - odparła Jenna. - Sądziłam, że odrzuciłeś przypadek Gerry'ego jako nie związaną ze sprawą śmierć z przyczyn naturalnych.

- Pętam się tam i z powrotem - jęknąłem. - Rany!

Jakiś facet, przy którym nowojorskie szczątki wyglądały jak członek rodziny królewskiej, prawie na mnie wpadł...

- Nie dziwię się, kochanie, że jesteś zły; to naprawdę denerwujące...

- Nie, to nie o to chodzi - przerwałem jej.

Mężczyzna znów skręcił gwałtownie w moją stronę. Miał ciemne, głę-

boko osadzone oczy i gęstą, brudną brodę. Wyciągnąłem rękę, rozlewając herbatę.

- Spokojnie, przyjacielu - powiedziałem, usiłując utrzymać go na dy-stans.

- Wszystko w porządku? - odezwał się głos Jenny ze słuchawki, oddalonej teraz trochę od mojego ucha.

- Tak... - próbowałem jej odpowiedzieć.

Ale włóczęga obrócił się gwałtownie i silnie pchnął mnie na budkę telefoniczną. Zdołałem nieco odepchnąć jego rękę, ale w drugiej miał coś bardzo ostrego, co przeszło przez marynarkę...

Rozległ się krzyk i dwie, może więcej osób rzuciło się na mnie i włó-

częgę, obalając nas na ziemię...

Przetoczyłem się i popatrzyłem w górę. Zobaczyłem podnoszącego się policjanta i ani śladu włóczęgi.

- Dobrze, że byłem w pobliżu, sir - odezwał się. - Ten facet z nożem sprawiał wrażenie, jakby szykował się do wyrżnięcia panu serca. Widziałem ostrze przez moment, wyglądało jak jakieś szkło, niewidoczne dla bramek bezpieczeństwa. Pokłócił się pan z nim?

- Nie - potrząsnąłem głową, wstając. - Nigdy w życiu go nie widziałem. Dokąd zwał?

- Nie ucieknie daleko, proszę się nie obawiać - zapewnił mnie policjant. - Przekażę jego rysopis ochronie lotniska. Mam też jego portfel, musiał mu wylecieć w czasie szamotaniny. Całkiem spory plik forsy, jak na kogoś o jego wyglądzie... Zaraz, zaraz, czy panu nic nie jest? Chyba pan krwawi.

Skierowałem wzrok tam, gdzie patrzył, na koszulę. Na brzuchu rosła powoli plama krwi przesączającej się przez materiał. Poklepałem ją.

- To powierzchowne zadraśnięcie, nic poważnego - powiedziałem. - A na marginesie, jestem z policji nowojorskiej.

I wtedy nogi ugięły się pode mną, jak przemoczony karton...

- Pomoc będzie tu za chwilę, sir, proszę się nie denerwować - usłyszałem słowa policjanta.

A na skraju mojego malejącego pola widzenia widziałem słuchawkę, przez którą rozmawiałem z Jenną, wiszącą teraz na końcu skręconego kabla jak bezużyteczna, złamana ręka...

W dodatku, cholera, krew zostawi plamy na moim nowym, jedwabnym krawacie...

## DZIEWIĘĆ

- Śni pan na jawie, doktorze? - Sheila Jameson, moja pielęgniarka, skończyła mocować nowy bandaż. - Jak na ranę sprzed dwóch dni, wygląda całkiem nieźle.

- Dziękuję.

Usiłowałem w ogóle nie myśleć o swoim brzuchu. Krzywiłem się nawet na myśl, żeby nie myśleć o tym.

- Bolało? - zainteresowała się.

- Nie.

- Będzie, niech pan się nie łudzi - pocieszyła mnie i uśmiechnęła się. -

Wciąż jest pan pod wpływem leków, więc czuje się pan trochę lepiej niż powinien. Ale jest pan na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

Weszła Jenna w towarzystwie Mallory'ego. Przesunęła chłodną dłoń po bandażu, pocałowała mnie i skrzywiła się. Pielęgniarka Jameson wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Ona mówi, że goi się dobrze - powiedziałem i ścisnąłem dłoń Jenny.

- W ogóle nie powinno do tego dojść, zazwyczaj mam dużo lepszy refleks.

- Nie istnieje żaden sposób, by uchronić się przed tego rodzaju atakiem - odezwał się Mallory. - W obecnych czasach zdarza się to w Londynie stanowczo za często, każdego dnia stajemy się coraz bardziej podobni do Nowego Jorku.

- Hej, częstotliwość popełniania przestępstw w tym mieście ostatnio spadła - zaprotestowałem z wymuszonym uśmiechem.

- Nie powinieneś sądzić, że wypadek Phila to tylko zbieg okoliczności

- powiedziała Jenna.

Po raz pierwszy znalazła się w moim pokoju jednocześnie z Mallorym.

Nie uśmiechała się.

- Już nie wiem co myśleć - powiedział Mallory. - Żywy Antonescu pojawia się w Nowym Jorku. Phil, pochodzący stamtąd człowiek zaangażowany w śledztwo, obrywa nożem na Heathrow. Zbieg okoliczności? Może tak, może nie. Jeśli ktoś, ktokolwiek stojący za tym, chciałby przeszkodzić w nowojorskiej części śledztwa, wówczas takie szybkie uderzenie byłoby dobrym rozwiązaniem. Cholernie dobrze, że ten nóż nie trafił kilka cali wyżej.

- Ale zabicie Phila, jeśli właśnie o to im chodziło, tylko zwróciłoby uwagę na tę sprawę - rzekła Jenna.

- Tak, ale w grę wchodzi tu starożytna ocena opłacalności zabójstwa -

odparł Mallory. - Jeśli śmierć jakiegoś człowieka poprawia czyjąś sytuację, nawet pomimo nagłośnienia, które jej towarzyszy, wówczas zabija się tego kogoś. Zakładając oczywiście, że ludzie dokonujący tej oceny nie odczuwają moralnych oporów przed popełnieniem morderstwa.

- Niezmiernie raduje mnie ta rozmowa - odezwałem się kwaśno.

- Co wiecie o tym facecie - powiedzieliście, że dowód w portfelu był

na nazwisko Joey Beiler - który najwyraźniej takich oporów nie odczuwał, przynajmniej w stosunku do mnie? Jego pomruki zalatywały cockneyem, z pewnymi naleciałościami niemieckimi lub szwajcarskimi.

- Mnóstwo niuansów, jak na pomruk - powiedział Mallory. - I w dziwnej kombinacji. Niemcy zazwyczaj są bliżsi arystokracji niż ludziom posługującym się cockneyem.



Powiedział to ze śladem pogardy, słyszalnym, kiedy wspominał o arystokracji.

- Dlaczego pomyślałeś o Szwajcarach? - zapytała Jenna.

- Nie wiem...

- Amisze mają szwajcarsko-niemieckie korzenie - oznajmiła.

- Amisze? - zdziwił się Mallory. - Sądzisz, że są w to zamieszani?

- No cóż, w Chautauqua mieszka grupa Amiszy - odparła.

- Moja ciotka zwykła tam jeździć każdego lata. Tam umarł Gerry Moses.

Mallory włączył się w rozmowę.

- Zgadza się. W każdym razie, wciąż szukamy danych o Joeyu Beiler-ze. Nigdzie nie ma nic związanego z tym nazwiskiem.

- Wspaniale - prychnąłem.

Mallory zrobił powolny wydech.

- No cóż. Zadzwoń do swojego człowieka i sprawdź, czy wasz samochód jest gotowy. Tym razem nie ryzykujemy - będziesz pod naszą ochroną, dopóki twój samolot nie wystartuje.

Trzy dni później siedziałem przy swoim biurku. Atak na mnie przekonał

departament do utrzymania otwartego śledztwa „nieco dłużej” - nieważne ile dłużej. Najważniejsze teraz było spotkanie ze Stefanem Antonescu. Już kiedy wchodził, wiedziałem, że będzie niechętnym rozmówcą.

- Dziękuję za przybycie, panie Antonescu. Proszę usiąść i czuć się swobodnie. Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

Niewątpliwie wyglądał dużo młodziej niż mumia, choć nie dałoby się powiedzieć tego samego o marynarce, która wisiała na jego krępych ciele niczym wyschnięty, pozieleniały płat peklowanej wołowiny. Prawdopodobnie stara gabardyna - na pewno nie jedwab. Lecz jednak miał i szpanerską, błękitną chusteczkę wystającą z kieszonki, dokładnie tak, jak powiedziała Ruth Delany.

- Dziękuję. Czy ma pan herbatę?

- Oczywiście, panie Antonescu. Gorącą czy mrożoną?

Głos miał zaskakująco delikatny, przypominający muzykę, z miękkim, nie dającym się umiejscowić akcentem. Kompletnie nie pasował do twarzy o dużych łukach brwiowych. Lecz dokładnie rozumiałem, co miała na myśli Ruth Delany, nazywając go łagodnym człowiekiem. Było w nim nawet

coś więcej - coś przypominającego dziecko, wielkie i kruche. Delikatny neandertalczyk lubiący herbatę. W żadnej mierze taki z dioramy.

- Poproszę gorącą.

- Mleko? Cukier? - zalałem wodą torebkę w filiżance.

- Ani jedno, ani drugie, dziękuję. I proszę pozwolić jej zaparzać się przez około pięć minut.

- Oczywiście - zgodziłem się. - OK, teraz, skoro już...

- Nawiasem mówiąc, pańskie podziękowanie za moje przybycie tutaj jest chybione. Nie miałem zbyt wielkiego wyboru - dwóch pańskich policjantów dostarczyło zaproszenie. Raczej nie mogłbym odmówić.

- Nie jest pan aresztowany, panie Antonescu. Mógł pan odmówić. Cieszę się więc, że pan przyszedł.

- Jestem tutaj. O co panu chodzi, doktorze D'Amato?

Nie minęło jeszcze pięć minut, pomimo to podałem mu herbatę.

- Zostawię torebkę w filiżance. Jeśli panu to odpowiada, będzie pan mógł potrzymać ją trochę dłużej.

Antonescu skinął głową. Zanurzał i wynurzał torebkę z wody, jakby się z nią kochał.

- Wie pan o mumii, która pojawiła się w męskiej toalecie, gdzie pan pracuje? - zapytałem.

Ponownie skinął głową.

- Wiele osób pracuje w Bibliotece Babsta. Wiele osób korzysta z toalety.

- Ciekawi mnie pańskie zdanie na temat mumii.

- Moje zdanie?

- Tak.

Po raz pierwszy Antonescu uśmiechnął się. Prawie roześmiał.

- Co pan chce, żebym powiedział? Pani Delany poinformowała mnie, że to mumia neandertalczyka. Na pierwszy rzut oka widać, że ja wyglądam jak neandertalczyk - przez całe życie nie dawano mi o tym zapomnieć. Pan sądził, że ta mumia to ja. Wszystko to wydaje mi się pocieszne.

- Cóż, nie panu jednemu, lecz wciąż jest kilka elementów wymagających zbadania.

Potarłem się po brzuchu, po swędzącej ranie. „Wygląda jak cesarskie cięcie u mojej matki”,

powiedziała Jenna.

- Zmieńmy temat - ciągnąłem. - O ile wiem, bardzo interesuje się pan jedwabiem.

- To prawda - potwierdził Antonescu. Coś błysnęło mu w oczach, odrobinę za szybko, bym zdołał wychwycić co. - Ssu, który obecnie świat nazywa jedwabiem, to jeden z największych darów Chin dla ludzkości.

- Z początku trudno by go nazwać darem - skomentowałem. - Eksportowano surowy jedwab, lecz przez większą część historii Chin próby wywiezienia kokonów jedwabników zagrożone były karą śmierci.

- Co nie powstrzymało kilku mnichów przed przemyceniem z Chin kokonów w wydrążonych kosturach, w czasach Justyniana i waszego wschodniego Imperium Rzymskiego - odparł. - Wcale was za to nie winię, przepis zawsze jest cenniejszy od ciasta.

- Doprawdy?

Ten facet przemawiał, jakby zatrudniało mnie Imperium, a nie miasto.

- Tak - potwierdził. - Ciasto, nawet sporządzone z kamienia, kruszy się. Przepisy mogą trwać wiecznie.

- A czy DNA jedwabnika jest częścią przepisu?

Antonescu pociągnął pierwszy łyżek herbaty.

- Dobra - pochwalił.

- Mój przyjaciel przywiózł trochę butelkowanej wody z Anglii - wyjawilem. - To zawsze działa.

Popatrzył na mnie z szacunkiem.

- Czyli rozumie pan, że kluczem do dobrej herbaty są nie tylko liście, ale i jakość wody, ciało, w którym przepis ożywa. Godne pochwały - skinął

głową. - Niewiele osób to pojmuje.

- Wiedziałem o tym od dawna - przyznałem. - To dlatego herbata w Teaneck smakuje jak pomyje.

Skrzywił się, przypuszczalnie wyrażając w ten sposób niskie mniemanie o herbacie serwowanej w New Jersey.

- Wróćmy do ciała i przepisów - zaproponowałem.

- Tak, ciało - posłusznie zmienił temat Antonescu. - Wie pan, nieoczekiwane pojawiające się mumie i ich wyschnięte tkanki wcale nie są nowojorskim unikatem. Znalazł tu pan zwłoki; w ciągu

ostatnich dziesięcioleci ponad sto mumii białych ludzi odkryto w Kotlinie Tarymskiej w prowincji Xinjiang. Jestem pewien, że w tym czasie jedna czy dwie osoby, związane z tym projektem, też pożegnały się z życiem. Nie doczytałem się, by ktokolwiek prowadził śledztwo w tych sprawach.

- Ma pan na myśli mumie Tocharian? Ludzi o długich nosach i głęboko osadzonych oczach, jasnych włosach, wąskich wargach, mówiących indoeuropejskim językiem?

Wyciąłem kiedyś i zachowałem wymieniany na okładce artykuł na ich temat, opublikowany w naukowej części New York Timesa. Fascynowała mnie pula genetyczna indoeuropejczyków.

Antonescu skinął głową, pociągnął łyżeczek herbaty.

- Ale Tocharianie dotarli do północno-zachodnich Chin dobrze znaną trasą, Jedwabnym Szlakiem - powiedziałem. - Było to kiedy?

W szesćsetnym czy siedemsetnym przed naszą erą? Nieco po złamaniu chińskiego monopolu na jedwab przez Justyniana czy Persów.

Antonescu znów skinął głową.

- Tak są datowane znalezione tam tochariańskie manuskrypty.

Najstarsze mumie białych ludzi mają nawet po tysiąc lat. Może nawet więcej.

Miał rację.

- OK, wiemy też, jak się tam dostali. Ten lądowy szlak był świetnie znany. Jaką drogą dotarła do nas mumia odkryta w bibliotece Uniwersytetu Nowojorskiego?

- Może drogą mrozu - morderczego mrozu - drogą nie obraną?

Popatrzyłem na niego. Czyżby ten sprzątac, wyglądający jak neandertalczyk i ubierający się, jakby obrabował suszarnię na 14 Ulicy, cytował mi Szekspira i Roberta Frosta? Jego erudycja była oszałamiająca.

- Mumia miała chusteczkę, taką jak pańska - powiedziałem.

- Naprawdę? Wie pan, co mówią: jak cię widzą, tak cię piszą.

- Jest pan istnym źródłem mądrości, panie Antonescu.

Uśmiechnął się.

- Dobra strona pracy w bibliotece.

- Trudno uwierzyć, by ktoś o pańskiej inteligencji czuł się usatysfakcjonowany pracą sprzątacza, nawet jeśli daje ona przywilej czytania książek

- powiedziałem.

- To samo można by powiedzieć o panu, doktorze D'Amato. Comenius nie miał na myśli konwersacji z przypuszczalnymi przestępcami, kiedy mówił o uczestniczeniu w Wielkim Dialogu.

Zadzwonił telefon. Od Dave'a, jakiś wspaniały dialog albo inna sprawa, która nie interesowała mnie wystarczająco, żebym się nią zajął.

Antonescu wstał.

- Czy mogę już iść?

Poprosiłem Dave'a, żeby zaczekał.

- Tak - poinformowałem swojego gościa. - Dziękuję jeszcze raz za przybycie. Jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował, zgłoszę się do pana.

- Zaczynam mieć przeczucie, że rana się zagoi, zanim jeszcze zdołali-

śmy dojść, co ją spowodowało - powiedziałem do Jenny.

Nie miałem na myśli tylko rozcięcia na moim brzuchu. Przesunęła po nim dłoń, przytulona uchem do mojej piersi.

- A czego ty chcesz? - mruknęła. - Jeszcze jednego trupa czy dwóch?

Kolejnego ataku nożownika? W tym tkwi problem medycyny sądowej -

zbiera dowody za cenę ludzkiego życia.

Westchnąłem.

- Masz rację. Wiem. To dlatego, że zazwyczaj jedna osoba umiera tu, druga tam, trzecia w innych, ale jakoś powiązanych okolicznościach, a ja zaczynam widzieć wspólny mianownik, wzorzec. Przy tych mumiach wszystko kończy się ślepyim zaułkiem. Wysłałem wiadomość na farmę Johna Lappa - odpowiedział, że nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje.

Nikt inny oprócz Antonescu nie pojawił się żywy. Nikt inny nie umarł; nikt inny nie został ranny. Oczywiście cieszą się z tego...

- Ja też - przerwała mi, przysunęła usta do moich, skubnęła nimi moją dolną wargę, przygryzła ją lekko, przywierając całym, swobodnie wycią-

gniętym, nagim ciałem do mojego...

Później, kiedy leżała cicho, śpiąc przy mym boku, delikatnie pogłaska-

lem ją po pośladkach. Może powinienem dać sobie spokój z tą sprawą, wrócić do ponurych, przyziemnych morderców i ich ofiar, w końcu płacono mi za śledztwa na ich temat. Tej nocy świat wydawał się tak spokojny, tak łagodny. Tak delikatny... Jak jedwab...

Cholera, w tej sprawie jedwab pojawiał się stanowczo za często, jak na zbieg okoliczności. Lum w końcu przysłał dane o DNA Gerry Mosesa, znalazł w nim sekwencje Bombyx mori. Ślady DNA Antonescu, które zdo-

łaliśmy uzyskać z jego filiżanki - zupełnie zwyczajny DNA Homo sapiens sapiens, odróżniający się od przeciętnego ośmioma pozycjami - także zawierały kilka sekwencji DNA jedwabnika. Chyba nic dziwnego, biorąc pod uwagę tę jego chusteczkę. Jednak... Stanowczo jedwab pojawiał się w zbyt wielu miejscach - takich, w których powinien i takich, w których nie powinien. Nie obchodziło mnie też, co powiedział John Lapp, że jedwab produkuje gąsienice, owady, takie jak chrząszcze i świetliki - Mallory dobrze wyczuł Amiszy. Musi istnieć jakiś związek. Dave wyśmiał mnie przez telefon, kiedy mu o tym powiedziałem, ale co on wiedział na temat technologii chrząszczy?

Przypomniałem sobie, co czytałem lata temu w starej książce o filozofii nauki, być może Johna Deweya. Żeby naprawdę zrozumieć wszechświat, trzeba czegoś więcej niż obserwacje i czekanie na dowody. Trzeba nim wstrząsnąć - namieszać - spowodować jakieś znaczące zaburzenia, a potem zmierzyć skutki. Zrozumienie trzeba z niego wytrzepać. Dla zgłębienia budowy atomu wystrzel weń cząstkę...

Przyszło mi do głowy, jak wystrzelić kilka swoich własnych.

## DZIESIĘĆ

Nie wybrałbym maja na podróż do Pensylwanii. Nawet w pierwszej czę-

ści czerwca byłoby za wcześnie, przed wiśniami, truskawkami i kukurydzą wypełniającymi ulice, na sam widok powodującymi u mnie ślinotok.

Lecz tej podróży nie odbywałem ani z wyboru, ani dla przyjemności.

Zaparkowałem swojego małego buicka przy krawężniku koło General Sutter Inn w Lititz. Miałem za sobą całe życie równoległego parkowania w Nowym Jorku, więc tutaj była to bułka z masłem. Dręczyły mnie poważne wątpliwości dotyczące mających nastąpić wydarzeń.

Rozejrzałem się po restauracji - proste, drewniane stoły, zwyczajne ob-rusy, na każdym pojedynczy, mlecznobiały kwiat w niebieskiej butelce na wodę Tynanta. Przy jednym ze stołów ktoś siedział.

- John? - podeszedłem, wyciągając dłoń.

Zamknął ją w stalowym uścisku.

- Miałeś dobrą podróż? Siadaj, siadaj.

- Dziękuję.

Wyglądał tak samo jak w zeszłym roku - broda Abrahama Lincolna, workowate portki na szelkach, ale coś więcej tkwiło w jego oczach, w zachowaniu. Amisz plus coś jeszcze.

Lapp uśmiechnął się. Zęby miał żółtawe i nierówne - ale zdrowe. Ze szklanki, wyglądającej jakby sporządzono ją z kwarcu, popijał płyn przypominający lemoniadę.

- Lemoniada lepiej smakuje w szkle, zgodzi się pan? To pojemnik się liczy. Sądzę, że wasza nauka za bardzo skupia się na wnętrzu. Kontener, ciągnik, jest czasem bardziej istotny.

- O?

Na dodatek Lapp był Amiszowskim McLuhanem. Przekaznik jest prze-kazem...

- Czym są geny, cóż mogą działać bez pojemników, które zapewniają im przemieszczanie się w naszym świecie? - zapytał Lapp. - My, moi ludzie, skupiamy się na przekaznikach i pozwalamy, by geny zadbały same o siebie.

- A co z chorobami genetycznymi? - zapytałem.

- Geny zabijają, tylko kiedy ktoś w nich grzebie - odparł Lapp.

- Czyli mówisz, że to, co znamy jako choroby genetyczne jest wynikiem czyjegoś grzebania w genach? Kiedy według ciebie miało to miejsce?

- Historia nie zaczęła się tym, co historycy uważają za początek - rzekł

Lapp.

Chyba kotka o długiej, jedwabistej sierści otarła się o moje nogi i zamruczała. Wyciągnąłem palec wskazujący, a zwierzak dotknął go nosem.

Uśmiechnąłem się.

- Chyba przypominam jej kogoś - powiedziałem.

- Jemu - sprostował Lapp.

- Jemu - powtórzyłem. - Interesujące oczy.

Zajrzałem w ślepią wpatrującą się we mnie i prawie wywołującą zawroty głowy.

- Wyglądają trochę jak u psa. Jaka to rasa?

- Stróżkot - odparł Lapp. - Nazywamy je stróżkotami.

- Od jak dawna je macie?

- Od bardzo dawna - wyjaśnił Lapp. - Wasze podręczniki biologii twierdzą, że dywergencja kotów i

psów nastąpiła wiele milionów lat temu.

- Kim jest Stefan Antonescu? - zapytałem. - Czy to nazwisko coś ci mówi?

Lapp powoli pokręcił przecząco głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem, mówiłem ci to już, kiedy odpowiadałem na twoją wiadomość.

Ja też potrząsnąłem głową. Wobec tego człowieka nie warto było od-grywać gliniarza i próbować coś wyciągnąć, zaskakując go pytaniami.

- Pozwól mi przynajmniej ofiarować ci podarek na jakiś czas, żeby pomógł ci przetrwać obecne trudności - rzekł Lapp. - Chociaż prawdę mó-

więc, wydaje się, że Hyram już sam cię wybrał.

Popatrzył w dół na kota, który teraz przywierał do mojej nogi całym cia-

łem...

W końcu pojawił się kelner, który wyglądał jak Amisz, ale skoro pracował w restauracji, prawdopodobnie był mennonitą.

- Dla mnie nic - powiedziałem, pocierając niespokojny brzuch. A potem... - Zaraz, zaraz, Amos? Nie poznałem cię z tą brodą!

Amos uśmiechnął się, klepnął mnie w ramię.

- Jak widzę lekarstwo znakomicie na ciebie podziałało.

- Ehem - zgodziłem się. - Choć muszę przyznać, że w tej chwili nie czuję się za dobrze.

Tak naprawdę, to na kilku ostatnich milach autostrady dopadł mnie koszmarny ból głowy. Prawdę mówiąc, jednym z powodów mojej wizyty tutaj było kiepskie samopoczucie... Teraz mój brzuch wyczyniał już do-prawdy straszne rzeczy.

- Czy jest tu toaleta...

- Jasne - powiedział Amos i wskazał na odległy kąt pomieszczenia...

Ledwie zdążyłem do umywalki.

Ochlapałem twarz zimną wodą, zupełnie jej nie czując. Amos, John i Hyram weszli do toalety...

Ocknąłem się w łóżku, nie mając pojęcia, jak się do niego dostałem. To już drugi raz w tym miesiącu.

Usłyszałem, jak ktoś wymamrotał coś o jakimś „lekarstwie”...



Później znów się obudziłem.

W pokoju nie było pielęgniarki, tylko kot o mądrych, brązowych oczach.

- Hiram...

Zamruczał i wyszedł.

Po chwili wrócił z Lappem.

Usiadłem prosto, czując się znakomicie.

- Zamierzasz powiedzieć do mnie: „Trochę się o ciebie martwiliśmy, pochyło było, ale teraz już wszystko jest OK”, mam rację?

Lapp skrzywił się.

- Nie bywam w kinie. Lecz cieszę się, że widzę cię w lepszym zdrowiu.

- Na jak długo mnie wyłączyło?

- Trzy dni - odparł Lapp.

- Co ja zrobiłem? Jak to wyleczyłeś?

- Odtrutką był jedwab.

- Jenna....

- Skontaktowaliśmy się z nią - wyznał Lapp - Wie, że nic ci nie jest.

- Czy to, co mi było, jest.... zakaźne?

- To zależy...

Postanowiłem udać się prosto do Toronto. Niech Jenna sądzi, że wciąż jestem w Pensylwanii - nie ma powodu narażać ją na tę chorobę bardziej niż dotychczas. Lepiej dać jej kilka dni więcej z dala ode mnie na wypadek, gdybym był nosicielem czegoś zakaźnego. Zorganizowałem wysłanie paczek z lekami Amiszy i wyjaśnieniami do Jenny, Dave'a i Mallory'ego. A Lum - cóż, dostarczę mu je osobiście. Jeśli miałem rację, był narażony na to o wiele bardziej, niż byłby wskutek kontaktu ze mną w stanie rekonwale-scencji...

Na lotnisku w Toronto było mi zimno - pomimo maja, pomimo pewno-

ści, że we wcześniejszych miesiącach roku wnętrza byłyby tu ogrzewane.

Sama świadomość, że jestem w Kanadzie, wywoływała u mnie uczucie chłodu. A może były to późne skutki moich wcześniejszych przejść...

- W interesach czy turystycznie?

- Interesy - odparłem i podałem paszport celnikowi.

- O? A jakie? - Po raz pierwszy podniósł na mnie wzrok.

- Jestem naukowcem. Jadę na Uniwersytet Toronto na specjalne seminarium - Lum nalegał na tę historyjkę. Całkowicie nieoficjalnie, w głębokim cieniu, powiedział.

- Jaki jest temat tego seminarium?

- Cóż... wpływu publikatorów na badania DNA.

- Ma pan na myśli rzeczy takie jak klonowanie?

- Właśnie - potwierdziłem.

- Czy w tym seminarium będą brali udział kanadyjscy naukowcy? Czy bierzecie pod uwagę wkład Kanadyjczyków w te badania?

O co chodzi temu facetowi?

- Nie wiem - odparłem. - To znaczy, jestem pewien, że wkład Kanady jest tu znaczący. Lecz nie wiem na pewno, kto będzie uczestniczył w seminarium.

- Kto pana tu zaprosił?

- Derrick de Kerckhove, dyrektor Programu McLuhana na Uniwersytecie Toronto.

Przynajmniej tu byłem bezpieczny - de Kerckhove wyjechał z miasta, jak mówił Lum.

- McLuhan, co on ma wspólnego z DNA?

- Ehm... media. McLuhan badał wpływ mediów. DNA jest jednym z nich - dodałem szybko. - Medium życia.

Celnik popatrzył na mnie ponownie, przyjrzał się mojej twarzy.

- Czy ma pan list z zaproszeniem?

- Nie - odparłem. - Zostałem tu zaproszony telefonicznie.

Nie miałem żadnego listu, bo i żadnego seminarium nie było.

- Rozumiem - kontynuował pracowite wypełnianie jakiegoś wielkiego formularza.

W końcu znów podniósł na mnie wzrok.

- Wie pan, że nie wolno panu przyjmować żadnej pracy w czasie pobytu w Kanadzie, doktorze D'Amato. Jesteśmy całkowicie zadowoleni z własnych lekarzy i systemu opieki zdrowotnej.

- Jadę na seminarium.

- Miłego pobytu w Kanadzie.

Pospiesznie opuściłem lotnisko. Miałem straszną ochotę na filiżankę herbaty, ale byłem pewien, że zwłoka zaprowadziłaby mnie do jakiegoś kanadyjskiego pudła za sfałszowanie powodów, dla których przekroczyłem granicę. Jakie obowiązywało tu prawo? Czy w ogóle człowiek był niewinny, dopóki nie dowiedziono mu winy?

- Queen's Park 39a, Crescent East - podałem adres taksówkarzowi. -

McLuhan Coach House na Uniwersytecie Toronto.

- Oczywiście, proszę pana - miał lekko azjatycki akcent.

Otworzyłem portfel, żeby sprawdzić, czy podałem właściwy adres.

- Proszę się nie obawiać, przyjmuję amerykańską walutę.

- Nie ma sprawy - powiedziałem - mam kanadyjskie pieniądze.

Tesa Stewart dała mi ich trochę, zanim wyjechałem do Lancaster. Była w Kanadzie w lutym. Odetchnąłem powoli - życie, choć zawsze wydawało mi się dziwaczne, w lutym było dużo bliższe normalności.

- Przyjechał pan z Nowego Jorku! Rozpoznałem akcent!

Uśmiechnąłem się.

- Przyłapałeś mnie, chłopie!

- Nowy Jork to wspaniałe miasto! Wszyscy są równi! Wszyscy są wolni!

- Tak sądzisz?

- O tak - potwierdził taksówkarz entuzjastycznie. - Mieszkałem tam przez kilka lat. Byłem tam równy, jak wszyscy. Nikt nie patrzył na mnie jak na obcego! Nie tak jak tu, w Toronto. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to bardzo sympatyczne miasto. Ale ludzie patrzą na mnie i... to Indonezyjczyk! To już nie to samo. To uprzedzenie. Uprzedzenie. W Paryżu też. To miłe miasto. Ale ludzie patrzą tam na mnie - i jestem inny. Tylko w Nowym Jorku wszyscy są tacy sami!

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Zmrużyłem oczy i zerknąłem przez brudne okno.

- Na budynku napisane jest „Średniowiecza”.

- Niech pan się nie martwi - za tym stoi McLuhan. Zobacz pan.

- Dobrze - zgodziłem się. - Proszę zatrzymać resztę.

Podąłem taksówkarzowi dwadzieścia dolarów kanadyjskich.

Coach House rzeczywiście znajdował się za Wydziałem Badań Średniowiecza.

Otworzyłem skrzypiące drzwi.

- Jest tam kto? - wsadziłem głowę do środka.

- Halo! - kobieta o krótkich, ciemnych włosach zerwała się na nogi i uśmiechnęła do mnie. - Poznaję pana z faksu. On jest w środku - powiedzia-

ła, pokazując na sąsiednie pomieszczenie. - Czeka na pana. Będziecie sami, ja już się spóźniłam na spotkanie.

- Dziękuję - powiedziałem, kiedy wychodziła.

Wszedłem do sąsiedniego pokoju.

- Phil! - H.-T. Lum zerwał się z kanapy. Jego wyciągnięta na powitanie ręka wystawała z rękawa zielonej, jedwabnej koszuli. - Przepraszam, że musimy się spotykać w takich okolicznościach, ale moje biuro w Centrum Medycyny Sądowej nie nadaje się do tego.

Uścisnąłem mu dłoń i usiadłem na zakurzonej kanapie, ustawionej pro-stopadłe do jego siedziska.

- Przepraszam - powiedział Lum jeszcze raz i gestem wskazał pokój. -

Wiem, że to dziwaczne. Ale musimy być bardzo ostrożni, moi koledzy nie mogą dowiedzieć się o spotkaniu z tobą. Miałem spory kawałek do przeje-

ścia - z Grosvenor Street aż tutaj - ale wciąż jeszcze zachowałem większość energii. A jak minął ci lot?

- Dobrze - odparłem. - Obawiasz się, że twoi koledzy dowiedzą się o...

- A ty byś się nie bał? - przerwał mi Lum. - Gerry Moses nie żyje. Ty praktycznie nie żyjesz... oj, przepraszam.

- W porządku - powiedziałem. - To znaczy, nie chodzi mi o to, że w Lancaster niewiele brakowało, choć taki ostateczny wynik bardziej mi się podoba od alternatywy, tylko że możemy swobodnie o tym rozmawiać.

Właśnie po to tu przyjechałem i bardzo się cieszę, że zgodziłeś się na spotkanie.

Lum opadł na oparcie i chyba trochę się odprężył.

- Nawet przed twoją chorobą nie zamierzałem z nikim rozmawiać na ten temat przez telefon, nigdy nie wiadomo, kto jeszcze może słuchać.

Wszędzie jest pełno pluskiew - nawet w moim gabinecie, jestem tego pewien. Ale tu jest bezpiecznie, nikt już nie zwraca uwagi na McLuhana.

Uczestniczyłem w ostatnich jego seminariach w latach siedemdziesiątych.

Wstyd, że ludzie nie doceniają wkładu tego człowieka, naprawdę wstyd.

Lecz przynajmniej jest tu bezpiecznie - możemy wykorzystać publiczne zapomnienie McLuhana.

Lum uśmiechnął się niepewnie.

- Sensowne - powiedziałem. - Przepraszam też, że moja choroba opóźniła nasze spotkanie. Proszę powiedzieć, co cię dręczyło.

- Gerry Moses nie umarł na zawał - wyjaśnił Lum.

- Podejrzewałem to.

- Och, taką przyczynę wpisaliśmy do aktu zgonu - wyjął Lum. -

Byłbyś zaskoczony, jak często jako przyczynę śmierci podaje się atak serca, bo w końcu serce się zatrzymuje - ale prawdziwy czynnik wywołujący zawał jest zupełnie inny.

- Jakbym tego nie wiedział - prychnąłem sarkastycznie, choć jednocześnie całkiem serio. - Co naprawdę zabiło Gerry'ego Mosesa?

- Był ciężko chory, to coś poważniejszego od grypy - odparł Lum. -

Pojawiło się znieczuwanie i żadne leki nie skutkowały. Próbował wszystkiego -

różnych antybiotyków - i nie pomogły. Wiedział więc, że to nie infekcja bakteryjna. Dlatego pojechał do Chautauqua.

- Miał dość sił, żeby prowadzić? Kiedy mnie dopadło, nie byłem w stanie nawet chodzić.

- Ktoś go zawiózł - wyjaśnił Lum.

- Ty?

Lum skinął głową.

- I co się stało w Chautauqua? - naciskałem.

- Szukaliśmy lekarstwa Amiszy - oznajmił Lum.

- Wiesz o jedwabiu?

- Tak - potwierdził.

- Ale nie pomógł Gerry'emu?

Albo otrzymał niewłaściwą kurację, albo cierpiał z innych powodów.

Kiedy mnie dopadła choroba, najwyraźniej znajdowałem się w najwłaściw-szych rękach na świecie.

- Dotarliśmy tam za późno - wyjaśnił Lum. - Gerry sądził, że jego choroba była związana z DNA, jakiś rodzaj wirusa, fragmenty genetycznych złych wieści - tak sir Peter Medawar nazywał wirusy. Uczestniczyłem w jego seminariach w Londynie, w latach siedemdziesiątych. Lecz ten zmu-towany oligo, czy co to było, przyłączył się do DNA w zbyt wielu komórkach Gerry'ego, więc kiedy ulegały podziałowi, był to ich ostatni raz. Gerry sądził, że to świństwo przesunęło zegar w jego komórkach tak daleko do przodu, że kolejna replikacja DNA wywoływała apoptozę...

- Brzmi to, jakby zmarł z powodu gwałtownej starości - wzdrynąłem się.

Lum skinął głową, ze łzami w oczach.

- Po prostu rozpadł się. Amisze nie byli w stanie mu pomóc - powiedzieli, że proces zaszedł za daleko. Ja nic nie mogłem zrobić.

- Czy Gerry miał jakiegokolwiek podejrzenia, gdzie podłapał tego wirusa, czy co to było? - zapytałem, choć sam miałem całkiem solidny pogląd na tę sprawę.

- Tak - potwierdził Lum schrypniętym głosem. - Gerry był pewien, że zaraził się od zwłok neandertalczyka.

- Ale ty też miałeś kontakt z tym neandertalczykiem... - zacząłem.

- Tak, oczywiście - wskoczył mi w słowa Lum - ale niektórzy mają naturalną odporność, taką teorię wysnuł Gerry.

H.-T. Lum najwyraźniej był ocalańcem i to bardzo przerażonym. Tak samo jak ja - przynajmniej w tej chwili...

Naturalna odporność - medyczna tajemnica wykluta w pierwszych chwilach istnienia teorii o roli mikroorganizmów. Zakażenie neandertalską gripą mogło rozwijać się na trzy sposoby. Pierwszy: niektórzy ludzie - tacy jak Gerry Moses - umierali paskudną śmiercią. Drugi: niektórzy - tacy jak Lum

- mieli naturalną odporność, cokolwiek ją powodowało. Trzeci możliwy skutek choroby: istniał jakiś

lek związany z jedwabiem - kuracja Amiszy, który działał na część ludzi zakażonych neandertalskim wirusem. Uratował

mi życie. Lecz nie zadziałał na Gerry'ego. A chociaż Lapp dał mi kilka dodatkowych paczuszek z lekiem dla wszystkich związanych z tą sprawą -

włączając Luma - Amisze nie potrafili albo nie chcieli, powiedzieć mi, czym dokładnie on jest... wskutek czego wiedziałem o nim równie mało, jak o tym cholernym choróbsku...

- Gerry uważał, że ten wirus usuwał telomery - powiedział w końcu Lum. - Bez nich komórka nie może się więcej dzielić.

- A lek jak działa? - zapytałem. - Wprowadza telomerazę zabezpieczającą końcówki nici DNA?

Lum skinął głową.

- Ale jak Amisze zdołali uzyskać takie wprowadzenie?

- Gerry sądził, że może to być kolejny wirus...

- Naturalna rekombinacja?

- Chyba tak można by to nazwać - zgodził się Lum.

Popatrzyłem na niego.

- Dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś tego wcześniej? Słuchaj, nie znamy się za dobrze, więc mam nadzieję, że nie obrazisz się za brutalną szczerłość. Nie mogłeś wiedzieć, czy ktokolwiek inny ma taką naturalną odporność jak ty - rany, wszyscy mogliśmy skończyć martwi, jak Gerry.

- Przepraszam - rzekł Lum cicho. - To była tylko teoria. Nie jestem w stanie potwierdzić przyczyny zgonu Gerry'ego. Jestem nowy w tej robocie i muszę bardzo uważać, co mówię przy współpracownikach...

- Czasami ostrożność potrafi zabić - odparłem.

Mój samolot usiadł na LaGuardia w ulewnym deszczu. Do domu pojechałem taksówką.

- Ty cholerny draniu! - przywitała mnie Jenna, kiedy skończyliśmy się całować. - Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Nie powiedziałeś, co się dzieje? - uderzyła mnie w pierś. - Dlaczego, do diabła, zawsze musisz być bohaterem, który sam próbuje znaleźć te leki?

- Właściwie to nie zgłosiłem się na ochotnika - odparłem.

Jenny to wcale nie uspokoiło.

- Chyba nic nie pomoże, jeśli ci powiem, że nie miałem pojęcia, na co trafiłem - nadal tego

właściwie nie wiem do końca - i nie chciałem cię nara-

zać na kontakt z tym paskudztwem? - dodałem.

- Masz rację, nie pomoże. Mogłeś mi powiedzieć i zaufać, że zrobię to, co trzeba - oznajmiła Jenna.

Pogłaskałem ją po twarzy.

Odepchnęła moją rękę.

- Wiem, że pojechałabyś za mną - próbowałem wyjaśnić. - Wiem, że byś to zrobiła niezależnie od moich słów. Mogłabyś w jakiś sposób namierzyć rozmowę telefoniczną i znaleźć mnie. Chciałem tego uniknąć. To było zakaźne...

- Wirus ze zwłok...

- Nie możemy być tego całkowicie pewni - powiedziałem. - Jeszcze jest za wcześnie na jakiegokolwiek definitywne wnioski.

Dla niektórych za wcześnie. Miałem nadzieję, że nie za późno dla innych.

- Nic ci nie jest? - nagle objęła mnie i przytuliła twarz do mojej piersi.

- Na pewno nic? - zamruczała i pocałowała mnie.

- Tak sądzę.

Pocałowałem ją w głowę. Od miłego zapachu jej włosów zamglił mi się wzrok.

- Lek nie zadziałał na Gerry'ego Mosesa - powiedziała.

- Wiem.

- Wzięłam to przysłane przez ciebie lekarstwo.

- To dobrze.

- Ten cholerny Lapp! Zostawiłam wiadomość pod numerem, który miałeś dla niego, a on się nie odezwał!

- Lapp jest bardzo ostrożny - wyjaśniłem i przesunąłem wargami wzdłuż jej ucha. - Podejrzliwość wobec obcych pozwoliła zachować im własną kulturę i mądrość. Teraz to może być wszystko, co mamy.

- Uratowało cię - zauważyła Jenna i uniosła twarz.

Pocałowałem ją w usta, przesunąłem dłońmi po jej twarzy, ramionach, sukience. Kiedy doszedłem do rąbka sukienki, wsunąłem dłonie pod materiał, przeniósłem je wyżej, do jej miękkich, bawełnianych



fig. Zsunąłem je z niej...

- Masz jedwabiste w dotyku plecy - powiedziałem później do Jenny, kiedy leżała przytulona do mnie, a ja głaskałem ją palcami po plecach. Była to nasza ulubiona pozycja na bardzo późną noc.

Wzdrygnęła się.

- Nawet nie zamierzam pytać, czy ma to jakieś znaczenie - odezwała się. - Zbyt jestem szczęśliwa, że mam cię w domu.

- Chińczycy musieli o tym wiedzieć - kontynuowałem mimo wszystko. - Karali za wywóz jedwabników nie dlatego, że chcieli utrzymać monopol na luksusową tkaninę, ale z powodu ich monopolu na życie - albo jego ochronę. A potem ta tajemnica została zagubiona albo uległa zapomnieniu, tylko że nie przez wszystkich. Nigdy nic nie jest zapomniane przez wszystkich. A Amisze - przy swoich uprawach, nie wiem jak, odkryli to na nowo.

Albo zrobił to odłam Lappa.

- Czy on ci tak powiedział?

- Nie, ja się tak domyślam, opierając się na tym, co przytrafiło mi się w Pensylwanii i co powiedział Lum. Przypuszczam, że Amisze mają wirusa

- zawierającego wbudowane fragmenty DNA Bombyx mori - który potrafi rozprzestrzenić się po całym organizmie człowieka w czasie krótszym niż jeden dzień i naprawić uszkodzone telomery. Oni nie nazywają tego wirusem - nigdy nie widzieli go w mikroskopie elektronowym, bo nie mają tego typu rzeczy. Wiedzą tylko, jak działa. Stanowią część jakiejś sekretnej, międzynarodowej społeczności rolniczej - coś jak łoża masońska farmerów.

Jest bardzo stara - stanowi element tego, na co wpadłem w zeszłym roku...

Kochanie?

- Zastanawiałam się - odezwała się Jenna. - Zwłoki neandertalczyków, jak do tego pasują?

- Nie jestem pewien. Może neandertalskie zwłoki wszystkie zawierały ten jedwabny lek i dlatego mogły przetrwać te trzydzieści tysięcy lat...

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że są aż tak stare - rzekła Jenna.

- Tak twierdzi węgiel 14C.

- To dlaczego umarli?

- Nie wiem - przyznałem. - Coś w neandertalskim DNA, w miarę kolejnych replikacji przez tysiąclecia, w końcu się zmieniło, zniósło efekt jedwabnego leku, więc Antonescu - czy ktokolwiek to był - umarł natychmiast. Albo ktoś, czy coś, celowo wprowadziło nowy czynnik genetyczny, który

zagłuszył Bombyx mori... Nie wiem... wirusy żerujące na wirusach żerujących na wirusach... edycja edycji, podniesiona do potęgi...

- Ale Antonescu znów żyje. To oznacza, że kim on jest? Klonem?

- Nie mam pojęcia - wzruszyłem ramionami. - Tak czy owak, nowy DNA w zwłokach - ten, który doprowadził do ich nagłej śmierci - zainfekował mnie i Gerry'ego Mosesa. Więc kod DNA w naszej skórze i mnó-

stwie innych narządów zaczął dochodzić do końca swojej drogi - dopycha-jąc komórki do granicy Hayflicka 3. Niektóre z nich, tak jak komórki ner-wowe w mózgu, nigdy się nie dzielą po wyjściu z okresu dzieciństwa. Lecz ludzkie komórki hodowane in vitro dzielą się mniej więcej pięćdziesiąt razy, a potem umierają. To właśnie robiły moje.

3 Granica Hayflicka - najwyższa możliwa liczba podziałów komórki, po której nastę-

puje jej zaprogramowana śmierć - apoptoza. (przyp. tłum.)

- Ale teraz, mając ten jedwabny utrwalacz, powinieneś przeżyć trzydzieści tysięcy lat. I ja też, zgadza się? - odwróciła się i żartobliwie uszczypnęła mnie w szyję.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, jeśli spędziłbym te lata z tobą.

Jeszcze raz pogładziłem japo plecach i pozwoliłem moim palcom zatrzymać się, lekko...

JEDENAŚCIE

- Spójrz na to, Phil.

Znów byłem w centrum, w pokoju sekcyjnym Dave'a. Wskazał na młó-dą kobietę, nie więcej niż dwudziestoletnią, leżącą na stole.

- Popatrz na nią, Phil. Piękna, prawda? Tak piękna, że jej chłopak -

czy kto tam chciał się z nią przespać, a ona nie miała na to ochoty - wpuścił

jej jakiegoś świństwa do drinka, zerznął ją, gdy straciła przytomność, miał

uciechę po pachy i wiesz co? Nigdy się nie obudziła. Umarła. Ten sukinsyn przedawkował jej to paskudztwo.

Popatrzyłem na jej blond włosy. Prawdopodobnie miała niebieskie oczy, ale zakrywały je powieki. Musiała być piękna. Wciąż była.

- Przyjrzyj się jej, Phil, dokładnie. Na tym polega nasza praca - na przyglądaniu się. Płacą nam za to, żebyśmy dowiedzieli się kto, u diabła, obrabował tę dziewczynę z życia albo pomogli skazać łotra, kiedy detekty-wi go już złapią, więc może nie zdarzy się to znów - a przynajmniej nie zrobi tego ten

sam facet.

- To nie wyklucza się wzajemnie - zaprotestowałem. - Gwałt to nie jedyne przestępstwo...

- Przestępstwo? Gdzie widzisz przestępstwo w sprawie tego twojego małpoluda? Tu, przed nosem masz przestępstwo - ta dziewczyna została zamordowana. Zgwałcona, zamordowana, być może zgwałcona jeszcze raz.

Gdzie przestępstwo w twojej sprawie? Kiepsko się czułeś? OK, cieszę się, że teraz jest ci lepiej. Twój DNA zawiera teraz kawałeczki genów jedwabnika? OK, przyznaję, to bardzo interesujące, wręcz tajemnicze - ale to nie przestępstwo, Phil!

- Dostałem nożem w Londynie...

- To kłopot Michaela Mallory'ego - jego przestępstwo, jego jurysdykcja, jego problem. Nie twój i nie mój. Nie ma w dodatku związku z mumiami, prawda?

- A Gerry Moses?

- Umarł - powiedział Dave. - To się zdarza. Po prostu umarł.

- Lum uważa, że w tym jest coś więcej.

- Cóż, ostatnio mam kłopoty ze zrozumieniem tego, co mówi Lum, bo nic nie mówi wprost - rzekł Dave. - Prawdopodobnie ta robota go przerasta.

Nie winię go za to - czasami sam się tak czuję, ostatnio coraz częściej, kiedy rozmawiam z tobą. Mówię ci to jako przyjaciel.

Potrząsnąłem tylko głową. Widziałem już, że może być tylko gorzej.

- Gdzie są dowody Luma? Gdzie twoje? - Dave wzmościł atak. -

Uważasz, że te neandertalskie zwłoki rozsiewają jakąś nowoczesną zarazę?

Gdzie dowody spod mikroskopu?

- A założmy, że ten czynnik, to coś potrafiące przefasonować nasze DNA jest mniejsze od wirusów, zbyt małe do zobaczenia pod mikroskopem? Założmy, że dysponujemy sprzętem, dzięki któremu zobaczymy to nie lepiej, niż ludzie widzieli bakterie przed Leeuwenhoekiem?

- OK, w porządku - zgodził się Dave. - Mogę zaakceptować taką moż-

liwość. Jestem przede wszystkim naukowcem, tak samo jak ty. Znam swoją historię. Ale nawet wtedy... wciąż potrzebujemy dowodów, prawda? Ludzie umierający w trakcie epidemii byli dowodem, że coś jest nie tak. Gdzie są twoje dowody? Gdzie są rosnące stosy ciał?

Znów pomyślałem o prawdopodobieństwie naturalnej odporności. Najwyraźniej w tym wszystkim tkwiło coś ważniejszego, czego nie rozumieli-

śmy.

- Phil, będę z tobą szczerzy. Musisz zabrać się do roboty. Kapitan...

niektórzy oficerowie zaczynają gadać. Chcesz urwać się do Pensylwanii, masz ochotę na wypad cichaczem do Toronto, jak szpieg w tajnej misji - nie ma sprawy, ale rób to w wolnym czasie. Mówię ci to jako przyjaciel, kiedy masz robotę, wykonuj ją!

- OK - zgodziłem się spokojnie. W tej chwili nie warto było go jeszcze bardziej drażnić.

Dave zmusił się do uśmiechu.

- Wcale nie chciałem cię tak pogonić. Pracujemy razem od wielu lat.

To po prostu - sam nie wiem. Może robię się za stary do tej roboty. Kiedyś

- kiedy zaczynałem w późnych latach siedemdziesiątych - było inaczej, wszyscy patrzyli na nas z szacunkiem, szanowali mnie. Do diaska, nasza praca to nic przyjemnego. Ale ją wykonujemy. To powołanie. A teraz -

cholera, sprzedajemy swoje zeznania temu, kto da najwięcej. Tak o nas mówią. Dlatego nie możemy stracić z oczu najważniejszych spraw, jak ta nieszczęsna dziewczyna tutaj...

Drżał cały - nigdy nie widziałem Dave'a równie zdenerwowanego.

- OK - powiedziałem jeszcze raz. - Zrozumiałem.

Pogadam z nim jeszcze o tym innym razem. Uścisnąłem go za ramię i wyszedłem.

Dwa dni później stwierdzono u Dave'a śmierć mózgu. Lekarze chcieli go pochować.

- Po co to przedłużać? - zapytał mnie młody lekarz w szpitalu. - Jego ciało działa wyłącznie dzięki aparaturze. Nie ma szans żyć dalej, nie ktoś taki jak on.

Nie znałeś tego człowieka - nie masz prawa do wygłaszania swoich przeklętych opinii na ten temat. Zachowaj swoją żalospną, podręcznikową etykę dla kogoś innego, miałem ochotę powiedzieć. Jednak tylko podzię-

kowałem szczeniakowi za radę.

Poszedłem zobaczyć się z Rose, która od trzydziestu sześciu lat była żoną Dave'a.

- Może filiżankę herbaty, Phil?

- Nie, Rose, usiądź proszę. Co ja mogę tobie zaoferować, może drinka?

- Nie, nic nie chcę, dziękuję Phil - rozplakała się. - Naprawdę nic mi nie jest.

Otoczyłem ją ramieniem.

Gdybym tylko mógł spędzić trochę czasu z Dave'em - po prostu posiedzieć przy jego łóżku, potrzymać go za rękę, pomówić do niego, opierając się na znikomej szansie, że jakoś byłby w stanie mnie usłyszeć - może uda-

łoby mi się przyjąć to lepiej. Może zdobyłbym lepszy wgląd w ten koszmar.

Nie, nie miałem najmniejszych nadziei na poprawę. Neurologzy byli tego najzupełniej pewni. Dave był martwy za wyjątkiem tych części, które obsługiwała aparatura tłocząca natlenioną krew do jego ciała. Na pewno nie mógłbym przyjąć tego lepiej. Co najwyżej mogłem mieć nadzieję na nieco lepsze zrozumienie, co się dzieje.

Lecz rodzina Dave'a była niewzruszona: nikogo nie wpuszczano do pokoju oprócz najbliższej rodziny i zajmujących się nim lekarzy.

Podejrzewałem, że ten edykt wydały jego dzieci, a nie Rose. Wolałbym go przestrzegać, ale...

- To stało się tak nagle - powiedziała. - Chyba lepiej jest odejść w taki sposób. Był aktywny do samego końca, przez całe życie nie miał jednego dnia zwolnienia lekarskiego. Lepiej, że tak odszedł.

- To prawda - zgodziłem się. - Oto cały Dave, taka żywotność.

- Wkrótce będzie spacerował z Jezusem. Tak lepiej - lepiej być z Nim, niż kuśtykać po ziemi. Ja jestem baptystką, Phil, wiedziałeś o tym? A ty jesteś katolikiem, prawda?

- Cóż, tak naprawdę to nie. Jestem żydem marrano - moi przodkowie w czasach inkwizycji udawali przechrztów, bo doszli do wniosku, że to lepsze niż tortury i śmierć, nie chcieli też porzucać swoich domów. Lecz mój lud w sekrecie podtrzymywał żydowską tradycję, pomimo rezygnacji z typowych nazwisk.

Rose skinęła głową.

- Przypominam sobie, Dave mi o tym opowiadał. Zawsze podziwiałam żydów - wyobraź sobie tylko - religia istniejąca od ponad pięciu tysięcy lat!

- Tak, mamy bardzo długą historię. Dave i ja też. To była jedna z ostatnich jego wypowiedzi...

Rose wzięła mnie za rękę.

- Pracowałeś razem z nim nad jakąś sprawą, prawda? Dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć. W domu panuje koszmarny bałagan, nie miałam czasu...

- Nieważne - uściśnąłem jej dłoń. - Słuchaj, może przyjdę za kilka dni? Nie ma pośpiechu. A może zabrałbym cię teraz na lunch?

- Nie, nie - odmówiła Rose. - Pracowaliście z Dave'em nad sprawą, to najważniejsze. Taki zawsze był. Chciałbyś obejrzeć jego gabinet? Spróbuję nie plątać się pod nogami. W papierach nie znalazłam nic o czymkolwiek, nad czym obecnie pracowałby z tobą, ale rozejrzyj się. Jeśli coś ma związek z twoim śledztwem, to na pewno jest ważne.

- Jesteś pewna?

Rose skinęła głową, z oczami pełnymi łez.

- Dziękuję.

Ponownie uściśnąłem jej dłoń, i skierowałem się do zacisza Dave'a.

Mieszkali w spółdzielczym budynku kawałek od Dakota, na Upper West Side, po przeciwnej stronie Parku Centralnego. Byłem u niego już kilkana-

ście razy.

Pierwszą rzeczą, którą spostrzegłem na jego biurku była paczka, którą wysłałem mu z Pensylwanii - z jedwabnym lekiem. Otwarta, ale zawartość pozostała nietknięta.

Westchnąłem. Wiedziałem już, dlaczego był praktycznie martwy. Cholerny uparciuch...

Nie miałem za to pojęcia, dlaczego tak długo pozostał zdrowy.

Przeszedłem z gabinetu do ich sypialni - być może tam znajdowała się odpowiedź. Rose wciąż siedziała w salonie. Musiałem sprawdzić to szybko.

Otworzyłem szafę. Na wieszaku znajdowało się ponad dwadzieścia krawatów, wszystkie okropnie staroświeckie. Specjalność Dave'a.

Uśmiechnąłem się smutno. Przesunąłem dłonią po każdym z nich. Tylko dwa były takie, jakich szukałem - za mało, żeby stanowiły jakąś różnicę, chyba że nosił je codziennie, a wyglądały, jakby nie dotykano ich od dziesięciu lat.

Wysunąłem kilka szuflad, aż znalazłem pełną koszul. Bawełna, różnego rodzaju, ani jednej mogącej mieć związek z tą sprawą.

Rozejrzałem się po pokoju, obejrzałem zasłony, pościel, poduszki, szukając natchnienia.

Nic.

Byłem prawie pewien, co dopadło Dave'a Spencera.

Co, u diabła, utrzymywało go w pozornym zdrowiu długi czas po narażeniu na patogen - o wiele silniejszym niż moje?

Co on robił, jadł ćmy na śniadanie?

Wróciłem do salonu, do Rose. Upierałem się, że zrobię jej kawy, ona, że zrobi mi herbaty, więc poszedłem na kompromis i przygotowałem jedno i drugie. W końcu delikatnie zacząłem sugerować, że powinienem odwiedzić Dave'a. Gdybym mógł go zobaczyć, nawet w tym stanie, w jakim był, może mógłbym odpowiedzieć na parę pytań...

Zadzwoił interkom.

Odebrała Rose.

- OK, jasne, wpuść go na górę - popatrzyła na mnie i zaczęła płakać. -

To chłopiec z chińskiej pralni.

- Ach, tak.

Była pierwszą od wielu lat osobą, o której dowiedziałem się, że korzysta z chińskiej pralni, ale na pewno nie dlatego płakała.

- Odnosi prześcieradła - wyjaśniła, ocierając oczy. - Oddałam je do prania - dwa dni przed chorobą Dave'a. Piękne, satynowe prześcieradła z prawdziwego jedwabiu - dostaliśmy je niedawno, w marcu, prezent od córki Terry na naszą rocznicę. Dave mówił, że śpiąc na nich, czuje się jak król!

Następnego dnia w prasie ukazał się artykuł Debbie Tucker - „Zaraza koronera”. Opisała w nim śmierć Gerry'ego Mosesa w Toronto, krytyczny stan Dave'a Spencera w Nowym Jorku, moją chorobę w czasie podróży do Pensylwanii. Pisała też o ciałach przypominających neandertalczyków.

Wspominała o jedwabnej kuracji, ale ani słowem o Amiszach, ponieważ zmusiłem ją, by przysięgła, że tego nie robi. John Lapp tego sobie życzył -

choć podejrzewałem, że dobrze wiedział, iż prędzej czy później świat i tak się o nich dowie.

Zacytowała Mallory'ego z Londynu: „Dwa tygodnie temu dokładnie sprawdzono mój DNA. Telomery są takie, jak być powinny.” Cytowała mnie z Nowego Jorku: „Przełożeni odebrali mi tę sprawę, więc nie mogę powiedzieć nic więcej oprócz tego, że zamierzam nadal nad nią pracować, w wolnym czasie.”

Zwróciła uwagę na szaleńczy wzrost cen jedwabiu na giełdach towarowych na całym świecie.

Odłożyłem gazetę i przetarłem oczy.

Zadzwoił telefon.

Był to przyjaciel ze szpitala. Godzinę temu Dave Spencer został odłączony od aparatury. Przed chwilą uznano go za zmarłego.

Usiłowałem dodzwonić się do lekarza dyżurnego, ale nie udało mi się.

Następnego dnia spotkałem się na lunchu z Tesą Stewart.

- Jezu Chryste, Phil, jesteś jeszcze bardziej stuknięty niż ja, a to wiele mówi.

- Dzięki za wotum zaufania.

Dolałem jej Beaujolais. Mało prawdopodobne, żeby poprawiło to jej opinię na temat tego, co próbowałem zrobić.

- I ty sądzisz, że w ogóle uda ci się znaleźć sędziego, który cię wysłucha? - zapytała.

- Nie mnie - znam kilka wysoko postawionych osób w biurze prokuratora okręgowego - ba, znam jego samego. Przez lata bardzo dużo dla nich zrobiłem. Jeden z nich zgodził się przedstawić mój wniosek w sądzie. A mając ciebie, jako świadka-eksperta...

Tesa potrząsnęła głową.

- Co mam powiedzieć, żeby przydało się w tym wariactwie?

- Opowiedz tylko o neandertalskim DNA - to, co powiedziałaś mnie, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o tej sprawie. Że tak naprawdę do dziś nie bardzo wiemy, jak naprawdę wygląda DNA neandertalczyka, że często, przy próbach jego zbadania, ulega kontaminacji materiałem genetycznym Homo sapiens sapiens. Po prostu powiedz, co wiesz - prawdę -

tylko to jest mi potrzebne.

Rany, najstraszliwiej wyświechtany zwrot wykorzystywany przy urabianiu świadków. Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, najbardziej prawdopodobną przyczyną oklepania powiedzonka jest jego prawdziwość. Nie rozumiałem za to, dlaczego Tesa tak się opiera. To było niepodobne do niej.

- Żona Spencera zgadza się na to?

- Oczywiście, że wcale się z tego nie cieszy - odparłem. - Była jednak, na miłość boską, żoną koronera. Zna stawkę - westchnąłem. - Nie, Rose się to nie podoba, ale to nie ona blokuje moją prośbę, tylko jej dzieci - a ona nie potrafi się im przeciwstawić. Nie mogę jednak pozwolić, by mnie to powstrzymało. Jedną z ostatnich rzeczy, które mi powiedział Dave było:

„Wykonuj swoją pracę, Phil, rób to!” I właśnie teraz tak postępuję. Dzieci powstrzymały mnie od zobaczenia Dave'a w szpitalu - a teraz ja zrobię swoje i zobaczę go wyciągniętego z grobu. Dopilem



resztę wina.

- A Moses? Jego też ekshumujesz?

- Właśnie - prychnąłem sarkastycznie. - Równie dobrze mógłbym odkopać prawdziwego Mosesa i nakłonić Kanadyjczyków do zgody na prośbę o pośpiech. Ale w końcu dojdziemy do Gerry'ego. Najpierw najważniejsze.

Zajmiemy się Dave'em.

Tesa dołała sobie wina.

- Kiedy przesłuchanie?

- Któryś z adwokatów niespodzianie wyciągnął kopyta i sędzia ma okienko w terminarzu - piątek po południu, pojutrze, o czternastej.

- Jezu, pogrzeb jest jutro, tak?

Skinąłem głową.

- Uhm. W dół i do góry.

Tesa długo sączyła wino.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Ale nie mów mi tylko, że ten nagle zgasły adwokat miał jakikolwiek związek z neandertalczykami.

Była ze mną Jenna, Tesa i dwóch oficerów z One Police Plaza. Rose Spencer wraz z rodziną odmówili przyścia. Nie mogłem ich za to winić.

- Co go zatrzymuje? - spytała Tesa nerwowo.

- Jest nowy - wyjaśniłem. - Zaraz wyjdzie.

Miał to być Herby Edelstein, zastępujący Dave'a do czasu znalezienia kogoś na stałe. A przynajmniej na tak długo, jak może trwać każda praca w życiu. Dla Dave'a nie była nazbyt stała - najpewniej to jego ciało Herby teraz odwijał i oglądał. My czekaliśmy przed zardzewiałymi drzwiami, czekając na zaproszenie do środka.

- Czy ktoś widział „Szał” Hitchcocka? - zwróciłem się do Jenny, a właściwie do wszystkich.

- Jasne, ja oglądałem - powiedział jeden z oficerów, Jack Dugan. - Facet dusi swoim krawatem dziewczynę najlepszego przyjaciela, tak?

- Zgadza się - potwierdziłem. - Pamiętasz tę scenę, tuż po zbrodni?

Kamera powoli odsuwa się, wyjeżdża z mieszkania, po schodach w dół, na ulicę. A w miarę tego ruchu nasilają się uliczne odgłosy. W końcu patrzy z drugiej strony jezdni na budynek mieszkalny, w którym właśnie popełniono straszne morderstwo i widzimy samochody, ludzi, świat zajmujący się swoimi sprawami, biegające dzieciaki i nikt nie ma najmniejszego pojęcia, że tuż pod ich nosem uduszono kobietę, która leży z wysadzonymi oczami...

- Uhm - Dugan skinął głową. - Znakomity przykład hitchcockowskiej konstrukcji sceny.

Uśmiechnąłem się. To możliwe tylko w Nowym Jorku - wysokiej rangi gliniarz będący znawcą filmów. No, może jeszcze w Los Angeles.

- DNA jest właśnie taki - powiedziałem. - Wszystkie te kombinacje, musztry i bitwy toczące się pod powierzchnią, na naszych oczach, tylko nic o nich nie wiemy. Patrzymy na ludzi i widzimy skończone indywidualności

- ale tak naprawdę są to zbiorowiska niewidocznego DNA, który jest w bezustannym ruchu, toczy nieustanną bitwę.

- Tak - zgodził się Dugan, ale jego oczy straciły skupiony wyraz.

Jenna zaczęła coś mówić... Zardzewiałe drzwi otwarły się.

- Miałeś rację, Phil - powiedział Herby do wszystkich.

Był blady.

Wprowadził nas do środka i wskazał stół. Ktoś coś mówił, ale nie słyszałem ani słowa. Całą uwagę miałem skierowaną na jedno: Dave'a Spencera leżącego na tym blacie.

Podszedłem bliżej, żeby przyjrzeć się dokładniej. Może to wcale nie Dave? Nie, to był on. Bez wątpienia.

Tylko że w ciągu tych trzech dni, kiedy leżał podłączony do aparatury, zaczęły się u niego objawiać wyraźne cechy neandertalskie. Były wyraźnie widoczne, zastygłe w śmierci.

DWANAŚCIE

- Jest gorzej, niż myślisz, Phil.

Przełknąłem kęs jajecznicy i popatrzyłem na Tesę, która właśnie przyszła towarzyszyć mi przy śniadaniu w Le Bistro, w Village, spóźniając się o jakieś czterdzieści pięć minut.

- Wątpię - wskazałem jej krzesło i sięgnąłem po herbatę.

- Przepraszam za spóźnienie, ale...

- W porządku - przerwałem jej. - Wierz mi, ja się wszędzie spóźniam.

Przepraszam, że zacząłem bez ciebie, ale byłem strasznie głodny.

Usiadła. Wyglądała okropnie.

- Herbata, razowa i pszenna grzanka z dżemem, jedno jajko sadzone -

zamówiła u kelnerki, która na pewno była studentką. Miałem kłopoty z oderwaniem wzroku od jej spranych dżinsów.

- Sok?

- Tak - potwierdziła Tesa. - Mały pomarańczowy poproszę.

- A ja poproszę dolewkę mojego dużego - dodałem.

- Oczywiście - rzekła kelnerka. Prawdopodobnie z Uniwersytetu Nowojorskiego.

Popatrzyłem na Tesę.

- No to opowiadaj.

- Datowanie węglem radioaktywnym szczątków Dave'a dało wynik trzydzieści tysięcy lat.

- Co?!

- Tak wyszło z pierwszej serii pomiarów - odparła Tesa. - Chcesz się założyć, że się potwierdzą?

Potrząsnąłem głową, zarówno z niedowierzaniem, jak i przecząc.

- To znaczy, co? Pozostałe ciała też należą do niedawno zmarłych?

Podejrzewałem, że może istnieć jakiś związek pomiędzy tą chorobą telome-rową, czymkolwiek jest, a neandertalskimi cechami - dlatego doprowadziłem do ekshumacji Dave'a. Coś w sposobie, w jaki rodzina uniemożliwiła innym zobaczyć go w szpitalu, naprowadziło mnie na tę myśl... Ale jak, u diabła, wirus czy cokolwiek, co wywołuje tę chorobę, może tak zaburzyć datowanie węglem  $^{14}\text{C}$ ?

Tesa otarła usta serwetką, pomimo że jeszcze nic nie jadła.

- Ty mi to powiedz.

- Datowanie promieniotwórczym izotopem węgla o masie atomowej 14 opiera się na pomiarze jego ilości, jaka pozostaje w organizmie po śmierci - zacząłem myśleć na głos. - Żywy organizm pobiera węgiel, więc stosunek ilości izotopu o masie 14 do izotopu o masie 12 jest w nim taki sam jak w środowisku. Ten proces zatrzymuje się po śmierci, wiemy, ile czasu zajmuje izotopowi 14 rozpad do izotopu 12, trochę obliczeń i bingo, mamy oszacowanie, jak dawno temu organizm przestał pobierać węgiel 14 -

czyli jak dawno temu umarł.

- Jak na razie w porządku - powiedziała Tesa. - Ale jak to możliwe, żeby wirus to zmieniał?

- Nie wiem - odparłem. - Co robią wirusy? Przeorganizują materiał

genetyczny...

Tesa skinęła głową.

- Uhm, ale co potem? Przejmują sterowanie metabolizmem komórki, oddziałując na cząsteczki chemiczne, to procesy bardzo odległe od wyszar-pywania neutronów z jąder węgla 14. Żeby coś takiego zrobić, wirus musiałby wdrzeć się do subatomowych struktur - co najmniej o dwa rzędy wielkości głębiej. Nikt nigdy o czymś takim nie słyszał.

Kelnerka przyniosła zamówione dania.

Tesa grzebała w swoim jedzeniu, jakby było węglem.

- Do jądra atomu można się wdrzeć - kontynuowała - przez skierowanie na nie cząstek elementarnych o wysokiej energii, co wymaga bardzo zaawansowanego technologicznie sprzętu - dziabnęła widelcem białko jajka sadzonego. - A nawet to nie powoduje błyskawicznego rozpadu izotopu węgla 14, o którym mówiliśmy przed chwilą.

Dopiłem sok pomarańczowy i otarłem usta. Choć niektóre rzeczy były koszmarnie przerażające, próby ich zrozumienia dawały mi najwięcej rado-

ści ze wszystkiego na świecie.

- Czy oprócz wysokoenergetycznych cząstek nie ma czegoś innego, co by było w stanie zagrozić jądru atomowemu, podkopać jego integralność?

- Do czego zmierzasz? - spytała Tesa.

- Nie jestem pewien. Co nam umyka? Z jednej strony być może to sa-mo, co wlaźło do komórek Dave'a Spencera, zabiło go i pochrzaniło jego DNA na tyle, żeby przed śmiercią zaczął się zamieniać w neandertalczyka -

na razie nazwijmy toto wirusem - być może to samo potrafiło przeniknąć do atomów jego ciała i zmienić skład ich jąder, redukując zawartość węgla 14C.

Z drugiej strony trafiamy na ścianę - nic słabszego od bombardowania wy-sokoenergetycznymi cząstkami nie może wdrzeć się do jądra atomowego.

Czy jesteśmy tego naprawdę pewni? Czy w literaturze nie ma czegokolwiek o zmianach zachodzących w jądrach atomowych poza akceleratorami?

- Cóż... - zaczęła Tesa. Popatrzyła na swój talerz, dziabnęła widelcem żółtko, które rozlało się w jezioro. - Oczywiście jest zimna fuzja, ale to temat bardzo kontrowersyjny...

- Mów dalej - zachęciłem.

- Prawdopodobnie wiesz o tym więcej niż ja - powiedziała. - Czy kilka miesięcy temu Debbie nie napisała artykułu na ten temat? - zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć. - Wciąż prowadzi się mnóstwo doświadczeń, na uboczu głównej nauki. Cała sprawa z zimną fuzją zasadza się na twierdzeniu, że jądro atomowe może zostać zmienione przez procesy chemiczne - bez generatora cząstek. Gorąca fuzja odbywa się w niemal całkowitej próżni, bo pomiędzy jądrami dwóch atomów jest zwykle wiele pustej przestrzeni, dzieli je wielka odległość. Za to w przypadku zimnej fuzji sądzi się, że pomiędzy atomami tworzy się jakiś pomost, który umożliwia im znaczne zbliżenie się do siebie, w wyniku czego przekazywanie energii i neutronów jest bardzo ułatwione.

- Pomost?

- Tak - odparła Tesa, z zamkniętymi oczami, jakby czytała artykuł

Debbie na wewnętrznej stronie powiek. Sprawiała wrażenie bardzo wymi-zerowanej - wyglądała na swój wiek. - Pallad zostaje nasycony deuterem lub trytem - ciągnęła - i jedna z teorii głosi, że tworzy się równowagowa para, w której następuje wymiana energii i cząstek.

- O rany - jęknąłem. - Czyli mówimy o jakimś wirusie, który tworzy równoważnik nasyconego palladu dla węgla  $^{14}\text{C}$  tak, że kiedy zbliży się wystarczająco do tego izotopu, powstają te pary równowagowe...

Hmmmm... pallad jest wobec trytu czymś takim jak x wobec węgla 14...

- No, tak, i tryt, i węgiel 14 są radioaktywne...

- Właśnie...

- Ale wciąż jest to potężnie naciągane - powiedziała Tesa, otwierając oczy, zmęczone i przekrwione. Spojrzała na mnie. - A jak wyjaśnisz neandertalskie cechy? Przynajmniej w tym powinnam być ekspertem.

- To najłatwiejsza część - odparłem. - Wirus dobiera się do DNA Da-ve'a; edytuje go; zmieniony DNA robi swoje - wydaje instrukcje jak synte-zować białka - a to powoduje zmianę wyglądu w neandertalczyka... za ma-

ło, żeby uratować mu życie - cholera, najprawdopodobniej to właśnie skosi-

ło mu mózg - ale wystarczająco, żeby przed śmiercią zaczął wyglądać jak neandertalczyk.

- Szybka robota, nawet jak na wirusa - powiedziała Tesa.

- Niekoniecznie - zaprotestowałem. - Jeśli mamy rację, wirus, czy co to tam jest, zainfekował Dave'a

kilka miesięcy temu. W tym samym czasie co mnie. Tyle tylko, że szczęśliwie miał co noc kontakt z jedwabiem, dopó-

ki... - westchnąłem. - Wysłałem mu lek, a on go nie wziął. Dla pewności dałem go też Herby'owi Edelsteinowi. Ty swój wzięłaś, prawda?

- Tak, tak.

- OK - powiedziałem, nie do końca przekonany. - Choroba Dave'a musiała być po prostu końcowym etapem, preludium do metamorfozy, kulmi-nacją miesięcy sekretnej edycji przez wirusa.

- Piekielna edycja - mruknęła Tesa. - Właściwie to prawie sugeruje, że w naszym genomie już mamy część typowo neandertalskiego DNA...

- Czemu nie? Sama mi powiedziałaś, jak bliskie wydają się te genomy

- oznajmiłem.

Zastanowiła się.

- Nie widzę, jak jakkolwiek wirus, czy jak to nazwiemy, mógłby przekształcić nasz DNA w coś, czym ten związek nie był; stworzyć nowy gatunek, nawet w ciągu kilku miesięcy. O wiele bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem - o ile cokolwiek z tego dzieje się naprawdę - byłoby, że w gruncie rzeczy jesteśmy neandertalczykami. Że nasz podstawowy DNA jest neandertalski, tylko w którymś momencie ewolucji pojawił się jakiś inhibitor, który zablokował geny określające ten gatunek. Wyłączył je. A teraz ten wirus z kolei jakoś blokuje inhibitor? Myślę, że to możliwe...

- Coś takiego mogę przyjąć. Nie jestem przywiązany do teorii edycji DNA.

- Jakie to ma w takim razie znaczenie dla wszystkich neandertalczyków odkrytych na świecie - znalezionych w warstwach skamielin w Europie, na Środkowym Wschodzie, w Azji? Niektórzy za życia nie byli neandertalczykami? Ich datowanie węglem radioaktywnym jest zawsze błędne?

Pewna nieznaną ich część - kto wie, może wszyscy - są po prostu bandą nieszczęsnych schmucków 4 i bab, którzy zmarli w ciągu ostatnich 150 lat i okazało się, że byli zainfekowani dziwnym, zmieniającym proporcje izotopów węgla wirusem, którego właśnie wykonywali?

4 schmuck - z amerykańskiego slangu - człowiek głupi lub godny pogardy. Pochodzi z jidysz, w którym „schmuck” znaczy „fiut”, (przyp. tłum.)

- Sądzę, że właściwym słowem byłby schlimazel - nieszczęsna dusza -

a nie schmuck - powiedziałem.

- Co?

- Czy ty albo ktokolwiek inny, kiedykolwiek, widzieliście żywego neandertalczyka?

- Chcesz wyrzucić do śmietnika półtora wieku paleoantropologii?

- Jeśli to konieczne - potwierdziłem.

Tesa prawie bezwiednie pociągnęła łyżeczek herbaty. Popatrzyłem na zegarek.

- Jestem spóźniony piętnaście minut - oznajmiłem. - Ale rozmowa by-

ła bardzo owocna.

Uśmiechnęła się słabo.

- Tesa, co się dzieje? - zachowywała się naprawdę nietypowo dla siebie. - Zazwyczaj takie rzeczy ekscytują cię dużo bardziej niż mnie.

- Praca to nie wszystko, Phil. Chyba martwię się o Debbie.

- A co się z nią dzieje? Potrzebny jej lek?

O ile wiedziałem, nie miała dotychczas żadnego kontaktu z jakimkolwiek neo neandertalczykiem.

- Nie, nie o to chodzi - odparła Tesa. - Rzecz w typie mężczyzn, jakich sobie dobiera. Co znaczy: byłe jakich. A teraz jest związana z pewnym facetem... Nie wiem; po prostu go nie lubię.

- Opowiedz mi o nim - poprosiłem.

- Nie mam nic konkretnego - zaczęła. - Mówi, jakby całe życie mieszkał w Bronxie lub Brooklynie - nigdy nie potrafiłam rozróżnić tych akcentów. Pracuje na Wall Street. Nie wiem - po prostu wywołuje u mnie ciarki.

Uścisnąłem jej rękę.

- Cóż, dopóki nie wygląda jak neandertalczyk... - powiedziałem.

Ale dla nas obojga ten żart nie był już śmieszny.

Właściwie to znałem kogoś wyglądającego jak neandertalczyk - Tesa też.

Pocałowałem ją w policzek na pożegnanie, poprosiłem, żeby odpoczęła trochę i powędrowałem do Biblioteki Babsta spotkać się z nim jeszcze raz.

- Phil D'Amato!

- Pani Delany, jak się pani miewa? - uśmiechnąłem się.

Nie spodziewałem się spotkać jej tutaj, przed bibliotecznym budynkiem koloru czerwonej ziemi.

- Dobrze, i założę się, że nie przyszedł pan do mnie, tylko do Stefana Antonescu.

- Cóż, tak, to prawda. Ale miło też zobaczyć panią.

Przez chwilę miałem wrażenie, że usłyszę, iż go dzisiaj nie ma. Czy mógł zapomnieć, jak się umówiliśmy...

Uśmiechnęła się.

- Stefan jest na niższym poziomie, tam, gdzie zawsze spędza wolne dni - prawdopodobnie czyta „Do krańców ziemi”

- „Do krańców ziemi”?

- O, tak - potwierdziła Delany. - Wspaniała książka o Jedwabnym Szlaku, Trakcie Przyprawowym, wszystkich tych starożytnych autostradach i bocznych drogach.

Skinąłem głową.

- Słyszałam o tym lekarzu sądowym, Spencerze - pochyliła się bliżej. -

To straszne tak stracić kolegę.

- Tak, to prawda...

- Ale sądzę, że pańskie życie zaczyna już wracać do normy i, dzięki Bogu, Stefan okazał się w porządku. Myślę, że prędzej czy później wszystko trafia na właściwe miejsce.

- Tak, zazwyczaj tak się dzieje.

Ale na ile mi się zdawało, że zaczynam rozumieć, o co tu chodzi, powoli dochodziłem do wniosku, iż wszystko się zacznie uładzać raczej później niż wcześniej.

- Cóż, lepiej wyciągnę tę książkę zamówioną przez profesora - pochyliła się jeszcze bliżej. - Ci humaniści są najgorsi - uważają, że nie mam nic lepszego do roboty niż czekać na nich dzień i noc i robić wszystko na wczoraj! Profesorowie z kierunków przyrodniczych lub technicznych rozumieją, że znalezienie książki w magazynie może trochę potrwać. Rozumieją czas.

Skinąłem głową z współczującą miną.

- Za moich czasów bibliotekarze nie przynosili książek do domu!

- Prawda! - pani Delany dotarła do ostatniej poufnej informacji. -

Mówią, że w przyszłym roku zostanie dziekanem, a jak sądzę, nie zaszkodzi mieć wysoko postawionych przyjaciół. Piękne słońce dzisiaj...

Naprawdę było cudne. Wszedłem razem z nim do przeszklonego westybulu biblioteki, gdzie jego promienie spływały z górnych paneli jak rtęciowe pasma jedwabiu. Jedwab... wszędzie, gdzie się



obejrzałem, widziałem teraz tę materię - kiedy nie miałem przed oczami wyników działania wirusa zmieniającego zwłoki w prehistorycznych neandertalczyków... Okazałem strażnikowi tymczasową przepustkę, którą Ruth Delany była tak dobra przesłać mi kilka miesięcy temu i zszedłem po schodach na spotkanie ze Stefanem Antonescu.

Znalazłem go przy jednym ze stolików w czytelnicy, pochylonego nad

„Do krańców ziemi”, tak jak przewidziała Ruth.

- Stefan? Przepraszam za spóźnienie.

Dzwoniłem do niego dzień wcześniej, powiedziałem trochę o tym, co wiem - albo wydawało mi się, że wiem - na temat jedwabnego leku i umó-

wiłem się na to spotkanie.

Podniósł na mnie wzrok, bystre, szare oczy w grubokościstej twarzy.

- Doktorze D'Amato, nie musi się pan usprawiedliwiać - pogładził

książkę. - Dobrze wykorzystałem ten czas.

Ponownie zadziwiła mnie łagodność, przebijająca nie tylko z przypominającego śpiew sposobu wysławiania się, ale również z całego zachowania.

Wciąż nie wiedziałem, czy podkreślał ją kontrast z twarzą i całym ciałem, czy też tak samo rzucałby się w oczy przy każdej innej budowie ciała.

- Zastanawiałem się, czy zdołam pana namówić na rozmowę przy herbacie - powiedziałem. - A skoro dziś właściwie pan nie pracuje...

- Tak - potwierdził Stefan. - Bibliotekarze są dla mnie bardzo mili -

zawsze jest miejsce dla mnie, pracuję czy nie.

Skinąłem głową.

- Ruth Delany sprawia wrażenie bardzo życzliwej osoby.

- Jest najlepsza - oznajmił Stefan.

- No to czy możemy się przenieść do tej nowej herbaciarni na Waver-ly? - spytałem.

- Nie jest tak dobra, jak niektóre inne, ale w zeszłym tygodniu dosta-

łem tam bardzo dobrą herbatę Monk Blend.

- Dobrze; chodźmy więc - zaproponowałem. - Wolałbym, żebyśmy pracowali razem, Stefanie, niż

przeciwno sobie.

- Zaczynam odczuwać pewne zainteresowanie tą sprawą - odparł.

Przeszliśmy wschodnią stroną Washington Square Park. Postanowiłem wykorzystać dzisiejszy brak wrogości u Stefana i wyłożyć niektóre swoje karty na stół. Powiedziałem mu o naszej wirusowej teorii - jak coś, cokolwiek to było, skróciło telomery i zabiło Dave'a Spencera, zmieniło też jego DNA, przekształcając go w neandertalczyka, którego materiał genetyczny liczył teraz trzydzieści tysięcy lat.

- Ach, rozumiem - rzekł Stefan. - Czyli znów staję się anomalią, ponieważ wyglądam jak neandertalczyk, a jednak wciąż żyję.

- Tak - potwierdziłem. - Ale nie zamierzam pana obrazić. Jestem po prostu ciekaw, kim pan naprawdę jest - nie chcę pana zranić.

- Dziękuję. No to co pan by chciał o mnie wiedzieć?

- Ile ma pan lat?

- Cóż, wie już pan, że nie mam trzydziestu tysięcy lat - powiedział.

- Skąd pan to wie?

- Zakładam, że z ostatniej filiżanki herbaty, którą mnie pan poczęstował, uzyskał pan jedną czy dwie komórki moich warg.

Uśmiechnąłem się.

- Tak, i okazały się współczesne. Lecz co można zaindukować, można też i cofnąć. Jeśli zimnofuzyjny wirus potrafi włamywać się do jąder atomowych i zmniejszać zawartość izotopów radioaktywnych, tak że datowanie próbek określa je jako, bardzo starożytne, podobny wirus mógłby ją zwiększać, dzięki czemu wydawałyby się dużo młodsze. Jeśli jakiś nieznaną czynnik likwiduje telomery, zabijając ludzi w kwiecie wieku, nie trzeba długo myśleć, żeby zacząć szukać czegoś chroniącego telomery i dającego długowieczność.

Stefan wskazał pustą ławkę.

- Możemy trochę pobyć na świeżym powietrzu? Taki piękny mamy dzień.

Usiadłem ostrożnie - nawyk niewątpliwie nabyty z powodu bardzo wielu lat wyciągania sobie z tyłka drzazg z rozpadających się, niepowtarzalnych nowojorskich ławek parkowych. Ta jednak wydawała się nowa i gładka.

- Zapewniam pana, że nie jestem nieśmiertelny - oświadczył Stefan. -

W każdym razie nieśmiertelność to coś więcej niż pańskie telomery.

- Jest pan niesamowicie oczytany - powiedziałem, pewien, że już mu to kiedyś mówiłem.

- Dziękuję.

- I, oczywiście, gdyby miał pan trzydzieści tysięcy lat, zyskałby dość czasu na dogłębne studia. Poza tym wciąż mówiłby mi pan prawdę - formalną - o pańskiej śmiertelności.

Stefan roześmiał się - brzmiało to jak delikatny deszcz obijający się o nowe okno.

- Myli się pan - oznajmił. - Mniej więcej stukrotnie.

Zdałem sobie sprawę z dźwięków fletu - chłopiec o ziemistej cerze i głęboko zapadniętych oczach usadowił się na sąsiedniej ławce, a właściwie na ziemi przed nią, opierając się plecami o krawędź siedzenia. A może był

tam cały czas - wcale nie wyglądał dziwniej niż wielu innych gości parku. Lecz zniemacka okazało się, że trudno mi oderwać od niego wzrok i przestać go słuchać.

- Niech się pan tak nie dziwi - rzekł Stefan. - Sugerował pan dla mnie wiek trzydziestu tysięcy lat, więc mizerne trzysta nie powinno być aż tak zaskakujące.

- To nadal zdumiewające wyznanie - wykrztusiłem. - Co więcej może mi pan powiedzieć?

- Część już pan zgadł - przyznał Stefan. - Urodziłem się na madziar-skim terytorium - teraz nazywamy ten kraj Węgrami - około trzystu lat temu. Mój neandertalski wygląd jest naturalny, na pewno zdarzały się krzy-

żówki pomiędzy tym podgatunkiem a kromaniończykami, niezależnie od współczesnych teorii. Tak naprawdę sporo ludzi dookoła ma niektóre z moich cech, ja po prostu jestem bardziej skrajnym przypadkiem.

- Proszę dalej - poprosiłem.

- Kiedy byłem chłopcem, przez moje miasto przejeżdżał alchemik z Dalekiego Wschodu. Oni zawsze bardziej interesowali się seksualnością, nieśmiertelnością - tan - niż my, na Zachodzie. Pewnej nocy w gospodzie wybuchł pożar. Znalazłem się tam we właściwym czasie - wbiegłem i wy-ciągnąłem poparzonego człowieka. Nie mam pojęcia, co mnie do tego podkusiło. Ale zrobiłem to, on wyzdrowiał i okazał swą wdzięczność. Powiedział mi o jedwabiu...

- Daje nieśmiertelność - długowieczność?

- Nie - zaprzeczył Stefan. - To nie takie proste. Ma taki wpływ - długowieczność to dobre słowo - na ludzi, którzy już wyglądają tak jak ja.

Telomery prawdziwych neandertalczyków reagują na DNA Bombyx mori nieco inaczej niż u Homo sapiens sapiens.

- Ale jedwab uratował mi życie.

- Tak, uratował panu życie - potwierdził Stefan. - Przeciwstawił się wirusowi, jeśli tak chce pan to nazywać, który zabił pańskiego przyjaciela.

Ale nie stał się pan nieśmiertelny - nawet nie pożyje pan dłużej, niż bez tych wpływów. U pana jedwabny lek naprawił uszkodzenia telomerów, które zaczął wprowadzać wirus i to wszystko. Proszę pomyśleć - w naszym świecie jedwab jest niemal równie powszechny jak kurz. Gdyby kontakt z nim wydłużał ludzkie życie, wszyscy by o tym wiedzieli od bardzo, bardzo dawna.

- Zgoda - przyznałem. - Zaczyna to mieć trochę sensu. Ale skąd ten atak nożownika na mnie? Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności.

- Może jednak był to zbieg okoliczności - rzekł Stefan. - Jeśli nie, i ktoś życzy sobie pańskiej śmierci ze względu na pańskie zaangażowanie w tę sprawę, bardzo prawdopodobne, że znów nawiąże z panem kontakt.

TRZYNAŚCIE

- Masz faks, kochanie.

- Będę za sekundkę. Od kogo?

- Poczekaj - poprosiła Jenna. - Chyba z Anglii - kod kraju 44 - tak, to od Michaela.

- Dobrze. Mówił, że coś podeśle. Miło wiedzieć, że nie tylko my pra-cujemy w niedzielę.

Jenna odcięła nożyczkami lśniący papier termiczny.

- Wiem, wiem. Potrzebny nam nowy - powiedziałem. - Mallory mówił

mi, że jego ludzie opracowywali jakąś wzmiankę w tochariańskim rękopi-sie, być może o neandertalskim przekleństwie. Czy to jest to?

Jenna skinęła głową.

- Uhm, to przekład części tochariańskiego rękopisu, z dołączoną dla porównania kopią oryginału, który chyba był napisany na jakimś papierze.

- Chińskim - wyjaśniłem. - Niektóre listy pisano wykorzystując dwa języki, zawierały słowa w sanskrycie, więc przekłady były dostępne od lat.

Rękopisy pochodzą z siódmego, ósmego wieku naszej ery - dokumenty handlowe, zezwolenia dla karawan, mnóstwo tekstów religijnych, kilka medycznych i magicznych. Mallory powiedział mi, że Brytyjczycy opracowywali nowe tłumaczenia i ktoś zauważył możliwy związek z naszą sprawą...

- Hmmm... - Jenna pochyliła się nad przekładem. - To wygląda jak fragment tekstu medycznego, a

może magicznego. Jak sądzę w tamtych czasach niewiele się różniły.

Wskazała na stronę.

Pojąłem, że jesteśmy brutalami, widniało na niej, a śpiewacy to aniołowie...

- Czy Tocharianie wierzyli w anioły? - zapytała Jenna. - W tłumaczeniach trzeba być bardzo ostrożnym, żeby nie wprowadzać własnych pojęć.

- Cóż, na pewno mogli wierzyć w anioły - odparłem. - Potrzebny był

im do tego jakikolwiek kontakt z żydami lub chrześcijanami, a na Jedwabnym Szlaku musiało się ich kręcić mnóstwo.

- OK - zgodziła się Jenna i ponownie przyjrzelśmy się tłumaczeniu.

Nasi przodkowie musieli zazdrościć śpiewakom, bo zabili niemal wszystkich. Nie dlatego, że byli brzydcy, ale dlatego, że ich umysły były piękne i wiedziały więcej niż nasze. Ich inteligencja musiała przerażać naszych przodków o wiele bardziej niż ich twarze. Nasi przodkowie powzięli środki ostrożności, ale dosięgła nas zemsta krwi śpiewaków - choroba, która dotknęła nas i dzieci niczym przekleństwo.

Mallory podkreślił większość ostatniej frazy na końcu strony: choroba, która dotknęła nas i dzieci niczym przekleństwo.

- Coś jeszcze? - spytałem.

- Nie, nie sądzę - odparła Jenna. - Mallory twierdzi, że w manuskrypcie słowo lek pojawia się kilka stron po słowie przekleństwo, ale reszta tekstu uległa uszkodzeniu.

- Nie da się nie lubić tego brytyjskiego użycia słowa uszkodzony -

powiedziałem. - Przyjrzyjmy się oryginałowi.

W oglądaniu pełnego wdzianka tochariańskiego pisma była jakaś magia, która pojawiła się dzięki fotokopiarce w Londynie i podróży faksem przez Atlantyk. Lecz koniec manuskryptu był najwyraźniej przypalony albo osmalony - czy był to wynik podpalenia, czy naturalnego utlenienia, nikt nie byłby w stanie powiedzieć. A słowo, które najwyraźniej oznaczało lek znajdowało się w zupełnie zamazanej części...

- Czyli możemy zakładać, że ci „śpiewacy” - ci okropni brutale - są przynajmniej naszymi neandertalczykami? - spytałem.

Jenna podniosła do góry dłonie w geście niewiedzy.

- Uważam, że czas dopaść Mallory'ego oraz Luma z Kanady - telefonicznie - uznałem.

Następnego dnia zorganizowałem trójstronną konferencję telefoniczną -

Londyn, Toronto, Nowy Jork. Kosztowna jak diabli, jak powiedziałby Mallory. Ale jak w starym dowcipie powiedziałby włóczęga wślizgujący się do gabinetu drogiego lekarza: „Hej, doktoru, kiedy w grę wchodzi moje zdrowie, pieniądze nie mają znaczenia.”

Ile było warte zdrowie całego gatunku?

W każdym razie za miesiąc miasto ureguluje rachunek. Z powodu przekształcenia zwłok Dave'a, policja po cichu wznowiła śledztwo, przydziela-jąc je mnie.

Mówił H.-T. Lum. Właśnie miał do nas zadzwonić albo przefaksować najnowsze informacje...

- Ludzie słyszeli, co się stało z Dave'em Spencerem, wieści szybko się tu rozchodzą - powiedział. - Według mnie jacyś turyści, może ktoś pracują-

cy w muzeum w Stanach, przekupił kogoś tutaj i gwizdnął ciało. Za zwłoki neandertalczyka w dobrym stanie można zgarnąć fortunę!

- Twierdzisz więc, że Gerry Moses też zmienił się w małpoluda? - zapytał Mallory.

- Dlaczego nie? - odparł Lum. - Nie wiem na pewno, że tak było, ale Dave Spencer się przemienił.

- Ale nie masz zwłok Gerry'ego - wtrąciłem.

- Nie. Jak już mówiłem, zaginęły - powiedział Lum.

- Jezu Chryste! - jęknął Mallory. - A ty wiedziałeś o tym od jak dawna? Od dwóch dni? I nie pomyślałeś, żeby podnieść cholerną słuchawkę i powiedzieć nam o tym? Dobrze, że Phil pomyślał o zorganizowaniu tej rozmowy.

- Nie masz się co tak złościć! - zripostował wkurzony Lum. - Przecież był weekend, niektórzy z nas nie tyrają siedem dni w tygodniu. A ja mam zastrzeżenia do telefonu. Nigdy nie wiadomo, kto podsłuchuje!

- Ale teraz gadasz przez telefon - prychnął Mallory.

- Tak, i może dlatego nie mówię wszystkiego, co wiem!

- Dobra - wtrąciłem się. - Uspokójmy się wszyscy. Zajmijmy się obecnym stanem wszystkich zwłok, żebyśmy nadawali na tej samej fali -

wciąż wolałem falą niż stroną - o wiele bardziej dynamiczna metafora. - H.-

T., zakładam, że twój oryginalny neandertalczyk wciąż jest dostępny?

- Tak - potwierdził Lum.

- A człowiek, który, jak myślałeś, może nim być...

- Sidney Eigen.

- Tak, Sidney Eigen. Wciąż się nie znalazł?

- Tak - oznajmił Lum.

- Tu jest tak samo - wtrącił się Mallory. - Wciąż mamy naszą mumię i nie ma śladu po Maxie Sorosie. Twój Stefan Antonescu jest jedynym z tej trójki, który ożył - przepraszam, pojawił się. Nigdy nie byliśmy pewni, że to on jest tym trupem. Wciąż nie mamy pewności co do Eigena czy Sorosa.

Ale twój Stefan jest wciąż dziwny, Phil. Albo w Nowym Jorku masz do czynienia z oszustwem, jeśli kryje się za tym jakiś większy plan, albo czort wie co... ale Antonescu w jakiś sposób pozostaje kluczową postacią. Był

bardziej rozmowny, Phil?

- Nie, nie za bardzo.

Cóż, w końcu łągałem przez telefon. Wciąż nie do końca ufałem Lumowi i musiałem kryć Stefana. Najwyraźniej był głównym graczem.

- Wiecie, wydaje mi się, że możemy mieć tu do czynienia z dwiema podstawowymi intrygami - ciągnąłem. - Jedną stanowi wirus, czy co to tam jest, który nie tylko morduje niektórych ludzi, ale dodatkowo zmienia ich w neandertalczyków oraz powoduje błędne datowanie na trzydzieści tysięcy lat. Jedyne, co o tym wiemy z jaką taką pewnością, to że jedwab jest rodzajem leku wobec tego, antidotum lub środkiem zapobiegawczym.

- Czy właśnie coś takiego dali ci twoi przyjaciele Amisze? - zapytał

Mallory.

- Tak.

- Oboje z żoną też śpimy na jedwabiu, tak dla pewności - wyznał

Mallory. - Wzięliśmy również lekarstwo, które nam przysłałeś.

- A drugie zjawisko? - zapytał Lum. - Ten drugi czynnik, o którym wspominałeś?

- Cóż, nie wiem, czy są ze sobą powiązane - odparłem. - Ale niewątpliwie grasuje na wolności jakiś nożownik. Gerry i Dave najprawdopodobniej zmarli zakażeni wirusem; ja się od niego pochorowałem, ale w porę dostałem lekarstwo Amiszy. Lecz to nie ma żadnego związku z facetem, który na lotnisku Heathrow wpakował mi nóż w brzuch - bez cła.

- Wciąż się tego czepiasz, Phil? To nic nadzwyczajnego - w końcu w Londynie jest trochę agresywnych przestępców pętających się po ulicach i, na pewno, po lotniskach.

- To prawda, ale właśnie skontaktowałem się z przyjaciółmi wśród Amiszy. Wysłałem im szkic wyglądu faceta, który dźgnął mnie na Heathrow - nie mogłem zrobić mniej, skoro uratowali mi życie. Chciałem, żeby się przygotowali. I wiecie co? Wygląda na to, że ten sam agresywny przestępca wskoczył w samolot i dotarł na naszą stronę stawu. Dziś rano próbował zadźgać przy porannej kawie jednego z moich przyjaciół.

- Jesteś z powrotem w Pensylwanii, Phil? - zapytał Mallory.

- Właściwie to nie, przyjaciel zadzwonił do mnie.

- Czyli nic mu się nie stało? - upewnił się Lum. - Tak jak ty zostałeś tylko ranny, nie zginął?

- Tak, nic mu nie jest - powiedziałem. - Ale niezależnie od wszystkiego, nasz facet z Heathrow usiłował go zabić. Na szczęście mój przyjaciel miał na sobie specjalną koszulę - nazywają to tkaniną bezpieczeństwa -

która owija się wokół ostrza, stępia je, spowalnia jego ruch, więc w końcu cios nie jest gorszy niż dźgnięcie kciukiem w brzuch.

- Wracamy więc do tych twoich wyjątkowych Amiszy - rzekł Mallory.

- Nożoodporne kamizelki, telefony...

- Cóż, powszechne przekonanie na temat Amiszy jest pełne błędów -

odparłem. - Niektórzy z nich nie mają nic przeciwko telefonom, dopóki nie znajdują się w ich domach.

Mallory zaśmiał się sucho.

- Do czego dochodzi ten cholerny świat? Amisze używają telefonów; Centrum Medycyny Sądowej w Toronto odmawia ich użycia...

- Nie całe Centrum - zaprotestował Lum. - Po prostu uznałem, że lepiej będzie ich nie używać...

- Każdemu co jego - wtrąciłem. - Tak czy owak, najważniejsze, że moi przyjaciele w hrabstwie Lancaster mają teraz portret tego bydlaka, wiedzą, jak wygląda, więc poznają go, jeśli kiedykolwiek spróbuje dostać się na ich teren.

- Przyjmuję więc, że stanowczo odrzuciłeś możliwość, iż twoi przyjaciele z Pensylwanii kłamią - zauważył Mallory.

- Dlaczego jesteś tak pewien, że jeden z nich nie mówi całej prawdy? -



zapytała Jenna przy pierwszym od dłuższego czasu, wspólnym obiedzie sushi.

Dziś wziąłem tylko serióle 5, trzy zwinięte filety z ryżem, doprawionym octem i szalotkami. Tak, wiem, są ekologiczne powody, żeby nie jeść tej ryby - łowiąc ją, rybacy zabijają inne niewinne stworzenia zaplątane w sieci. A może już teraz nie ma takich obiekcji. Prawdę mówiąc, tej nocy miałem to gdzieś. Uznałem, że już dość robię dla ekologii, poszukując tego neandertalskiego świństwa, które najwyraźniej kąsało nas wszystkich w tyłki.

5 *Seriola dorsalis*, angielska nazwa yellowtail - smaczna ryba, kuzynka tuńczyka (przyp. tłum.)

Nalałem zielonej herbaty sobie i Jennie, która tego wieczoru zaryzykowała - zwracając jednocześnie większą uwagę na ekologię. Wzięła tylko dużą miseczkę chirashi.

- OK., przyjrzyjmy się im obu - zaproponowałem. - Zaczniemy od H.-

T. Luma. Po pierwsze wydawał się osłabiony, przestraszony i prawie nie-kompetentny. Natychmiast budzi to podejrzenia: słabi, niekompetentni ludzie rzadko docierają do jego stanowiska.

- No cóż, nie otrzymał tej pracy w zwykły sposób - zauważyła Jenna. -

Może był i świetnym zastępcą, ale kiepsko sprawdza się na samym szczycie.

- Nieee, nie wierzę w to - zaprzeczyłem. - To znaczy, oczywiście jest to możliwe. Ale zazwyczaj zastępcy docierają tak wysoko, bo są dobrzy. Popatrz na Herby'ego Edelsteina - już niektóre szychy mamroczą, że jest lepszy od Dave'a. Spójrz na Teodora Roosevelta, na Anwara Sadata.

- OK - przyznała Jenna. - Zgadzam się z twoim stwierdzeniem, że Lum nie najlepiej się sprawuje, ale jest bardziej kompetentny, niż to okazuje. Zgoda, jest dziwakiem. Ale może to jego sposób na radzenie sobie z kryzysową sytuacją - symulować przestach, nawet niekompetencję, żeby utrzymać wszystkich w niepewności i zyskać trochę czasu oraz swobody.

Nie każdy pracuje w taki sam sposób jak ty - rzucając się głową naprzód.

Uśmiechnęła się.

- Przyjmuję to za komplement, dzięki.

- A co mamy na niego, oprócz jego podejścia do rzeczy?

Powąchałem zieloną herbatę - potrzebowałem jak najwięcej jej aromatu, żeby przeczyścić myśli.

- Właściwie nic nie mogliśmy z niego wydobyć - powiedziałem. - A kiedy w końcu się nam udawało, zawsze odpowiadał jakoś dziwnie.

Mam gdzieś jego stosunek do telefonów. Kto normalny po stwierdzeniu zniknięcia ciała Gerry'ego Mosesa czekałby dwa dni, żeby nam o tym powiedzieć? W takiej sprawie jak ta, to cała wieczność. Mallory był wściekły i wcale go za to nie winię.

- Ale Mallory był zawsze z tobą całkowicie szczery - na ile możesz to wiedzieć - niemal od dnia, w którym się to wszystko zaczęło - zauważyła Jenna. - Ale i w niego wątpisz. Przesłał nam faks z przekładem tochariań-

skiego tekstu.

- A skąd pewność, że tłumaczenie jest poprawne? - zapytałem. - Skąd pewność, że nie przygotował go tak, żeby móc nam powiedzieć to, co jemu pasuje?

- Żaden problem - zbyła pytanie Jenna. - Mam znajomą na Wydziale Lingwistyki w Columbia - Bonnie Mitcham - która może zrobić drugi przekład. Mallory przesłał nam przecież oryginał.

- A skąd wiadomo, że to oryginał?

- Cóż, możesz kwestionować wszystko i doprowadzić się do obłądu -

skomentowała Jenna. - Wiem, że lubisz to robić, ale dokąd cię to zaprowadzi? To gra - jak solipsyzm. Już o tym kiedyś rozmawialiśmy. Jeśli chcę wierzyć, że otaczający mnie świat jest tylko snem, jeśli chcę wątpić w każ-

dy bodziec, każdy dowód potwierdzający realność, cóż, wtedy nikt logiką nie zmieni moich przekonań.

- Wierzę, że ty jesteś realna, kochanie.

Ruchem ust przesłała mi pocałunek.

- W każdym razie możemy zdobyć kopię tego tochariańskiego tekstu od kogoś innego niż Mallory... Wiesz, komuś, kto naprawdę za tym stoi, zależy dokładnie na tym, co robicie - żebyście kręcili się bezradnie, niedowierzając jeden drugiemu, a on będzie sobie siedział i przyglądał się, jak rozdzieracie się na sztuki.

- Uhm, o ile wirus nie dopadnie nas wcześniej.

- Robisz w tym kierunku jakieś postępy...

- Postępy? Nie potrafię nawet wystarczająco solidnie udowodnić, że jest to wirus. Ludzie Herby'ego przeprowadzili wszelkie znane ludzkości testy na biednym Dave'em. Nie ma nic - oprócz faktu, że wygląda jak neandertalczyk i jakoś w parę dni postarzał się o trzydzieści tysięcy lat.

- Czyli jest to coś nieznanego ludzkości - a przynajmniej istnienie tego czegoś było nieznanie, może nie skutki. Sam coś takiego mówiłeś o wirusach w dziewiętnastym wieku, a nawet o bakteriach przed Leeuwenhoekiem.

- I właśnie w tym tkwi problem - powiedziałem. - Powiedzmy, że w 1400 roku, w jakiś sposób podejrzewałbym, iż to bakterie - a nie szczury, brud, złe wapory - były przyczyną wielkiej zarazy? Nie mając mikroskopu, żeby pokazać Pasteurella pestis, jak mógłbym tego dowieść? Miałbym jako

dowody trupy trzech czwartych populacji, a w niektórych miejscach - o wiele więcej, Bóg wie o ile rządów wielkości, niż naszych świeżutkich neandertalczyków - ale żadnych narzędzi do zbadania tego, co podejrzewał-

bym jako przyczynę. Nawet po Leeuwenhoeku, wykreowanie Pasteura zajęło ludzkości jeszcze sto pięćdziesiąt lat.

- Lecz jeśli twoje hipotezy na temat bakterii i ich natury byłyby do pewnego stopnia prawidłowe, to prawdopodobnie mógłbyś badać ich wpływ, nawet nigdy ich nie oglądając - argumentowała Jenna. - Mógłbyś wysnuć hipotezę, że będąc żywym organizmem, giną we wrzącej wodzie albo w ogniu, potraktować miejsca dotknięte zarazą w ten sposób i otrzymać wyniki...

Dopełniłem filiżankę Jenny i zdałem sobie sprawę, że czajniczek jest niemal pusty. Rozejrzałem się za kelnerem - zazwyczaj ludzie tej profesji mają niesamowitą zdolność przewidywania, kiedy przeszkodzić w trudnej rozmowie tak, by wywołać gwałtowną zmianę tematu, za to nigdy, kiedy czajniczek albo dzbanek sangra wymagają uzupełnienia - ale w zasięgu wzroku nie było nikogo przydatnego.

W połowie sali zauważyłem dwoje ludzi, którzy najwyraźniej zerkali w moją stronę, pokazywali coś w menu na ich stoliku i szeptali między sobą, przesadnie gestykulując.

Jenna odwróciła się, żeby sprawdzić na co patrzę.

- Tak - zgodziłem się. - Z początku myślałem, że znaleźli mnie w swoim menu.

Chyba mówiłem trochę za głośno.

W końcu pojawił się nasz kelner. Jenna zaczęła mówić mu, że chcemy jeszcze herbaty...

- Idę do toalety - oznajmiłem.

Oczywiście przeszedłem obok stolika mojej publiczności. Kiedy mija-

łem ich powoli, mężczyzna wstał i wyciągnął rękę.

- Doktor D'Amato? Przepraszam, że gapiliśmy się na pana.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Hej, jestem zaszczycony - powiedziałem. - Zakładając, że to wpa-trywanie się wynikało z podziwu.

Uśmiechnąłem się i ponowiłem uścisk dłoni. Kobieta zaczerwieniła się i zakłopotana opuściła wzrok na gazetę.

- Noo... tak - potwierdził mężczyzna. - Widział pan jutrzejszego Timesa? Jest tam bardzo ładne pana zdjęcie, ale cóż...

Podał mi gazetę - rzeczywiście wydanie z następnego dnia, dostępne w mieście w poprzedzający wieczór - otwarte na części lokalnej. Uśmiecha-

łem się ze zdjęcia, w mojej ulubionej kamizelce i najlepszym krawacie.

Kamizelkę miałem na sobie w tej chwili. A artykuł...

Tytuł brzmiał: „Lekarze sądowi Nowego Jorku w pogoni za neandertalskim mirażem.”

Podtytuły głosiły: „Eksperci szydzą z trzech miesięcy pracy nazywając ją 'pseudonauką' - biuro komisarza rozpoczyna śledztwo.” Potem było jeszcze gorzej.

Tymczasem Jenna dołączyła do nas.

- Niewiarygodne - powiedziała. - Dlaczego Debbie napisała coś takiego?

Następnego dnia, o dziewiątej rano w biurze Jacka Dugana wciąż czu-

łem w brzuchu pływającą seriolę, gdzieś pod tostami i herbatą, które dorzuciłem tam jakąś godzinę wcześniej.

- Nie przejmuj się tak bardzo - powiedział Jack. - Uwierz mi, komisarz jest o wiele bardziej wkurzony na Timesa niż na ciebie - nie cierpi dowiadywać się od nich, że właśnie rozpoczyna dochodzenie.

Jakoś jednak wciąż się przejmowałem - choć nie miało to najmniejszego znaczenia. Zamierzałem kontynuować pracę niezależnie od tego, co miał mi do powiedzenia Departament.

- Powiedziałem mu właśnie dziś rano - wtrącił się Herby Edelstein, który także znajdował się w biurze. Ten „on” to był komisarz. - Widziałem ciało Dave'a, każdy by uznał, że dzieje się coś dziwnego. Oznajmiłem mu, że w stu procentach popieram twoje starania by dotrzeć do sedna sprawy.

Tylko ta sprawa wirusa - rozumiesz, trzeba trzymać to pod kloszem, dopóki nie będziemy całkowicie pewni. Lepiej, żeby ludzie nie spanikowali.

- Właśnie - potwierdził Dugan. - Tak jak w tym kretyńskim filmie z Dustinem Hoffmanem i małpą.

- Epidemia - powiedziałem. - Taki był tytuł tego filmu. Tyle tylko, że w tym filmie panika była całkiem uzasadniona... Posłuchajcie, nie mam pojęcia, jak Debbie zdobyła te informacje.

Tyle tylko, że miałem o tym całkiem niezłe pojęcie. Usiłowałem dodzwonić się do Debbie Tucker i jej matki wczoraj wieczorem i dziś rano, ale nie udało mi się. Oczywistym źródłem informacji dla Debbie była jej matka, ale nie chciałem skupiać uwagi na Tesie, dopóki nie zorientuję się lepiej, co się dzieje.

- Cóż, zajęliśmy się tym - oznajmił Dugan. - My tu rozmawiamy, a pa-ru detektywów udało się do mieszkania Debbie. Rzecz w tym, że jej informacje na temat twoich teorii i podjętych kroków są

prawdziwe. Czyli uzyskała je od kogoś zorientowanego.

- Tak - potwierdziłem - w przeciwieństwie do tych idiotów „ekspertów” z Uniwersytetu Nowojorskiego, z którymi rozmawiała o mojej pracy z Amiszami. „Oni odrzucają technologię - uważają ją za źródło szkód rujnujących ludzkość - i nigdy nie będą się mieszać do takich spisków, jakie przypisuje im wyobraźnia doktora D'Amato”.

Dugan uśmiechnął się.

- Cóż, to profesorowie z Wydziału Łączności. Czegoś się spodziewał?

Z trudem oddałem uśmiech.

- A co z informacją o śledztwie Departamentu dotyczącym mojego po-stępowania - wiesz, tego, o którym komisarz dowiedział się z gazety i wściekł się z tego powodu? Czy jej informacja na ten temat też była prawdziwa?

Herby odchrząknął.

- Phil, jestem pewien, że Dave wyjaśnił ci, hm, opory, jakie część ludzi w One Police Plaza ma wobec twoich teorii. Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że wśród dowództwa nie ma nikogo chcącego cię udupić...

Zadzwonił telefon. Dugan odebrał.

- Tak... Jesus... Tak, dobrze. Jesus, właśnie jest tutaj... W porządku, Jesus. Przyślę go.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Herby'ego.

- Jesteś potrzebny w mieszkaniu Debbie Tucker.

- Co, jest tam jakieś ciało? - zapytał Herby.

- Tak, dwa - przypuszczalnie Debbie i jakaś starsza kobieta. Jedna z nich solidnie pocięta. Nie znamy jeszcze przyczyny śmierci drugiej z nich...

Byłem już w połowie drogi do drzwi...

- Ty też możesz jechać - powiedział gdzieś za mną Dugan do Herby'ego. - Właściwie to sądzę, że sam też się wybiorę i będziemy robić za trzyosobowy tłum...

Dołączyli do mnie przy windzie. Dugan obciągnął mundur, przeglądając się w jej gładkich drzwiach.

- Dopadniemy tego sukinsyna, który to zrobił, nie bój się, Phil - powiedział. - Twierdzą, że w mieszkaniu aż roi się od odcisków palców.

CZTERNAŚCIE

- Na żadnej nie ma śladów gwałtu - poinformowała nas Patricia Chu, główna asystentka Herby'ego, poprzednio Dave'a.

Debbie leżała na łóżku z rozrzuconymi rękami i nogami, mając na sobie tylko czerwoną apaszkę mocno zaciśniętą na szyi. To musiał być jedwab -

ktoś chciał przekazać wiadomość. Bombyx mori, memento mori...

- Jak widzicie, żadnych śladów z przodu ciała ani nic, co po pobież-

nym obejrzeniu mogłabym znaleźć z tyłu - powiedziała Patricia. - W tej chwili jako najbardziej prawdopodobną przyczynę śmierci mogę podać uduszenie. Więcej dowiemy się po sekcji.

- Przyjrzyjcie się też dobrze temu.

Wskazałem kilka czerwonych włókien we włosach tuż ponad łonem Debbie. Czerwony jedwab na rudych włosach - zgodność barw w przypadku śmierci związanej z jakimś neandertalskim zjawiskiem.

- Tak, zauważyłam je - odparła Patricia.

- Jak długo, według ciebie, nie żyje? - zapytałem.

- Powiedziałabym, że osiem do dziesięciu godzin. To się wydarzyło w samym środku nocy - oznajmiła Patricia.

Herby zajmował się ciałem drugiej kobiety, zadźganej w przedpokoju i przeciągniętej do łazienki.

Tesa była chyba kompletnie ubrana, zaburzały to tylko rozdarcia jej bluzki w miejscach zadanych nożem ciosów, czterech czy pięciu. Tu nie widziałem ani śladu jedwabiu.

- Spotkałem ją tylko raz, przy ekshumacji Dave'a - odezwał się Herby.

- Wydawała się sensowna.

- Była taka - powiedziałem.

- Ktoś musiał być na nią nieźle wkurzony - skomentował Herby.

- Musiała natknąć się na morderstwo - dodał Dugan, który dołączył do nas. - Albo przyjść tuż potem.

- Tej uduszonej? - upewnił się Herby.

- Na to wygląda - potwierdził Dugan.

- Cóż, więcej będziemy wiedzieć po sekcji - rzekł Herby.

- A wracając do czasu, co robiłeś w środku ostatniej nocy? - zapytał

mnie Dugan.

- Spałem jak kłoda obok Jenny - odparłem.

- A ponieważ najprawdopodobniej ona też spała kamiennym snem, bardzo kiepskie to alibi - uznał Dugan.

- A od kiedy, u diabła, potrzebne mi alibi...

Czułem się w swoim gabinecie jak w lochu.

Kiedy miałem wrażenie, że nikt nie patrzy, udało mi się zgarnąć kilka teczek, które ześliznęły się pomiędzy biurko Debbie, a stół z drukarką.

Nie wiedziałem, jaką część pracy zwykła wykonywać w sieci, a ile posługując się tradycyjnymi notatkami i wycinkami prasowymi, ale na pewno nie zaszkodziło sprawdzić, co też można u niej znaleźć.

Przy pobieżnym przejrzaniu nie zauważyłem nic szczególnie interesują-

cego - prawdę mówiąc, w ogóle nic dotyczącego jej artykułu o mnie w dzisiejszym Timesie. Założyłem, że jej śmierć była związana z tym artyku-

łem, ale teraz zacząłem podejrzewać, że to nie ona go napisała. No to dlaczego została zamordowana? Żeby ukryć fakt, że ktoś jakoś podrzucił ten tekst pod jej nazwiskiem?

Przetarłem oczy i ponownie przejrzałem szare tecki. Publikowała co najmniej jeden artykuł na dwa tygodnie, znalazłem nabazgrane notatki dotyczące kilku ostatnich. Nieco to uwiarygodniło moje przekonanie, że to nie ona napisała artykuł. Albo może morderca ukradł notatki.

W najnowszej teczce znajdowały się materiały dotyczące jej artykułu z zeszłego tygodnia - o ludzkim genomie. Cytowała tych co zwykle podejrzanych z MIT, Uniwersytetu Rockefellera i - o rany, przy pierwszym przeglą-

daniu nie zauważyłem fragmentu podkreślonego z tyłu jednej z kartek. A obok niego widniał zapisany numer telefonu...

- Mam gdzieś, na ile nie ufasz telefonom - warknąłem, usiłując utrzymać podniesiony głos w granicach przyzwoitości. - Nie mam teraz czasu, żeby polecieć na spotkanie z tobą. Przysięgam na Boga, że jeśli nie porozmawiasz ze mną, natychmiast po odłożeniu słuchawki osobiście zadzwonię do New York Timesa i dopilnuję, by jutro twoje nazwisko znalazło się na pierwszej stronie!

Oczywiście nie miałem aż takiej siły przebicia, ale Lum nie mógł być tego pewien.

- W tej chwili to tylko spekulacje - odparł.

- Dobrze, pospekuluj więc - poleciłem.

Lum westchnął.

- Genetycy sądzą, że znaleźli w ludzkim genomie kilka sekwencji bardzo przypominających Bombycidae 6.

6 Bombycidae czyli prządkowate lub jedwabnikowate. Rodzina motyli zwrotnikowej i podzwrotnikowej Azji i Afryki, których najbardziej znanym przedstawicielem jest jedwabnik morwowy (*Bombyx mori*). (przyp. tłum.)

- *Bombyx mori*?

- Nie całkiem - zaprzeczył Lum. - Innej ćmy, ale z tej samej rodziny.

- Czyli ktoś zakontaminował ludzki DNA jedwabiem? Skąd są te wyniki? MIT, Caltech, Anglia?

- W tym właśnie problem - powiedział Lum. - Sekwencje z jedwabiu jak dotąd znajdują się we wszystkich przebadanych próbkach ludzkiego DNA.

- Ale jak...

- Sama ich obecność wcale nie jest zaskakująca - przerwał mi Lum. -

W ludzkim genomie jest bardzo wiele sekwencji, które zdają się pochodzić z innych gatunków - od lat znane są bliskie homologie pomiędzy genami lachezyn 7 u konika polnego i muszki owocowej, podobne geny występują u krowy i człowieka. W końcu wszelkie organizmy na Ziemi mające DNA są spokrewnione.

7 Lachezyny - rodzina immunoglobulin występujących m.in. w układzie nerwo-wym konika polnego, (przyp. tłum.)

- Jasne, ale....

- W tym przypadku coś mnie intryguje. Właśnie sprawdzałem sekwencje neandertalskie i w nich brak tych fragmentów z Bombycidae.

- Czyli różnica pomiędzy nami a neandertalczykami tkwi w braku tej sekwencji u nich, a obecności u nas?

- Może - odparł Lum. - Jak wiesz, jest mnóstwo genów, które zdają się nic nie wyrażać - w fenotypie nie widać żadnych skutków ich działania.

Swobodni jeźdźcy, geny, które miały jakieś znaczenie w odległej przeszło-

ści, a teraz żadnego - kto wie? Prawdziwe pytanie, jakie tu należy postawić to: „W jaki sposób sekwencje Bombycidae zostały wprowadzone do naszego materiału genetycznego? Czy stało się to w sposób naturalny?” Pomyślałem o Johnie Lappie, Amosie Stoltzfusie i sztucznym doborze, który - według ich słów - ich lud prowadził od wieków, może dłużej...



- Rozmawiałeś o tym z Debbie? - zapytałem.

- Z Tesą Stewart też - przyznał Lum. - Mieliśmy wspólnych znajomych w branży. Cóż za strata dla nauki!

Głos załamał mu się z emocji.

- Wiem - powiedziałem miękko.

- Rozmawiałem z Debbie i Tesą przez telefon - ciągnął Lum. - Ufałem im. Chyba też nie mam nic przeciwko rozmowie z tobą. Ale okażmy tu trochę sprytu. Wyślę ci list z numerem budki telefonicznej, z której bę-

dziesz mógł rozmawiać. Możemy się umawiać na takie telespotkania. Tak porozumiewałem się z Debbie i Tesą.

Taaak, i przyniosło im to wiele dobrego, pomyślałem.

Po odłożeniu słuchawki odchyliłem się do tyłu w fotelu. Czy sekwencje Bombycidae - albo przypominające tę rodzinę - uczyniły nas w pełni ludź-

mi? Czy można zwalić na nie winę za różnicę pomiędzy nami, a neandertalczykami, językami, kulturą czy technologią, której najprawdopodobniej praktycznie nie mieli? Trudno uwierzyć. Na pewnośmy nie miały ani Beatlesów, ani Mozarta, ani Picassa. Lecz owady, na swój sposób, też były mistrzami łączności i technologii. Społeczeństwa pszczół i mrówek, porozumiewanie się ich członków, konstruowane przez nie ule i mrowiska, już od dziesięcioleci były obiektem badań socjobiologii. A te wspomniane przez Luma geny lachezyn, o ile dobrze pamiętałem artykuły z Science, pomogły rozpracować regulację wzrostu komórek nerwowych...

Lecz co to miało wspólnego z Tesą i Debbie?

Zostały zabite, bo wiedziały coś więcej na ten temat?

Przez kogo?

I jaki to miało związek z Dave'em Spencerem i Gerry'm Mosesem?

Czy postulowany przeze mnie wirus w jakiś sposób znosił efekty obecności sekwencji Bombycidae w naszych genach? Czy dlatego Bombyx mori najwyraźniej stanowił pewien rodzaj antidotum?

Zadzwonił telefon.

- Halo?

- Cześć, kochanie - Jenna odpowiadała na moją wcześniejszą próbę kontaktu. Dziś rano wyszła, zanim się obudziłem, umówiona na spotkanie z przyjaciółką przy śniadaniu w Columbia. - Bonnie twierdzi, że tłumaczenie tochariańskiego tekstu otrzymane od Mallory'ego jest dobre, więc mamy coś

na początek.

- Świetnie.

- O co chodzi?

Powiedziałem jej o Tesie i Debbie, o mojej rozmowie z Lumem, o tym, że nie najlepiej się czułem, wciągając kogokolwiek jeszcze do tej przeklętej sprawy.

- O Boże, w zeszłym tygodniu byłam z Tesą na obiedzie - jęknęła Jenna.

- Tak. Wygląda na to, że nadziała się na morderstwo. Debbie została zabita w rytualny sposób. Tesę zaszlachtowano w ataku wściekłości. Jestem pewien, że ma to coś wspólnego z dwoma ostatnimi artykułami Debbie w Timesie. Nie wiem tylko, o który z nich chodzi.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Debbie napisała coś takiego o tobie.

- Dokładnie to samo przyszło mi na myśl - powiedziałem.

- No to kto to napisał? - spytała Jenna.

- Nie wiem - odparłem. - Jeśli ktoś chciał spowodować odsunięcie mnie od sprawy, jednocześnie nie zamierzając po prostu przyjść i zabić mnie, bo spowodowałoby to nadmierne zainteresowanie, to dobrym sposobem osiągnięcia tego celu byłoby opublikowanie pod nazwiskiem Debbie artykułu, który by mnie porządnie zdyskredytował, a następnie zabicie oficjalnej autorki. Takie rozwiązanie daje podwójną korzyść - powstrzymuje Debbie przed oświadczeniami, że popełniono oszustwo oraz rzuca podejrzenie o jej zamordowanie na mnie, jako osoby mającej motyw. Być może zyskuje się coś jeszcze - przerwanie śledztwa Debbie w sprawie sekwencji Bombycidae w naszych genach - o ile się tym zajmowała.

- Tak się wściekłeś, że aż ją zabiłeś? Każdy, kto cię zna, uznałby to za czysty absurd.

- Może zabójca mnie nie zna... Cholera, od tej sprawy wszyscy tak powariowali, że nawet Dugan na wpół mnie podejrzewa.

- Śmieszne - prychnęła Jenna. - Spędziłeś całą noc ze mną w łóżku.

- Wiem - odparłem, myśląc przy tym po raz kolejny, jak często już to robiłem, jak miło było budzić się co rano z nią u boku...

- Boję się o ciebie - powiedziałem łagodnie. - Heathrow to co innego -

zdarzyło się to za Atlantykiem, a Mallory miał rację, uważając, że ten facet najprawdopodobniej nie ma najmniejszego związku ze sprawą. Lecz Debbie i Tesa to coś zupełnie innego. Ich zabójca najprawdopodobniej jeszcze jest w mieście. A Tese zaszlachtowano. Wszystko to stawia wydarzenia na Heathrow w zupełnie innym świetle...

- Przestań! Przerażasz mnie!

- I o to chodzi - oznajmiłem. - Słuchaj, wciąż to wszystko może okazać się tylko zbiegiem okoliczności. Ostatnio Tesa zachowywała się nieco dziwnie, może ten chłopak Debbie ją prześladował, ale...

- Wiem. Nie wierzysz w zbiegi okoliczności.

- Otóż to. Zwłaszcza gdy można znaleźć bardziej prawdopodobne wyjaśnienia. Zamierzam wybrać się do centrum i zobaczyć, czy uda mi się porozmawiać ze Stefanem - może zdoła jakoś pomóc. Ale ty musisz być ostrożna i czujna. Powiadom mnie natychmiast, jeśli zobaczysz coś dziwnego, jeśli wyczujesz cokolwiek nietypowego. Wolę, żebyś podniosła fał-

szywy alarm niż... cóż, wiesz, co mam na myśli. OK?

Jenna nie odpowiadała.

- Nic ci nie jest?

- Nic - odparła. - Wiesz, właśnie sobie przypomniałam, że kiedy dziś rano wyszłam z naszego mieszkania, zatrzymałam się po drodze w Yorkville, by wziąć herbatę na wynos.

- I co?

- Cóż, przy stoliku siedział tam ktoś pozerający ogromne śniadanie i jakoś czułam, że gapi się na mnie w dziwaczny sposób.

- Jak wyglądał?

- Na pewno nie jak neandertalczyk - Jenna roześmiała się nerwowo. -

Nie wyglądał też jak ktokolwiek mi znany, ale, cóż...

- Przypominał ci kogoś? No dobrze, posłuchaj, natychmiast wysłałam po ciebie wóz patrolowy. Powiedz mi, gdzie jesteś i nie ruszaj się stamtąd.

- W bibliotece. Dzwonię z budki w westybulu Biblioteki Butlera.

Bonnie wpadła tutaj na coś w rodzaju konsultacji w tutejszym dziale o Ba-skach...

- OK, dobrze. Westybul powinien być bezpieczny. Nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie zobaczysz dwóch mundurów.

- Dobrze - zgodziła się Jenna. - Rzecz nie w tym, że przypominał mi kogoś konkretnego. Ale ten facet w restauracji - nie wiem, czy miał na sobie normalne ubranie, ale wyglądał na Amisza.

- Stefan Antonescu? Nazywam się Amos Stoltzfus.

Niespełna dwudziestoletni mężczyzna wyciągnął rękę do człowieka, który twierdził, że ma lat trzysta.

Antonescu przyjrzał się dłoni, ale jej nie ujął.

- Czy ja pana znam?

- Nie - odparł Amos. - Mogę usiąść?

Usiadł najciszej jak potrafił, na stole Biblioteki Babsta.

- Nie ma sensu panu odpowiadać - odparł Antonescu. - Najwyraźniej już pan usiadł. A ten stół jest publiczny, więc wolno panu zajmować to miejsce niezależnie od moich preferencji.

- Nie zna mnie pan - powiedział Amos. - Lecz obaj mamy wspólnego znajomego, doktora Phila D'Amato.

Antonescu skinął głową.

- Czy pan jest Amiszem?

Amos potwierdził ruchem głowy.

- Tak sądziłem - rzekł Antonescu. - Będzie pan tu bezpieczny, ludzie pomyślą, że jest pan jednym z Hasidim.

- Hasidim?

- Tak - odparł Antonescu. - Jednym z członków ortodoksyjnej sekty żydowskiej, którzy noszą brody i czarne ubrania. Bardzo podobni do pana.

Wielu Hasidim mieszka w tej części miasta, żeby dostać się z Brooklynu na Uniwersytet Nowojorski wystarczy tylko przejść przez most.

- Phil - doktor D'Amato - powiedział mi kiedyś, że jest Żydem.

Marrano?

- Tak - potwierdził Antonescu. - Jego lud prześladowała hiszpańska Inkwizycja. Niektórzy zmienili nazwiska, udając katolików, ale zachowali swoją żydowską tożsamość. Prześladowania to straszna rzecz. Mój lud podlega im od trzydziestu tysięcy lat.

- Wiem - powiedział Amos miękko, z szeroko otwartymi oczami. -

Bardzo mi przykro.

- Proszę się tak nie przejmować - rzekł Antonescu. - Pańska specyficzna społeczność nie jest za to odpowiedzialna.

- Wiem - przyznał Amos. - Ale... i tak przykro mi z powodu tego, co spotkało pana lud. Mój też zna prześladowania. To dlatego jestem tutaj -

pomyślałem, że moglibyśmy wymienić się informacjami. Wokół jest nie-bezpiecznie. Moi przyjaciele znają wiele sekretów natury. To dlatego odno-simy sukcesy bez elektryczności - natura jest silniejsza.

- Znaie jeden z sekretów jedwabiu. Dzięki niemu uratowaliście życie doktorowi D'Amato. Powiedział mi o tym.

Amos skinął głową.

- Ale teraz znów znalazł się w niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteście zagrożeni. Możemy potrzebować czegoś więcej niż jedwab.

Antonescu rozejrzał się po pokoju.

- Przejdziemy się po parku? Kiedy dziś tu przyszedłem, był taki pięk-ny lipcowy dzień, nie za gorący.

- OK... - zgodził się Amos.

- Tylko odniosę te książki na miejsce - powiedział Antonescu.

Amos zadygotał.

- Pomieszczenia pełne stosów książek przerażają mnie. Wolę głosy ludzi.

- Rozumiem - rzekł Antonescu. - To zajmie minutkę.

Amos poszedł do biurka Ruth Delany.

- Znalazł go pan? - zapytała i uśmiechnęła się.

- Tak - Amos odpowiedział uśmiechem. - Dziękuję pani.

Na rogu Washington Square Park rozległ się pojedynczy dzwonek telefonu.

- Sporo czasu zajęło ci dotarcie do mnie - powiedział mężczyzna, który podjął słuchawkę, z jednakową złośliwością przyglądając się gołębiom i przechodniom. - Nigdy nie zgadniesz, na kogo się natknąłem jakieś dziesięć minut temu - na tego palanta kelnera Amisza, z którym miesiąc temu, w Pensylwanii zrobiłem porządek! Dźgnąłem go porządnie nożem! A tu nagle włazi sobie niby nic do pieprzonej biblioteki! Mogę zaraz dokończyć robotę.

Wymacał pochwę noża w kieszeni.

- Widzę, że powróciłeś do znakomitego cockneya - odezwał się głos w słuchawce. - Dobrze; wolę ten akcent od brooklyńskiego.

- A co z tym amiszowskim kelnerem...

- Sądzę, że na dziś było prawie dosyć zabijania, nieprawdaż? - zapytał

głos z telefonu.

Człowiek z nożem roześmiał się.

- Prawie dość? A co to właściwie, do diabła, znaczy? Słuchaj, ten kelner widział moją twarz - może mnie zidentyfikować - dlatego muszę się nim zająć.

- Poradzimy sobie z tym problemem w inny sposób - odparł głos. - Nie obawiaj się.

- OK, no to ile jeszcze mam tu sterczeć?

- Niedługo - uspokoił go głos.

Do budki podeszła starsza kobieta z wózkiem pełnym zakupów.

Uśmiechnęła się sympatycznie.

- Przepraszam. Czy długo jeszcze będzie pan zajmował telefon?

Muszę zadzwonić do wnuka.

- Tak, bardzo długo. Zmiataj do innego telefonu.

- Kto tam jest? - zainteresował się głos w słuchawce.

- Nie mam pojęcia. Jakaś wiedźma... Hej!

Kobieta wyciągnęła skądś strzykawkę z cienką igłą i kiedy odwrócił się od niej w stronę słuchawki, jednym, płynnym ruchem wbiła mu ją w ramię.

Wstrzyknęła mu szybko zawartość - starożytną mieszankę, niemal nieodróżnialną w składzie i w skutkach od czystej heroiny, tyle tylko, że nie musiała jej kupować u ulicznego handlarza...

Mężczyzna upadł na ziemię, w pierwszej chwili bardziej szczęśliwy niż był kiedykolwiek w życiu, w następnej martwy.

Kobieta pochyliła się nad ciałem i wyjęła mu nóż zza paska. Podniosła się, ujęła kiwającą się na kablu słuchawkę i powiedziała do niej kilka słów.

- Dziękuję pani - rzekł głos z telefonu. - Może pani powiedzieć naszemu niedawno zgasłemu przyjacielowi, że teraz zabijania jest definitywnie dość jak na jeden dzień. Jestem pewien, że przeszliśmy od stanu prawie dość, do więcej niż trzeba. Niestety, choć znaczenie słów „prawie dość” jest oczywiste, dla niego jest już za późno, by zdołał je pojąć.

Kobieta zrozumiała niewiele więcej, niż dwa pierwsze słowa, ale powiedziała:

- Aha - i dokończyła radośnie - idę złapać mój pociąg na Penn Station.

Powietrze w tym mieście wciąż jest dla mnie zbyt brudne, żebym czuła się tu wygodnie...

Kilka chwil później Antonescu i Stoltzfus minęli róg ulicy. Parę minut później przeszli koło tego telefonu.

Stoltzfus w ogóle nie zauważył leżącego na ziemi ciała. Przyglądał się koronom drzew.

Antonescu zobaczył je, ale zmilczał. W tym mieście, w tym życiu, na tym świecie, widział mnóstwo takich scen.

Dałem kierowcy taksówki pięciodolarowy banknot i powiedziałem, że-by zatrzymał sobie resztę.

Wystawił głowę przez okno i zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem.

- Hej, dzięki facet, ale opłata wynosi pięć dolców!

- Przepraszam - podałem mu następną pięciodolarówkę.

W Washington Square Park kotłowało się we wszystkich kierunkach -

kwiaciarki z piosenki Phila Ocha, deskarze mijający mnie pod takimi kąta-mi, że fraktale wydawały się przy tym prościzną, nieprzytomny pijaczyna na ławce, drugi pod budką telefoniczną, dzieci i szkraby, i matki, i babcie, pary we wszelkich możliwych kombinacjach... Ale ani śladu Antonescu lub jakiegokolwiek Amisza, choć Ruth Delany powiedziała mi, że Stefan i

„jakiś amiszowski chłopak” kilka minut temu wyszli na spacer...

Koło fontanny niewielka grupka śpiewała Life Could Be a Dream, przyciągając całkiem spory tłumek. Zatrzymałem się na chwilę, żeby zebrać myśli i kupić paczuszkę orzeszków ziemnych od ulicznego sprzedawcy. Jak ten sam świat może mieścić w sobie jednocześnie taką radość i taką brutalność? Ha, bo niektórym ludziom największą radość sprawiała właśnie brutalność, oto dlaczego. Bo dla niektórych ludzi usuwanie innej osoby, usuwanie całych społeczeństw, nie było niczym innym niż pozbywaniem się niepotrzebnych danych z twardego dysku. Cyfrowe dane, DNA, ot, po prostu inny kod, inna wyrzucona recepta...

Przyjrzałem się kolumnie motyli po drugiej stronie fontanny. Trzepoczących ku niebu. Powiodłem wzrokiem wzdłuż nich aż do ręki, z której startowały. Wokół wypuszczającego je człowieka zgromadził się niewielki tłumek. Złoto-czarne danaidy 8 lśniły w słońcu. A potem wszystko się skończyło. Tłumek zaczął się rozpraszać. Człowiek od motyli odwrócił się twarzą do mnie.

8 Danaus Plexippus - Danaid wędrowny, północnoamerykański motyl migrujący (przyp. tłum.)

Amos!

Podbiegłem do niego...

- Phil! Właśnie wysyłałem wiadomość do domu - zawołał - a potem chciałem się skontaktować z tobą.

- Gdzie Stefan? Nic mu nie jest?

- Stefan Antonescu? Tak, z nim wszystko w porządku. Jakies dziesięć minut temu wrócił do biblioteki. Odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

Popatrzyłem w stronę Biblioteki Babsta, budynku z czerwonego pia-skowca wśród drzew.

- O co chodzi, Phil? Sprawiasz wrażenie, jakbyś mi nie wierzył! Możemy zaraz pójść do Stefana...

- Nie, wierzę ci.

Opowiedziałem Amosowi o morderstwach, o Jennie, która sądziła, że w Yorkville Restaurant widziała kogoś, kto wyglądał jak on.

- Tak, to byłem ja - potwierdził Amos. - Zdaje mi się, że widziałem Jenkę, chyba mnie zauważyła. Nie wiedziałem, czy wybiera się z powrotem do domu; nie miałem pojęcia, ile jej powiedziałaś, a ile, według ciebie, powinna wiedzieć. Pamiętałem, że kiedy dawaliśmy ci lek, nie chciałeś, byśmy jej zbyt wiele mówili. Doszedłem więc do wniosku, że powinienem najpierw spotkać się ze Stefanem, a potem dopiero skontaktować się z to-bą...

- Skąd wiedziałaś, jak ona wygląda?

- Pokazałeś mi jej zdjęcie, pamiętasz?

Skinąłem głową. Pamiętałem.

Jedwabiście gładki kot podszedł do nas i przysunął się do Amosa.

- Hiram - nie widziałem go od wydarzeń w Pensylwanii...

- Dziś rano zawiadomił nas, że dzieje się coś niedobrego - wyjaśnił

Stefan. - Dlatego teraz przyjechałem do miasta. Miał oko na ciebie i twoich przyjaciół - twój anioł stróż - od chwili twojego powrotu do Nowego Jorku.

Przepraszam, że zaniepokoiło to Jenkę...

- Wszystko w porządku - powiedziałem. Jenna była teraz bezpieczna w naszym apartamencie, na



wszelki wypadek obstawionym przez gliniarzy.

- A więc, czego nauczyłaś się od Stefana?

- Wiesz, że jego ludzie byli bystrzejsi niż ktokolwiek z nas?

- Kto? Co?

- Mam na myśli prawdziwych neandertalczyków - wyjaśnił Amos. -

Mieli większe mózgi, więcej miejsca na przechowywanie wiedzy o naturze.

- Mózg niekoniecznie działa w ten sposób, połączenia znaczą więcej niż pojemność magazynów.

- No to więcej miejsca na nowe połączenia - zgodził się Amos. - A na-si przodkowie, twoi i moi - wyrzynali ich. Nasz lud ich mordował. Bo zazdrościliśmy im mądrości. Z tego mogą się brać te wszystkie zabójstwa.

- Stefan ci to powiedział?

- Niecałkiem to - odparł Amos. - Nie wiedział o tych zabójstwach. Ja dowiedziałem się o nich dopiero od ciebie. Nasze stróżki wyrazem oczu informują nas, kiedy zbliżają się kłopoty, nie rozmawiają z nami.

Uśmiechnął się, jak sądzę, na myśl o absurdalności widoku kota zdają-

cego ustne sprawozdanie. Koty wędrujące setki mil, by wyrazem oczu przekazać niepokój - dla tych ludzi to normalka.

- Jaki związek z neandertalczykami mają te morderstwa? - zapytałem.

- Jestem przekonany, że ci sami ludzie, którzy zlikwidowali neandertalczyków, sprowadzili na nas plagę mendlowskich bomb i zabili ojca Laurie. To prehistoryczny lud. Są odpowiedzialni za pojawienie się neandertalskich ciał w waszych miastach, jestem tego pewien, choć nie rozumiem, po co to zrobili. Ale zabijają ludzi - jeśli się da za pomocą chorób, jeśli trzeba za pomocą broni, tych, którzy wchodzą im w drogę. W Pensylwanii widzia-

łem już część ich działalności - dotknął swojego brzucha. - Poczulem zimny pocałunek jednego z ich noży - na szczęście miałem na sobie tę ochronną tkaninę - pogłaskał swoją koszulę w kolorze mchu.

- Cieszę się, że nic ci nie jest - powiedziałem. - Powinieneś był wcze-

śniej powiedzieć mi o tych związkach z neandertalczykami.

- To tylko teoria - jak byś to nazwał - odparł Amos. - Prawdopodobnie wiemy o neandertalczykach mniej od ciebie, nie mamy dostępu do ich szczątków rozsianych po świecie. Opieramy się tylko na starych opowie-

ściach, przekazywanych z ojca na syna, z wuja na siostrzeńca, z najstarsze-go na najmłodszego brata.

Westchnąłem.

- Żałuję, że nie mam więcej motyli - wyznał Amos. - Powinienem powiadomić Johna Lappa o morderstwach. Należałoby go ostrzec o niebezpieczeństwie. On nie używa telefonu, tak jak ja. Wie za to, jak patrzeć w niebo.

- Wykorzystywałeś te motyle do przekazania wiadomości do Johna Lappa?

- Tak, można na nich polegać.

- Czy te motyle mogą przelecieć stąd do Pensylwanii?

- O tak - potwierdził Amos. - Danaidy co roku przelatują stąd do Mek-syku, trafiając na miejsce z nieprawdopodobną dokładnością. Te wysłane przeze mnie były wyhodowane tak, żeby wracały na zaplecze ogrodu Johna Lappa.

- Jak tu przyjechałeś - pociągiem? Z koszykiem motyli?

- Nie, autobusem. Podróżowanie autobusem w grupie jest w porządku, dopóki nie musimy prowadzić. Mogłem zabrać ze sobą sporo motyli w kopertach - świetnie znoszą taką podróż, dopóki się na nich nie usiądzie.

Ale pomyślałem, że dla tego zadania będę potrzebował mnóstwa motyli, więc mój przyjaciel przywiózł je dla mnie z Union Square - widziałem go po drodze tutaj. Prowadzi amiszowskie stoisko z ciastami..

- Tak, chyba jadłem jego chleb. Jest przepyszny - powiedziałem. - Nie przejmuj się powiadomieniem Johna o morderstwach - mogę zadzwonić do kogoś w Lancaster, a on wymyśli sposób na przekazanie wiadomości Joh-nowi.

- OK, dzięki.

- Motyle - westchnąłem i popatrzyłem w niebo - Nawet jeśli zachowa-

łeś parę sztuk, jak, u diabła, zdołają przekazać dwie informacje, w których dwie różne osoby zostały zamordowane? Skoro koty nie umieją mówić, jak, do diabła, mogą to robić motyle?

- Wszystko zawiera się w sposobie, w jaki lądują - które pierwsze, i w których miejscach krzewu. Muszę wypuszczać je w określonej kolejności -

nauczenie się tego zabrało mi lata. W ten sposób możemy przekazać dowolne wiadomości. To wzorce - kod - każdy wzorzec lądowania stanowi pojedynczą literę. Wymaga to bardzo wielu motyli, ale nasze zostały wyhodowane tak, żeby lądowały i podrywały się tyle razy, ile trzeba dla przeliterowania przekazu. Nazywamy ten system kodem ciem, jest bardzo starożyt-ny - mieliśmy go o wiele wcześniej, niż Morse wymyślił swój alfabet. Może nawet zaczerpnął pomysł od nas.

A jaki kod powodował, że działa się to, co się działo?

## CZEŚĆ CZWARTA

Kod jedwabiu

## PIĘTNAŚCIE

- A w środku tylko dwie zdechłe ćmy i dwa zaległe rachunki - zamknąłem odrapaną klapkę skrzynki pocztowej w holu. Gdybyż te kody DNA, które usiłowaliśmy złamać, równie łatwo ujawniały swoją zawartość.

- Czy to miał być żart? - zaciekał się Mallory.

Przyleciał tu na „konsultację” ze mną, tryby maszyny finansowej Zjednoczonego Królestwa w końcu wymieliły z siebie „odpowiednie pokrycie kosztów”, jak on to nazywał, którego wiele miesięcy temu zażądał od swoich przełożonych na tę podróż. Dziś pracowałem w domu.

- Ba, chciałbym - odparłem - ale latem w tych blokach jest mnóstwo ciem - spojrzałem na zegarek. - Dwunasta pięćdziesiąt. Chodźmy do Yorkville na lunch.

Kiedy usadowiliśmy się w restauracji, Mallory podał mi plik kartek.

- Po pierwsze jest tu raport, o którym ci mówiłem.

Zawsze można odróżnić brytyjskie sprawozdanie czy list od amerykańskiego. Papier jest o jakieś ćwierć cala węższy i o trzy czwarte dłuższy.

Czasami ta różnica sprawia mi przyjemność, a czasem irytuje. Dziś...

- Podsumowanie jest na stronie dwudziestej - powiedział Mallory. -

Nasi chłopcy znaleźli w DNA Dave'a Spencera kilka poważnych odmienności.

Rzeczywiście. DNA ze wszystkich trzech ciał został pocięty, pomierzony, powstawiany gdzie trzeba, zsekwencjonowany, a wszystko to dało jeden wynik - materiał genetyczny był stabilny, od czasu wyizolowania go z ciał

kilka miesięcy temu nie ulegał żadnym zmianom. Tak samo DNA Stefana Antonescu. Ale DNA Dave'a Spencera, a właściwie czort wie czym się stał, był zaskakująco aktywny. Wstawiony do szczurzych komórek zaczął się rozprzestrzeniać we wszystkich możliwych kierunkach - świąteczne fajerwerki..

najprzedziwniejszych kombinacji, z których żadna nie była w stanie przeżyć. Jak dotąd.

- Nazwali to hipermutabilnością - ciągnął Mallory. - Podobny efekt obserwuje się w niektórych genach E. coli.

- Tak, wiem o E. coli - powiedziałem. - Nasze szczurze komórki z po-

śmiertnym DNA Dave'a zachowują się identycznie jak twoje. Ciekaw tylko jestem, jak długo jego materiał genetyczny utrzyma w sobie sekwencje Bombycidae.

Już wcześniej poinformowałem Mallory'ego o teorii Luma.

- Powiem naszym chłopcom w laboratorium, żeby zwrócili na to uwagę - obiecał Mallory. - Moi przełożeni bardzo zainteresowali się tą sprawą.

Bardziej niż moi, pomyślałem.

- Czy dlatego w końcu cię tu przysłali?

- Mam swoich przełożonych w szczurzej dupie – odparł - z wyjątkiem sytuacji, w których mogą pomóc mi zrobić, co trzeba. Świetnie o tym wiesz.

Przyjechałem tu, bo przejmuję się tą sprawą - i tobą.

Popatrzyłem na niego.

- Michael, mamy tu kłopoty. Tego samego dnia, w którym nastąpiło podwójne morderstwo, znaleźliśmy w Washington Square Park kolejne ciało. Jego odciski palców zgadzały się ze znalezionymi w mieszkaniu Debbie. To mógł być ten sam facet, który dźgnął mnie na Heathrow - nie jestem pewien, ale wygląda znajomo. Umarł z przedawkowania, ale nikt ani przez moment nie uwierzył, że to ćpun - na rękach nie ma żadnych śladów po zastrzykach, żadnych innych śladów wskazujących na jego narkomanię.

Najprawdopodobniej został zlikwidowany przez kogoś, kto tu pociąga za sznurki. Nie mówiłem ci tego wcześniej, bo nie jestem pewien, że to nie ty -

ktokolwiek za tym stoi, najwyraźniej jest znakomicie poinformowany o wielu sprawach. Czyli: ja nie ufam tobie; ty nie ufasz mnie. W jakiej więc jesteśmy sytuacji?

- Popatrz na to z mojej strony - odparł Mallory. - Rzecz nie w zaufaniu do ciebie - tak naprawdę to ci ufam, ale być może stałeś się ofiarą kontro-lowaną przez siły, z których nawet nie zdajesz sobie sprawy. Twoje miasto stanowi centrum wydarzeń. Zostałeś zaatakowany nożem na Heathrow, prawda, ale według mnie zrobiłeś to, żeby zbić nas z tropu - sam wielokrotnie powtarzałeś, że zawsze należy powątpiewać w usiłowania zabójstwa, rany nie śmiertelne; dla „ofiar” stanowią one świetne zasłony dymne. A po pojawieniu się na początku tych nieboszczyków, wszystkie pozostałe wydarzenia następowały tutaj, prawda? Pojawił się Antonescu, Dave Spencer zmarł i zamienił się w neandertalczyka, zamordowano te dwie kobiety.

Byłbym wyjątkowo kiepskim śledczym, gdybym nie podejrzewał, że masz z tym o wiele więcej wspólnego, niż twierdzisz, nieprawdaż?

- Rozumiem - przyznałem. - Tyle tylko, że ja wiem, w jaki sposób jestem zamieszany w tę sprawę; a co do ciebie nie mam tej pewności - jak dotąd, z mojego punktu widzenia, wszystko co mówisz może być tylko zasłoną dymną, choć bardzo logiczną, która ma odwrócić moją uwagę od ciebie.

A oczywiście z jego strony ta argumentacja mogła sprawiać wrażenie mojego sprytnego wybiegu, mającego zbić go z tropu. Nie istniał żaden sposób pozwalający nam to teraz ustalić - każdy argument, każdy dowód mógł wskazywać w obie strony. Zupełnie jak w tej scenie z Co się wydarzy-

ło w Madison County?, o której opowiadałem kiedyś Jackowi Duganowi.

Pod koniec filmu Meryl Streep patrzy w ślad za odjeżdżającym Clintem Eastwoodem, kiedy już uznali, że rozstanie będzie najlepszym rozwiązaniem. Jeśli on mnie naprawdę kocha, myśli Meryl Streep, odjedzie, nie oglądając się za siebie. I Eastwood robi właśnie tak. Ale możliwe jest, że Clint odjeżdża w taki sposób nie dlatego, że tak bardzo kocha Meryl, ale dlatego, że tak naprawdę nigdy jej nie kochał? W takim przypadku nie oglądanie się za siebie nic nie kosztuje, nie jest aktem poświęcenia w imię miłości. Ale cóż można powiedzieć o duszy Eastwooda na podstawie tego jednego uczynku? Jego odjazd stanowi potwierdzenie dla dwóch wykluczających się hipotez.

Zupełnie tak samo, jak każdy fakt w tej cholernej sprawie, w której grzebaliśmy się z Mallorym...

- Phil, Phil... - zaczął Michael.

Zamyśliwszy się, przestałem na niego patrzeć. Teraz kątem oka nagle spostrzegłem jego rękę znikającą pod stołem...

Sięgnąłem i chwyciłem go za nią, zrzucając ze stołu szklanke soku pomarańczowego. Rozbiła się z trzaskiem na kamiennej podłodze...

- Phil, na miłość boską, sięgałem po chusteczkę... Uspokój się.

Trzymałem go mocno za przegub, pozwalając jednocześnie wygrzebać z kieszeni, co chciał.

Naprawdę była to chusteczka - jedwabna, haftowana. Nie niebieska.

- Przepraszam... - potrząsnąłem głową.

- Pozwolisz mi wydmuchać nos?

- Przepraszam - powtórzyłem tępo. - Może ten ktoś, czy coś, co za tym stoi, nie jest jednym z nas. Ale ktokolwiek to jest, na pewno wie bardzo wiele o naszych poczynaniach i przemyśleniach. Wiem, że to nie ja. Dlatego zacząłem przyglądać się tobie i Lumowi. A ty mi do tego bardziej pasu-jesz. Lumowi brak energii - wiem, można przypuszczać, że to też jest uda-wane. O rany, kiedy już wpadnie się w te koleiny...

- Zapomnij o Lumie. To nie on - oznajmił Mallory.

- Ale jeśli nie ty i nie ja, to musimy zacząć myśleć o Lumie. Łatwo mógł być zamieszany w śmierć Gerry'ego Mosesa...

- Posłuchaj mnie - przerwał mi Mallory, z pobielającą twarzą. - To nie Lum. On zmarł dziś rano.

Musiałby być szaleńcem, żeby łącać mi prosto w oczy w takiej sprawie, ale musiałem sprawdzić jego słowa.

- Nie ruszaj się stąd - poprosiłem, wstając. - Proszę.

Nie miałem prawa mu czegokolwiek nakazywać, ale skinął głową.

Podszedłem do automatu telefonicznego wiszącego przy wejściu do restauracji - bezmyślnie zostawiłem komórkę w domu. Wsunąłem kartę kredytową i wybrałem numer Luma w Toronto, cały czas obserwując Mallory-

'ego, który spokojnie nalewał sobie herbaty z czajniczka.

Ktoś odebrał telefon - nie jeden z jego zwykłych asystentów; jak on się, cholera, nazywał?

Przedstawiłem się i poprosiłem o rozmowę z Lumem.

- Chwileczkę, doktorze.

Przełączono mnie na trzy kolejne numery, gdzie odbywały się wyłącznie poczty głosowe. Mallory pił kolejną filiżankę herbaty.

Po czwartym przełączeniu odezwał się żywy człowiek, tym razem wyjaśniłem powód, dla którego dzwonię.

- Bardzo mi przykro, doktorze D'Amato; w tej chwili nie mogę udzielać żadnych informacji na temat H.-T. Luma.

To zdawało się potwierdzać rewelacje Mallory'ego - z jakich innych powodów miałby ten facet do wszystkiego odmawiać rozmowy ze mną? -

ale naciskałem dalej. Powiedziałem mu, że życie wielu ludzi zależy od ścisłej współpracy naszych wspaniałych krajów, mamy długą historię dzielenia się informacjami w takich sprawach, zależy od tego życie...

- Bardzo mi przykro, doktorze D'Amato. Chcielibyśmy podzielić się informacjami, ale wszystko ma swoje granice. Wierzymy tu w wolność słowa, ale nie czcimy jej.

- Co do cholery wspólnego ma wolność słowa z tym...

Facet odwiesił słuchawkę.

Wspaniale. Już zacząłem gadać jak Mallory, ale najwyraźniej brakowało mi jego umiejętności wyciągania informacji z tych ludzi. Cholerni Kanadyjczycy, cholerni Angole - przede wszystkim żaden z nich nie miał zielonego pojęcia o wolności słowa i Pierwszej Poprawce...

Uspokoiłem się trochę i popatrzyłem na Mallory'ego, sączącego herbatę.

Podjąłem decyzję.

- To co, wierzysz teraz temu, co powiedziałem o H.-T. Lumie? - zapytał Mallory, gdy wróciłem do stolika.

- Mniej więcej. Facet nie powiedział za wiele. Czy możesz zadzwonić do niego i rozkazać mu, by powiedział mi o Lumie? Na kanadyjskich monetach wciąż jest głowa królowej, prawda?

- To nie działa w ten sposób, Phil.

Skinąłem na kelnera, prosząc o kolejny czajniczek herbaty.

- No dobrze - rzekłem do Mallory'ego. - Według mnie sprawy przedstawiają się w ten sposób: Jeśli

przyjmujemy, że Lum nie żyje, to najprawdopodobniej nie on stał za zabójstwami. Z logicznego punktu widzenia rzuca to automatycznie poważniejsze podejrzenia na mnie i ciebie. Ale jeśli pójdziemy tym tropem, to dalsza nasza rozmowa w ogóle traci sens - lepiej dla każdego z nas, gdyby tylko to się udało, byłoby zaarrestować drugiego.

Pozwól mi więc zaproponować coś innego.

- Zamieniam się w słuch - rzekł Mallory.

- Jeśli zaczniemy od założenia, nieważne jak bardzo w tej chwili nie-prawdopodobnego dla każdego z nas, że żaden z nas dwóch nie jest tym skończonym łajdakiem, staniemy przed oczywistym faktem, że ludzie zamieszani w tę sprawę albo wiedzący o niej za dużo, umierają w zastraszają-

cym tempie - Gerry Moses, Dave Spencer, Tesa i Debbie, a teraz Lum.

Dodajmy też próby wykończenia moich przyjaciół Amiszy oraz mnie samego.

- Prawda - zgodził się Mallory. - To znów doprowadza nas do pytania, dlaczego podejrzewamy się nawzajem.

- Tak. Ale jeśli usuniemy z tego równania mnie i ciebie, tak na potrzeby dyskusji, to czy wynika z niego, gdzie powinniśmy dalej szukać? Najprawdopodobniej wiedzieć tak wiele o sprawie, nie siedząc teraz z nami przy tym stole, może tylko ktoś, kto znajduje się na tyle blisko przynajmniej jednego z nas, żeby móc zdobyć te informacje.

Mallory skrzywił się szpetnie.

- Czego ty chcesz - zarządzić inwigilację Jenny i mojej żony?

- Nie całkiem - zaprzeczyłem. - Mam inną propozycję: ogłaszamy za-wieszenie broni. Połączymy nasze siły i przyjrzymy się wszystkim związanym z nami osobom. Ty sprawdzisz moich, ja twoich. Jeśli chcesz, możesz tu zostać i zrobić to osobiście albo zleć to komuś innemu. Ja sam pojedę do Anglii. Jeśli coś wskaże na kogoś w Kanadzie, możemy udać się tam razem.

Mallory podniósł filiżankę z herbatą do ust. Po pewnym czasie wycią-

gnął rękę. Uściskałem mu dłoń.

- Oczywiście, jeśli jeden z nas niedługo umrze, będzie to dość jedno-znacznie rozstrzygnięcie, że mordercą jest ten, który przeżył.

## SZESNAŚCIE

Do amerykańskiej części sprawy Mallory przydzielił brytyjską agentkę specjalną - Amandę Leonard, która oficjalnie pracowała w BBC. Nie potrafiłem wyobrazić sobie czegoś takiego u nas, ale może byłem naiwny.



Miała kruczoczarne włosy i fiołkowe oczy, znakomicie pasujące do jej oficjalnego zawodu reporterki śledczej. Taka przykrywka miała wielką zaletę - otwierała jej różne drzwi.

Przeszedłem przez obrotowe drzwi Biblioteki Babsta, z Amandą następującą mi na pięty.

- Dziękuję, że zechciał się pan spotkać ze mną tak szybko po powiadomieniu - powiedziała do Stefana Antonescu, podając mu rękę, kiedy tylko dotarliśmy na niższe piętro, gdzie właśnie pracował.

- Chciała pani powiedzieć „spotkać się bez uprzedzenia” - odparł. -

Pani Delany dopiero czterdzieści pięć minut temu oznajmiła mi, że chce pani zejść tu na dół i porozmawiać ze mną. Nie miałem wyboru, mogłem pozostawić to wszystko rozgrzebane - wskazał na pojemnik na kółkach do połowy wypełniony papierami w różnym stadium pogniczenia - albo zostać i cieszyć się z pani wizyty. Nalegałem na obecność doktora D'Amato, bo do mediów nie mam za grosz zaufania.

Uśmiechnąłem się najsympatyczniej, jak potrafiłem.

- Będę tutaj robił tylko za muchę na ścianie, w najmniejszym stopniu nie zamierzam wtrącać się do rozmowy.

Amanda uśmiechnęła się najmilej, jak ona potrafiła - naprawdę ujmująco, prawie zwalajaco z nóg.

- A ja sądziłam, że to my, Angole, tak pedantycznie podchodzimy do precyzyjnego wysławiania się. Miło spotkać się również po tej stronie Atlantyku z taką o to troską.

- Mój rodzaj sięga poza Atlantyk, madame, o czym niewątpliwie pani już wie.

- Tak, i właśnie o tym miałam nadzieję trochę porozmawiać - powiedziała Amanda.

- Nie mam nic przeciwko temu, o ile wykona pani swoją część pracy i od czasu do czasu podniesie kawałek papieru z podłogi w trakcie mojej wędrówki - rzekł Antonescu. - Możliwe, że jasne światło rozgłosu może pomóc mi przeżyć i utrzymać z daleka tchórzy kryjących się w cieniu. Mo-

że właśnie dlatego zdołałem przetrwać ostatnie kilka miesięcy.

Amanda schyliła się i podniosła ogłoszenie o zeszlotygodniowych im-prezach, całe pokryte śladami podeszew. Antonescu wręcz chłonał ten widok.

- Czy to prawda, że ma pan trzysta lat? - zapytała, wrzuciwszy kartkę do kosza.

- Mam pani opisać, jakie wrażenie wywarli na mnie Louis Napoleon albo Fryderyk Wielki? Czy to panią przekona?

- Znał pan tych ludzi? - spytała Amanda.

- Nie - odparł Antonescu. - Dotychczas wiodłem zupełnie anonimowe życie. Lecz biorąc pod uwagę niechlujny stan dzisiejszej historii oraz mnó-

stwo czasu, który spędziłem na starannym czytaniu wielu książek z rozmaitych dziedzin, prawdopodobnie zdołałbym oszukać panią i przekonać, że osobiście znałem tych dwóch ludzi.

- Cóż, dziękuję za szczerość.

Podniosłem kolejny kawałek papieru.

Antonescu skłonił się lekko.

- Widzi pani, nie istnieje żaden dowód, który mógłbym przedstawić na poparcie mojego wieku. Nawet moje geny najprawdopodobniej nie różniły-by się prawie od waszych. Do pewnego stopnia - większego niż u was -

podlegają samonaprawie i kiedy są prawidłowe, nie różnią się wcale od genów innych ludzi. Musielibyście obserwować je przez dziesięciolecia, żeby zauważyć jakiegokolwiek różnice.

- Wy, neandertalczycy, uważacie się za część ludzkiej rasy? Proszę o wybaczenie, nie zamierzałam...

- Nie czuję się obrażony - przerwał jej Antonescu. - Oczywiście, że ja, neandertalczycy i wszystkie istoty, które dzisiejsza nauka raczy klasyfikować jako Homo, są częścią ludzkiej rasy. Inni też. To tylko najmłodszy przedstawiciel klanu Homo - Homo sapiens sapiens, wasz kromaniończyk - uznał

za stosowne i nadal uznaje, czynić tego typu rozróżnienia.

- Ja uważam tego typu rozróżnienia - gorące i zimne, mężczyzna i kobieta, ciemność i światło - za podstawę ludzkiego poznania - odparła Amanda. - Claude Lévi-Strauss nazwał to ludzkim nałożeniem dwubiegu-nowych przeciwieństw na ciągłą rzeczywistość. Ponad dziesięć lat temu w BBC nadaliśmy program poświęcony jego teoriom - wówczas byłam dopiero praktykantką. Zna pan jego prace?

Musiałem jej to przyznać - ta kobieta przygotowała się bardzo dobrze.

Była też bardzo inteligentna.

- Tak, właśnie ostatniego wieczoru rozmyślałem o Lévi-Straussie -

Antonescu przelicytował ją - w Canton Garden, nad wieprzowiną w słodko-kwaśnym sosie. Ma rację w sprawie ludzkiej skłonności do rozróżnień - ja także ich dokonuję. Problem pojawia się, kiedy ludzie zaczynają coś robić z tymi rozróżnieniami.

- Co kromaniończyk zrobił z rozróżnieniami, których dokonał?

- Zna pani odpowiedź - odparł Antonescu. - Usiłował doprowadzić do naszego wymarcia. Lecz my opracowaliśmy środki zaradcze.

Trzy dni później poleciałem do Londynu, wciskając jeszcze w kalendariu podróży krótką wyprawę pociągiem do Bath. Uzyskałem w jej trakcie pewną informację, która według mnie mogła okazać się przydatna...

Emma Roberts mieszkała przy Marlboro Lane 19, w połowie drogi na Sion Hill. Spacer mi się podobał - jak na angielski sierpień, dzień był dość chłodny - tak samo jak widok miasta w dole, z klombami jasnych kwiatów i pomarańczowymi kominami. Trudno było uwierzyć, że kiedyś tam w dole, brnęli przez błoto rzymscy legioniści poszukujący oczyszczenia dusz w publicznych łaźniach, od których Bath wzięło nazwę. Lecz Rzymianie znani byli ze znakomitych instalacji hydraulicznych, z których część pozostała niedoścignioną doskonałością jeszcze w dziewiętnastym wieku. Niezbyt chętnie przepawali się przez morza, ale świetnie wiedzieli, jak dostarczyć ludziom wodę - my dziś podobnie postępujemy z informacją. Jednak czasami trzeba osobiście dotrzeć do źródła, najbliżej jak się da.

Zapukałem do drzwi.

Otwarły się.

- Jestem Phil D'Amato - powiedziałem, wyciągając rękę. - Profesor Roberts?

- Tak, proszę wejść.

Miała jasnobrązowe, kręcone włosy i oczy błyskające uśmiechem. Natychmiast spostrzegłem podobieństwo.

Właściwie była nie profesorem, a wykładowcą historii sztuki na Uniwersytecie Bath Spa, znajdującym się nieco wyżej na wzgórzu. Lecz „wykładowca Roberts” brzmiało według mnie niezdarne, a poza tym jej stanowisko akademickie i historia sztuki nie miały nic wspólnego z celem mojej wizyty.

- Czy mogę zaproponować panu filiżankę dobrej herbaty? - zapytała.

- Tak, bardzo chętnie, jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Na pewno nie, mam przygotowany czajnik - odparła i zniknęła w są-

siednim pomieszczeniu, które uznałem za kuchnię.

Pokój, w którym siedziałem, był prosty lecz piękny - promienie słoneczne załamywały się w okiennych szybach oraz kilkunastu naczyniach z niebieskiego bristolskiego szkła, mających na pewno ponad sto lat.

- Proszę bardzo - wróciła z całym zestawem.

- Poproszę tylko odrobinę mleka - powiedziałem.

Podawała mi porcelanową filiżankę na spodeczku, obydwie naczynia wydawały się nieważkie. Filiżanka pasowała do moich warg - ciepła, nie gorą-

ca ani nie zimna - sączenie gorącej herbaty z zimnej filiżanki psuje połowę przyjemności.

- No dobrze - zaczęła - co mogę powiedzieć panu o Amandzie?

Złapałem wieczorny pociąg do Londynu.

Siostra Amandy Leonard podała mi informację, o którą mi chodziło.

Tak naprawdę nie pochodziła ona z jej słów, ale i tak miałem, co chciałem.

W lewej kieszeni kamizelki. Próbkę DNA Emmy.

Zaczynałem się czuć jak kieszonkowiec podkradający DNA, ale cały ten interes zaczął się sprowadzać do tego jednego.

Przed wejściem do wagonu kupiłem kanapkę z bekonowym stekiem -

brytyjska nazwa na pewien rodzaj szynki - oraz śliczny, stary wazon w nieokreślonym, wiktoriańskim stylu, sporządzony z bristolskiego szkła - dla Jenny. Pomysł przyszedł mi do głowy, jakżeby inaczej, u Emmy...

Drzewa migały za oknem; kanapka była bardzo smaczna. Nigdy więcej nie zobaczę Emmy - był to pierwszy i ostatni raz. W tej kotłowni zbyt niebezpieczne dla mnie było poświęcanie nadmiernej uwagi komukolwiek.

Nie chciałem kolejnego zabójstwa.

Ale miałem jej DNA. Próbowałem zdobyć próbkę materiału genetycznego Amandy, kiedy była w Nowym Jorku, ale bez powodzenia. Wyjechała na spotkanie z Johnem Lappem w Lititz - po moich intensywnych naleganiach przekazywanych przez Amosa - a ja musiałem złapać samolot do Anglii. Lecz przynajmniej zdobyłem DNA jej siostry - prawie najlepszy sposób na prze-prowadzenie mojego głęboko sięgającego „wywiadu”, gruntownego badania Amandy. Zazwyczaj kiedy chodziło o zdobycie informacji krytycznej dla sprawy, ściągano się czyjeś akta albo zdobywało się nakaz założenia podsłuchu lub nawet wynajmowało się hakera, by włamał się do odpowiedniego komputera. Ale informacja, o którą mi chodziło, nie wymagała nakazów ani hakerów - można było ją po prostu zdobyć, jeśli trafiło się na osobę z właści-wymi genami. Czasy się zmieniały. DNA stawał się ostatecznym dossier.

Chociaż wcale nie wiedziałem, czego tak naprawdę szukam. Śladu Bombyx moñ, brakującej sekwencji Bombycidae, wzorca bliższego neandertalczy-kom Paabo? Nie wiedziałem. Amanda i jej siostra niewątpliwie wyglądały jak całkowita antyteza neandertalczyków. Lecz było coś w wyrazie twarzy dzien-nikarki w trakcie rozmowy ze Stefanem - coś w sposobie, w jaki przechylała głowę - i

w sposobie, w jaki on patrzył na nią, co powodowało, że czułem jakby... nie wiem, jakby oboje byli do siebie podobni.

Wysłałem DNA do kilku kolegów w MIT - lepiej trzymać sprawę z daleka od Nowego Jorku i możliwych przecieków do Londynu - zobaczymy, do czego dojdą. Zastanawiałem się, co naprawdę Mallory o niej wiedział...

Skończyłem kanapkę i ułożyłem się do drzemki.

Musiałem dziś wieczorem zadzwonić do Amosa w sprawie wywiadu Amandy, a jutro rano wyjechać na wielkie spotkanie z Mallorym i jego człowiekiem kierującym zespołem tłumaczącym tochariańskie dokumenty.

Dopadłem Amosa w jego budce telefonicznej - o pierwszej w nocy mojego czasu, czyli o ósmej wieczorem u niego.

- Jak poszło? - zapytałem.

- Jest bardzo piękna - odparł.

- Wiem - potwierdziłem. - Szkoda, że nie miałeś kamery wideo na ba-terie. Nie zauważyła tego małego magnetofonu?

- Nie sędzę - uspokoił mnie Amos.

- OK, dobrze więc. Posłuchajmy taśmy. Czuj się też upoważniony do zatrzymania jej w dowolnym momencie i skomentowania, jeśli z rozmowy nie do końca będzie wiadomo, kto co mówi.

- OK - zgodził się Amos. - Zaczynamy.

Usłyszałem kliknięcie, a potem...

- Dziękuję za zgodę na spotkanie pomimo tak późnego powiadomienia....

- To mówi Amanda Leonard - oznajmił Amos i zatrzymał taśmę.

- Wiem - powiedziałem. - Prawdopodobnie potrafię rozróżnić na ta-

śmie jej głos, Johna i twój. Zatrzymuj nagranie, tylko jeśli coś będzie naprawdę niejasne.

- OK - zgodził się Amos. - Przewinąć i zacząć od początku?

- Nie, to niekoniecz... Choć, dobra, zrób tak. Usłyszałem trwający ułamek sekundy wizg przewijania.

- OK, zaczynamy od początku - powiedział Amos.

- Dziękuję za zgodę na spotkanie pomimo tak późnego powiadomienia

- powiedziała Amanda.

- Proszę usiąść - odparł Lapp.

- Dziękuję - Amanda.

- Może jest pani głodna? - zapytał Lapp.

- Tak naprawdę to jestem głodna jak pies - potwierdziła Amanda. -

Ominęło mnie śniadanie.

- Sałatka z kurczaka jest znakomita - zaproponował Lapp.

- Brzmi smakowicie. Poproszę kanapkę z sałatką z kurczaka....

Amos zatrzymał taśmę.

- Amanda zwraca się tu do mnie, podszedłem do niej jako kelner, przyjąć zamówienie.

- Zrozumiałem - powiedziałem. - Jedziemy dalej.

- Ja już jadłem - powiedział Lapp. - Jak rozumiem, zbiera pani informacje. Zazwyczaj nie mamy najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek konszachty z reporterami.

- Wiem - potwierdziła Amanda - i bardzo doceniam, że uczynił pan dla mnie wyjątek. Stefan Antonescu tak dobrze się wyrażał o was...

Hmmm...! Niczego takiego nie pamiętałem, a byłem przy tej rozmowie...

Amanda mówiła dalej.

- Czy jesteście dobrymi znajomymi?

- Nie poznałbym go, gdyby wszedł do restauracji - odparł Lapp. - Powiedzmy, że nasze grupy mają bardzo długą historię.

- A do jakiej konkretnie grupy pan należy? Proszę nie poczuć się urażonym moim pytaniem - rzekła Amanda.

- Nie uraziła mnie pani - powiedział Lapp. - Lecz zanim udzielę na nie odpowiedzi, poproszę panią o danie słowa honoru, że nie nagra pani naszej rozmowy - a nawet nie będzie robić notatek. Nic, z tego co powiem, nie może zostać zacytowane.

Amos zatrzymał taśmę.

- John nie wiedział o tym nagraniu. Wiemy o nim tylko pan i ja.

- OK, rozumiem - oznajmiłem. - Doceniam to, co robisz.

- Czuję, że postąpiłem właściwie. Puścić taśmę dalej?

- Tak, proszę.

- Rozumiem - zgodziła się Amanda. - Żadnego nagrywania, a notatki są mi niepotrzebne. Mam bardzo dobrą pamięć.

- Jeśli zacytuje pani jakiegokolwiek szczegóły podane przeze mnie, to zaprzeczę, że ta rozmowa w ogóle się odbyła - oznajmił Lapp surowo. - Jak to nazywają, wiarygodną zaprzeczalnością? Podstawowym instruktążem w pani branży?

- Zrozumiałam - powiedziała Amanda.

- Nie odpowiem na żadne pytanie, kim jestem - kontynuował Lapp. -

Nie o tym będzie rozmowa. Powiem pani tylko o jedwabnym leku - doktor D

'Amato bardzo prosił, żebym właśnie o tym z panią porozmawiał. Uważa, że mógłby uratować życie pewnej liczbie ludzi.

- Doktor D 'Amato prosił pana o spotkanie ze mną?

- Uważa, że rozpowszechnienie teraz pewnych wiadomości może mieć istotne znaczenie dla świata - wyjaśnił Lapp. - A poza tym, jakkolwiek by moja społeczność się izolowała, żyjemy jednak na tym świecie razem z pani grupą i wieloma innymi. Choroby rzadko respektują takie podziały - swobodnie przemieszczała się po świecie i pustoszą go. W tym przypadku nie mamy do czynienia z waszym AIDS, który choć jest straszny, to uchronić się przednim można wstrzeźliwością i separacją.

- Proszę mi w takim razie opowiedzieć o tej chorobie - odezwała się Amanda - oraz o leku.

Coś kilkakrotnie zadzwięczało na blacie stołu.

- Przyszedłem z kanapką - wtrącił Amos.

- OK - powiedziałem.

- Ten środek leczy schorzenie, które nie jest wywoływane przez żywe organizmy, ale coś znajdującego się niżej na drzewie życia.

- Wirus? - zapytała Amanda.

- Nie jestem pewien, czym są wirusy - przyznał Lapp.

- Cóż, to jest... - zaczęła Amanda.

- Zaraz, znam informacje na ich temat podawane przez waszą naukę -

przerwał jej Lapp. - Mówię, że nie jestem pewien, czy całkowicie się z nimi zgadzam - nie wiem nawet, czy wasza nauka w pełni akceptuje to, co sama na ich temat twierdzi. Tak naprawdę ten termin określa coś, czego nikt do końca nie rozumie. W otrzymywanych przez nas naukach jest informacja, że tę chorobę wywołuje pewna cegiełka - nie coś obdarzonego życiem.

- W jaki sposób coś takiego może wywoływać schorzenie?

- Tego też nie do końca jesteśmy pewni. Uważamy, że wstawia gdzieś niewłaściwą cegiełkę - nieprawidłowy składnik w przepisie. A może neutralizuje jakąś ważną cegiełkę, taką hamującą.

- A wynik? - zapytała Amanda.

- Wskutek tego cegiełki działają zbyt szybko...

- Co powoduje? - drążyła Amanda.

- Co powoduje zawalenie się budynku - wyjaśnił Lapp. - Złe cegiełki dokonują zniszczeń po cichu, dopóki nienaturalna prędkość nie osiągnie pewnej wartości. A wtedy zakażoną osobę spotyka nagła śmierć. Gdyby owego dnia doktor D'Amato stracił po drodze choćby kilka godzin...

- Jak działa lek?

- Jedwabnik jest zbudowany z innych cegiełek - mówił Lapp. - Rozumie pani, w naszym rozumieniu wszelkie życie zbudowane jest z różnych, a jednak czasem wzajemnie wymiennych cegiełek. Wszystko opiera się na uzyskaniu właściwego ich zestawu. Wielki Budowniczy w większości o to zadbał.

- Ma pan na myśli Boga?

Milczenie. Potem:

- Tak - potwierdził Lapp.

- Co pan rozumie przez „w większości”? - zapytała Amanda.

- „W większości o to zadbał”?

- Cóż, niektórzy aroganccy przedstawiciele naszego gatunku wierzą, że mogą wziąć się sami za pracę Budowniczego. Widzi pani, my postępujemy bardzo ostrożnie, szanując integralność każdej cegiełki. Ale kiedy się rozbi-ja cegły...

Odgłos uderzenia dłonią o dłoń.

- Kiedy się łata, grzebie wewnątrz cegiełek, wtedy mogą się zacząć kłopoty - dokończył Lapp.



- Przycinanie genów - skomentowała Amanda.

- Tak - potwierdził Lapp.

- Ale pana ludzie szanują cegiełki i jedwabny lek działa w ten ...sposób?

- Cegiełki jedwabiu znoszą efekty działania tych złych. Nienaturalna prędkość maleje i budynek jest w stanie przetrwać trzęsienie ziemi.

- Rozumiem - powiedziała Amanda. - To działa prawie jak przeciwciała...

- Nie, nie całkiem - przerwał jej Lapp. - Przeciwciała łączą się z intru-zem i niszczą go. Nasze lecznicze cegiełki tylko blokują działalność innych -

tworzą rodzaj tarczy wokół reszty żywego budynku, wokół najmniejszego jego elementu, tak żeby mógł działać zgodnie z przeznaczeniem. Nic nie ulega zniszczeniu.

- Jak podaje się lek - uzdrawiające cegiełki? Wy nie uznajecie zastrzyków, prawda?

- Niektórzy wśród nas uznają. My tutaj nie - po co dziurawić budynek, nawet w dobrym celu? Nie, lepiej wprowadzić cegiełki w naturalny sposób...

- Czyli? - naciskała Amanda.

- Można doustnie, w napoju - wyjaśnił Lapp. - Można wziewnie, przez nos, w formie oparów. Można poprzez skórę z medycznego opatrunku, wówczas cegiełki naprawcze przenikają przez pory. Można nawet w trakcie uprawiania miłości... Nasza tradycja i badania odkryły wiele dróg. Niektóre działają szybciej niż inne, inne są bardziej prewencyjne niż lecznicze. Wszyscy ludzie z mojej grupy wzięli środki zapobiegawcze - nie tylko przeciwko tej chorobie, ale również wielu innym czynnikom atakującym nasze ciała, zarówno wytworzonym przez człowieka, jak i naturalnym - w dzieciństwie, w domowej roboty słodyczach albo w dojrzałym wieku, jeśli środek jest nowy. Dlatego żyjemy nie gorzej niż wy, choć bez waszych wypełnionych maszynami szpitali i doktorów medycyny... Doktor D 'Amato oczywiście przyjechał tu zbyt późno na jakąkolwiek prewencję. Był w ciężkim stanie, potrzebował leku.

- Wiem, że woli pan nie rozmawiać o wirusach - powiedziała Amanda

- ale czy wasz lek nie zawiera jednego z nich - retrowirusa - który przenosi fragmenty DNA jedwabnika do genomu leczonego człowieka? Czy tak to działa?

- Pochodzące z różnych organizmów cegiełki - które wy nazywacie sekwencjami DNA - czasami mogą się wymieniać między gatunkami - odparł Lapp. - Nic więcej nie musimy wiedzieć. Wirusy to tylko dzisiejsza naukowa nazwa starożytnych złych duchów.

- OK - zgodziła się Amanda. - A wy od jak dawna znacie tę chorobę i ten lek? Od wieków?

- Dłużej - sprostował Lapp. - Specyficzne właściwości jedwabiu znane są od tysięcy lat. Herbata też

ma sporo korzystnych cech. Obydwa te produkty niezmiernie ceniono w Chinach i nie bez powodu. A nawet przed powstaniem Chin...

- Herbata i jedwab - powiedziała Amanda. - Czy ich efekty są synergistyczne?

- Czasami - przyznał Lapp.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej o prewencji? - zapytała Amanda. - Co się dzieje, kiedy lek przyjmie ktoś jeszcze zdrowy? Jaki ma to wpływ na... budynek?

Telefon umilkł.

- Amos? Amos? Niech to szlag!

Zadzwońłem do londyńskiej operatorki i poprosiłem o wznowienie połączenia.

Pięć minut później odezwała się amerykańska telefonistka.

- Mam tu sygnał zajęty, ale nie jestem pewna, że o to chodzi - powiedzia-

ła. - Rozsyłają kody ISDN po całym kraju i to czasem przerywa połączenia...

- No to co, u licha, mam zrobić?

- Proszę spróbować ponownie za piętnaście minut. Może będzie już w porządku.

Połączyłem się z Amosem godzinę później - po drugiej lokalnego czasu.

Na szczęście u Amosa było pięć godzin wcześniej.

- Czy mam zacząć od początku? - zapytał.

Następnego dnia, wcześnie rano popędziłem do British Museum na Great Russell Square. Z radia w czymś samochodzie dobiegała piosenka Beatlesów - poczułem się, jakbym znów znalazł się w Columbus High School w Bronxie.

- Youve Got to Hide Your Love Away na BBC 1 - powiedział spiker. -

John Lennon napisał ją dla The Silkie...

Mallory stał przy drzwiach umówionego pokoju. Wprowadził mnie do środka i przedstawił człowiekowi siedzącemu przy stole.

- Doktor Phil D'Amato, doktor Pedro Sanches da Silva.

Pedro był niski, łysy, brodaty i miał bystre, żywe oczy. Uniósł się nieco z fotela i uściskał mi mocno

dłoń.

- Cieszę się ze spotkania z panem, doktorze D'Amato...

- Proszę mówić mi Phil...

- Słyszałem o twoich wyczynach wśród Amiszy - dokończył z silnym, bezbłędnym brytyjskim akcentem.

- Jesteś Brytyjczykiem - zdziwiłem się głupio - to znaczy...

- Tak, jestem - rzekł Pedro. - Choć moje nazwisko w oczywisty sposób zdradza iberyjskie pochodzenie mojej rodziny, zostaliśmy stamtąd wyrzu-ceni w czasie inkwizycji.

- Jesteś Żydem?

- Tak - potwierdził.

Uśmiechnąłem się.

- Ja też.

- Naprawdę? D'Amato?

- Uhm - powiedziałem. - Marrano.

- A, tak - odparł Pedro. - Hiszpańskie słowo oznaczające „świnie” -

katolicy podejrzewali niektórych z was o nieszczerze przechrzczenie się i tak to okazywali. Chylę czoła, zawsze uważałem wasze podejście za o wiele bardziej pomysłowe niż ucieczka moich przodków.

- Dziękuję...

- Panowie - wtrącił się Mallory. - Czy moglibyście zaczekać z sederem 9

do zakończenia naszego spotkania?

9 Seder [hebr.], rel. w judaizmie wieczerza obrzędowa spożywana w pierwsze dwa dni świata Paschy, (przyp. tłum.)

Pedro roześmiał się.

- Widzisz? Antysemityzm wszędzie podnosi łeb! Widzisz, Michael, Hiszpania, Amisze, doświadczenia Żydów - wszystko to ma związek z naszymi kłopotami.

- Skąd tu Hiszpania? - zdziwił się Michael.

- Skąd tu Hiszpania? No cóż, niektórzy z ostatnich neandertalczyków -

nie mających jeszcze trzydziestu tysięcy lat - zostali właśnie tam znaleźni.

Niektóre z najpiękniejszych kromaniońskich rysunków naskalnych - strop Altamiry - znajdują się w Hiszpanii. Poza tym ten kraj jest tuż obok Francji, gdzie jest i Chauvet, i Lascaux, i...

- OK, już rozumiem - Mallory usiadł i poprosił, bym zrobił to samo. -

A to ma jakiś związek z tłumaczonymi przez ciebie tochariańskimi manuskryptami?

- Widzisz - zaczął Pedro miękko - wszyscy jesteśmy powiązani.

Wszyscy jesteśmy częścią historii prześladowań jednych ludzi przez innych i wysiłków prześladowanych, by przetrwać. Tochariańskie dokumenty opowiadają o takim konflikcie, przerażającym, pomiędzy dwoma lub więcej rodzajami ludzi. Żywię głębokie przekonanie, że napisano je, by ostrzec nas

- przyszłość - przed czymś. Lecz nie bardzo potrafię pojąć, o co chodzi, bo, widzicie, ten język jest tak alegoryczny! Autor - jestem niemal pewien, że wszystkie pisma, które teraz przekładam, sporządziła ta sama osoba - usi-

łował coś wyjaśnić. Może sam - czy sama - tego w pełni nie rozumiał. Może piszący zwracał się ku metaforom dla opisu rzeczy dlań niepojętych - to równie powszechna praktyka wśród współczesnych intelektualistów. Na razie nie mogę dać tu jednoznacznej odpowiedzi.

- Kiedy dokładnie odkryto te manuskrypty - te, które teraz przekładasz? - zapytałem. - Nie w ciągu kilku ostatnich lat?

- Och, nie - uspokoił mnie Pedro. - Ostatnio odkryto mumie i relikty.

Ale te pisma są znane od ostatniej dekady dziewiętnastego wieku. W początkach dwudziestego Marc Aurel Stein przywiózł ich sporo do Europy z Kotliny Tarymskiej. Po prostu nie przetłumaczono ich prawidłowo - aż do teraz.

- Dlaczego? - zaciekawilem się.

- Cóż, to już byłaby z mojej strony czysta spekulacja - rzekł Pedro.

- Moja ulubiona forma dyskusji - zachęciłem go szczerze.

- Cóż, widzisz, teksty, nad którymi teraz pracuję, zostały bardzo wcze-

śnie zaklasyfikowane jako magiczne - ze względu na częste odniesienia do śpiewaków, zaklęć fletu, et caetera. A kiedy im się bliżej przyjrano, pierwsi tłumacze potraktowali je w całości jako metaforyczne - bitwy toczy-

ły się pomiędzy dobrem i złem w duszy, a nie w rzeczywistym świecie.

- Ale ty uważasz inaczej - powiedziałem.

- No, tak - potwierdził Pedro. - Ludzie umierają teraz na dziwaczne schorzenie - tochariańskie manuskrypty mówią o chorobie we krwi.

- Czy mogą w nich jeszcze znajdować się wzmianki o neandertalczykach? Wiem, że w twoim przekładzie wspominasz o „brutalach”!

Pedro potrząsnął głową.

- Nic tak jednoznacznego, jak byśmy sobie życzyli - oczywiście mnó-

stwo współczesnych ludzi można by nazwać brutalami. Ale częste wzmianki o śpiewakach i brutalach odnoszące się do tej samej rasy są intrygujące.

Uważamy, że neandertalczycy mogli mieć flety. Można sobie wyobrazić, że śpiewali. A jeśli Binkerton ma rację, twierdząc, że mowa zaczęła się w pieśni, cóż...

- Dość mizerne powiązanie - skomentowałem.

- Mamy coś lepszego, na czym moglibyśmy się oprzeć? - zapytał Mallory.

- Nie - przyznałem. - Kim są przeciwnicy w bitwie? - zwróciłem się do Pedra. - Brutalni śpiewacy, dla potrzeb dyskusji nazwijmy ich neandertalczykami, a po drugiej stronie kto? Wcześni kromaniończycy?

- Przypuszczalnie - rzekł Pedro.

- Czyli nasz tochariański autor jest historykiem opisującym starożytną bitwę, o której wiedział, czy wiedziała. Ale skąd? Z tradycji ustnej?

- Nie - Pedro potrząsnął głową. - To też nie wydaje mi się bardzo prawdopodobne.

- No to skąd? - naciskałem.

- Noo, nie mogę być pewien, ale formy gramatyczne czasowników używane w tych tekstach - a typy czasów są zupełnie pewne - sugerują, że autor pisał w czasie teraźniejszym.

Twarz musiała mi się cała zmienić z niedowierzania.

Mallory uśmiechnął się.

- No i dochodzimy do puenty - powiedział z uciechą.

- Chwileczkę - wtrąciłem się. - Twierdzisz, że te manuskrypty naprawdę mają trzydzieści tysięcy lat?

Dla mnie byłaby to zupełna nowość. I jakie odkrycie!

- Nie - zaprzeczył Pedro. - Są datowane w okolicy roku 750 naszej ery, plus-minus zwykle parę lat.

- Więc...

- Właśnie - rzekł Mallory. - On mówi, że jeśli śpiewający brutale naprawdę są neandertalczykami i ten tekst naprawdę jest reportażem a nie wymyślną alegorią, to opisana w nim jest swego rodzaju eksterminacja neandertalczyków mająca miejsce w 750 roku naszej ery.

## SIEDEMNAŚCIE

Następnego dnia dołączyłem do Pedra w restauracji koło Galerii Serpentine w Hyde Parku. Mallory zajmował miejsce przy stoliku, ale akurat odszedł do telefonu.

- To jest pułapka na turystów, rozumiesz - powiedziałem przeproszająco i poszukałem w karcie pieczeni wołowej.

Pedro wzruszył ramionami.

- Czasami turyści mają rację. Tłumnie odwiedzają nasze Muzeum Jedwabiu - dzięki czemu w moim małym miasteczku ludzie mają pracę. Nastawiłem uszy.

- Muzeum Jedwabiu?

- O, tak - potwierdził Pedro. - Muzeum Jedwabiu w Macclesfield - ma-

łym, kupieckim miasteczku, hm, mniej więcej siedemdziesiąt kilometrów od Manchesteru. Słyszałeś o nim, prawda?

- Cóż, oczywiście słyszałem o Manchesterze...

Pedro uśmiechnął się do mnie.

- Macclesfield było centrum produkcji jedwabiu od czasów napoleoń-

skich - nie lubimy ich tam tak nazywać, ale oczywiście takie były. Ludzie pracowali na krosnach Jacquarda jak niewolnicy. Luddyści nienawidzili tych krosien, ale to w końcu one utrzymywały ludzi przy życiu. Zawsze zgadzałem się z Haykiem 10, że oczywiście przemysłowcy byli odpowiedzialni za proletariat, bo robotnicy nie przeżyliby, gdyby nie ich pracodawcy i stworzony przez nich standard życia. Karol Marks nigdy tego nie rozważał! Zgadzasz się?

10 Friedrich August von Hayek (1899-1992), ekonomista austriacki, w 1974 laureat Nagrody Nobla wraz z G Myrdalem za teorię monetarną i analiz współzależno-

ści czynników ekonomicznych i społecznych. Przedstawiciel nowej szkoły wiedeń-

skiej. Profesor London School of Economics i uniwersytetu w Chicago.

- Cóż...

- Właśnie! A teraz, oczywiście, wszystko odbywa się inaczej - jedwab produkowany jest na różnych mechanicznych krosnach - w Macclesfield powstało więc muzeum dla upamiętnienia krosien Jacquarda i dobrobytu, który przyniosły tej okolicy. To niesamowite urządzenie. Oczywiście Jacquard nie był jedynym, który wynalazł tę maszynę. Monsieur Falcon wy-myślił karty perforowane, a Jacques de Vaucanson - wiesz, ten wynalazca mechanicznej kaczkę, która pożywiała się i wydalala... O, przepraszam, nie powinienem o tym opowiadać przy posiłku...

- Nie, nie, mów dalej, proszę - nalegałem. - Co z tymi kartami perforowanymi?

- Karty? Cóż, wycięte w nich otwory tworzą kod, jak we wczesnych komputerach, który kontrolował tkanie jedwabiu, rozumiesz. Jestem pewien, że Charles Babbage”...11

11 Charles Babbage (1792-1871), matematyk angielski, pionier informatyki. Profesor uniwersytetu w Cambridge, od 1816 członek Royal Society. W 1833 zaprojektował pierwszą maszyną analityczną działającą na zasadzie zbliżonej do zasady działania współczesnych komputerów cyfrowych, nazwana „młynkiem arytmetycznym”. (przyp. tłum.)

Pojawił się Mallory, ponury i wściekły.

- Przepraszam cię na chwilę - zwrócił się do Pedra i skinął na mnie.

- Oczywiście - zgodził się Pedro.

Chciałem z nim porozmawiać dłużej, ale Mallory sprawiał wrażenie, że nie będzie tolerował odmowy. Kiedy odchodziliśmy od stolika, szepnął mi szybko do ucha:

- Próbowali zabić Amandę - nic jej nie jest, ale próbowali ją zabić! Jestem pewien!

- Co się stało? - położyłem mu dłoń na ramieniu, próbując go uspokoić.

- Nie wiem dokładnie. Ma w skórze wszczepione urządzenie podsłuchowe - nawet ona o tym nie wie - które przechwytyje wszystkie jej rozmowy.

- Jesteście naprawdę niesamowici - mruknąłem. - Co zrobiliście, Q

wcisnął jej to w czasie wizyty u dentysty?

- Nieważne - Mallory na wpół krzyczał, na wpół szeptał.

- Rzecz w tym, że ten podsłuch rejestrował wszystko, co mówiła i co do niej mówiono - oprócz telefonu. Był za mało czuły, żeby wychwycić dźwięki ze słuchawki, nie do tego go przeznaczono. Ale wszystkie pozosta-

te dźwięki przekazywał do anten komórkowych, z których trafiały do konsulatu brytyjskiego w Nowym Jorku, a stamtąd do nas...

- Rany, a KGB nic na was nie miało.

- ... i właśnie dostaliśmy ostatni raport. Była w hotelu, odebrała telefon od kogoś, wyszła z pokoju - a potem łup, na jakieś piętnaście minut straciła przytomność. Słyszałem, jak zwała się na podłogę i odtąd panowała cisza, dopóki ktoś, najwyraźniej ochroniarz, nie zaczął mówić „Wszystko w porządku, miss?” Co się jej u diabła stało?

Potrząsnąłem głową. Ani przez moment nie sądziłem, by zemdlą.

- To samo przydarzyło się Lumowi, Mosesowi... ale ona żyje?

- Tak - potwierdził Mallory. - Nic jej nie jest. Ale nie mam bladego pojęcia ani co, ani dlaczego się jej przytrafiło. Ten człowiek, który do niej dzwonił, musiał coś schrzanić...

- No cóż, jej dobre samopoczucie to krok we właściwą stronę - powiedziałem. - Jeśli ten zamach na nią się nie udał, to może w końcu zrobiliśmy coś jak trzeba, cokolwiek to jest.

Mallory zaklął.

- Sprawa wymyka się spod kontroli - zupełnie.

- Nie - zaprzeczyłem. - Już od bardzo dawna znajdowała się poza kontrolą. W najlepszym razie powoli zbliżamy się do zrozumienia, co się dzieje.

- Co? Czy Pedro powiedział ci na temat tochariańskich manuskryptów coś użytecznego?

- Tak, owszem - przyznałem - i może też coś użytecznego o jedwabiu.

A próba zabójstwa Amandy oznacza, że być może w którymś ze swoich wywiadów na coś trafiła, a to może poważnie zawęzić krąg poszukiwań.

- Byłeś przy wywiadzie z Antonescu, ale nie przy tym u Amisza - zauważył Mallory. - Cały czas ci powtarzam, że niepokoją mnie ci farmerzy anabaptyści...

- Słyszałem też cały wywiad u Amisza - przerwałem mu. - Tu też nie było nic zaskakującego.

- Ale Amanda mówiła mi, że była przy tym tylko ona i...

- Wiem - potwierdziłem. - Nie pojechałem z nią do Pensylwanii, ale my też mamy magnetofony, wiesz?

Mallory tylko potrząsnął głową.

- Będzie jutro rano składała raport, u mnie w biurze. Bądź tam o dziewiątej, punkt.



Sekretarka Mallory'ego wprowadziła mnie do środka.

Amanda leżała na kanapie z zamkniętymi oczami.

Na krześle obok siedział wysoki, wymizerowany facet w szarym garni-turze.

Mallory zobaczył mnie, podniósł palec do warg i gestem wskazał mi krzesło.

- Dobrze - szepnął. - Jesteś. Już prawie możemy zaczynać. Soames wprowadził ją w lekki trans, to daje największe szanse odkrycia, co się stało.

Popatrzył na Soamesa.

- Gotowa?

Soames skinął głową. Wpatrzył się intensywnie w zamknięte powieki Amandy i zaczął mówić łagodnie:

- Powiedz nam, co się wydarzyło w pokoju hotelowym po rozmowie z Michaelem. Opowiedz o wszystkim co myślałaś, wszystkim co się działo i swoich na to reakcjach.

Mówił bardzo łagodnie, ale z naciskiem. Amanda zareagowała natychmiast.

- Przede wszystkim co najważniejsze - zaczęła mówić równie do siebie jak do nas. - Pomimo, że BBC płaci mi za wyjazdy a nawet za pokój w Hiltonie, chciałam noc w Nowym Jorku, po wywiadzie w Pensylwanii, spędzić w Plaza, ale ceny tego hotelu wykraczają poza budżet. No cóż, lepszy Hilton niż Holiday Inn - kiedy ostatnio byłam w Stanach, w takim właśnie hotelu, przy basenie jakiś facet obmacywał mnie po tyłku. W każ-

dym razie... zadzwonię do Beeb później, po porządnym obiedzie.

- OK - odezwał się Soames. - Co się wydarzyło potem? Czy już za-mówiłaś obiad?

Amanda skinęła głową. Widziałem jej oczy poruszające się pod powiekami, jakby obserwowała opowiadane wydarzenia.

- Tak. Obsługa powinna już tu być. Czemu tak długo?

- Opowiadaj dalej - ponaglił Soames. - Co się potem działo?

- Puk, puk, puk do drzwi! Patrę na swoją twarz w lustrze. „Obsługa” odzywa się za drzwiami męski głos. Miły, głęboki głos. Wyglądam przez wizjer. Nie tak atrakcyjny jak głos, ale całkiem niezły.

- Czy wygląda znajomo? Jak ktoś, kogo widziałaś kiedykolwiek wcze-

śniej?

Amanda potrząsnęła głową.

- Jesteś pewna? - naciskał Soames.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam - oświadczyła Amanda.

- No to bardzo dobrze - uznał Soames i znacząco popatrzył na Mallory'ego. – A co było potem?

- Otwieram drzwi. „Dziękuję za dostarczenie do pokoju obiadu w tak krótkim czasie od zamówienia”. Mężczyzna wchodzi z tacą i ustawia ją pomiędzy końcem mojego szerokiego łóżka, a toaletką.

Czasami zdarza mi się fantazjować, co by się stało, gdybym w takiej sytuacji otworzyła drzwi goła - całkowicie nago. Kilka lat temu pracowałam nad przekomiczną dokumentacją BBC o szkoleniu personelu hotelowego.

Mężczyzna wchodzący do pokoju kobiety ma widzieć wyłącznie jej oczy -

„pamiętajcie, oczy, nic więcej oprócz oczu” - materiały szkoleniowe podkreślają bardzo wyraźnie, że wszelkie zerknięcia na ciało gościa płci przeciwnej, nieważne ubrane czy nie, są absolutnie zabronione...

- Rozumiem - przez usta Soamesa przemknął ślad uśmiechu. - Proszę, opowiedz, co było dalej.

- Mężczyzna uśmiecha się do mnie, przygląda mi się od stóp do głów.

Nie zaliczyłeś kursu. Dziękuję mu i wsuwam jednego dolara w dłoń.

Sklania się lekko, mówi „Dziękuję” i wychodzi, nie patrząc na banknot.

Cóż, punkt dla niego.

- OK - powiedział Soames. - I zjadłaś ten obiad?

Amanda skrzywiła się.

- Nie cały. Stek jest średnio wysmażony. Wygląda bardzo dobrze. Od-krawam kawałek - ale, psiakrew, dzwoni ten cholerny telefon. Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju na pięć minut? Mimo wszystko biorę kęs -

zbyt jestem głodna. Odbieram telefon z pełnymi ustami - bardzo nieładnie!

- OK, zrelacjonuj nam teraz rozmowę. Tak dosłownie jak tylko potra-fisz.

- Mówię: „Tak?... Hej, halo! Oczywiście, że tak! Właśnie teraz?.. OK, dobrze, daj mi parę minut... Jasne, kawiarnia będzie znakomita”.

- Z kim rozmawiasz, Amando? To bardzo ważne.

Amanda zmarszczyła brwi; po chwili cała twarz ściągnęła się jej w wyrazie intensywnego namysłu. Potem powoli potrząsnęła głową.

- Nie wiem - wyznała żałośnie. - Nie pamiętam.

Mallory pochylił się ku mnie i zaszeptał:

- Cokolwiek się wydarzyło, najwyraźniej uszkodziło ten fragment jej pamięci - lekarze mówią, że może to być szok pourazowy.

- Selektywna amnezja - potwierdził Soames. - Dość powszechne zjawisko - ofiara blokuje najbliższe złemu doświadczeniu wydarzenia, które do niego doprowadziły. Oszczędza sobie w ten sposób dużo bólu. Czasem uparty hipnoterapeuta potrafi te wspomnienia wydobyć, najczęściej się to nie udaje.

Mallory westchnął.

- No dobrze - zrezygnował. - Niech opowiada dalej.

Soames skinął głową i poinstruował Amandę.

-

Pozarłam mniej więcej połowę steku - powiedziała. - Palę się do tego spotkania, ale nie ma co dodawać mu akompaniamentu z mojego burczącego-go brzucha. Mmmmm... Ale to pyszne. Powinnam przebrać się z tych nie-bieskich dżinsów w coś bardziej eleganckiego. Może powinnam zadzwonić do Michaela i powiadomić go o tym spotkaniu? Nie. Będzie na to czas później. Wystarczająco długo czekałam na nie.

Mallory zaklął cicho.

- OK, Amando - odezwał się Soames. - Teraz opowiedz mi, proszę, dokładnie wszystko co się wydarzyło, wszystko co widziałaś.

- Jestem w windzie - mówiła Amanda - zjeżdżam na parter. Do kawiarni prowadzi długi korytarz. Wszystko wyłożone jest szarym dywanem.

Idę, jak mogę najszybciej - uch! Coś ukuło mnie z tyłu uda. To boli. Robi mi się niedobrze. Czuję się bardzo zmęczona. Gdybym tylko mogła na chwilę położyć się na podłodze... Och, to wspaniałe, takie przyjemne... Ale dywan drażni mi twarz... Boję się; proszę, niech mi ktoś pomoże! Ale nie pamiętam, jak się mówi. Jestem przerażona...

Jej twarz zmieniła się w morze skrzywień i wzdrygnięć. Soames pochylił się do Mallory'ego.

- Powinienem ją z tego natychmiast wyprowadzić.

- Jeszcze odrobinę - nalegał Mallory.

Soames zawahał się, skinął głową.

- OK - zwrócił się kojącym głosem do Amandy. - Nie bój się; nic ci nie jest. Jesteś zupełnie zdrowa, naprawdę. Czy możesz powiedzieć, co się następnie wydarzyło?

Amanda powoli skinęła głową.

- Ktoś mnie odwraca. Przyciska głowę do mojej piersi. Śmierdzi whisky! „Bogu dzięki! Wciąż oddycha!” mówi. „Ostatnia rzecz, jakiej hotel mógłby sobie życzyć, to jakaś kosztowna dziwka przewracająca się i odwa-lająca kitę w korytarzu”. Obok stoi drugi mężczyzna.

„Wezwij pogotowie”, mówi.

Tak strasznie się boję...

Amanda zaczęła żałośnie skomleć.

- W porządku, wyprowadzaj ją - powiedział Mallory, szczęki chodziły mu z wściekłości i frustracji.

- Chyba całkiem nieźle orientuję się, co się stało - powiedziałem. -

Amanda miała piekielne szczęście.

- Teraz zaśniesz - Soames instruował Amandę. - Głęboko i spokojnie.

Potrzebujesz wypoczynku. Wszystko jest w porządku. Kiedy się obudzisz, za kilka minut, będziesz się czuła znakomicie...

Wargi Amandy rozchyliły się, twarz odzyskała urodę, całe jej ciało od-prężyło się na kanapie do stanu pełnej nieświadomości...

Mai lory przegonił Soamesa i mnie do sąsiedniego pomieszczenia.

- No dobrze - powiedział, kiedy usiedliśmy. - Powiedz nam, co się według ciebie wydarzyło.

Opowiedziałem im o wywiadzie Amandy z Lappem, jak doszło do wspomnienia o „środkach zapobiegawczych” - Amiszowskiego odpowied-nika szczepień przeciwko chorobom i „atakam” na ciało.

- Lapp podał jej „fosforan jedwabiu”, zanim wyjechała z Lancaster -

wyjaśniłem. - „Najsmaczniejszy sposób wprowadzenia czynników blokują-

cych do organizmu”, powiedział. Amanda mówiła, że była to mlecznobiała ciecz o smaku wody mineralnej...

- Uważasz, że to spowodowało jej zasłabnięcie w hotelowym korytarzu, kilka godzin później? - zapytał Mallory.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyłem. - Uważam, że ktoś wprowadził

jakąś truciznę do jej ciała, za pomocą igły czy czegośkolwiek - chodzi o to

„ukłucie”, które poczuła, jak mówiła, z tyłu uda - a Amiszowski fosforan uratował jej życie. Jego składniki blokują truciznę - tak jak to wyjaśniał

Lapp - i unieszkodliwiają ją.

- Bardzo głęboko wierzę w homeopatię - powiedział Soames - ale nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek natrafił na coś takiego.

- Wciąż jeszcze nie wiem, dlaczego jesteś taki pewien, że ten Amiszowski napój był antidotum, a nie źródłem kłopotów - oznajmił Mallory.

- Bo znam tych ludzi - odparłem. - Johna Lappa i Amosa Stoltzfusa.

Oni uratowali mi życie. Raz podali mi antidotum na alergen, który zabił

mojego przyjaciela i nic mi nie było. A dwa miesiące temu podali mi swój

„lek” na zimnofuzyjnego wirusa, który zabił Dave'a Spencera.

- Może po prostu chcieli, żebyś im wierzył - powątpiewał Mallory.

- Nie - zaprzeczyłem. - Oni walczą z tym samym wrogiem co my - ja-kaś pradawną, podobną do Amiszy grupą, mającą pewne powiązania z neandertalczykami. Jestem tego absolutnie pewien.

- Ale nie wiesz, kto należy do tej grupy - zauważył Mallory.

Wstałem i podeszedłem do drzwi.

- Jestem umówiony w Manchesterze na lunch z kimś, kto może po-móc. A potem muszę złapać samolot. W międzyczasie, kiedy Amanda się obudzi, zapytaj ją o fosforan jedwabiu - przynajmniej w tej sprawie będzie mogła mnie poprzeć. Zróbcie jej też porządną analizę krwi; nawet ponowne badanie DNA - może to wyłapie ślady trucizny.

- Wezmę cielecinę z parmezanem, tu jest znakomita - powiedziała Ma-ry Radcliff do kelnera. Obróciła się do mnie i zmarszczyła łobuzersko no-sek. - Uwielbiam włoską kuchnię.

- Ja też - przyznałem. - A ja poproszę scampi z krewetek - zwróciłem się do kelnera.

Siedzieliśmy u „Manny'ego” w Bolton, w Manchesterze. Łaskawie za-akceptowawszy moje bardzo spóźnione wczorajsze zaproszenie na lunch i rozmowę, Mary zaproponowała tę restaurację. Miała

siedemdziesiąt osiem lat, była związana z pobliskim Muzeum Jedwabiu w Macclesfield i miała reputację osoby wiedzącej wszystko na temat krosien Jacquarda. Noo, prawdopodobnie istnieli ludzie o takiej samej, może nawet większej wiedzy, ale Mary była jedyną dostępną w tej chwili.

- Opowiedz mi więc o Jacquardach - poprosiłem, dolewając jej czerwonego wina z zamówionej karafki.

- Och, to wspaniała maszyna - oświadczyła Mary. - Prawdziwy cud ludzkiej pomysłowości.

- Jak działają te karty - jak kontrolują proces tkania?

- Och, karty są zakładane na cylinder zawiadujący gryfem unoszącym zaczepy. A one z kolei unoszą nici osnowy...

- Nici osnowy?

- Tak, to się kojarzy z pajęczyną! - zachichotała Mary. - Ale poważnie, osnowa to wzdłużne nici.

- OK - uśmiechnąłem się. - No to opowiedz mi więcej na temat działania kart w tych twoich pajęczych machinach.

Dopełniłem jej kieliszek.

- Gdzie skończyliśmy? - zastanowiła się Mary. - A tak, karty w krosnach żakardowych. No więc każdej igle odpowiada rząd perforacji na cylindrze. Kiedy te dwa elementy zejdą się, igły wchodzą w otwory cylindra.

Ale kiedy pomiędzy nimi znajdzie się karta, na której otwory są tylko gdzie-niegdzie, jej nietknięte obszary uniemożliwiają igłom dostanie się do wnętrza cylindra. Tak więc te igły, umocowane na sprężynach, cofają się i kiedy gryf idzie w górę, odpowiadające im haczyki nie zostają uniesione i nie poruszają nici osnowy... To naprawdę coś pięknego, rodzaj mechanicznego baletu.

- Tak, a ty pięknie o tym opowiadasz, Mary. Powiedz mi, jak przygotowuje się perforację w tych kartach?

- Najpierw rysuje się projekt, gdzie powinny się znaleźć otwory, a potem specjalna maszyna wycina je w zestawach kart. Liczba kart niezbędnych dla dowolnego wzoru równa się liczbie nici wątku - poprzecznych nici w splotcie.

- Zdumiewające - powiedziałem. - To komputer sprzed epoki komputerów, projekt jest kodem dla splotu. I wszystko to zrobiono we wczesnych latach osiemnastego wieku?

- Nooo, Falcon wymyślił część tego w 1728 roku - jego maszyny pracowały w oparciu o perforowane karty. Ale były o wiele mniej wydajne niż Jacquarda - po wybraniu kart, drugi robotnik musiał własnoręcznie ciągnąć za sznury. Krosna żakardowe wykonują to automatycznie. W tym cały urok.

- Czy tego typu urządzenia mogły pojawić się wcześniej - może nawet w starożytności? Heron z Aleksandrii i oczywiście Arystoteles wynaleźli sporo dość wyszukanych przyrządów...

- Cóż, oczywiście jest to możliwe - przyznała Mary. - Skoro nie wymagały elektryczności, to przecież czysta mechanika, w zasadzie ich wy-myślenie było w zasięgu starożytnych. Lecz tyle zostało zniszczone w trakcie pożarów Aleksandrii... Kto może wiedzieć...

Pojawił się kelner z daniami. Odwróciłem się, by wziąć talerze dla Mary i kropla wina spadła mi na krawat - jak przy każdej okazji. Strzepnąłem ją szybko.

- Bez przerwy mi się to przydarza - wyznała Mary, uśmiechając się. -

Świetna rozmowa, wspaniałe jedzenie i schludność nie chadzają razem! Tak na marginesie, ten krawat znakomicie do pana pasuje - tak samo jak garnitur. Bardzo ładny, bardzo... akademicki!

- Dzięki - ucieszyłem się. - Kupiłem ten strój w czasie ostatniej bytno-

ści w Anglii, na Savile Row.

- Cóż, jak wiesz na tweedzie Harrisa nie można się zawieść - grzeje w zimie, oddycha w lecie. Idealny dla profesora!

Roześmiałem się.

- Co kilka lat rzeczywiście mam wykłady...

- Nie jesteś profesorem? Och, przepraszam, oczywiście, mówiłeś mi.

Obawiam się, że moja pamięć krótkotrwała nie jest już taka jak kiedyś.

Jesteś lekarzem sądowym!

- Tak, ale to całkiem niezłe zajęcie - lubię sobie myśleć, że czasami jest w nim troszkę z nauki.

Mary uśmiechnęła się i zabrała do swojej cieleciny. Dotknąłem krawata.

- Mary, czy krosna żakardowe nadal są używane? Może potrafiłabyś powiedzieć, czy ten krawat i ten garnitur zostały na nich utkane?

Podniosła wzrok.

- O nie. Dzisiejsze krosna są zupełnie inne. Oczywiście generalna za-sada jest podobna jak w żakardowych, ale ich... kod, jak to nazwałeś, jest zupełnie inny.

- Hmm... - coś wpadło mi do głowy. - Jak sądzisz, czy ktoś dysponujący dużą wiedzą w tym przedmiocie - jak ty - zdołałby zanalizować ten krawat, czy inną tkaninę tak, żeby ze splotu wydedukować wzór perforacji kart, na podstawie których został utkany?

- Masz na myśli coś w rodzaju rewersyjnej inżynierii? - zapytała Ma-ry. - Mój wnuk spędził parę lat w Japonii, wrócił do domu dopiero w zeszłym miesiącu. Opowiadał mi, jak Japończycy dogonili Zachód po drugiej wojnie światowej! Brali element naszej technologii, analizowali jego dzia-

łanie, a potem budowali coś robiącego dokładnie to samo, ale lepiej i bez naruszania naszych praw autorskich...

- Naszych patentów.

- Tak, naszych patentów. Ale owszem, sądzę, że wydedukowanie wzorca ze splotu jest możliwe - jednak czy nie łatwiej byłoby obejrzeć wzory kart i sprawdzić, które najlepiej pasują do tkaniny?

- Na pewno - potwierdziłem. - Ale ja myślałem o starożytnych tkani-nach, dla których karty - jeśli w ogóle istniały - są już niedostępne. Możemy więc pracować wyłącznie na splotach, wynikach działania kodu...

- Och, już rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Mary i dokoń-

czyła swoją cielecinę. - To byłoby w pewien sposób coś jak DNA, prawda?

Właśnie miesiąc temu na BBC był wspaniały program o projekcie poznania ludzkiego genomu. I tam podkreślono, że wyniki działania tego kodu mamy wszędzie wokół nas - w naszym wyglądzie, w zachowaniu i tak dalej - ale wcale jeszcze nie rozumiemy go do końca...

Dowody... Informacja... Wiadomości... to chleb powszedni mojego zawodu lekarza sądowego. A przynajmniej znajdowanie ich w niespodziewa-nych miejscach... wypowiedane przez twarze, które wcale nie wyglądały tak, jak powinny...

Niektórzy ludzie nazywają lekarzy sądowymi „rzecznikami umarłych”.

Jednak mój zawód to coś troszkę innego: byłem słuchaczem umarłych...

nasłuchiwałem wiadomości, które mógł mi przekazać denat, poszukiwałem oznak, które niewytrenowane oko mogło łatwo przegapić...

Wiadomości otrzymywało się w różnej formie. Na przykład tochariań-

skie manuskrypty - przekazy świadomie pozostawione dla kogoś, może dla nas - jaki mógłby być inny powód, dla którego jakikolwiek człowiek, jaka-kolwiek istota inteligentna wzięłaby się w ogóle za zapisywanie czegokolwiek, oprócz chęci przekazania komuś informacji?

Oczywiście DNA w każdym człowieku, w każdej żywej istocie, też zawiera wiadomości - kod w formie recepty konstrukcyjnej żywych organizmów, które mają działać i zachowywać się tak i tak. Jasne, że te wieści są najprawdopodobniej nieintencjonalne - chociaż, jak rany, sam miałem kilka starć z bardzo jednoznacznymi, paskudnymi przekazami tkwiącymi w nu-kleotydach. Ale kto wie, jakie - według zamierzeń starożytnych hodowców



- informacje genetyczne miały przekazywać ich rośliny i zwierzęta? Oczywiście nikt nie może dać żadnych gwarancji, na ile zamierzona była prehistoryczna hodowla - od jak dawna była świadoma i kto ją prowadził?

Skoro jedynym dostępnym źródłem informacji są mutujące organizmy żywe, zapis jest z definicji niestabilny...

Więc manuskrypty tochariańskie, sam DNA, wszystko to prawdopodobnie miało związek z obecnymi wydarzeniami - we wszystkim zawierała się wiadomość albo wiadomości powiązane z tym wirusopodobnym czymś, powodującym śmierć, zniekształcającym datowanie węglem radioaktywnym, upodabniającym niektóre swoje ofiary do neandertalczyków... Wariackie schorzenie zdające się łamać wszelkie prawa fizyki i biologii - choroba, wobec której jedwab najwyraźniej stanowił pewną ochronę, a nawet lek.

Była też teoria Luma o sekwencjach Bombycidae w każdym z nas - w pewien sposób zbieżna z wypowiedziami Johna Lappa o cegiełkach budowlanych i blokujących czynnikach. Przyjmijmy, jako hipotezę roboczą, że neandertalski DNA nie zawiera fragmentów Bombycidae - ich pojawienie się w ludzkim genomie być może zbiega się w czasie z powstaniem kromaniończyków albo nawet było przyczyną tej przemiany ewolucyjnej. Neandertalczyki, niemal eksterminowani przez nową rasę, odpowiedzieli jakąś chorobą, która znosi efekty sekwencji prządkowatych i przemienia swoje ofiary z powrotem w neandertalczyków. Kromaniończyki - Homo sapiens sapiens - zaczęli cenić jedwab, pochodzący od należącego do rodziny Bombycidae motyla Bombyx mori, ponieważ kontakt z nim albo chroni przed chorobą, albo przywraca pewne skutki genomowych sekwencji rodziny prządkowatych...

Wciąż mnóstwo domysłów i za mało dowodów. Do sprawdzenia tych hipotez najlepiej byłoby mieć czysty, niewątpliwy genom neandertalczyka -

ale takim nie dysponowaliśmy. Wciąż też rodziło się mnóstwo pytań. Dlaczego wirus nie tylko zmienia ofiary w neandertalczyków, ale również je zabija? Jak bardzo jest rozpowszechniony?

Jedyny sposób na poczynienie jakichkolwiek postępów w tej sprawie, to metoda małych kroków...

Większość z tych przemyśleń przedstawiłem następnego dnia Mallory'emu i zasugerowałem następny, niewielki obiekt dla naszej obserwacji.

- Uważasz, że odpowiedź tkwi w cholernej błękitnej chusteczce? -

krzyknął.

- Nie twierdzę, że to pełna odpowiedź, absolutnie. Uważam tylko, że powinniśmy się temu dokładniej przyjrzeć. Przeoczyliśmy ważne źródło informacji. Sam splot materiału tej chusteczki może zawierać fragmenty tej układanki -

na miłość boską, przez dwa wieki jedwab tkano, używając komputerowych kart perforowanych! Cała

sprawa dotyczy informacji - DNA, pismo, wzory splotów tkackich, wszystko to może nieść w sobie wiadomości dla nas.

- Jedwab nie jest jedyną tkaniną - zaproponował Mallory. - Dlaczego nie zbadać każdej bawełnianej chusteczki, którą ktoś kiedyś wytarł sobie czoło?

- Bo o jedwab ocieramy się od samego początku tej sprawy - odparłem.

- Błękitna chustka, którą znaleźliśmy w Nowym Jorku przy tych pierwszych zwłokach, była jedwabna. Antonescu ma obsesję na punkcie tego materiału - i powinien, skoro najwyraźniej leczy z tego przeklętego wirusa neandertalskiej śmierci, czy co to tam jest. Amisze także darzą go dużą estymą...

- Ani nasza mumia w LSE, ani zwłoki w Toronto nie miały przy sobie jedwabnych chusteczek - przypomniał Mallory.

- To dodatkowo potwierdza moje przeczucia - upierałem się. - Zaczynam sądzić, że Londyn i Toronto to tylko mylne ślady przygotowane przez kogoś, ktokolwiek za tym stoi, mające na celu skierowanie nas na fałszywy trop. Od początku ośrodkiem wydarzeń jest Nowy Jork; sam to mówiłeś...

- Dwie osoby zamordowano w Toronto i wciąż jeszcze nie odnaleziono ciała Gerry'ego.

- To prawda - przyznałem. - Ale nawet jeśli będziemy o tym pamiętać, to żadne ciało nie wróciło do życia ani w Toronto, ani w Londynie. Żaden prawdziwy, żywy neandertalczyk, który twierdzi, że powinien mieć trzysta świeczek na urodzinowym torcie, nie pojawił się nigdzie poza Nowym Jorkiem. A także to w naszym mieście była jedwabna chusteczka na nie-boszczyku.

- OK - Mallory podniósł ręce do góry. - Sprawdź tę chusteczkę. Czy w ogóle masz pojęcie, jak zdekodować wiadomość, jeśli w ogóle zdołasz ją uzyskać ze splotu?

- Nie - przyznałem. - Ale pracuję nad tym. Panna Marple jest chętna do pomocy, a najwyraźniej napisała książkę o tkactwie jedwabiu i krosnach Jacquarda...

- Panna Marple?

Uśmiechnąłem się.

- Tak, Mary Radcliff. Uroczą damę...

- OK - ponownie zgodził się Mallory. - Baw się dobrze, a ja będę trzymał się Pedra i Tocharian, jeśli nie masz nic przeciwko temu i zobaczę, co jeszcze da się wyciągnąć z Amandy, kiedy będzie się już do tego nadawać.

Następnego popołudnia Herby zadzwonił do mnie, do hotelowego pokoju - u niego było rano.

- Co masz na myśli, mówiąc, że zginęła? - wściekłem się.

- Czasem się tak zdarza, sam to wiesz - odparł Herby. - Ta sprawa tak się toczyła, że chusteczka nie wydawała się istotna. Wiesz, jak to jest. Przez całe miesiące nikt nawet o niej nie wspomniał. Po śmierci Dave'a dokona-

łem kilku przesunięć wśród pracowników - tak się zazwyczaj dzieje. Najprawdopodobniej ktoś ją wyniósł, to wszystko - może któryś ze znajomych Dave'a chciał mieć pamiątkę.

- Gówno prawda.

- Uspokój się, Phil. Sprawdzam to - może coś się wyklaruje. Mamy nazwiska i adresy wszystkich osób, które miały dostęp do pomieszczenia z dowodami.

- Przede wszystkim nie powinieneś pozwolić jej zniknąć - warknąłem.

- Cholera jasna, coś zaczęło się w końcu składać, a ty straciłeś tę pieprzoną chusteczkę!

- Chwileczkę, Phil. Nie winię cię za to, że jesteś wściekły, ale bardzo proszę, żebyś nie robił nieuzasadnionych założeń. Kiedy po raz ostatni ty widziałeś tę chusteczkę?

- Nie jestem pewien.

- Właśnie. Więc, z tego co wiem, równie dobrze mogła zniknąć jeszcze za czasów Dave'a.

- On był zbyt ostrożny na coś takiego - powiedziałem.

- Będę udawał, że nic takiego nie powiedziałeś - odparł Herby, choć ton jego głosu wskazywał, że udawanie nie najlepiej mu wychodzi. - Z

czym jeszcze wracasz z Anglii, oprócz pomysłu z chusteczką?

- Chusteczka to właściwie wszystko - powiedziałem. - Robimy niewielkie postępy z tochariańskimi manuskryptami.

- Rozumiem - rzekł Herby. - Jak sądzę, zbliża się moment, w którym powinieneś się zbierać do domu.

- Nie ty o tym decydujesz - warknąłem.

- Tak sądzisz? Sprawdź u Dugana. Powie ci, że powiedział mi, abym -

jeśli zdarzy się nam pogadać, zanim on skontaktuje się z tobą - przekazał ci, że chce cię z powrotem - natychmiast. Znasz Jacka; broni się przed kon-frontacją. Zobaczmy więc... możemy zarezerwować ci samolot na jutro rano

- nie, czekaj, taniej będzie, jeśli zostaniesz przez weekend. No dobrze - jak ci się podoba poniedziałek?

Natychmiast po rozmowie z Herbym zadzwoniłem do Jenny.

- Palant - uznała. - OK, oddzwonię do ciebie. Odezwiała się dwadzie-

ścia minut później.

- Zaginął - powiedziała.

- Co?

- Ruth Delany też nie ma w pracy. Jedyne, co udało mi się wyciągnąć od drugiej bibliotekarki, to informacja, że Delany jest na urlopie, a ona nie ma pojęcia, gdzie jest Antonescu. Obiecała sprawdzić.

- Jasna cholera - zakląłem. - Ktokolwiek za tym stoi, zawsze świetnie wie co robić. Zniknęła jedwabna chusteczka, Antonescu jest logicznie na-suważającą się osobą do konsultacji, a teraz sam też zniknął! - Palnąłem ręką w poduszkę. - Lepiej powiadom o tym Jacka Dugana i zgłoś zaginięcie Antonescu. Masz jego numer?

- Tak - potwierdziła Jenna. - A co z Herbym?

- A pies z nim tańczył. Zadzwoń tylko do Jacka - ja idę zobaczyć się z Mallorym.

- OK - potwierdziła Jenna. - Oj, w tym zamieszaniu zapomniałam ci powiedzieć. Dzwonili ludzie z MIT, że wstępną analizą DNA siostry Amandy. Miałeś rację, że coś w tym tkwi - ona jest 22 na skali Paabo.

Wpadłem do biura Mallory'ego. Rozmawiał przez telefon. Popatrzył na mnie.

- Jasne - powiedział do słuchawki. - Zadzwoń do ciebie później.

Prześpij się trochę.

Po jego tonie oraz sposobie, w jaki na mnie patrzył, domyśliłem się, że rozmawiał z Amandą.

- To była Amanda - powiedział do mnie. - Potwierdza, że John Lapp dał jej fosforan jedwabiu i jest przekonana, że w tym środku nie było nic złego. Nie mamy jeszcze informacji od toksykologów...

- Teraz mam gdzieś fosforany - powiedziałem. - Są dwie inne sprawy, o których musimy pogadać.

Mallory sprawiał wrażenie nieco ogłuszonego.

- Po pierwsze, zaginęła chusteczka, podobnie Stefan Antonescu. Masz coś do powiedzenia na ten temat? - warknąłem na niego.

- Jezu, znowu? - jęknął Mallory, teraz pełen niedowierzania.

- Wróciliśmy, cholera, do samego początku!

- Właśnie - ależ był przekonujący, musiałem mu to przyznać.

- Zastanawiałeś się kiedykolwiek nad karierą aktorską? Bardzo dobrze wychodzi ci zszokowane zaskoczenie.

- Sądzisz, że ja miałem coś z tym wspólnego?

- Nikt oprócz ciebie i Jenny nie wiedział, że interesowała mnie chusteczka. Czy ty komukolwiek o tym powiedziałaś?

- Nikomu, oprócz, oczywiście, Amandy...

Uśmiechnąłem się ponuro.

- Ach, słodka Amanda. To druga sprawa, o której chciałem z tobą rozmawiać. Czy wiesz, że jej DNA różni się od naszego

- Homo sapiens sapiens - w dwudziestu dwóch pozycjach? Tych róż-

nic pomiędzy ludźmi jest średnio siedem, zaś pomiędzy nami, a neandertalczykami zazwyczaj dwadzieścia siedem.

Mallory popatrzył na mnie.

- Co, do jasnej cholery, zrobił twój NYPD? Wziął próbkę skóry z jej krocza w tym przeklętym nowojorskim hotelu?

- Nie, my nie działamy w ten sposób.

Mallory wymamrotał litanię barwnych przekleństw w cockneyu.

- Dziękuję - powiedziałem. - Czuję się zaszczycony. Ale nadal pozostaje pytanie: czy wiedziałeś to o Amandzie?... Oczywiście, że tak; widzę to po twojej gębie...

Mallory milczał.

- Jak ona to ukryła? - zapytałem. - Jest piękna, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jej siostra także - tak naprawdę to właśnie od niej zdoby-

łem DNA.

Już nie warto było utrzymywać tego w sekrecie.

- Chirurgia plastyczna działa cuda - odezwał się w końcu Mallory. -

Obie były bardzo bogate z domu, a nasi chirurdzy są dość utalentowani...

- Ale struktura szkieletu...

- Dowodzi to, jak sądzę, że nie wszyscy neandertalczykcy mają takie same szkielety. A może jej mieszanka genów zapewnia drobniejszą figurę?

Podejrzewam, że jeśli jeszcze dokładniej zanalizujecie jej genom, być może odnajdziecie nawet fragmenty waszej ulubionej sekwencji Bombycidae - na pewno w mieszkaniu ma wręcz skład jedwabiu. Psiakrew, z tego co pamię-

tam, wyglądała znakomicie od pierwszego dnia i operacja plastyczna dotyczyła tylko jej nosa. Wiem to tylko od niej samej, opowiedziała mi to jakieś dziesięć lat temu.

- Niech to szlag, Michael - jak mogę teraz wierzyć w choćby jedno twoje słowo?

- Bo mówię ci prawdę, Phil. Tak jak powiedziałeś na naszym spotkaniu w Yorkville, nie jestem w stanie ci tego udowodnić, ale mówię ci prawdę. Martwię się o Amandę. Przyznam nawet, że zdarzało mi się wiedzieć więcej, niż wyjawiałem. Ale jeśli chodzi o morderstwa, o to, co się przytrafiło Amandzie w Nowym Jorku, o zaginięcie Antonescu - musisz mi wierzyć, wiem tak samo mało jak ty.

Potrząsnąłem głową i odwróciłem się.

- Prawdę mówiąc, dużo o tym myślałem - ciągnął Mallory - i mocno wierzę, że znajdujesz się bliżej dowiedzenia się, co się tu dzieje, niż ktokolwiek inny. Może mylę się co do Londynu i Toronto. Nie dbam, na ile ten wasz znamienity mer oczyścił twoje miasto, które nadal jest przeklętym sraczem. Odpowiedź tkwi gdzieś w nim.

## OSIEMNAŚCIE

Jenna przyglądała się naszej torbie z zakupami, w którą sprzedawca upychał dwie butelki Valpolicelli.

- Za ciężka - uznała i zwróciła się do sprzedawcy: - Czy mógłby pan zapakować wino do osobnej torby?

Zacząłem protestować, ale szybko zrezygnowałem. Wziąłem torbę ze stekami, sałatą, chrupkim pieczywem oraz dwiema półgalonowymi flaszkami Tropicany i pozwoliłem Jennie wziąć torbę z winem. Spojrzałem na jej twarz i zdałem sobie sprawę, jak niecierpliwie oczekiwałem jej widoku dziś wieczorem, w migotliwym blasku świec, odbitym od czerwonego wina.

Otworzyłem drzwi sklepu i zobaczyłem ciężkie, ciepłe krople deszczu, jakie zdarzają się w Nowym Jorku wyłącznie w sierpniu, no, może jeszcze na początku września.

- Biegniemy czy przeczekamy?

Jenna uśmiechnęła się.

- Nigdy nie widziałam, byś na cokolwiek czekał.

Pobiegliśmy, a ja zastanawiałem się - jak zawsze gdy niosłem coś cięż-

kiego - czy dla ciała mniejszym wysiłkiem jest przeniesienie masywnego ładunku biegiem i szybkie pozbycie się go, czy powolny marsz, który wymaga mniej wysiłku na krok, ale trwa dłużej? Nigdy nie udało mi się tego sprawdzić, więc zawsze poruszałem się najszybciej, jak mogłem. Jenna dotrzymywała mi kroku, przebiegając przez jezdnię w trakcie zmiany świateł, przytulając swoją ciężką, papierową torbę, tak dużą, że z trudem utrzymywała brodę ponad nią.

- Swędzi mnie szyja - stęknęła, kiedy skręciliśmy w 85 Ulicę.

- To prawdopodobnie podrażnienie skóry przez wilgotny, papierowy brzeg torby.

- Nie, to coś innego. Zawsze mam to uczucie, kiedy przeczuwam, że ktoś za mną idzie.

Odwróciłem się i wpatrzyłem w deszcz, który właśnie stęzał.

Jenna przycisnęła mocniej torbę i przyspieszyła. Wyprzedziła mnie, potem odwróciła się szybko i niemal staranowała starszego człowieka podpie-rającego się laską. Ja z trudem wyminąłem dwa ujadające pieski na łańcu-chach...

Wtedy - co to było po drugiej stronie ulicy? Coś jakby znajomego. Ale po dokładniejszym przyjrzeniu się zalanymi deszczem oczami okazało się, że to tylko cynkowany pojemnik na śmieci, stojący pod dziwacznym kątem i niewyraźnie widoczny przez strugi wody.

Nasz oblicowany czerwonym piaskowcem dom był już blisko.

- Już prawie jesteśmy! - krzyknąłem, najradośniej jak potrafiłem.

- Dobrze! - odwrzasnęła Jenna.

Pędem wbiegliśmy na schody. Jenna gwałtownie szukała po omacku kluczy.

- Przepraszam za zbyt gwałtowną reakcję... - zaczęła.

Jakaś dłoń spoczęła na moim ramieniu...

Odwróciłem się gwałtownie...

Jenna krzyknęła i upuściła wino.

- Doktor D'Amato? Przepraszam, że pana wystraszyłem...

- Nie szkodzi - powiedziałem. Była to pani Devlin, ciekawska osoba z parteru. W każdym bloku mieszkaniowym w mieście był ktoś taki.

- Ktoś wcześniej dopytywał się o pana - powiedziała. - Znalazł pana?

- Nie. Czy był w mundurze?

- Nie, nie sędzę.

- Czy wyglądał jak jaskiniowiec?

Pani Devlin spojrzała na mnie krytycznie.

- A co to niby miałoby znaczyć?

- Cóż, usiłuję dojść kto...

- Bardzo się panu dziwię, doktorze D'Amato. Ktoś o pańskim intelek-cie i z pańskim wykształceniem powinien wiedzieć, że wygląd nie ma znaczenia. Ludzie są tacy sami. Biali i czarni, kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy, nie widzę między nimi żadnej różnicy. Wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga...

W trakcie kazania odwróciłem wzrok w stronę Jenny. Zeszła ze schodów i właśnie wsadzała ociekającą winem torbę do kosza na śmieci. Deszcz ustał, wyszło słońce.

- Wróć i kupię nowe - na wpół powiedziała, na wpół zasygnalizowała do mnie, uśmiechając się na znak, że wszystko jest w porządku...

- Nie, ja to zrobię...

- Doktorze D'Amato! Czy słuchał pan czegokolwiek z tego, co powiedziałam? Na tym właśnie polegają współczesne kłopoty - nikt już nikogo w ogóle nie słucha. Ludzie tylko gadają, gadają, gadają...

Przez chwilę rozważałem, czy nie zepchnąć pani Devlin na dół i nie pobiec za Jenną. Albo może poprosić ją, żeby pottrzymała mi torbę, kiedy pójdę za Jenną. Nie, większą uciechę sprawiłoby mi spuszczenie tej gadają-

cej maszyny ze schodów... Ale Jenna już zniknęła z pola widzenia, więc postanowiłem przynajmniej wyciągnąć od wścibskiej sąsiadki jak najwię-

cej.

- Czy może pamięta pani jakiś zarost u tego człowieka? Brodę? Wą-

sy?...

Devlin nie mogłaby okazać się mniej pomocna, nawet gdyby tego bardzo chciała. Im natarczywiej domagałem się szczegółów, tym bardziej się wycofywała, aż w końcu zaczęła twierdzić, że nie jest nawet pewna, czy ten szukający mnie mężczyzna był tu wczoraj czy przedwczoraj. Po deszczu zrobiło się gorąco i sałacie groziło zwiędnięcie, więc zakończyłem tę bezu-

żyteczną konwersację i pobiegłem na górę.



Na sekretarce czekały na mnie trzy informacje, wszystkie w odpowiedzi na wykonane dziś rano telefony.

- Phil, cieszę się, że jesteś w domu - brzmiała pierwsza. - Musimy pogadać o paru rzeczach. Przestań ukrecać łeb Herby'emu Edelsteinowi z powodu tej chusteczki - nie wolno tak cholernie załazić ludziom za skórę.

Nie tak działamy - sam to wiesz. Czasami różne przedmioty znikają z magazynu dowodów - i tego się nie zmieni... - podkreśliłem prędkość przesu-wu, zmieniając głos Jacka Dugana w wysoki pisk.

- Tu Maria Heske z Biblioteki Babsta Uniwersytetu Nowojorskiego w odpowiedzi na telefon doktora D'Amato - druga wiadomość brzmiała okropnie oficjalnie. - Ruth Delany dziś ma dzień wolny, ale jutro po dziewiątej rano będzie mogła odebrać pański telefon.

Dziękuję.

Trzecia wiadomość była od przyjaciółki Jenny - Bonnie - to z nią Jenna konsultowała się w sprawie Tocharian...

- Bonnie Mitcham, godzina 2:15, w odpowiedzi na telefon Phila. Wła-

ściwie to sama nosiłam się z zamiarem zatelefonowania do ciebie, Phil.

Ciekawa jestem, jak poszło ci spotkanie z Pedro Sanchezem w Londynie?

Wysłałam mu wczoraj e-maila z pomysłem, jak mógłby interpretować manuskrypty. Coś w rodzaju odwrócenia tego - zaraz, nie muszę teraz o tym mówić; dlatego chciałam zadzwonić do ciebie. Pedro - doktor Sanches -

zazwyczaj odpowiada na moje e-maile zaraz najbliższym rankiem, ale cóż, nie dostałam dziś od niego żadnej wiadomości, ale, noo, chyba jestem trochę roztrzęsiona w związku z tą sprawą i chciałam się upewnić, że wszystko jest w porządku...

Najwyraźniej był to jeden z tych dni, nerwowych dla każdego. Jeszcze raz przesłuchałem wiadomość od Bonnie, potem podniosłem słuchawkę i wystukałem \*69, żeby oddzwonić. Wspaniale; zablokowała tę funkcję i nie zostawiła swojego numeru w wiadomości. No dobra, zobaczmy...

Przejrzałem papiery na biurku Jenny. Zawsze trzymała najważniejsze numery telefonów nabazgrane na karteluzkach leżących na biurku... Jeśli nie znajdę ich za chwilę, powinna wrócić do domu za parę minut, ale...

O, tu jest...

U Bonnie telefon dzwonił i dzwonił. Żadnej automatycznej sekretarki.

Odłożyłem słuchawkę i zamyśliłem się. Podniosłem ją i wystukałem numer biura Mallory'ego. Żadnej odpowiedzi - oczywiście; tam było po dziesiątej wieczorem.

Wyciągnąłem swojego staromodnego Rolodexa 12 i zadzwoniłem do Mallory'ego do domu.

12 Notes w formie pudełka z kartkami zawieszonymi na kółkach (przyp. tłum.) Tu też nikt nie podnosił słuchawki. Czy dzieciaki nie miały dziś szkoły?

Nie, chyba nie; to sierpień...

Pomyślałem jeszcze chwilę i wystukałem numer domowy Amandy. Ku memu zaskoczeniu zostawiła go na wizytówce danej Amosowi - na wypadek, gdyby Lappowi przyszło jeszcze coś do głowy, czym chciałby się podzielić...

Jej aparat zaczął ćwierkać w ten charakterystyczny, brytyjski sposób...

- Mmmmm... niech maszyna to obsłuży - powiedziała Amanda. - Widzisz, jak bardzo za tobą tęskniłam? Może właśnie dzwoni ktoś z ważną poszlaką, a ja wolę zostać tu, gdzie jestem, przy tobie.

Przyłożyła głowę do piersi Mallory'ego.

- Brakowało mi bicia twojego serca - pocałowała go w pierś i westchnęła z satysfakcją.

- Chyba nasz związek staje się nazbyt poważny - odparł Mallory i po-gładził ją po plecach. - Chyba będziemy musieli coś z tym zrobić, prawda?

- Czyżby? A jak to będzie? - wyciągnęła nogi tak, że palcami zaczepi-  
ła o krawędź jego łóżka.

- Nie wiem - odparł Mallory. - Chyba będziemy się częściej spotykać.

- Ale ty jesteś żonaty.

- Wiem - odpowiedział Mallory i odsunął się. - OK. Dość na razie. Porozmawiajmy o sprawie.

- Mmmmm, lepiej nie - przyciągnęła go i przytuliła się. - Przepraszam, że poruszyłam ten paskudny temat. Przyrzekam, że dziś wieczorem nie wspomnę o nim ani razu.

- W porządku, wszystko jest w porządku - pośpiesznie zapewnił ją Mallory. - I tak musieliśmy pogadać o tej przeklętej sprawie.

- Widzisz, co porządne podupcanki mogą zapewnić dziennikarce? -

powiedziała Amanda. - Moi kumple w Beeb twierdzą, że trzeba zachrypnąć i zsinieć na gębie od gadania, zanim uda się wyszarpać z ciebie choćby najskromniejszą informację, a nawet wtedy nie są pewni, czy mówisz prawdę.

- To nie dlatego, że jesteś dobra w łóżku, rozumiesz - położył jej dłoń na tylnej stronie uda. - Raczej z powodu twojej pracy dla Scotland Yardu.

- Mmmm - pocałowała go w usta, przeciągnęła się na nim i z przyjemnością spostrzegła, jak wraca jego podniecenie...

- Och, dobra - mruknął Mallory. - Możemy o tej sprawie pogadać później...

Amanda wrzuciła kostki lodu do szklaneczki.

- O co chodzi, kochanie?

Mallory siedział wyprostowany, opierając się o wielki, mahoniowy zagłówek łóżka Amandy, z dłońmi założonymi na kark.

- Dla mnie tylko piwo imbirowe 13. Postanowiłem zdać się na los, przynajmniej do czasu, gdy ten paskudny interes się zakończy.

13 Ginger ale - czyli „piwo imbirowe” - tak naprawdę jest to dość zwyczajna (i podła...) lemoniada, z piwem mająca wspólną tylko nazwę i nic więcej... (przyp.

tłum.)

- Aż tak źle, co? Kiedy wymyśliłeś tę strategię?

- Właśnie teraz - odparł Mallory. - Patrząc na ciebie i zastanawiając się nad tym, co ci się przydarzyło w Nowym Jorku, nie czuję się zbyt pewnie jako osoba mająca wszystko pod kontrolą.

- W gruncie rzeczy nie wiemy, co się ze mną stało w Nowym Jorku.

Pamiętasz, że po prostu ocknęłam się tam na podłodze? Nawet w transie wywołanym przez Soamesa nie miałam zielonego pojęcia, kto mnie wpakował w tę sytuację.

- Właśnie - potwierdził Mallory. - Rzecz w tym, że wiemy za mało.

- Jedno ci powiem - powiedziała, zniecka rozszoszczona Amanda -

nigdy więcej nie wszczepiaj mi we śnie pluskwy po skórę - jeśli chcesz mnie jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

- OK - potulnie zgodził się Mallory

Wcześniej opowiedział jej, jak w nocy poprzedzającej jej podróż do Stanów wtarł jej we śnie odpowiednią porcję silnego anestetyku i wszczepił

jej maleńką pluskwę. Teraz nie było sensu łączyć na ten temat - ujawnienie wszystkiego było dla nich korzystne.

- Zrobiłem to po części, żeby cię chronić.

- Nie za bardzo się udało, prawda?

- Najwyraźniej nie. Bardzo przepraszam.

- Nie ma sprawy - powiedziała Amanda, wracając z piwem imbirowym i wodą Perrier dla siebie - wybaczam ci.

Pocałowała go.

- Pogadajmy więc o Stanach - zaproponował Mallory.

- Słyszałeś taśmy przechwycone przez pluskwę - wiesz, że obiecałam tym ludziom nie rejestrować ich wypowiedzi na taśmie.

- Już mówiłem, że mi przykro.

Amanda prychnęła.

- Wiesz, nie potrafię wymyślić nic ponad to, co znalazło się w tych wywiadach. Na pewno żaden z tych ludzi nie sprawiał wrażenia mordercy, to na pewno. Ten neandertalczyk okazał się absolutnym dżentelmenem; a Amisze wyraźnie odstają od standardowego obrazu, ale też są szczerzy...

- Czyli neandertalczyk wydał ci się prawdziwym dżentelmenem, hę?

- Tak, to prawda - potwierdziła Amanda. - Dlaczego...

- A ty świetnie nadajesz się do tego typu oceny, prawda?

- Tak, to znaczy, co właściwie masz na myśli...

- Ktoś mógłby powiedzieć, że masz nawet właściwą charakterystykę genetyczną do tego zadania.

Amanda milczała.

- No to widzisz, na czym polega mój problem - dokończył.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - zapytała w końcu Amanda.

- Od pieprzonego Phila D'Amato - warknął Mallory, tak wymawiając moje nazwisko, że brzmiało jak - według moich wyobrażeń - pomidor wymawiany w brooklyńskim slangu. - Kryłem cię najlepiej, jak potrafiłem -

udawałem, że wszystko wiem. Udało mi się wcisnąć trochę kitu o twojej rzekomej operacji plastycznej. Ale tak naprawdę to kim, u diabła, jesteś?

Pracujesz dla nas; pracujesz dla BBC - i dla kogo jeszcze?

- A co ty myślisz? Że jestem częścią tajnej społeczności o neandertalskich genach, dążącej do przejęcia władzy nad światem?

- To ty mi o tym powiedz - odparł Mallory.

- Sądzę, że w tej chwili na ziemi są miliony ludzi mające zestaw ge-nów taki jak mój - odezwała się Amanda cicho. - Część z nich na pewno stworzyła grupy. Niektóre z nich są bardzo stare, tak jak stare są pewne zgromadzenia Homo sapiens sapiens. Na miłość boską, chrześcijaństwo liczy dwa tysiące lat, a judaizm jest nawet jeszcze starszy.

- To prawda - potwierdził Mallory. - A czy twoja społeczność ma swoją Biblię?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła Amanda. - Nie słuchałeś. To nie jest aż tak sformalizowane. My nie dostajemy instrukcji od urzędników stojących wyżej w hierarchii.

- Nie? No to jak ci „my”, o których mówisz, pozostają w kontakcie?

- Głównie w formie wiadomości zawartych w muzyce - powiedziała Amanda. - Frazy melodyczne, chwytliwe fragmenty słów. Mogą być skomponowane przez Homo sapiens sapiens, ale inni - my - wykorzystują je do własnych celów. To jest, nie wiem, jakby cały podziemny system łączności.

Trwa już od tysięcy lat, na przykład w piosenkach ludowych, ale radio i rock and roll bardzo nam pomogły. Wiesz, jak to działa? Jest sobie muzyczny refren z piosenki Beatlesów albo stara melodia rhythm and bluesowa, które pojawiają się w mnóstwie nowych utworów - a za każdym razem, kiedy słyszemy ten motyw, dla nas zawiera w sobie jakąś nową informację.

Czasem przywołuje w pamięci jakieś przeszłe wydarzenie - spotkałam starszych ludzi twierdzących, że przy każdym usłyszeniu wczesnych piosenek Beatlesów zaczynają myśleć o zabójstwie Kennedy'ego. Sądzę, że wszyscy Homo sapiens sapiens reagują w taki sposób. Ale my odbieramy to głębiej.

Jeśli Platon miał rację, twierdząc, że nosimy w sobie wrodzoną wiedzę, nawet wspomnienia wydarzeń sprzed naszych narodzin - można by to teraz nazwać wiedzą przekazywaną genetycznie albo jungowskimi archetypami wewnętrznymi - to u naszego gatunku określone rodzaje muzyki wywołują określone rodzaje genetycznych wspomnień, określoną wiedzę. U was to chyba też występuje, na przykład gdy tonacja moll wywołuje smutek bądź

niepokój, a dur poczucie radości czy pełni. U nas te uczucia są po prostu bardziej precyzyjne, bardziej specyficzne, przekazują o wiele dokładniejsze wiadomości. Czy to wszystko ma sens? Nie wiem - sama tego do końca nie pojmuję.

- Opowiedz mi o naszej mumii, Maxie Sorosie - poprosił Mallory.

- Soros żył jeszcze po odkryciu mumii w LSE - powiedziała Amanda.

- On i te zwłoki, to dwóch różnych ludzi - podobnie jak mumia i Stefan w Nowym Jorku.

- No to gdzie teraz jest Soros?

- Nie żyje - oznajmiła Amanda. - Najprawdopodobniej zginął z ręki czy rąk tych samych nieznanych ludzi, którzy zwabili mnie do tego korytarza w Nowym Jorku.

Mallory pogładził ją po twarzy koniuszkami palców, z początku niepewnie. Potem przygarnął ją do siebie i całował w głowę, aż przestała dygotać.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

Ocknąłem się gwałtownie i popatrzyłem na zegarek. Cholera jasna, przymknąłem oczy na moment i już jest godzinę później.

- Kochanie? Jenna?

Żadnej odpowiedzi.

Bezwzględnie powinna już być w domu.

Przetarłem oczy. Byłem śmiertelnie zmęczony - wciąż żyłem według czasu brytyjskiego. Żadnej wiadomości od Mallory'ego lub Amandy w odpowiedzi na informację o Pedro, pozostawionej na jej sekretarce - czy w ogóle ją otrzymali? No cóż, będę musiał zostawić Anglię samej sobie na trochę dłużej. Teraz najważniejsza była Jenna.

Złapałem portfel, klucze, gwałtownie otworzyłem drzwi...

- Jezu Chryste! - krzyknęła Jenna. - Prawie dostałam przez ciebie ataku serca - co cię podkusiło, żeby tak raptownie otwierać drzwi?

Objąłem ją i przytuliłem... Pocałowała mnie w ucho.

- Brakuje mi tego, kiedy wyjeżdżasz.

- Mnie też.

Pod nogami wyczułem coś kruchego, szklistego. Jenna spojrzała w dół.

- Dwie butelki czerwonego wina. Mamy dziś beznadziejnego pecha.

Poszłam do Maurino na Drugiej Alei; z nieznanych przyczyn dziś zamknął

wcześniej - musiałam więc powlec się aż do rogu Lexington i Osiemdziesiątej Szóstej. A potem, w drodze powrotnej, nadziałam się na tego faceta z księgarni - chce, żebyś wypowiedział się w czasie przygotowywanego przez nich panelu o dziwnych detektywach.

- W porządku - powiedziałem. - To znaczy, przepraszam, że przeze mnie rozbiłaś wino - przyklęknąłem i ostrożnie podniosłem ociekającą torbę. - Hej, wydaje się, że jedna butelka

przetrwala mój atak paniki.

- To dobrze - ucieszyła się Jenna. - Kupiłam też lody kawowe i wiśnie morelli, więc straty nie byłyby całkowite.

Uniosła mniejszą torbę, której nie zauważyłem wcześniej.

- Całkowite straty są niemożliwe, jeśli ty bierzesz w tym udział.

Następnego ranka rozzwonił się telefon - strasznie bolesne. Jenna podniosła słuchawkę.

- ... och, czuję się świetnie. Dzięki... Jasne, zaczekaj, może brać prysznic...

Zawiesiła rozmowę i podeszła do mnie z przenośnym aparatem.

- Jack Dugan. Mam mu powiedzieć, że oddzwonisz? W kuchni jest dla ciebie śniadanie. Nie ma sensu prosić go o zostawienie wiadomości, nigdy tego nie robi.

- Nie, pogadam z nim teraz - powiedziałem i pomasowałem sobie brzuch.

Czułem się, jakby stado słoni tańczyło na nim walczyka przez całą noc.

Cholerne zmiany stref czasowych - czasami odchorowywałem je przez kilka dni, nawet po tej stronie Atlantyku. Słyszałem kiedyś o dyrektorze jakiejś wielkiej korporacji, który domagał się, by wszyscy jego podwładni pracowali w godzinach wyznaczonych przez jego strefę czasową, niezależ-

nie gdzie na świecie się znajdowali. Miła rzecz, jeśli udałoby się ją wprowadzić w życie...

- Jack - starałem się mówić jak najbardziej rzeczowo. - Jak się masz?

- Dobrze, Phil - odparł, jeszcze bardziej rzeczowym tonem. - Mam coś, co rozjaśni ci dzień. I mam nadzieję, że czegoś się z tego nauczysz: musisz jeszcze bardziej odpuścić i pozwolić się toczyć wydarzeniom. Nie zawsze zdołasz wszystko wcisnąć w swój terminarz.

Dobry, stary Jack, z nowojorskim akcentem uprawiający pseudokalifor-nijską filozofię...

- Uhm, masz rację - powiedziałem. - To co masz dla mnie?

- Cóż, właśnie skończyłem rozmowę z Herby'm - naprawdę powinieneś go przeprosić. W końcu znaleźli tę błękitną chusteczkę. Tak jak przypuszczałem, jeden z przeseregowanych przez Herby'ego ludzi Dave'a zostawił pudełko w niewłaściwym miejscu. Nie twierdzę, że zrobił to specjalnie, ale jak mówiłem, takie rzeczy się zdarzają. Więc jeśli teraz zadzwonisz do Herby'ego i przeprosisz za poddawanie w wątpliwość jego umiejętności zawodowych, to jestem pewien, że kiedy przyjdiesz do jego biura, bardzo chętnie odda ci tę chusteczkę. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie bary-kady - walczymy z tymi złymi. Nie bijmy się pomiędzy sobą, Phil!

- Masz rację, Jack - to bardzo dobra rada. Przyjmuję ją - i dziękuję!

Rozłączyłem się i oddałem telefon Jennie.

- Dobra rada?

- Pieprzyć radę, Herby znalazł chusteczkę - powiedziałem.

- Świetnie! Co zamierzasz z nią zrobić?

- Prześlę ją Mary Radcliff i zobaczymy, czy naprawdę potrafi na jej podstawie sporządzić zestaw kart perforowanych. Potem prześlemy te karty do MIT i poczekamy, może z zawartego w nich kodu uda im się wy-ciągnąć jakąś informację.

- Skąd możemy mieć pewność, że ta chusteczka to oryginał znaleziony przez Dave'a przy zwłokach? - zapytała Jenna. - To znaczy, czy samo jej zaginięcie nie niweczy łańcucha dowodów?

Uśmiechnąłem się.

- Tak, to prawda - ale nie jesteśmy w sądzie. Ta chusteczka nie stanowi tego typu dowodu. Sprawdzamy tylko, czy nie da się z niej uzyskać jakichś dodatkowych informacji. Ale zrobię próbę kontrolną - kupię jeszcze dwie chusteczki, jak najbardziej podobne do naszej i wyślę do Mary wszystkie trzy. Oczywiście nie powiem jej, która jest która.

Jeśli na podstawie wszystkich trzech opracuje takie same zestawy kart, będzie to znaczyło, że nie ma w nich żadnych informacji. Lecz jeśli zestaw z tej neandertalskiej okaże się inny - to już będzie coś.

Jenna zastanowiła się.

- Jednak nie zabezpieczysz się w ten sposób przed otrzymaniem fał-

szywych wiadomości, powiedzmy z powodu świadomego podmienienia tej chusteczki.

-

To prawda - zgodziłem się. - Jedynym sposobem ich sprawdzenia będzie sięgnięcie do innych źródeł, na przykład tochariańskich manuskryptów.

Dwie godziny później znajdowałem się w gabinecie Bonnie. Miałem złe wieści.

- Pedro Sanches nie żyje.

- O nie! - jęknęła Bonnie.

- Posłuchaj, nie zamierzam cię oszukiwać - powiedziałem. - Uważam, że bierzemy udział w swoistym wyścigu, walczymy z czymś, czy kimś, stojącym za tymi wydarzeniami. A częścią tej wojny zdaje się podejmowanie przez nich często udanych prób za bicia wszystkich osób, które zbliżają się do zrozumienia, o co w tym chodzi. Teraz są wśród nich tylko Jenna, Mallory w Anglii, może jeden czy dwóch jego współpracowników, wiem też, że ty pracujesz nad tymi tochariańskimi



manuskryptami - coś w rodzaju powtórki na podstawie tego, co dostałaś najpierw od nas, a potem bezpo-

średnio od Pedra - prawda?

Bonnie skinęła głową. Była przerażona, czułem się z tego powodu pa-skudnie.

- Nie mogę zagwarantować, że nie wie o tym nikt więcej - może już cię nie namierzają - ale mogę zapewnić, że jeśli postanowisz się z tego teraz wycofać, nikt nie dowie się niczego od nas, nigdy więcej nie będziemy z tobą o tym rozmawiać, ani się z tobą spotykać. Szczerze mówiąc, w najmniejszym stopniu nie miałbym ci tego za złe. Muszę jednak też powiedzieć, że właśnie teraz twoja pomoc byłaby bardzo użyteczna - jesteś jedyną osobą, do której w tym stadium możemy się zwrócić z manuskryptami -

jeśli zgodzisz się podjąć ryzyko.

Bonnie ponownie skinęła głową.

- Rozumiem - powiedziała.

Rozejrzałem się po jej niewielkim gabinecie przy Columbia. Ktoś kiedyś mi powiedział, że jeśli chodzi o przydział przestrzeni, doktorzy znajdują się tylko o szczebel wyżej niż toalety...

- To najbardziej ekscytująca rzecz, nad jaką kiedykolwiek pracowałam

- oznajmiła. - Zawsze miałam podwójną specjalizację - indoeuropejski wczesny celtycki oraz baskijski. Od lat usiłowałam znaleźć jakieś podobieństwa pomiędzy nimi - choćby jedno.

- Bez powodzenia?

Wiedziałem co nieco o baskijskim, a przynajmniej tyle, że najwyraźniej nie miał żadnych związków z którymkolwiek językiem indoeuropejskim.

- Zupełnie - potwierdziła Bonnie. - Każdy zbadany przeze mnie ślad -

archeolingwiści są tu prawdziwymi detektywami - każde znalezione podobieństwo okazywało się w końcu wynikiem kontaminacji późniejszymi wpływami. Rozumiesz, Rzymianie okupowali terytorium Basków, więc do ich języka wkradło się trochę łaciny...

- Tak, wiem - powiedziałem. - Ale teraz zauważyłaś jakieś powiązania pomiędzy baskijskim i tochariańskim?

- Nie, nie językowe - tylko w odnośnikach.

- Nie rozumiem - przyznałem.

- Cóż, manuskrypty napisano w czystym tochariańskim - to wczesny język indoeuropejski, tak jak się

należało spodziewać. Znalaziono je też w Kotlinie Tarymskiej. Ale są w nich pewne wzmianki dotyczące miejsc znajdujących się na najbardziej wysuniętym na zachód wybrzeżu, nad samym morzem, u stóp gór, poza tym niektóre imiona wyglądają na baskijskie.

- Hmmmm... czy to jest w magicznej części tekstu?

- Tak - potwierdziła Bonnie. - W tych częściach, które właśnie próbujemy powtórnie przełożyć. Wszystkie fragmenty klasztorne i księgi handlowe są już całkowicie gotowe. Biedny Pedro...

Gardło ścisnął jej spazm szlochu.

- Wiem - powiedziałem. - Mnie też się zbiera na płacz.

- Jesteś miłym człowiekiem - oznajmiła. - Wiem już, dlaczego ty i Jenna...

- Dzięki.

- Chcę kontynuować pracę nad tymi tekstami.

- Dobrze. Bardzo się cieszę. Ale... proszę, bądź bardzo ostrożna.

Jakby ostrożność miała tu jakiegokolwiek znaczenie!, wrzasnęło do mnie sumienie.

- OK - potwierdziła Bonnie i uśmiechnęła się.

- Jeszcze jedno - we wczorajszym nagraniu na sekretarce wspomniałaś coś o jakimś „odwróceniu”. Nie bardzo to zrozumiałem...

- Tak - zaczęła. - Wysłałam Pedrowi e-maila na ten temat. W tochariańskim słownictwie jest pewna dwuznaczność, która może stanowić tylko zbieg okoliczności albo nie. Takie sytuacje istnieją we wszystkich językach

- na przykład victor i victim 14 oznaczają przeciwstawne pojęcia, ale jeśli nie za dobrze zna się angielski i ma się częściowo zniszczoną próbkę tekstu, można zrozumieć treść nieprawidłowo - i uznać ofiarę za zwycięzcę... Rozumiesz w czym rzecz?

- Tak, z grubsza - powiedziałem. - Czy te słowa nie mają wspólnego łacińskiego pochodzenia?

- Cóż, to nie takie proste - odparła Bonnie. - Victim pochodzi od vincio

- wiązać, a victor od vinco, podbijać lub zwyciężać w bitwie. Przy tak małej różnicy, o jedno „i”, kiedyś znaczenia mogły się częściowo nakładać, być może w bardzo wczesnej łacinie było to jedno słowo. Ale mnie chodzi o to, że w angielskim zaczęły mieć przeciwstawne znaczenia - przegrany i zwycięzca, więc ktoś nie znający bardzo dokładnie tego języka, nie mówiąc już o łacinie, mógłby całkiem rozsądnie i jednocześnie zupełnie błędnie zinter-pretować albo słowo victor, albo victim 14. Czy też conquered i conqueror 15. To bardzo powszechne zjawisko w różnych językach - w tym cały kłopot. Muszę prześledzić tochariańskie...

14 victor = zwycięzca, victim = ofiara, (przyp. tłum.) 15 conquered - podbity, conqueror - zdobywca, najeźdźca (przyp. tłum.)

- Nie, nie teraz - przerwałem jej. - Skupmy się na uzyskaniu jak najlepszego, kompletnego przekładu wszystkich mających dla nas znaczenie manuskryptów w jak najkrótszym czasie. Kiedy już będziemy go mieli, wtedy zajmiemy się szczegółami i możliwymi innymi interpretacjami.

- OK.

- Dobrze - powiedziałem. - Co jednak Pedro sądził o twojej teorii od-wrócenia?

Znów zachłusnęła się spazmem na granicy płaczu.

- Właśnie dostałam zwrot e-maila z tym automatycznym dopiskiem, że listu nie udało się dostarczyć przez dwa dni, więc rezygnuje się z dalszych prób.

Następnego dnia znalazłem się w swoim gabinecie. Miło było zasiąść przy własnym biurku. Nic jeszcze nie zostało wyjaśnione, ale i tak odczuwałem przyjemność. Czasami przychodziło mi na myśl, że powinienem mieć więcej takich dni - żeby po prostu przyjść do pracy i poszukiwać jakichś śladów, jak każdy normalny lekarz sądowy. Tyle tylko, że tak się przyzwyczailem do nienormalności, iż pewnie umarłbym szybko z nudów.

Czy lepiej umrzeć (a) z nudów; (b) wskutek zakażenia dziwnym, neandertalskim wirusem; (c) od noża, jak Tesa Stewart albo (d) z powodu sztucznie wywołanej, zabójczej astmy, jak Pedro Sanches? Mallory powiedział, że ten nieszczęśnik nie miał w żadnych kartotekach medycznych Zjednoczonego Królestwa najmniejszej wzmianki o astmie, a przy tak upaństwowionej służbie zdrowia wszelkie takie zapiski przechowywane są bardzo starannie i bardzo długo. Żadnych szans, żeby śmierć Pedra nie okazała się morderstwem.

Odpowiedź: (e) żadna z powyższych możliwości. Cholera jasna, najlepiej w ogóle nie umierać.

Załatwiłem całodobową ochronę Jenny i Bonnie - wcale nie czułem się dzięki temu spokojniejszy o nie, ale lepsze to niż nic. A Mallory opracował

plan zbicia ich z tropu w sprawie prób czynionych przez Mary Radcliff.

„Ich” - wcale nie sądziłem, by ktokolwiek z nas był przed „nimi” bezpieczny.

- To dla ciebie, Phil - Megan, nowo przyjęta do policji, przyniosła mi paczkę z DHL.

- Dzięki.

Była to kasetka wideo od Mallory'ego. Przez chwilę rozważałem obejrzenie jej w pracy, ale w końcu postanowiłem zabrać ją do domu.

- Wracam za kilka godzin - powiedziałem Megan.

Przed naszym domem stał wóz patrolowy, tak jak powinien, pilnowali Jenny. Dobrze.

Włożyłem kasetę do magnetowidu i razem z Jenną zasiedliśmy do oglądania.

„Następny program BBC o 10: Raport Specjalny: „Jedwabna tajemnica”

- wywiad z Mary Radcliff z Muzeum Jedwabiu w Macclesfield”.

- Dobry wieczór - powiedziała Amanda.

Miała zaczesane w tył włosy i patrzyła poważnym wzrokiem w kamerę.

Stała przed Muzeum Jedwabiu, z Mary Radcliff u boku.

- Jedwab od bardzo dawna fascynował ludzi - kontynuowała. - Tutaj, w Muzeum Jedwabiu, znajdującym się w Centrum Historycznym w Macclesfield, wspaniałe krosna Jacquarda z dawnych dni wciąż fascynująco połyskują w blasku księżyca

Na ekranie pojawił się filmowany z powietrza szklany dach, potem kamera powoli przeszła przez szkło, ukazując stojące wewnątrz rzędy błyszczących krosien, zbliżała się, aż jedno z nich całkowicie wypełniło ekran.

- Te krosna były sterowane perforowanymi, papierowymi kartami -

niemal dwieście lat przed wykorzystaniem ich w pierwszych komputerach -

mówił dalej głos Amandy. - Produkowały piękno. Dziś rozważamy nową tajemnicę: czy te karty mogły mieć dodatkowe zastosowanie - czy mogły w dziurkowanym kodzie zawierać jakieś wiadomości z czasów wiktoriań-

skich, a może i wcześniejszych?

Jest dziś z nami Mary Radcliff, pracująca w Muzeum jako historyk i ekspert. Będzie naszym przewodnikiem po tajemnicach jedwabiu.

Tym słowom towarzyszyło pełne tajemniczości tło muzyczne.

Zachichotałem.

- Dajcie tu Roberta Stacka 16...

16 Amerykański aktor prowadzący popularny program telewizyjny „Niewyjaśnione tajemnice” („Unsolvedmysteries”), (przyp. tłum.)

- Cśśśś - uciszyła mnie Jenna.

Amanda i Mary Radcliff znów pojawiły się na ekranie.

- Pani Radcliff - odezwała się Amanda - czy to naprawdę możliwe, żeby jedwabne ubiory zawierały ukryte wiadomości? Czy to nie coś w rodzaju tej wrzawy z lat sześćdziesiątych, kiedy doszukiwano się wieści nie z tego świata w nagraniach puszcanych wosk, albo ze zmienioną prędko-

ścią? W efekcie tych zabiegów można było nagle usłyszeć na przykład coś jak „włącz mnie, trupie”.

- Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że nasze spostrzeżenia dotyczące jakichś przedmiotów są wynikiem pracy naszej wyobraźni, a nie działania ich wytwórców - powiedziała Mary. - Jednak nie oznacza to, że w jakimś nagraniu nie ma ukrytych informacji albo w jedwabiu zakodowanych słów.

Obydwie te rzeczy są w końcu wytworami rąk ludzkich. A ludzie wysyłają wiadomości, prawda?

Muzyka przycichła.

- Oczywiście, że to robimy - przyznała Amanda. - Lecz proszę mi w takim razie powiedzieć, w jaki sposób można zakodować wiadomość w jedwabiu?

Mary pokazała niebieską, jedwabną chusteczkę.

- Jeśli tę chustkę utkano na krosnach sterowanych kartami perforowanymi, wówczas badając ją, można odtworzyć te karty.

Mary odłożyła chusteczkę i podniosła plik kart.

- OK - powiedziała Amanda. - Na razie rozumiem. Ale jak od tych kart przejść do ukrytych informacji?

- Ach, to jest najciekawsze - zaczęła wyjaśniać Mary. - Naukowcy w MIT każdemu układowi perforacji przyporządkowują literę. Powtarzają to wielokrotnie, za każdym razem zmieniając przyporządkowanie. A potem komputer sprawdza, czy przy którymkolwiek wzorcu przyporządkowania litery układają się w słowa i zdania.

- Fascynujące - oświadczyła Amanda. - Lecz skąd wiadomo, czy każ-

da konfiguracja otworów reprezentuje literę albo ich ciąg? Może odpowiada całemu słowu?

- Tak, to możliwe - przyznała Mary. - Sądzę, że naukowcy w MIT

sprawdzają i tę ewentualność.

- Czyli już przekazała pani te karty do MIT i praca nad nimi już się toczy?

- Tak, wysłaliśmy karty. Teraz trwają próby ich odkodowania.

- Czyli udało się odtworzyć zestaw kart na podstawie tej chusteczki? -

upewniła się Amanda.

- O tak - odparła Mary. - Było to łatwiejsze, niż się spodziewaliśmy.

- Czy potrafi pani powiedzieć coś o wiadomości, tylko obejrząwszy karty? - zapytała Amanda.

- Niestety nie - wyznała Mary. - Bez przyporządkowania liter nie można się w nich doszukać żadnych znaczeń.

- A jakie informacje, według pani, odkryją naukowcy w MIT?

- Naprawdę nie wiem - odparła Mary. - Tę chusteczkę przysłała do nas policja nowojorska z pytaniem, czy umielibyśmy odtworzyć zestaw kart.

Zrobiliśmy to. Jak pani wie, ten kawałek jedwabiu znaleziono na zwłokach neandertalczyka...

- Czy neandertalczycy znali krosna?

- Cóż, uważam, że to możliwe - powiedziała Mary. - Lecz nie dowiemy się niczego, dopóki nie odezwą się do nas naukowcy z MIT. Sprawa nie spoczywa już w naszych rękach...

- Mary była wspaniała! - powiedziała Jenna, kiedy na ekranie, na tle muzeum, przewijała się lista osób zaangażowanych w produkcję programu.

- W udawaniu jest o klasę lepsza od ciebie.

- Dzięki - uśmiechnąłem się. - Niewielu znalazłoby się łgarzy lepszych od drobnych staruszek.

- A na ile prace nad kartami są naprawdę zaawansowane?

- Nawet jeszcze nie jest pewna, czy ta chusteczka została utkana na krosnach - na pewno nie na zakardowych, tradycyjnych czy współczesnych. Lecz muzeum ma kontakt z ogólnoświatową siecią specjalistów od jedwabiu - są muzea tego materiału w Chinach, w Japonii i innych miejscach. Mary zamierza sprawdzić w każdym z nich, w każdym miejscu, gdzie jest dostęp do krosien sterowanych kartami, na których tkano jedwab, czy splot w chusteczce pasuje do któregośkolwiek z nich. Prawdopodobnie to pogoń za mirażem.

Ale przynajmniej oświadczenie, że sprawa przeszła w ręce MIT, powinno odciągnąć od niej zabójców.

- Jestem pewna, że w MIT są tym zachwyceni - skomentowała Jenna.

- Cóż, nie podaliśmy żadnych nazwisk - powiedziałem. - Porozumia-

łem się też z moimi kontaktami na tej uczelni, nie zgłaszali sprzeciwu przeciwko publicznemu wymienieniu jej nazwy przez Mary. Prawdę mówiąc, oni chyba w ogóle nie wierzą, że te wszystkie zgony to nie zbieg okoliczno-

ści. Ale zabójca nie jest groźny dla MIT. Co ma zrobić - zamordować wszystkich pracowników tej uczelni? Zaś Mary zyskuje na czasie.

- Kiedy ten program zostanie wyemitowany? - spytała Jenna.

- Jutro w nocy, według czasu londyńskiego - odparłem.

- Miejmy nadzieję, że zabójca wciąż jeszcze jest w Anglii i ogląda BBC - westchnęła Jenna.

Dwadzieścia minut później na lotnisku Kennedy'ego wylądował samolot British Airways.

Po upływie kolejnych piętnastu minut, w kolejce do odprawy paszportowej stanął pewien mężczyzna.

- To jest bardzo ładne, mamusiu - powiedziała mała dziewczynka do matki, wskazując na błyszczącą, niebieskozieloną chusteczkę wystającą mu z kieszeni.

- Proszę bardzo, chcesz ją? - mężczyzna wyciągnął chusteczkę. - Mam ich bardzo dużo, moja firma je robi, a ta jest nowiuteńka. Jeszcze jej nie używałem.

Mała dziewczynka uśmiechnęła się wstydliwie, potem skinęła głową.

- Nie sądzę... - zaczęła matka.

- Proszę, mamusiu? - jęknęła dziewczynka.

- Naprawdę, zapewniam panią, że jest tania i nigdy nie używana, proszę zobaczyć.

- Prooszę, mamuusiuu?...

- Noo... Dobrze - ustąpiła matka. - Ale ja ją wezmę, dopóki nie dotrzemy do domu.

Wzięła chusteczkę od mężczyzny i podziękowała mu. Dało jej to czas na przekonanie dziecka do rezygnacji z przedmiotu przed dotarciem do domu. Czekoladowe lody z kolorową posypką powinny dokończyć dzieła...

Rozeszli się do różnych okienek odprawy paszportowej, mężczyzna przeszedł przez nią bez problemu.

Lał deszcz, dyspozytor wezwał dla niego taksówkę.

- Washington Square Park w Greenwich Village - mężczyzna podał

adres kierowcy. - Od jak dawna panuje taka pogoda?

Następnego ranka zadzwoniłem do Ruth Delany.

- Phil, wiem, że chciałeś się ze mną skontaktować. Przyjechała rodzina mojej siostry, w zeszłym tygodniu była taka piękna pogoda - oprócz tej wczorajszej ulewy - i nie mogłam sobie odmówić

spędzenia z nimi czasu.

W końcu w sierpniu nie ma w bibliotece za dużo roboty...

- Zgadza się - powiedziałem. - Miałaś świetny pomysł. Prawdę mówiąc,

to niepokoiłem się o Stefana...

- Och, myślałam, że wiesz - powiedziałam mu, żeby do ciebie zadzwonił i cię uspokoił.

- Myślę, że po prostu zapomniał albo nie trafił na mnie, bo w ciągu ostatnich tygodni wyjeżdżałem za granicę... do Anglii.

- Piękny kraj.

- To prawda - potwierdziłem. - Ale wracając do Stefana...

- A, tak. Powiedział mi, że chce się wybrać na wieś, bo doskwiera mu tutejszy upał i wilgotność powietrza. On już jest niemłody, wiesz...

- Wiem. A kiedy to było - tydzień temu?

- Nie, chyba jeszcze wcześniej - trzy tygodnie temu - powiedziała Ruth. - Od lat gromadziły mu się dni urlopu i prawdę mówiąc, na początku tego miesiąca przyszła notatka, że musi do końca roku wykorzystać ich część albo je straci. Nienawidzę, kiedy robią komuś coś takiego, a ty?

- Ja też - przyznałem zgodnie z prawdą.

- Powiedział więc, że weźmie sobie miesiąc wolnego i pojedzie na krajoznawczą wycieczkę greyhoundem. Twierdził, że akurat jest dobra okazja, bo za siedemdziesiąt dziewięć dolarów można wsiadać do dowolnego autobusu i robić tyle przerw w podróży, ile się chce.

- Sam bym się wybrał na taką wyprawę - mruknąłem.

- No nie? Życzyłam mu więc dobrej zabawy, ale poprosiłam, żeby do ciebie zadzwonił - i do tego miłego chłopca, Amosza, który parę razy tu wpadał, też.

- Amosa Stoltzfusa?

- Właśnie - potwierdziła Ruth.

- A co Stefan odpowiedział, kiedy wspomniałaś, że powinien zadzwonić do Amosa?

- Roześmiał się w ten swój sposób i zapytał, czy nie wiem, że Amisze nie używają telefonów? A potem oznajmił, że właśnie zabrakło mu kotów-włóczęgów i motyli. Ale nie zwróciłam na to uwagi - Stefan ciągle mówił



różne rzeczy, których nie rozumiałam.

- Tak jak w tym kawale, co się stanie, kiedy skrzyżuje się mafioza z semiotykiem - złoży człowiekowi propozycję nie do odrzucenia, tyle, że się jej nie zrozumie.

- Och, doktorze! - zawołała Ruth i roześmiała się serdecznie.

- Szkoda, że Stefan do mnie nie zadzwonił.

- Myślisz, że coś mu się stało? Ostatnim razem myliłeś się, dzięki Bo-gu, pamiętasz?

- Tak.

- Czekaj, coś ci powiem. Stefan zostawił mi klucze do swojego mieszkania - ma tam kilka sansewierii. Co prawda one wytrzymują długo bez podlewania, ale obiecałam mu, że wpadnę tam i podleję je w razie jakichś szczególnych upałów. To się zdarza, sierpień bywa zdradliwy...

- O kurczę, masz klucz! To znaczy, przepraszam za nieładny język...

- Nic nie szkodzi, doktorze D'Amato. Zdarzało mi się słyszeć dużo gorsze wyrażenia...

- Ale ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy o Stefanie, nie miałaś nawet jego adresu. Później powiedział mi, że mieszka na Patchin Place - czy do tego lokalu dał ci klucz?

- Tak, to jest tuż przy Szóstej Alei, pięć minut stąd piechotą.

- Zaraz przyjadę.

## DWADZIEŚCIA

Namówiłem Ruth, żeby towarzyszyła mi w trakcie wizyty w mieszkaniu Stefana. Bez niej mógłbym potrzebować nakazu przeszukania, ale to oznaczałoby konieczność skontaktowania się z Jackiem Duganem, a nie byłem w nastroju do wysłuchiwanie kolejnych dobrych rad...

Modliłem się tylko, żeby nie wplątać jej przy okazji w coś, skutkiem czego mogłaby się stać jej jakaś krzywda. Lecz jeśli Stefan był w tej sprawie ofiarą, a zabójcy działali skrupulatnie, już mogła znajdować się na ich liście...

- Kosztowne miejsce, to Patchin Place - powiedziałem. - Jestem zaskoczony, że przy pensji sprzątacza Stefana stać na coś takiego.

- To chyba jest apartament jego znajomego - wyjaśniła Ruth - który pozwala mu tu pomieszkiwać.

- Ach, to by wiele wyjaśniało. Od jak dawna tu mieszka?

- Nie wiem - rzekła Ruth. - Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek to powiedział.

Włożyła klucz do kutej bramy zamykającej uliczkę - a raczej klasyczny zaułek z doniczkami pełnymi kwiatów przy każdym wejściu i na każdym parapecie.

- Powinien pasować - powiedziała. Pasował.

Szybko doszliśmy do trzecich schodów, wszystkie znajdowały się po prawej stronie. Z drzwi wypadł irlandzki terier, wlokąc za sobą mężczyznę o bujnej, siwej czuprynie. Ściągnął go, uśmiechając się do nas, po schodach, a potem poza Patchin Place...

Pospiesznie wszedłem na górę, z Ruth następującą mi na pięty.

- OK, to tu.

Mieszkanie Stefana znajdowało się na pierwszym piętrze. Zapukałem mocno do drzwi. Raz, drugi. Popatrzyłem na Ruth.

- Chyba nikogo nie ma w domu - powiedziała. - Jest dziś ździebko za gorąco i sucho, zgodzi się pan, doktorze D'Amato? Powiedziałabym, że.

sansewierie stanowczo wymagają podlania

Polubiłem tę kobietę od pierwszego spotkania - w żadnym wypadku nie była typową bibliotekarką.

Mieszkanie na pierwszy rzut oka wcale nie było jakieś wyjątkowe - kanapa i fotel, pokryte obiciem koloru gliny, mocno wysiedziane, ładna, drewniana etażerka, prawdopodobnie dębowa, rzeźbiona w stylu art nouve-au. W Village jest sporo takich mebli. Po jednej stronie była łazienka, po drugiej kuchnia. Brak sypialni - prawdopodobnie kanapa się rozkładała.

Przyjrzałem się jej dokładniej i rzeczywiście...

A na zalanym słońcem parapecie stało kilka sansewierii, oprócz nich jeszcze z sufitu zwisało kilka doniczek z zielistkami. Ruth podeszła i sprawdziła palcem stan ziemi pod roślinami.

- Rzeczywiście mają sucho - powiedziała. - Dzięki tym roślinom znów jestem uczciwą kobietą.

Rozpocząłem dokładniejsze oględziny mieszkania. W apteczce nie było żadnej recepty - nic, na czym mogłoby się znaleźć nazwisko i data ważno-

ści. Tylko kilka kostek mydła i kilkanaście butelek wody kolońskiej, większość prawie pełna. Otworzyłem jedną - English Leather - i ostrożnie pową-

chałem, sprawdzając zawartość. Ach, słodkie wspomnienia o nadmiernym schlapaniu się tą wodą, kiedy tak mi zależało na poderwaniu Denise Yablon w ten ostatni weekend w liceum... Tak, to bez wątpienia była English Leather.

Wszedłem do kuchni. W lodówce znajdowały się niezliczone galony wody Poland Spring i nic więcej. Znów niczego mającego datę ważności -

nic, na podstawie czego mógłbym wywnioskować, kiedy po raz ostatni znajdował się tu człowiek. Tylko - od jak dawna Poland Spring była dostępna w takich opakowaniach? Od ilu, dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu lat? Nic mi to nie dało. Zacząłem dostrzegać pewną prawidłowość, która bardzo mi się nie podobała.

- Doktorze D'Amato, proszę na to spojrzeć! - zawołała Ruth z pokoju.

Trzymała w ręce winylową płytę gramofonową na 78 obrotów. Przesta-no je wytwarzać kiedy? W latach czterdziestych? Etykieta była starta, ledwie dawało się rozpoznać litery na niej...

- Wygląda jak cyrylica - powiedziała Ruth. - Stefan pochodzi z Rumunii...

- Mnie mówił, że z Węgier - zauważyłem. - Ale Antonescu to nazwisko typowo rumuńskie, a ludzie tej narodowości na pewno od wieków zamieszkiwali na terytorium Węgier - oba te kraje sąsiadują ze sobą. W dodatku język węgierski, o ile dobrze pamiętałem, jest spokrewniony z fiń-

skim - obydwa nie indoeuropejskie, tak jak baskijski. Ależ wszystko się płacze..

- Poza tym jestem przekonany, że Rumuni używają alfabetu łacińskiego, nie cyrylicy - dodałem.

- To wszystko jest okropnie zagmatwane - powiedziała Ruth.

- Ciekawa jestem, jak taka płyta brzmi.

- Gdyby jeszcze gdzieś tu stała stara Victrola, byłoby wspaniale -

gdzie znalazłaś tę płytę?

Wskazała na etażerkę.

- Wystawała zza niej - powiedziała. - Jest tam mnóstwo kurzu.

- Uhm, Antonescu, czy ktokolwiek tu mieszkał, najprawdopodobniej nie zauważył przy pakowaniu, że mu się wysunęła. Zresztą kto wie, jak dawno temu to się działo.

- Nie ma tu żadnych śladów bytności Stefana - oznajmiła Ruth.

- Mam takie samo wrażenie - potwierdziłem.

- Co to znaczy? Dlaczego miałby mi kłamać na temat mieszkania, dawać mi klucz a nawet namawiać mnie do przyścia tutaj? To nie ma sensu.

Tak samo jak niemal wszystko, z czym się spotkałem od czasu zobaczenia zwłok, o których Dave Spencer sądził, że to Stefan Antonescu...

- Być może nie kłamał - powiedziałem. - Może ktoś inny trafił tu przed nami.

- Kto?

- Nie wiem. Może ktoś odpowiedzialny za morderstwa. Ktoś, kto nie lubi neandertalczyków - kto nie lubi nas - może i jednych, i drugich. Wypy-tam sąsiadów i zobaczę, co...

W kieszeni odezwała się mi komórka.

Na pewno Jenna.

Rzeczywiście.

- OK, zaraz do ciebie oddzwonię - przesłałem jej pocałunek, wcisną-

łem klawisz przerywający połączenie i zdałem sobie sprawę, że Ruth uśmiecha się do mnie.

- Możemy stąd iść, nie sędzę, żebyśmy coś więcej tu znaleźli - powiedziałem i dłonią w rękawiczce zgarnąłem szklankę z kuchni. Może były na niej odciski palców albo dający się odzyskać DNA.

Ruth trzymała starą płytę.

- Mam zabrać ją do biblioteki? Być może mamy gdzieś upchnięty stary gramofon, na którym da się ją odtworzyć.

- Jasne - zgodziłem się. - Podam ci numer komórki. Zadzwoń natychmiast, jeśli usłyszysz coś ciekawego. A ja odezwę się do ciebie, jak dowiem się czegoś o Stefanie.

Pomachałem Ruth na pożegnanie i od razu zadzwoniłem do Jenny.

- Po pierwsze, wszystko w porządku? Nic dziwnego nie dzieje się przed domem?

- Ze mną wszystko w porządku - powiedziała Jenna. - Tuż za drzwiami jest miły facet w mundurze, kolejny policjant stoi na ulicy - czego jeszcze mogłabym chcieć?

- Dzięki, od razu czuję się dużo lepiej - zażartowałem, szczęśliwy, że mam pretekst, żeby nieco zmniejszyć napięcie. - Opowiedz mi o nowym przekładzie Bonnie.

- Powiedziała mi, żebyś zadzwonił do niej później - siedziała nad tym całą noc i chciała się zdrzemnąć. Ale przekazała mi wszystko, co miała.

- OK - powiedziałem.

- Dotyczy to śpiewaków, zabójców i zawiera rodzaj ostrzeżenia o dzieciach - zakładając, że odczytamy tekst dosłownie - zaczęła Jenna. -

Pamiętasz ten fragment przełożony przez Pedra - kończył się słowami: choroba, która dotknęła nas i dzieci niczym przekleństwo. No więc po pierwsze, Bonnie powiedziała, że Pedro zdołał opracować kawałek utlenio-nego fragmentu i uzyskał kilka słów, które przetłumaczyła...

- Po prostu przeczytaj mi całość - oryginał, a potem dodatkowy fragment.

- OK - zgodziła się Jenna. - Oryginał brzmiał: Nasi przodkowie musieli zazdrościć śpiewakom, bo zabili niemal wszystkich. Nie dlatego, że byli brzydzy, ale dlatego, że ich umysły były piękne i wiedziały więcej niż nasze, ich inteligencja musiała przerażać naszych przodków o wiele bardziej niż ich twarze. Nasi przodkowie powzięli środki ostrożności, ale dosięgła nas zemsta krwi śpiewaków - choroba, która dotknęła nas i dzieci niczym przekleństwo. Tu się kończył pierwotny przekład. Ale Bonnie twierdzi, że po przekleństwo nie ma kropki - Pedro ją postawił, bo zdanie wyglądało na zakończone. W manuskrypcie są jeszcze dalsze słowa, a część o dzieciach została wstawiona w niewłaściwe miejsce, więc... Zaraz, przeczytam ci ten fragment w formie opracowanej przez Bonnie: ale dosięgła nas zemsta krwi śpiewaków - choroba, która dotknęła nas niczym przekleństwo i dzieci, które będą chodzić pośród nas jak ludzie.

- Hmm... Czyli w tym nowym tłumaczeniu dzieci nie są celem, ale środkiem zemsty... victims i victors... Tylko co znaczy to będą chodzić pośród nas jak ludzie!

- Nie wiem - przyznała Jenna. - Bonnie ma też wariant przekładu ostatniej frazy - bardziej metaforyczny - choroba, która dotknęła nas niczym przekleństwo i gąsienice, które będą latać pośród nas jak motyle...

- Hmmmm... - mruknąłem.

- Wiem - powiedziała Jenna. - Znów jedwabniki...

- Tyle tylko, że tym razem ćmy wychodzą na tych złych... A może ci źli też je wykorzystują. Ale jak to możliwe, żeby to samo słowo mogło znaczyć i „dzieci”, i „gąsienice”? - zapytałem.

- Bonnie mówi, że sprawa polega na kontekście. Ten wyraz dosłownie znaczy „gąsienice”, ale w całej frazie wygląda na aluzję do dzieci. Cały kłopot w tym, że w całym dokumencie jest za mało jednoznacznych słów.

- Jak Pedro mógł popełnić taki błąd, przedstawiając „dzieci” w pierwszym tłumaczeniu?

- Tego rodzaju transpozycje są w przekładach na porządku dziennym.

Pomyśl o szyku słów w łacinie - powiedziała Jenna. - Kiedy ma się do dyspozycji tak niewielką próbkę języka, to naprawdę ciężka praca. Lepszy szyk słów przyszedł Bonnie do głowy dopiero, gdy Pedro przetłumaczył dalszą część zdania: chodzić pośród nas jak ludzie. Myślę, że przekleństwo mogłoby „chodzić pośród nas jak ludzie”, ale „dzieci” o wiele lepiej tu pasują, nawet jeśli nadal nie bardzo potrafimy dokładnie zrozumieć, o co tu chodzi.

- Czy Bonnie odkryła coś więcej na temat autora tego tekstu? Jakies wskazówki co do wieku, płci - imienia? I gatunku?

- Jeszcze nie bardzo wie - odparła Jenna. - Z tego, co dotychczas zgromadziła, wynika, że autor żył bardzo długo - oczywiście według ówczesnych tochariańskich standardów - oraz tu i ówdzie, w nieprzetłumaczonych jeszcze fragmentach, wspomina o swoich długich podróżach po całym świecie.

Nie mamy nawet pewności, czy wszystko to napisała ta sama osoba - choć pytałam Bonnie o to, a ona założyłaby się, że tak.

- Czyli mamy manuskrypty, które czekały w Kotlinie Tarymskiej przez tysiąc trzysta lat, zawierające może odpowiedzi na niektóre z naszych pytań, w końcu mamy je w garści, ale wciąż nie jesteśmy w stanie zgłębić, co chcą nam przekazać - ani nawet kto próbował to zrobić - skomentowa-

łem.

- Tak jest ze wszystkim, z czym musimy sobie radzić w tej sprawie -

mamy to przed nosem, ale wciąż nie widzimy, na co patrzymy - rzekła Jenna. - Ale Bonnie wciąż nad tym pracuje. Jest dobra, odkryje więcej.

- Dobrze. Jeśli porozumiesz się z nią przede mną, powiedz jej, żeby utrzymywała z tobą ścisły kontakt, ja zrobię to samo. I bądź ostrożna -

znasz zasady. Nie wychodź nigdzie bez eskorty - najlepiej w ogóle nie wychodź - i trzymaj się z daleka od okien...

- Tak, tak. Będę ostrożna. Kocham cię.

- Ja cię też kocham - powiedziałem i wyłączyłem telefon.

Człowiek o bujnej czuprynie otworzył bramę - stałem w samym jej środku.

Opisałem mu Stefana i zapytałem, czy ostatnio go widział. Nigdy, odparł. W ogóle nie przypominał sobie nikogo o takim wyglądzie.

- Ale dziś rano był tu jakiś chłopak, Amisz - dodał - który pytał mnie o to samo.

Mężczyzna w mundurze szedł Osiemdziesiątą Piątą Ulicą powoli i ostrożnie, ale starając się niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Doszedł do licowanego ciemnobrązowym piaskowcem budynku - dobrze; nie było przed nim żadnych glin.

Wszedł po schodach, uśmiechnął się do schodzącej na dół tlenionej blondynki i wkroczył do westybulu.

Trzy mieszkania do wyboru.

Zadzwoił do pierwszego, które najbardziej mu odpowiadało.

Nic.

Zadzwoił jeszcze raz, z tym samym rezultatem.

Spróbował drugiego dzwonka.

Tu też nikt nie zareagował.

Kobieta trzymająca białego kota otworzyła wewnętrzne drzwi - te, przez które chciał się przedostać - i popatrzyła na niego wrogo. Dla pani, lady, nie mam dziś specjalnej przesyłki, nie ma się czego bać.

Poczuł pokusę, żeby wejść, ale powstrzymał się. Kobieta wyminęła go i wyszła na ulicę. Prychanie kota wisiało w powietrzu jak paskudny zapach.

Zadzwoił do trzeciego mieszkania. Jeśli i tu nikt nie zareaguje, będzie musiał wrócić do parku albo do kawiarni, odczekać godzinę czy dwie i spróbować jeszcze raz. Ten budynek był jego jedyną szansą.

- Halo? - odezwał się kobiecy głos, zakłócany elektrycznymi trzaskami.

- Tak, przesyłka ekspresowa dla... Michele Politico - powiedział, przy-suwając się do rozmazanych napisów pod dzwonekami.

- Polito - poprawiła go. - OK, proszę wejść.

Zabzyczał zamek u drzwi. Pchnął je i wspiał się po schodach na drugie piętro.

- OK, chwileczkę - moment później Michele otworzyła drzwi.

Miała długie, lśniące, czarne włosy, ale to było bez znaczenia.

Dostała aerozolem prosto w twarz, upadła, dusząc się, siedem minut później umarła na atak astmy. Wtedy podniósł jej zsiniałe z braku tlenu ciało i ułożył je wygodnie przed telewizorem.

Zgony z powodu astmy ostatnio stały się dużo częstsze. Może jakiś na-ukowiec dopatrzy się związku pomiędzy nimi, a oglądaniem telewizji.

Ostrożnie podszedł do okna i popatrzył na drugą stronę ulicy, na licowany piaskowcem dom, w którym znajdowało się mieszkanie doktora D'Amato.

Kąt był niezbyt dobry, ale nie dysponował żadnym lepszym miejscem.

Ich okno było otwarte. Tu miał szczęście. Łagodny, piękny, sierpniowy dzień - o wiele mniej wilgotno niż zazwyczaj, zanieczyszczenie miasta zmniejszyło się - po co używać klimatyzacji? Porządny, ekologiczny sposób myślenia, doktorze D'Amato.

W razie potrzeby mógł przestrzelić zamknięte okno, ale to jednoznacznie wskazałoby na morderstwo. W ten sposób będzie lepiej. Jego owadzia strzałka ulegała biodegradacji. Pozostawi na skórze tak niewielki ślad ukłucia, że najprawdopodobniej nikt go nie zauważy. Zdrowi ludzie nieraz umierają na tętniaki. Ludzie mający bliski związek ze śledztwem, którzy, jak doktor D'Amato, nie wierzą w zbiegi okoliczności, oczywiście zorientują się w intrydze. Ale wiedza i dowody to dwie różne rzeczy, a przy odrobinie szczęścia, węszący wszędzie spisek Phil nie będzie dostępny. Jedwabny lek tym razem mu nie pomoże...

Jedwabny lek... śmiechu warte. Jakby jedno antidotum mogło zapobiegać wszystkiemu. Ta kobieta z BBC miała po prostu dzikie szczęście -

zazwyczaj środki zapobiegawcze nie działały tak szybko. Ale w jego kieszeni spoczywało mnóstwo różnych zabawek. Astma, tętniak... katalizator przekształcający ciało i zmieniający datowanie węglem należał już do przeszłości.

Czas tego środka minął, tak jak mijał i jego... Już nie ma kiedy sprawdzać sprawności przeciwników, siać zamęt, odwoływać się do ich we-wnętrznych węży, żeby połknęły własne ogony... Da się już tylko zadbać o szczegóły...

Mądrość wieków twierdziła, że najlepszym sposobem usuwania wiedzy jest eliminacja dysponujących nią żywych pojemników.

Popatrzył na otwarte okno. Dostanie pierwszą osobę, która się w nim pojawi - jeśli nie Phila, to Jennę - a potem jego, kiedy odkryje jej zwłoki...

A jeśli nikt się nie pokaże, znajdzie sposób na wywabienie ich z mieszkania.

Zadzwoił mój telefon. Właśnie kończyłem trzecie bezużyteczne wypytywanie w Patchin Place.

Podziękowałem mężczyźnie - powiedział, że jest „krytykiem medialnym” - i odebrałem telefon.

- Cześć, kochanie - odezwała się Jenna. - Mam właśnie Amandę Leonard na drugiej linii. Może zrobimy trójstronną konferencję?

- Świetny pomysł. O wiele łatwiej będzie zanotować jakieś ważne informacje tobie niż mnie na ulicy.

- OK, nie rozłączaj się - poleciała.

- Halo? - usłyszałem po chwili inny głos.

- Cześć Amando. Widzieliśmy cię wczoraj na wideo - byłaś znakomita.

- Dzięki - czy to ty, Phil?

- Tak, Jenna też jest na linii.

- Świetnie. Właśnie dostałam wiadomość od Mary Radcliff, z którą skontaktowali się z MIT - powiedziała Amanda. - Kod w tej chusteczce okazał się całkiem łatwy do złamania!

- Znakomicie! Opowiedz mi wszystko.

Usłyszałem zgrzytliwe odgłosy.

- Unoszę trochę żaluzje - powiedziała Jenna. - Słońce schowało się za chmury...



- ...Mary próbowała opracować perforowane karty dla wszystkich trzech chustek - mówiła Amanda.
- Właśnie - potwierdziłem.
- Tylko jedna z nich została utkana na krosnach żakardowych, czy czymś podobnym. Dwie pozostałe były dużo bardziej współczesne i z ich splotów nie dało się wydedukować żadnych kodów. Mary twierdzi, że ich kody to Marks i Spencer - albo raczej JC Penney - roześmiała się.
- Sears - wyjaśniła Jenna.
- Ach tak - rzekła Amanda. - Ale wy oczywiście wiedzieliście o tym, te dwie tajwańskie chusteczki, jeśli właśnie stamtąd pochodziły, były pod-puchą.
- Właśnie - potwierdziłem. - Musieliśmy to zrobić, bo...

- Nie musisz nic wyjaśniać. Rozumiemy - masz naszą pełną akcepta-cję. Dobrze, trzecia chusteczka to jest coś. Mary twierdzi, że na pewno pochodzi z wczesnego lub środkowego okresu epoki wiktoriańskiej - oczywiście nie jest prehistoryczna; o ile wiemy, wtedy nie było krosien żakardowych. Najprawdopodobniej są to okolice roku 1850, co idealnie pasuje do okresu wykorzystywania maszyn Jacquarda, a na pewno tu, w Europie.

Mary opracowała na jej podstawie zestaw kart i przefaksowała je do MIT.

Oczywiście prawdziwe karty były im niepotrzebne, tylko wzory ich perforacji...

- Jasne - powiedziałem.
- I kod okazał się bardzo prosty. Uzyskali z niego jedno jasne słowo...
- Tak?
- Mixteleta - powiedziała Amanda.
- Co to znaczy? - zdziwiłem się.
- Mixteleta - powtórzyła Amanda. - Ludzie z MIT przeszukali mnóstwo słowników w internecie. Mixteleta to po baskijsku „motyl”...

Zręcznie wycelowana, uskrzydłona strzałka cicho przeleciała przez otwarte okno.

Zagwizdał czajnik.

Jenna odruchowo wykonała gwałtowny ruch w stronę kuchni.

Owadzia strzałka przebiła cal luźnego materiału obok jej uda, nie dotykając skóry. Utkwiła w dywanie pod ścianą, uznała wełniane otoczenie za znakomite miejsce do biodegradacji i szybko jej

uległa.

Pod koniec tygodnia palec znajdzie dziurkę w spodniach. Zostanie przy-pisana molom...

- Czekaście moment, czajnik gwizdże - poprosiła Jenna.

- Sama chętnie bym się napiła herbaty - zauważyła Amanda.

- Ja też - przyznałem.

- Szkoda, że nie mogę przesłać wam po filizance przez telefon - powiedziała Jenna.

- Och, jeszcze jedno - przypomniała sobie Amanda.

- Tak? - spytałem.

- Jeden z facetów w MIT pracuje nad jakimś projektem cyfrowej muzyki - wiesz, czymś, co czyta kody komputerowe i zamienia je w muzykę.

- Zgadza się - powiedziałem. - Syntezator cyfrowy. W dzisiejszych czasach na MIT zajmują się mnóstwem takich rzeczy.

- Uhm - odparła Amanda. - Więc ten gość przepuścił kod z chusteczki przez ten syntezator, ot tak, żeby zobaczyć jak zagra - robi to z każdym kodem, który mu wpadnie w ręce, to prawie hobby. I powiedział, że z kodu

„Mixteleta” powstała najpiękniejsza muzyka na flet, jaką kiedykolwiek słyszał.

Mój telefon zgłosił, że ktoś chce się do mnie dodzwonić. Poprosiłem obie panie, żeby poczekały chwilę i odebrałem kolejną rozmowę.

Była to Ruth Delany.

- Znaleźliśmy tu gramofon - oznajmiła.

- Czy na tej płycie jest jakaś muzyka?

- Cóż, nie jestem pewna... Są to bardzo czarowne dźwięki fletu...

- Zaraz tam będę - przerwałem jej.

Muzyka na starej płycie stanowiła najdziwniejszą mieszankę dźwięków, jaką kiedykolwiek słyszałem. Flety, klezmer 17, jęki, skandowanie, błagania w nieznanym języku... w porównaniu z tym Strawiński, Cage i rap wydawali się słodkimi symfoniami... a jednak była w tym jakaś chwytliwa melodyka...

17 Żydowska muzyka ludowa, grana głównie w Niemczech i Europie Wschodniej.

W Polsce jest kilka zespołów klezmerskich, (przyp. tłum.)

- Rozumiesz, co miałam na myśli? Zupełnie jakby ta płyta Stefana chciała nam coś powiedzieć - zauważyła Ruth.

- Tak, ale co?

Miałem uczucie, że gdybym tylko potrafił się w tym zagłębić, gdybym dał się ponieść dźwiękom, naprawdę przekazałyby mi coś, coś tak bez-względnie, fundamentalnie ważnego, że nie da się tego oddać w słowach...

Lecz nie umiałem tego zrobić. Nie wiedziałem jak. Może z czasem...

Wciąż słuchałem... Widziałem obrazy jedwabiu, obrazy muzyki fletu, nie samego fletu... słodka, płynąca synestezja...

Zastanawiałem się, co z tego rozumiał Stefan... Co mogła słyszeć Amanda... Amos...

Usłyszałem dźwięk nie pasujący do tego... nie należący... szczęk...

- Doktorze D'Amato? Phil! - Ruth mówiła do mnie. Zdjęła igłę ze starej płyty.

- Tak.

- Chyba znów dzwoni twój telefon - wyjaśniła. - Sporo go używasz!

- A, tak, dzięki - odebrałem rozmowę.

- Phil? Przepraszam, że dzwonię na ten numer...

- Nic nie szkodzi. Bonnie. Poczekaaj chwileczkę - zawiesiłem na moment połączenie.

- To nagranie jest niesamowite - powiedziałem do Ruth. - Zupełnie mnie zahipnotyzowało.

- Mnie też, przy pierwszych przesłuchaniach - przyznała. - Teraz już chyba zaczynam łapać, jak sobie z tym radzić.

- Dobrze - uznałem. - Słuchaj, teraz muszę pogadać. Ale w tym nagraniu może być coś istotnego dla nas - wiadomość - nie wiem. Czy jest jakiś sposób, żeby zrobić z niego kopię? Płytę cyfrową albo chociaż kasetę ma-gnetofonową? Jest za krucha, żeby się z nią obnosić - te siedemdziesiątki ósemki rozlatują się nawet od krzywego spojrzenia.

Ruth skinęła głową.

- Nie ma sprawy, doktorze. Jeden z naszych komputerowców na to zerknie - na górze mamy mnóstwo wymyślnego sprzętu.

- Wspaniale. Dzięki. Czy wspominałaś o niej komukolwiek?

- Nie - zaprzeczyła Ruth. - Z grubsza wiedziałam, gdzie jest ten gramofon i sama go wygrzebałam.

- Bardzo dobrze; no to nadal nikomu o niej nie mów - uścisnąłem ją za ramię i szybko wyszedłem na korytarz pogadać z Bonnie.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać - przeprosiłem ją.

- Nie ma sprawy. Przepraszam, że dzwonię na ten numer, ale nie było cię w pracy, a Jenna powiedziała, że jeśli jej nie złapię, mam kontaktować się z tobą...

- Gdzie ona jest? Przed chwilą z nią rozmawiałem.

Tak naprawdę to minęła już dobra godzina. Muzyka była bardzo wciągająca.

- Nie wiem.

- W porządku - poczekaj jeszcze chwileczkę.

Popędziłem po schodach na górę i na ulicę. Złapałem taksówkę.

- Róg Osiemdziesiątej Piątej i York - rzuciłem kierowcy. Odwiesiłem Bonnie.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Jadę do domu - wyjaśniłem. - Nie lubię nie wiedzieć, gdzie jest Jenna.

- Nic jej nie jest, prawda?

- Jasne, na pewno - prawdopodobnie zabrakło jej mleka, czy czegoś, i któryś z policjantów poszedł z nią do sklepu. Ale posłuchaj - siedź w domu, a jeśli będziesz musiała wyjść, proszę, zadzwoń najpierw do mnie.

- OK, zgoda...

- Dobrze - odsunąłem telefon od ucha i już położyłem palec na przycisku rozłączającym...

- Phil...

- Tak?

- A sprawa, z którą dzwoniłam...

- A prawda - przyznałem. - Pracowałaś nad tłumaczeniem?

- Tak...

I przeczytała mi ostatni przełożony fragment, dalszy ciąg tego, co przekazała mi Jenna...

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

- OK. Odwaliłaś kawał świetnej roboty. Teraz tylko nie ruszaj się z domu. To najbezpieczniejsze miejsce dla ciebie.

Rozłączyłem się i sięgnąłem po legitymację.

- Zapłacę setkę, jeśli przekroczy pan wszelkie limity prędkości, żeby dostać się na Osiemdziesiątą Piątą najszybciej jak to możliwe - zwróciłem się do kierowcy. - Poza tym proszę to uważać za pościg policyjny.

Jenna stała przed naszym domem w towarzystwie dwóch zakłopotanych policjantów i Amosa Stoltzfusa.

Nie mogła znaleźć się w gorszym miejscu.

Amos spierał się z policjantami, wydawało się, że Jenna próbuje ich po-godzić...

Dzieciaki grały w piłkę na ulicy - żadnych szans, żeby taksówka doje-chała tam szybko.

- OK, tu wystarczy - rzuciłem kierowcy i podałem mu sześć dwudzie-stek. Zasłużył na to.

- Jenna! - zawołałem i zacząłem biec do niej. Ale była za daleko i nie słyszała.

- Jenna! - wrzeszczałem w biegu.

- Proszę, wracaj na górę! - Amos też krzyczał na nią.

- Cofnij się, chłopcze - rozkazał głośno jeden z policjantów, odpycha-jąc Amosa.

- Zostawcie nas! - krzyczał chłopak. - Nie rozumiecie! Mam lekarstwo dla niej...

- Phil! - zawołała Jenna i zamachała do mnie. Dzięki Bogu!

Jeden z policjantów odwrócił się i popatrzył na mnie wrogo.

Drugi położył mu dłoń na ramieniu.

- On jest OK. To doktor D'Amato.

Dobiegłem do nich bez tchu.

- Mówiłem właśnie temu panu doktorowi - znajomy policjant wskazał Amosa - że za żadne skarby nie pozwolę mu wstrzyknąć jego gówna Jennie czy komukolwiek innemu, bo może nagle padnie trupem albo dostanie AIDS...

- To nie zastrzyk - zaprotestował Amos.

- On ma rację - zwróciłem się do policjanta, mając chłopaka na myśli -

a poza tym nie powinniśmy tak stać tu na widoku...

Policjant upadł.

- Co... - zaczął drugi.

Przydusiłem Jennę do samochodu i zasłoniłem własnym ciałem.

Drugi policjant skierował broń w Amosa.

- Patrzcie tam! - zawołał ten i pokazał na mężczyznę w mundurze do-ręczyciela po drugiej stronie ulicy. - On zabił twojego partnera! Ucieka!

Policjant odwrócił się na sekundę, wciąż z bronią w dłoni...

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - powtarzała Jenna.

- Z nim jest gorzej - Amos pokazał leżącego mężczyznę.

Poszukałem pulsu na szyi. Nie żył.

- Niech pan wezwie posiłki - poleciłem drugiemu policjantowi, który nie bardzo wiedział, czy biec za napastnikiem, czy pomagać koledze. - Na piechotę daleko nie ucieknie.

- A skąd pan wie, że nie ma samochodu za rogiem? - zapytał.

- Stefan Antonescu nie ma prawa jazdy, to jedna z pierwszych rzeczy, które sprawdziłem, zajmując się tą przekłętą sprawą. Sądzę, że nie umie prowadzić.

- Stefan? - zdziwiła się Jenna.

Skinąłem energicznie głową, Amos też.

Podjąłem kilka szybkich decyzji. Jenna była najbezpieczniejsza ze mną -

niezależnie od ryzyka i tak było to lepsze niż zostawienie jej tutaj, samej, czy z Amosem, czy z policjantem.

- Gońmy go. Wszyscy. Ale proszę nie strzelać, dopóki nie odwróci się w naszą stronę - powiedziałem policjantowi. - A jeśli do tego dojdzie, proszę się upewnić, że przeżyje. Nigdy nie

rozwiążemy tej sprawy, jeśli on zginie!

Dopadliśmy Stefana Antonescu przy East River. Wspiął się na balustradę.

- Uważajcie na dmuchawkę - powiedział Amos. - Dopóki nie ma jej w ustach, nikomu nie może wyrządzić krzywdy.

Skinąłem głową do policjanta - nazywał się Richard McCall - odpowiedział mi takim samym gestem.

- Ale niech pan strzela, jeśli zrobi choćby najmniejszy ruch w stronę ust - powiedziałem, a McCall ponownie skinął głową.

Trzymał Stefana na muszce.

Podszedłem kilka kroków w jego stronę. Tylko patrzył na mnie.

- Tak jak zawsze - powiedział. - Zaganiacie zwierzę na krawędź przepaści i spychacie na dół.

- Nie próbujemy pana zabić - odparłem.

Stefan uśmiechnął się szyderczo.

- Biega pan dość szybko jak na trzystulatka - zauważyłem.

- To zależy od skali, jestem raczej bliżej trzydziestki - wyjaśnił.

- Co znaczy: ...i dzieci, które będą chodzić pośród nas jak ludzie?

- To znaczy, że wasi naukowcy odgrzebują nasze kości sprzed wieków i uważają, że żyliśmy najwyżej trzydzieści lat, może czterdzieści, a tymczasem, w rzeczywistości przeżywamy dziesięć razy więcej...

- Tym bardziej powinien pan teraz pójść ze mną - powiedziałem. -

Naprawdę nikt nie chce pana zabić, proszę mi wierzyć. Tak wiele możecie nas nauczyć - ma pan przed sobą większość życia.

Uśmiechnął się.

- Wciąż pan nie rozumie - my nie żyjemy dłużej niż trzydzieści, może trzydzieści pięć waszych lat, najwyżej czterdzieści. Zbliżam się do końca życia - krótkiego i brutalnego, jak powiedział pewien poeta, według waszych standardów - a według moich długiego i delikatnego...

- I tak wiele z tego czasu spędzał pan w bibliotece, czytając o jedwabiu?

Ale to miało sens, ten jego wiek trzydziestu lat. Nie znaleźliśmy żadnych informacji o nim - ani żadnych ze zwłok w Londynie i Toronto - bo szukaliśmy ludzi o wiele starszych.

- Mamy większą pojemność mózgu i uczymy się wielokrotnie szybciej niż wy - powiedział Stefan. - W tym czasie nauczyłem się dziesięć razy więcej niż ktokolwiek z was i to nie tylko o jedwabiu. Ale to włókno ma tu wielkie znaczenie - my jesteśmy gąsienicami, matkami waszego marnego, trzepotliwego życia.

- To dlaczego nas zabijałeś, Stefanie?

Uśmiechnął się znów, usta mu drżały, w świetle słońca odbijającego się od wody wyglądał dziwnie pięknie.

- Jak może pan o to pytać? - uśmiech zniknął w blasku. - Jak pan mo-

że, skoro mordujecie nas od trzydziestu tysięcy lat? Daliśmy wam muzykę; daliśmy wam magię - daliśmy wam wychwalany wygląd i to, co u was uchodzi za myślenie. Lum przynajmniej to rozumiał. Jak myślicie, kto jest odpowiedzialny za obecność w waszym genomie sekwencji Bombycidae, które blokują neandertalską charakterystykę? My. Była w nas, tak jak i wiele innych owadzych sekwencji, a my uaktywniliśmy ją, wzmocniliśmy jej działanie, tak że w ciągu tysiącleci starannej hodowli spowodowała zmianę fenotypu. Eksperyment, który dla nas skończył się wyjątkowo fatalnie - próba wydłużenia życia, zwiększenia umiejętności porozumiewania się

- a w rezultacie otrzymaliśmy was, naszych zabójców. W końcu znaleźli-

śmy remedium - nasz lek, lek na chorobę, którą dla neandertalczyków stali się kromaniończycy. Dziś zwalibyście to retrowirusem - przeniesienie informacji genetycznej ze środowiska z powrotem do genomu. Znaleźliśmy sposób na zarażenie was czymś, co likwiduje efekt Bombycidae, u każdego z was przywraca tkwiącego w nim neandertalczyka.

- Ta infekcja jednocześnie zabija zakażonego - powiedziałem.

- Tylko jeśli ma ponad trzydzieści pięć, czterdzieści lat - odparł. - Proszę pamiętać, my nie żyjemy tak samo długo jak wy, licząc w latach. Od-tworzony neandertalczyk mający ponad pięćdziesiątkę, umiera niemal natychmiast po przekształceniu.

Pomyślałem o umierającym Spencerze, o tym, że ja przeżyłem, choć obaj byliśmy wystawieni na działanie tego wirusa. Dave miał nieco ponad sześćdziesiątkę, był o dobre dwadzieścia pięć lat starszy ode mnie. Pomy-

ślałem też o tym dodatkowym fragmencie tochariańskiego manuskryptu, który Bonnie przeczytała mi, gdy byłem w taksówce. Autor był śpiewakiem albo sądził, że się nim stał. Bardzo stary człowiek - Jakob - który śpiewał

razem z nimi, a potem się do nich przyłączył. Jak przeżył? Udało mu się do nich przyłączyć „bez transformacji”. Bonnie wyczytała to z manuskryptu

- co oznaczało, że musiał pozostać Homo sapiens sapiens, czyli albo nie został zakażony, albo otrzymał o wiele silniejszą dawkę antidotum Bombyx mori, albo może miał naturalną odporność. Lecz Jakob zorientował się, że niektórzy śpiewacy skłaniali się ku zemście. Zdał sobie sprawę z jej



zasięgu

– „cała ludzkość jest zagrożona”, mówił manuskrypt. Oczywiście to prawda, jeśli różnica pomiędzy nami i neandertalczykami tkwi w genach Bombycidae, a wirus, czy cokolwiek to jest, blokuje ich działanie...

Jaką przed tym ochronę może zapewnić cały nawet jedwab świata? Jak długo będzie działała przy wzrastającej ilości wirusa? Dotychczas raczej był

rzadkością... Zналиśmy już mordercę, ale jego zabójstwa mogły stanowić kroplę w morzu...

Popatrzyłem w ciemne oczy Stefana.

- Te pierwsze trzy ciała - w Nowym Jorku, Toronto i Londynie - czy stanowiły wstępny etap pańskiego planu zarażenia całej ludzkości? Dlaczego zaczął pan właśnie teraz?

- Nie nasz rodzaj to zaczął - zaprzeczył Antonescu. - Tak samo jak nie zaczęliśmy mordować trzydzieści tysięcy lat temu. To wy zaczęliście - i wtedy, i teraz! Gerry Moses polował na nas od lat. Sądził, że stanie się sławny, kiedy doprowadzi do ujawnienia nas - myślał, że wszyscy zwrócą na niego uwagę, kiedy zaprezentuje światu nowo odkryte mumie neandertalczyków. Wiedział co nieco o wirusie, do czego jest zdolny... Wziął więc ze szpitala w Toronto trzech pacjentów wegetujących wyłącznie dzięki aparaturze - ludzi z rodzin, które zgłosiły zamiar kremacji, dzięki czemu, kiedy namówił jakiegoś lekarza do uznania ich za zmarłych, nikt się nie zorientował. Wszystko w imię waszej nauki. Podał im wirusa i kiedy w kilka miesięcy później umarli, potraktował ich homeopatycznymi środkami tak, że wydawali się naturalnie zmumifikowani, a potem podrzucił jednego w Toronto, drugiego w Londynie, trzeciego w Nowym Jorku. To był spryt-ny facet. Zgrał to w czasie z naszym spotkaniem w Budapeszcie, kiedy byliśmy daleko stąd. Uważał, że pan i Michael Mallory poprowadzicie dochodzenie, a wtedy on poda rozwiązanie i zostanie bohaterem. Ale wirus i jego dopadł - nie docenił sprawności tego mikroorganizmu, zbyt późno zorientował się, jak herbata wzmacnia efekty działania jedwabiu, a inne stymulanty osłabiają. Brakowało mu pańskich przyjaciół Amiszy i ich zrozumienia - kiepskiego, ale prawidłowego - sposobu działania jedwabnego leku... Popatrzył na Amosa.

- Jak pan może pić herbatę i pozostawać w bliskim kontakcie z jedwabiem? - zapytałem.

- Wirus dla nas też jest groźny - wyjaśnił. - Nie tylko przemienia was w nas, ale równie dobrze może zabijać nasz gatunek. Moi przodkowie zbyt późno zdali sobie z tego sprawę - ich tajna broń miała dwa ostrza. Niemal dokończyła dzieła, które wasza rasa rozpoczęła trzydzieści tysięcy lat temu.

Kontakt ciała z jedwabiem, wzmocniony działaniem herbaty, jest najlepszą przed nim obroną...

Usłyszeliśmy syreny policyjne. Posiłki...

Musiałem skłonić Stefana, by dalej o tym opowiadał.

- Obiecuję panu, że...

- Ze co? Jeśli się wam poddam, nikt nie zrobi mi krzywdy? Tak jak pierwsi Homo sapiens sapiens obiecywali, kiedy zaczęli dumnym krokiem, wyprostowani, przechadzać się po Ziemi? Lepiej niech pan zacznie martwić się o swoją rasę - co się z wami wszystkimi stanie, gdy wirus pokocha się z jakimś innym i z kontaktowego leniwca przeistoczy się w epidemię. Kiedy to nastąpi, będziecie żałować, że nie dosięgły was wszystkich moje strzałki...

- Stefan...

- ... ale nawet gdybym wam uwierzył, że nikt nie zrobi mi krzywdy, czy myśli pan, że chciałbym przeżywać to, co macie dla mnie w zanadru?

Żywa skamielina do badania? Chce mnie pan skazać na takie życie? Zaproponuję coś panu: wsadzę dmuchawkę do ust, strzelę do pana trującą pszczołką, a potem się poddam. Pańskie życie za moje, doktorze D'Amato.

Czy gotów jest pan na taką wymianę w imię pańskiej rasy? Czy aż tak zależy panu na mojej wiedzy?

- Proszę tego nie robić - powiedziałem. - Proszę trzymać ręce tak, że-byśmy je widzieli. Możemy o tym porozmawiać...

- Nie sędzę. Nie sędzę, żeby aż tak zależało panu na własnym gatunku, by się dla niego poświęcić. Żegnaj, doktorze D'Amato. Nie mówię, żegnaj przyjacielu - bo nie jest pan moim przyjacielem; wasza rasa nigdy nimi nie będzie, nigdy prawdziwie...

Odwrócił się i skoczył z balustrady.

- Wezwijcie nurków! - krzyknąłem do policjantów za mną.

Podbiegłem do barierki w samą porę, żeby zobaczyć ciało Stefana znikające w czarno-niebieskiej wodzie poniżej.

- Nurków! - krzyknąłem jeszcze raz.

Ale wiedziałem, że kiedy prądy chwytają ciała i niosły je w ocean, znajdowano je bardzo rzadko. Dajcie mi swoich zmęczonych, swoich głodnych, swoich martwych...

Jenna stała obok, obejmując mnie w pasie.

- Są inni tacy jak on - powiedział Amos. - Trudno ich nienawidzić, prawda, pomimo wyrządzanych przez nich krzywd. Teraz widzi pan, z czym mamy do czynienia - mój lud walczy z nimi od lat. Nie sądziłem, że Stefan należał nich - był taki łagodny. Oszukał mnie. Oni żywią urazę do samego świata...

Przyszła mi wtedy na myśl Bonnie - mało prawdopodobne, żeby dziś ktoś jeszcze polował oprócz Stefana, ale należało ją nadal chronić, na tyle, na ile to możliwe, kiedy zagrożeniem są dmuchawki ze

strzałkami zabijają-

cymi na miejscu.

Włożyłem rękę do kieszeni, sięgając po telefon, ale zamiast niego trafi-  
łem na szkło - mnóstwo odłamków, przemieszanych teraz z moją krwią.

Wyciągnąłem okrwawione palce.

- Nic ci nie jest, kochanie? - zaniepokoiła się Jenna.

- Nie, nic, miałem nadzieję zdjąć z tej szklanki odciski palców, może trochę DNA - wyjaśniłem. -  
Wziąłem ją z mieszkania Stefana. Musiałem rozbić ją w tym zamieszaniu - teraz jest za bardzo  
zakontaminowana, żeby uzyskać z niej jakieś sensowne próbki materiału genetycznego...

Zdjąłem marynarkę i wytrząsnąłem zawartość kieszeni do East River.

Chmura szklanych odłamków spadała powoli, połyskując w słońcu, po-dzwaniając na wietrze jak  
odległy dźwięk fletu...

A chmara brunatnych motyli wzleciała pozdrowić nas i zniknęła w niebie.

# CODA

Słońce oświetlało Serpentine.

- Phil. Miło, że do mnie dołączyłeś - Mallory uściśnął mi rękę, potem wskazał na jezioro. - Najlepiej wygląda we wrześniu, jak cała Anglia, zgadzasz się? Turyści, oprócz tych prawdziwych, wrócili już do domów. Sko-rzystamy z okazji i przejdziemy się wybrzeżem?

Skinąłem głową.

- Kolejny powód, żeby nie siedzieć w biurze.

Mallory mruknął potwierdzająco.

- Tak jak przewidziałeś, wyrzucają mnie z dochodzenia. Nie wolno mi więcej zajmować się tą sprawą i to od przedwczoraj.

- Utrzymałeś się dobre dwa miesiące dłużej niż ja.

- My tu się trochę dłużej zastanawiamy - wyjaśnił Mallory smutno. - I tak nie bardzo jest nad czym pracować. DNA Dave'a Spencera rozpadło się na kawałki - teraz to tylko mikstura związków chemicznych. Szczurze ko-mórki też długo nie przeżyły. Same ślepe uliczki.

- To samo z naszymi próbkami - powiedziałem. - Geny Antonescu tak zmutowały, że przestały istnieć. Nic dziwnego, że tak krótko przetrwały -

nie były przeznaczone dla szczurów.

- Wielokrotny morderca dał nazwę nieistniejącym genom - rzekł Mallory. - Jest w tym chyba jakaś logika.

Wzruszyłem ramionami.

- Chwała jest jeszcze bardziej ulotna niż geny. Przy tych wszystkich wyciszeniach, jakie tu zastosowano, wątpię, żeby za rok więcej niż kilka osób w ogóle rozpoznawało nazwisko Antonescu. Jego działania były tak niejasne, teorie tak szalone, że w publicznej świadomości nigdy nie stał się nikim więcej niż dziwolągiem.

- Wolał wykonywać brudną robotę cudzymi rękami.

- Właśnie - potwierdziłem. - Joey Beiler zabił Tesę i Debbie. On nie był neandertalczykiem. Nie mam pojęcia, na czym polegały jego problemy.

Był jednak mistrzem naśladowania akcentów - ja słyszałem go mówiącego cockneyem, Tesa brooklyńskim i musiał być czarujący, kiedy mu na tym zależało. Zdobył zaufanie Debbie i spędzał dużo czasu w jej mieszkaniu. W

takich okolicznościach zalogowanie się na czyimś komputerze nie przedstawia problemu. Użył go do wysłania fałszywego artykułu do New York Timesa, tego o Departamencie badającym moje śledztwo - tyle tylko, że na górze znalazło się dostatecznie wielu durniów, żeby jego tekst okazał się zaskakująco bliski prawdy - a potem dla zatarcia śladów zabił Debbie i Tesę. Później Antonescu musiał zlikwidować jego. Żadnych zaniedbanych szczegółów - tak jak ulegający samozniszczeniu DNA.

- Powiedziałaś, że Beiler - jeśli to on był tym facetem znalezionym w parku - zmarł wskutek przedawkowania jakiegoś narkotyku. Trudno sobie wyobrazić, żeby stał nieruchomo wystarczająco długo, by ktoś taki jak Antonescu podkraść się do niego i wbił mu igłę.

- Na pewno więcej osób pracowało dla Antonescu - zauważyłem. - I większość z nich, tak jak Joey Beiler, wcale nie wyglądała jak neandertalczyki...

Mallory spowaźniał.

- Wcale nie sugerowałem, że Amanda pracowała dla niego - wyjaśni-

łem. - Cholera, prawdopodobnie to właśnie on próbował ją zabić - strzałki były jego ulubioną bronią.

- Wiem - potwierdził Mallory. - To znaczy wiem, że nie sugerowałem, jakoby Amanda była jedną z nich - tych szalonych neandertalczyków. Z

tłumaczenia tochariańskiego dokumentu sporządzonego przez biednego Pedra wynika, że neandertalczyki mieli - mają - różne normy moralne, tak samo jak my. Wygląd też mają różnorodny.

Pomyślałem o Pedrze.

- Lum i Pedro też byli ofiarami Antonescu, pośrednio albo bezpośrednio.

Mallory skinął głową w zamyśleniu. Wciąż myślał o Amandzie.

- Ona może nam pomóc - powiedział.

- Wiem - potwierdziłem.

- Jak będziemy z tym walczyć, Phil? - zapytał. - Wirus w laboratoriach nie przetrwał, ale po świecie wciąż się pęta. Nie możemy liczyć na zwierzchników ani na superagencje. Spartaczą to, jak wszystko inne.

- Czy byłeś kiedykolwiek jesienią w Lancaster? Amos mówił mi, że jabłka z kofeiną są przepyszne - specjalna hybryda, licząca sobie parę tysię-

cy lat...

Następna książka o przygodach Phila D'Amato nosi tytuł „Plaga świadomości”.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)